

Władysław Stanisław Reymont

CHŁOPI

TOM DRUGI: ZIMA

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej



Uniwersytet Gdański • Polska.pl • NASK

Tekst pochodzi ze zbiorów
„Wirtualnej Biblioteki Literatury Polskiej”
Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1	3
ROZDZIAŁ 2	21
ROZDZIAŁ 3	36
ROZDZIAŁ 4	52
ROZDZIAŁ 5	73
ROZDZIAŁ 6	85
ROZDZIAŁ 7	101
ROZDZIAŁ 8	119
ROZDZIAŁ 9	137
ROZDZIAŁ 10	150
ROZDZIAŁ 11	168
ROZDZIAŁ 12	177
ROZDZIAŁ 13	196

ROZDZIAŁ 1

Nadchodziła zima...

– jeszcze się barowała z jesienią i porykujący tłukła po sinych dachach jako ten zwierz srogi i głodny, że nie wiada było, kiej przeprze a skoczy i lutymi kłami weźre się we świat...

– jeszcze czasami prószył śnieg nikły, płowy – jesienny śnieg...

– jeszcze przychodziły dnie osłupiałe, chorością sine, cknę, stęgliwe, oropiałe i zgoła lamentem przejęte, a lodowym światłem mżące – dnie trupie, że ptactwo z krzykiem uciekało do borów, trwoźniej bełkotały wody i toczyły się leniwo, jakby strachem stęzałe, ziemia dygotała, a wszelaki stwór podnosił czujące, lękliwe oczy na północ – w niezgłębioną topiel chmur...

– jeszcze noce były jesienne; ośleple, głuche, zamętne, a pełne strzepów mgieł i brzasków gwiazd pomarłych rozgnię noce dygotliwego milczenia, przenikniętego zduszonym krzykiem trwogi; pełne wzdychów bolesnych, szamotań, nagłych cichości, wycia psów, targań marznących drzewin, żalonych głosów ptactwa szukającego schronisk, strasznych wołań pustek i rozstajów zgubionych w ciemnicy, łopotów jakichś lotów, cieniów zaczajonych pod ścianami zdrętwiałych chat, pełzających hukań; zjaw przerażających, nawoływań nierozeznanych, mlaskań okropnych, przesywających jęków...

– jeszcze czasami, o zachodzie, z posepnych pól ołowianego nieba wyłupywało się czerwone, ogromne słońce i spadało ciężko, niby kadełko roztopionego żelaza, z której buchały krwawe wrzutki i biły dymy smołiste, czarne, popręgowane gorejącymi zagwiami, że świat cały stawał w łunach i w pożodze.

I długo, długo w noc dogasały i stygły na niebie krwawe zarzewia, aż ludzie mówili:

– Zima rośnie i na złych wichrach przyjedzie.

I rosła zima, rosła co dzień, co godzina, co to oczymgnienie.

Aż przyszła.

A najrychlej przyleciały zapowiednie wici.

Jakoś wnet po świętej Barbarze, patronce dobrej śmierci, o cichym, omdlałym zaraniu, spadły pierwsze krótkie, trzepotliwe wiatry; obleciały ziemię ze skowytem jako te psy węszące tropu, gryzły zagony, warczały w krzaczach, poszarpały śniegi, potarmosiły sady, poomiały ogonami drogi, wytarzały się po wodach i milczkiem urwały kajś niekajś co starszych strzech i ogrodzeń i jęły się zwiajać a ze skomleniem uciekać na bory – a po nich, zaraz na odwiecznerzu, zaczęły się wysuwać z mroków długie, świszczące i jakoby kolczaste jęzowiki, a tak zasię skowyczały w polach kiej to stado zgłodniałych wilków; a hulały rzetelnie, bo ano rankiem ziemia już dropiała spod stratowanych i wyżartych śniegów, gdzieniegdzie ino po dołkach i bruzdach bielily się poszarpane płyty, a zagony świeciły łysicami, drogi leżały skostniałe i przemarzłe, mróz zaś wżerał się ostrymi kłami w ziemię, że dzwoniła jak żelazo – ale skoro dzień nastał, uciekły poszczekując, pokryły się w lasach i w przyczajeniu dygotały skokiem napiętym, złym.

A niebo poczęło się zaciągać coraz mroczniej; chmury wypęzły ze wszystkich jam, podnosiły potworne łby, przeciągały zgniecione kadłuby, rozwichrzały sine grzywy, zielonawymi kłami błyskały i szły całym stadem – groźną, ponurą i milczącą cizbą waliły się na niebo; szły od północy czarne, olbrzymie góry, postrzępione, podarte, spiętrzono, rosochate, niby kupy borów podruzgotanych, przerwanych głębokimi przepaściami, zasypanych zielonymi ławicami lodów, a parły się naprzód z dziką mocą, z głuchym poszumem; od zachodu, zza borów czarnych, nieruchomych wysuwały się z wolna sine, obrzękłe zwały, prześwitujące gdzieniegdzie jakby ogniem, a szły jedna za drugą, rzędem nieskończonym, ciągiem coraz większym, jakoby te klucze ptaków wielgachnych; zaś od wschodu wywlekały się chmury płaskie, zrudiałe, przekrwione, przeropiałe, zgoła paskudne, kieby te ścierwa przegniłe i ociekające posoką; i od południa szły, ino że zwietrzałe, czerwone, podobne do bajorów i trzęsawisk torfowych, a pełne pręg i gruzłów sinych, pełne plam i rojowisk strasznych – jakby pełne tego gmerzącego robactwa; a jeszcze i z góry, jakby z wygasłego słońca, spadały kłakami rudnymi, to sypały się barwione jako te żuźle stygnące – a wszystkie szły na siebie, stożyły się w góry przeogromne i zalały niebo czarnym, strasznym kipiátkiem błota i rumowisk...

Świat z nagłą poczerniał, cisza się uczyniła głucha, przygasły światłości, sine oczy wód pomdlały, wszystko jakby zdrętwiało i stanęło w zdumieniu z przytajonym tchem, lęk wionął po ziemi, mróz przenikał

kości, strach chycił za gardziele, dusze padły w proch, lute przerażenie załopotало nad wszelkim stworzeniem – widać było, jak zając gnał przez wieś z rozwianą sierścią, to wrony z krzykiem przejmującym wpadały do stodół albo i zgoła do sieni, psy wyły po przyzbach jak oszalałe, ludzie chyłkiem uciekali do chałup, a nad stawem biegała ślepa kobyła z resztką wozu, tłukła się o płoty, o drzewa i z dzikim kwikiem szukała stajni.

Ciemnica się rozlewała mętna, dusząca: chmury opadały coraz niżej, zwały się z lasów rozkotłowaną gęstwą tumanów i toczyły się po zagonach jak te wody wzburzone, rozhukane, straszne – uderzyły na wieś i zalały wszystko lodowatą, brudną mgłą; naraz niebo się przedarło na środku i zajaśniało modrawo niby lustro studzienne, świst ostry przeszył ciemności, mgły się skłębiły z nagłą, a z pękniętej czeluści lunął pierwszy wichur, a za nim już leciał drugi, dziesiąty, setny!

Wyły już stadami, lały się z tej gardzieli niby rzeki niczym nie powstrzymane, rwały się jakby z łańcuchów i rozskowyczoną, wściekłą zgrają biły w chmury, rzucały się na ciemnice i rozwalały je do dna, przeżerały na wskrós i rozmiatały niby tę słomę strupieszalą.

Wrzask poszedł po świecie, zamęt, szumy, świsty, kurzawa.

Chmury, stratowane ostrymi kopytami wichrów, uciekały jakby chyłkiem na bory i lasy, niebo się przecierało, dzień znowu zaświecił ołowianymi oczami, stwór wszelki odetchnął z ulgą.

Ale wichry wiały wciąż, bez mała całą niedzielę, a bez folgi żadnej ni przestanku. Dnie to tam jeszcze jako tako człowiek strzymać wstrzymał, że to ino ci się wiedli na świat, kogo potrzeba gnała, drugie zaś po chałupach siedzieli i końca wyglądali, ale noce były nie do wytrzymania, a przyszły akuratnie jasne, rozgwiażdżone i w górze ciche, ino na ziemi wichura odprawiała diabelskie gody, jakby się naraz ze sto chłopów obwiesiło, że i zasnąć nie było można, jakże, kiej szły takie ryki, trzaski, łomoty i hurkotania, jakby tysiące pustych wozów a w pędzie największym przejeżdżało po grudzie, a te tętenty, od których ziemia drżała, a te hukania Bóg wie czyje, te wrzaski, te wycia!

Chałupy trzeszczały, bo raz w raz wichura parła barami ściany, tłukła się o węgły, podważała okapy, za przyciesie się brała, w drzwi tłukła jakby łbem, że niejedne puściły, szyby gnietła, aż trza było wśród nocy wstawać i przytykać poduszkami, bo darła się do wnętrza z kwikiem kiej ta świnia uprzykrzona, a tak prażyła ziąbem, iż ludzie pod pierzynami, a kostnieli!

Co się naród nacierpiał przez te dnie i noce, to i nie wypowiedzieć!

A co szkód narobiła, to i nie zliczyć: poobalała płoty, powydzieraa poszycia, u wójta prawie nową szopę przewróciła, Bartkowi Kozłowi wzięła dach ze stodoły i poniosła w pola o dobre pół stajania, Wincior-kom komin zwała, we młynie udarła kawał dranicowego dachu, a co strat pomniejszych! Co drzew wylała w sadach i borach! Na wielkiej drodze wyrwała cosik ze dwadzieścia topoli, że padły w poprzek kiej te trupy srodze pomordowane i obdarte.

W te wiejne i wrzaskliwe dni Lipce były jakby wymarłe; wichura hulała po drogach z taką mocą, że kto się ino wychylił z chałupy, wnet go przycapiała za łeb i waliła, gdzie popadło – w rowy, o drzewa, na płoty ciepała, a nawet Jaśka Przewrotnego zwała z mostu do stawu, że ledwie się chłopak wygramolił, a dęła wciąż, sypała piaskiem i niosła gałęzie, wióry, snopki z dachów, czasem i wierzchół pomniejszy, że leciały w kurzawie niby te ptaszyska rozgonione i tłukły się o ściany, we świat gnały!

Najstarsi ludzie nie baczyli tak swarliwych i uprzykrzonych wiatrów.

Gnietli się też po zadymionych chałupach i swarzyli z ckności nie-mało, bo ciężko było nosa pokazać za węgiel, tyła że niecierpliwsze kobiety przebierały się raz w raz chyłkiem pod płotami, niby to z ką-dziela szły do kum a głównie, bych pomleć ozorami a nawyrzekać; chłopcy zaś młóciły zawzięcie, spoza przywartych wrótni stodół były cepy od rana do późnego wieczora, mróz owarzył zboże. to łacniej się łuszczyło, a ino na odwieczeru, kiej wichura nieco folgowała, niejeden z parobków przemykał się z ćwiartką jaką do karczmy.

A wichry wciąż jednako wiały i gryzły mrozem coraz krzepiej, że już od tej wiejby pozamarzały rzeczki i strugi, bagna stężały, staw nawet pokrył się przejrzystym, modrym prawie lodem, tyle że ino przy moście, gdzie głębiej było, woda się jeszcze burzyła i nie dawała, ale brzegi leżały już skute na moc, że trzeba było przyręble ciąć dla wodopojów.

Dopiero przed samą świętą Łucją przysła odmiana.

Mróz sfolzał i ociepliło się zdziebko, wichry jakby zdychały, bo ino od czasu do czasu przedmuchnęły świat, ale już miętsze i nie tak swarliwe, niebo zaś się wyrównało kieby to pole zbronowane, a pokryte wielgachną siwą, zgrzebną płachtą, a tak nisko się opuściło, iż jakby się na przydrożnych topolach wsparło. Ale posepnie było, szaro i głucho.

A skoro jeno przedzwonili na południe, zmrozczało się nieco i jał padać śnieg dużymi płatami, a sypał gęsty, bo wnet opierzył wszystkie drzewa i wyniosłości.

Noc się rychlej zrobiła, ale śnieg nie przestawał, sypał coraz gęściej, suchszy nieco a sypki, i tak już przez całą noc padał.

Na świtaniu było już śniegu na dobre trzy piędzie, do cna przyokrył kozuchem ziemię i przesłonił świat cały modrawą białnością, a leciał wciąż, bez przestanku.

Taka cichość padła na ziemię, że ani jeden powiew nie zadrgał, ani jeden dźwięk się nie przedzierał wskroś tych spływających puchów, nic, zamilkło wszystko, ogłuchło, jakby przed cudem stanęło i przychyłone nieco zaszuchało się uroczyście w tym ledwie wyczutym szeleście, w tym locie cichym, w tej białości martwej, rozdrępanej i opadającej nieustannie.

Biaława ćma się czyniła, rosła, stawała; biały, migotliwy, niepokalany brzask sypał się by ta wełna najbielsza, najmiejsza, najśliczniejsza; suły się gęstwą nieprzeliczoną by ta zamarzła poświata, jakoby wszystkie gwiazdne światłości, zakrzepły w szron i starte lotem podniebnym na proch, świat zasypywały, przysłoniły się rychło bory, przepadły pola, że ani okiem uchwycił, zginęły drogi, roztopiła się wieś cała i wsiąknęła w tę białość cudną, w ten oślepiający tuman, a w końcu nie było już dla oczów nic widne, prócz tych strug śnieżystego pyłu, spływającego tak cicho, tak równo, tak słodko, kiej te wiśniowe okwiaty w noc miesięczną.

Na trzy kroki nie dostrzegł chałupy ni drzewa, ni płotu ni czyjej postawy, ino głosy ludzkie latały w tej bieli kiej osłabłe motyle, a mylnie, bo nie wiada skąd płynące, dokąd – a coraz słabiej się trzepotały, coraz ciszej...

I tak sypało dwa dni i dwie noce, że w końcu zasypało chałupy, iż się wznosiły jako te śniegowe kopice, buchające brudnymi kołtunami dymów, drogi się wyrównały z polami, sady były pełne po wręby płotów, staw całkiem zginął pod nawałą, biała równia, nieobjęta, chłodna, nieprzenikniona, puszysta i cudna pokryła ziemię, a śnieg wciąż padał, tylko że już coraz suchszy i rzadszy, to nocami przedzierały się gwiazdne migoty, a w dzień modrzało niebo gdzieniegdzie wskroś tych polatujących październicy białych i powietrze stawało się słuchliwsze, głosy darły się ostro przez gęstwą, rażno, hukliwie. Wieś jakby się przebudziła, ruch powstał, kto niekto wyjeżdżał saniami, ale zawracał rychło, bo drogi były nie do przebycia; gdzieniegdzie przekopywali

ścieżki między chałupami, odwalali śniegi sprzed drzwi, wywierali na ścieżaj obory, radość przejmowała wszystkich, a już dzieci to szalały z uciechy, psy naszczekiwały wszędzie, polizywały śniegi i ganiały wspólnie z chłopakami. Zaroilo się na drogach, wrzaski się podniosły w opłotkach, krzyczeli a bili się śniegułkami, a tarzali w miękkim, puszystym śniegu, a bałwany okrutne czynili, a saneczkami się ciągal, że te ich piski ucieszne i przegony zapełniły wieś całą, aż Rocho zaprzestał nauczania w ten dzień, bo nie mógł nikogój utrzymać przy lementarzu.

Coś trzeciego dnia, o samym zmierzchu, śnieg przestał padać, prószło jeszcze niekiedy, ale tak jakby kto worek z mąki wytrzepywał nad światem, że i znać nie było, ale niebo spochmurniało, wrony tłukły się koło domów i przysiadaly na drogach, a noc się zaciągnęła bezgwiezdna, ołowiana, tymi śniegami omroczonymi rozbielona, a taka cicha, zakrzepła i martwa, jakby już całkiem z wszelkiej mocy wyzuta.

– Choćby i ten najlekciejszy wiaterek, a zakurki będą – szepnął rankiem, na drugi dzień, stary Bylica wyzierając przez okienko.

– Niech ta będą, zarówno mi jedno! – burknął Antek dźwigając się z pościeli.

Hanka zażęgała ogień w kominie i wyjrzała przed sień. Wcześniej było, koguty pialy po wsi, mrok leżał gruby jeszcze, jakby kto wapno zmieszał na poły z sadzą i przytrząsnął świat, że nie rozeznał ni drzew, ni chałup, ni dalekości, ino na wschodzie tliły się brzaski niby te spopielale zarzewia, a na ziemi leżała głęboka cichość i chłód surowy wionął.

W izbie też był ziąb przenikający, wilgotny, a tak chwytny, że Hanka wzuła trepy na bosc nogi, w kominie ledwie się tliło, bo jałowcowa świeżyzna ino trzeszczała i dymila, aż Hanka uścibnęła drzazeg z jakiejś deski, to słomy podtykała, że wreszcie gałęzie się zajęły płomieniem i rozświetliły nieco.

– Naleciało go tyła, że i na całą zimę starczy – zagadał znów stary wychuchując szybkę, obrośniętą zielonawym, grubym lodem, bych w świat popatrzeć.

Starszy chłopak, któremu już było na czwarty rok, zaczął chlipać w łóżku, a z drugiej strony domu, z mieszkania Stachów, rozbrzmiewały ostre głosy kłótni, wyrzekań i piski dziecińskie, i trzaskanie drzwiami.

– Weronka swoim pacierzem dzień zaczyna! – szepnął urągliwie Antek okręcając nogi nagrzanymi przed kominem onuczkaami.

– Przyuczyła się trajkotać, to i trajkocze, chocia nie potrza, ale to nie bez złość, nie... – jąkał cicho stary.

– A juści – dzieciśka też tłucze nie bez złość?... Abo Stachowi nie da dobrego słowa, ino ciągiem huruburu, jak na tego psa, to pewnie z dobrości? – mówiła Hanka przyklękając do kołyski, by dać piersi młodszemu, któren też popłakiwał a kulasami grzebał.

– Ile? – trzy niedziele, jak u waju siedzimy w chałupie, a to i dzień jeden obyć się nie obył bez wrzasków a bijatyki, a tego kłyźnienia! Pies to, nie kobieta! A Stacho ciamajda i pozwala sobie kołki ciesać na łbie, robi jak wół, a gorzej ma od psa.

Stary spojrział lękliwie, chciał nawet coś rzec w obronie, gdy właśnie drzwi się otwały od sieni i Stacho wraził głowę wraz z cepami, co je niósł na ramieniu.

– Antek, chcesz iść do młocki? Organista powiedział, bym sobie dobrał kogo do jęczmienia, a suchy i dobrze, letko się otrzaskuje... – napierał mi się Filip, ale jeżeli chcesz... to juści, zarób sobie...

– Bóg zapłać, weźcie Filipa, ja ta u organisty wyrabiał nie będę.

– Twoja wola! Panu Bogu oddaję.

Hanka aż się zerwała na odpowiedź Antkową, wnet jednak przychyliła się i wtuliła głowę w kolebkę, by łez nie pokazać i tego strapienia!

– Jakże, taka zima, taka skrzytwa, taka bieda, że żyją jeno ziemniakami ze solą, grosza jednego nie ma, a on robić nie chce! Całe dni przesiaduje w chałupie, papierosy kurzy i duma! albo znów gania po świecie, jak ten głupi, za wiatrem chyba! Mój Boże, mój Boże! – jękała boleśnie. – Już nawet Jankiel nie chce borgować, krowę przyjdzie sprzedać, cóż?.. Uparł się to i sprzeda, a do roboty się nie weźmie... Juści, prawda, że mu to i nijako na wyrobek iść, markotno, ale co poczwać, co? Żeby to ona chłopem była, mój Boże, nie żałowałyby pazurów, a to choćby kulasy po łokcie urobić, bych ino krowy nie sprzedać, bych ino zwiesny doczekać, zimę przetrzymać... Ale co ja uradzę, biedna, co?... – Rozskrzypiała się jej tak dusza, że rady dać sobie nie mogła.

Wzięła się do zwykłych, codziennych obrządków a ukradkiem spozierała na męża, któren siedział przed kominem, okręcił w połę kożucha starszego chłopaka i ocieplął mu nożęta dłonią nagrzaną, patrzył ponuro w ogień i wdychał; stary pod oknem obierał ziemniaki.

Milczenie przykre, niepokojące, przesycone tajonymi żałami, webrane dławiącym uczuciem nędzy, motało się między nimi. Nie spoglądali sobie w oczy, nie przemawiali, słowa więzły w strapieniach, uśmiechy zgasyły, w oczach błyskały tłumione wyrzuty, a w bladych,

wynędniałych twarzach widniała gorycz, żale się snuły, a zarazem harda, żelazna nieustępliwość. Przeszło już trzy tygodnie od wypędzenia z ojcowej chałupy i tyle dni długich, tyle nocy, a nie przepomnieli oboje jeszcze niczego, nie przeboli krzywdy ni opamiętali się w zawziętości – tak mocno czuli, jakby się to stało w tym oczymgnięciu.

Ogień trzaskał wesoło, ciepło się rozlewało po izbie, aż lód na szymbach topniał i te smugi śniegu, nawianego szparami, tajały pod przyciesiami, a gliniany tok pocił się i opływał rosą.

– Przyjdą te Żydy? – spytała wreszcie.

– Powiedziały, że przyjdą.

I znowu ani słowa więcej. „Jakże, któreż miało rzec pierwsze i co? – Hanka?... Kiej się bojała gęby ozewrzeć, bych te żale nabrane w serce nie lunęły z niej choćby i poniewoli! – Nie, taiła wszystko w sobie i powstrzymywała, jak mogła. Antek? Cóż miał powieść? że mu źle? I bez tego wiadomo, a do przyjacielstwa nie był nigdy skory i do ugwarzania się, choćby i z kobietą swoją, ochoty nie miał! Jakże tu i mówić, kiej duszę przeżerała nienawiść, kiej za każdym wspominkiem serce mu się kurczyło z bolenia, a pazury się rozczapierzały taką złością, że choćby na całą wieś, a gotów się był rzucić!...

Już nie nosił słodkich wspominków o Jagnie, jakby jej nigdy nie miłował, jakby nie brał w te same ręce, którymi teraz gotów był ją rozdzierać. Ale żalu do niej nie miał.

– Kobieta niektóra jest jako ten pies zwleczony, pójdzie za każdym, kto ino większą skibką przynęci abo i kijem postraszy. – Myślał o niej, nieczęsto jednak, bo mu ginęła w pamięci pod nawałą krwawiących, żywych i bolesnych uraz do ojca. Stary był winowaty, ociec to był tym krzywdzicielem, tym ośkiem, któren się wbił w samo serce i bolał coraz ostrzej, przez niego to wszystko, przez niego!

I zbierał, zgarniał w siebie wszystko zło, wszystkie krzywdy, jakich doznał, i przepowiadał że jako ten pacierz niezapomniany! Różaniec ci to był bolesny i jątrzący, ale go sobie przewłóczył przez serce, bych jeszcze lepiej zapamiętać!

O swoją biedę nie stał, chłop zdrowy, to byle miał dach nad głową, więcej mu nie potrza, o dzieciskach niech kobieta zabiega, ale sama czysta krzywda go piekła kiej ogień i rosła wciąż, rozrastała się w nim niby ta parząca pokrzywa! Bo i jakże, trzy niedziele dopiero, a już się cała wieś odwróciła od niego, jakby go nie znali, jakby przybłąda był ze świata, omijali go kiej zapowietrzonego, nikt nie zagadał, do chału-

py nie zajrzał, nie pożałował, dobrego słowa nie dał – a jak na tego zbója spoglądali.

Nie to nie, napraszał się nie będzie, ale i po kątach krył nie będzie ni ustępywał nikomu z drogi! Kiej na udry, to na udry! Ale dlaczego to wszystko? Że się z ojcem pobił?... Pierwszy raz to we wsi czy co! Czy to Józek Wachnik nie bije się co dni parę?... Czy to Stach Płoszka nie przetrącił kulasa swojemu? A nikt im marnego słowa nie powiedział, ino jęgo postponują, bo na kogo Pan Bóg,

to i wszyscy święci. Starego to robota, starego ale zapłacone miał będzie za wszystko, zapłacone.

Jeno dychał odemstą i myśleniem o niej, a cały ten czas żył w gorączce i niepamięci; do roboty się nie brał, o biedzie nie myślał, w jutro nie patrzył, ino się po tych mękach ciężkich tulał i darł w siebie. Nieraz nocami zrywał się z pościeli i leciał na wieś, błąkał się po drogach, w ciemnicach się krył i marzył zemstę srogą, poprzysięgał, iż nie daruje swojego.

Śniadanie zjedli w cichości, a on wciąż siedział osowiały i przeżuwał te wspominki kiej oset kolący a gorzki.

Dzień się już duży zrobił, ogień przygaś, a przez odmrożone nieco szybki biło białawe, zimne światło śniegów; lodowe, smutne brzaski roztrzęsły się po kątach i obnażyły izbę, że stanęła w całej nędzy.

Mój Boże, Borynowa chałupa dworem się widziała przy tej ruderze; co chałupa, nawet obora ojцова sposobniejszą była la ludzi. Chlew to przegniły, nie dom; kupa zmurszałych bali, nawozu i śmiecia zgniłego. Ni jednej deski na ziemi, gliniany tok pełen wybojów, błota przy-marzłego i śmieci wdeptanych, że niech ino odgrzało od komina, to smród bił gorszy niżli z gnojówki, a z tego trzęsawiska dźwigały się ściany spaczne, struchlałe, przegniłe, że wilgoć lała się po nich, a w kątach mróz trząś siwą brodą; ściany pełne dziur, pozapychanych gliną, a miejscami słomą z nawozem! A niski pułap wisiał kiej to stare sito podarte, że słomy opajęczonej więcej w nim było niżli desek. Jedne sprzęty i statki, co coś niecoś przykrywały tę nędzę, a te parę świętych obrazów na ścianach, zaś drag z ubierem rozwieszonym i skrzynia przysłaniały przegrodę chruściana, za którą mieściły się krowy.

Hanka, chocia powoli, a rychło obrządziła gospodarstwo; juści, niewiela tego było; krowa, jałowica, prosiak, gąsków parę i kurków, to i cała parada, i bogactwo całe. Ubrała chłopaków, że wnet się przetoczyli do sieni zabawiać z Weronczynymi dziećmi, wrychle też jazgoty

a wrzaski szły stamtąd, a sama przygarniała się nieco, jako że kupcy przyjść mieli i na wieś trza było iść.

Właśnie chciała się z mężem naredzić i coś niecoś pogadać przódzi o tej sprzedaży, ale nie śmiała zacząć, bo Antek wciąż siedział przed wygasłym kominem, zapatrzony gdzieś, ponury, aż strach ją obleciał.

– Co mu jest? – Zezuła trepy, bych go ino nie jątrzyć hałasem, ale coraz częściej spozierała na niego z trwożliwą czułością i niepokojem.

– Ciężej mu, bo nie taki kiej drugie, ciężej – myślała i okrutna chęć ją wzięła zagadać, popytać, uzalić się nad nim, już przystaneła z boku, już miała to dobre słowo w sercu wzruszonym – nie śmiała jednak. Jak tu i rzec było, kiej na nią nie zważa, jakby całkiem nie widział nic koło siebie! Westchnęła boleśnie; nieletko jej było na duszy, nie – nie drujkość czuła ano w sercu miodową, a ten gorzki piołun! Mój Jezu, inaczey mają drugie, choćby i te komornice, a lepiej. – A tu na jej głowie wszystko leży, turbuj się, zabiegaj, starunek o wszystkim miej, kłopcisz się, ani zagadać do kogo, ni się przed kim wyżalić! Niechby ją skrzyzczał, niechby nawet i zbił, wiedziałyby, że w chałupie jest chłop czujny, nie drewno. A ten nic, czasem burknie kiej pies zły abo i spojrzy, że jakby kto mrozem oblał duszę – ani przemówić do niego, ni przystąpić z tym szczerym sercem, jak to zwyczajnie bywa w małżeńskim stanie abo i w przyjacielstwie. Hale, powiesz co, uzalisz się, juści! Co mu ta kobieta, co żona tyła, bych chałupy pilnowała, jeść uwarzyła i dzieciaków strzegła. Abo to dba o co?... Bo to kiej przyhołubi, popieści, dobrością zniewoli, przygarnie mocno, ugwarzy się! Nie stoi on o to wszystko, nie! Ino się ciągiem myśleniem górno nosi, jak obcy zachowuje, że i nie wie, co się wedle niego dzieje! A ty, człowieku, sama bierz wszystko na swoją głowę, sama cierp, wydzieraj się, turbuj, a jeszcze ci i tym dobrym słowem nie odpłaca!...

Nie mogła już powstrzymać bolesnego zalewu żalości ni łez, uciekła do krów, za przegrodę, wsparła się na żłobie i cicho chlipała, a gdy krasula poczęła sapać i lizać ją po głowie i plecach, buchnęła głośną skargą...

– I ciebie zbraknie, bydłatko, i ciebie... przyjdą tu wnet... stargują... postronek ci za rogi założą... poprowadzą... we świat cię powiedą, żywicielko nasza... w cały świat!... – szeptała obejmując ją za szyję i tuląc rozbolałą duszę do tego stworzenia czującego. Nie powstrzymywała jęków ni płaczu, bo wstawał w niej nagły, mocny bunt. Nie, tak być nie może dłużej, krowę sprzedadzą, jeść nie ma co, a on siedzi, roboty nie szuka, do młócki, choć proszą, nie idzie, a choćby i ten złoty groszy

dwadzieścia zarobił na dzień, na sól by było, na okrasę, kiej już i tej kapki mleka zbraknie!

Wróciła do izby.

– Antek! – powiedziała ostro, śmieje, gotowa wszystko wypowiedzieć.

Podniósł na nią ciche, zaczerwienione oczy i tak spojrział smutnie a żałośnie, że jej dusza struchlała, opadł ją gniew, a serce zatłukło się litością...

– Mówiłeś, by przyszedli po krowę? – rzekła cicho i dziwnie miękko.

– Pewnie już idą, bo tam na drodze coś pieski jazgoczą...

– Ni, w Sikorowym obejściu naszczekują – powiedziała wyjrząwszy.

– Przed południem się obiecali, to ino ich patrzeć.

– Musimy to sprzedać, co?

– Jakże, grosza potrzeba, paszy też la dwóch nie starczy... musimy, Hanuś, cóż poredzić... szkoda krowy... juści... ale kto nie ma grosza, nie umacza i nosa... – mówił cicho i z taką dobrocią, że Hance stajała dusza, a serce zaczęło się trzepotać radością i nadzieją; patrzyła mu w oczy jak ten pies wierny i słuchliwy, że już w tym oczymgnięciu nie żałowała krowy ni niczego. Spoglądała ino pilnie, bez udręki w tę twarz umiłowaną, a słuchała tego głosu, co jak ogień szedł przez serce i rozgrzewał ją dobrocią i rozczuleniem.

– Juści, że trzeba... Jałowica ostanie, ocieli się jakoś w półpoście, to się jeszcze tej kapki mleka doczekamy przywtórzyła, byle ino on mówił dalej.

– A jakby zbrakło paszy, to się dokupi.

– Owsianki cheba, bo żytniej starczy do zwiesny. Ociec, odwalcie kopczyk, trza zajrzeć, czy ziemniaki nie przewiane.

– Siedźcie, za ciężka la was robota, ja odkopię.

Podniósł się, zdjął kozuch, zabrał łopatę i wyszedł przed dom. '

Śniegu było prawie równo z dachem, bo dom stał na wydmuchu, za wsią prawie, o dobre staje od drogi, a nie osłonięty ni płotem, ni sadem, kilka dzikich, pokreconych trześni rosło przed oknami, ale tak były zasypane, że ino gałęzie wysuwały się ze śniegu, kiej te palce chorością poskręcane. Sprzed okien to tam stary jeszcze do dnia śnieg przekopał, zaś kopczyk z ziemniakami tak zawiało, że ani go było rozeznąć spod śniegów.

Antek wziął się ostro za robotę, bo śniegu było na chłopa, a chociaż świeży, uleżał się już i stężał nieco, że trza go było krajać w cegły; za-

pocił się też niezgorzej, nim odwalił, ochotnie jednak robił i był dobrej myśli, bo raz w raz rzucał pecyną na dzieci, baraszkuje przed progiem, ino chwilami, gdy mu się przypominały udreki dawne, mdlały mu ręce, zaprzestawał roboty, wspierał się grzbietem o ścianę i niósł oczami po świecie. Wzdychał i znowu się błąkał duszą jak ta owca zgubiona w noc ciemną.

A dzień był chmurnawy, szarawy, a przebielone niebo wisiało nisko, śniegi rozścielały się grubym, puszystym kozuchem i leżały, jak okiem sięgnąć, modrawą i ogłuchłą, martwą równią; mgliste i przejęte stężalnymi szronami powietrze przesłaniało świat wszystkim niby przędzą; że to chałupa Bylicowa była jakby na wzgórk, to wieś widniała kieby na dłoni; rzędy kopic abo i tych kretowisk śnieżnych siedziały w podle siebie i wiedły się dokoła zasypanego stawu, ani dojrzał gdzie chałupy całej, wszystkie zniknęły pod śniegiem, kajś niekajś ino czerniały ściany stodół, kłębiły się rude torfowe dymy, to szarzały drzewiny pod śniegowymi czapami, ino głosy rażno się rozlegały w tych białościach, leciały z końca w koniec wsi, a monotonne capanie cepów dudniało głucho jak gdyby spod ziemi. Drogi leżały puste i zasypane, a na zaśnieżonych polach ni żywa dusza nie majaczyła, nic ino ta przegromna pustka biała i martwa, zastygła w śniegach. Przemglone dale tak się stapiały, że ani rozeznac było nieba od ziemi; jedne lasy modrzały niecoś z bielm, jakby tam chmura wisiała.

Ale Antek niedługo się błąkał po śnieżnym pustkowiu, nawrócił znowu oczy na wieś, za ojcową chałupą gonił, nie zdążył zaś i pomyśleć, bo Hanka ano wlażła do dołu i stamtąd skrzeczała.

– Nie przemarzły! Wachnikom tak wiatry przeziębily, że z pół dołu musieli świniami spaść, a nasze zdrowe.

– A dobrze. Wyjdz no, widzi mi się, że idą Żydy! Trza krowę wywieść przed dom!

– Juści, że Żydy, a nie kto drugi, juści, że te zapowietrzone! – zawołała ze złością.

Jakoż od karczmy, przez dróżkę, do cna zasypaną i ledwie co poznaczoną Stachowymi trepiskami, kopało się dwóch Żydów, juści, że pieski prawie z pół wsi goniły za nimi z wielgą uciechą i szczekaniem, a tak zajadle dobierały się do nich, aż Antek wyszedł naprzeciw i obrocił

– Jak się macie, no? Spóźnilim się, bo takie śniegi, takie śniegi! Ani przejść, ani przejechać, wiecie? A w boru to już szarwarkiem przekopują drogę!

Nic się nie ozwał na ich gadanie, ino do izby poprowadził, by się nieco rozgrzali.

Hanka zaś wytarła krowie ognojone boki, oddoła mleko, co się jej tam od rana uzbierało, i przewiedła przez izbę na dwór. Krowa się opierała, szła niechętnie, a przestąpiwszy próg wyciągała gębule, wąchała, to śnieg ją zlizywać, aż ni stąd, ni zowąd zaryczała przeciągle, cicho a żałośnie, i tak się rwała z postronka, że ledwie ją stary udzierał.

Hanka już nie mogła tego przenieść, żal ją przejął szrogi i tak świ-drujący, aż buchnęła płaczem, a za nią i dzieci czepiając się matczyne-go wełniaka uderzyły w krzyk i lament! Antkowi też nie było wesoło, nie, ino zęby zasiekł, wsparł się o ścianę i patrzył na wrony, co się zle-ciały na rozgrzebany z dołu śnieg, a handlarze zaś szwargotali między sobą i wzięli krowę macać a oglądać ze wszystkich stron.

Juści, że Antkom zrobiło się w sercach kiej na pogrzebie, aże się odwracali od bydłatka, co próżno się targalo na uwięzi, darmo wykre-cało do gospodarzy wybałuszone i zestrachane oczy, darmo porykiwało głucho.

– Jezu!... Na tom cię, krówko, pasła, na tom zabiegała, na tom sta-runek o tobie miała... by cię na rzeź powiedli...na zatracenie... – lamen-towała Hanka tłukąc głową o ścianę, a dzieci też w płaczliwy wtór biły. Ale po próznicy lamenty a płacze, na darmo, bo musu, człowiecze, nie przeprzesz, doli nie przemożesz ni tego, co być ma...

– Co chcecie? – spytał wreszcie starszy, siwy Żyd.

– Trzysta złotych.

– Trzysta złotych za tę chabaninę! Wy, Antoni, chory jesteście czy co?

– Ty mi od chabanin na nią nie pyskuj, byś czego nie oberwał! Wi-dzisz go, krowa młoda, na piąty rok ledwo idzie, spaśna – wrzeszczała Hanka.

– Sza... sza... w handlu gniewu nie ma o to słowo... bierzecie trzy-dzieści rubli?

– Powiedziałem swoje!

– I ja mówię swoje, trzydzieści jeden... no, trzydzieści jeden i pół... no, trzydzieści dwa – dajcie rękę... no, trzydzieści dwa i pół... zgoda?

– Rzekłem.

– Ostatnie słowo, trzydzieści i trzy! Nie, to nie! – powiedział fleg-matycznie i oglądał się za swoim, kijem, a starszy zapinał chałat.

– Za telachną krowę!... A dyć bójcie się Boga, ludzie...krowa kiej obora, sama skóra warta z dziesięć rubli... za telachną krowę... oszukańce... Chrystobije... – jękał stary oklepując krowę, jeno że nikt nie zważał na niego.

Żydzi rozpoczęli zajadłe targi, Antek też stał twardo przy swoim, opuścił coś niecoś, ale niewiele, bo po prawdzie krowa była dużo warta, i żeby tak na zwiesnę i gospodarzowi sprzedać, dostałby pięćdziesiąt rubli jak nic. Ale gdzie mus pogania, tam bieda za orczyki ciągnie – Żydy dobrze o tym wiedziały i chocia wrzeszczeli coraz głośniej i coraz zapalczywiej bili w Antkową dłoń na zgodę, przyrzucali mało wiele, najwyżej po pół rubla...

Już było tak, że odchodzili zagniewani, już Hanka krowę ciągała z powrotem do zagrody, i nawet Antek się rozsierdził i gotów był sprzedaży poniechać, ale kupcy wrócili i jak zaczęli krzyczeć, handryczyć a przysięgać, że więcej dać nie mogą, a w ręce przebijać i krowę znowu penetrować, tak i stanęła zgoda na czterdziestu rublach i dwóch złotych postronkowego la Bylicy.

Wypłacili zaraz na rękę; stary powiódł za nimi krowę do sań, które czekały przed karczmą, Hanka zaś z dziećmi odprowadzała krasulę aż do drogi, a co trochę to ją gładziła po gębuli, to pokładała się na niej, a oderwać się nie mogła od bydłatka ni przyciszyć frasunku i żalości...

Jeszcze na drodze przystanęła za nią i pomstować z całej duszy na tych żółtków niechrzczonych!

Tylą krowę stracić, to i nie dziwota, że kobiecie zagrała wątroba pomstą.

– Jakby kogo z chałupy na mogiłki wywieźli, tak pusto – rzekła z nawrotem i co trochę zaglądała do pustej zagródki, to przez okno patrzyła na ścieżkę zdeptaną, poznaczoną łajnem i śladami kopyt, a raz w raz wybuchała płaczem i wyrzekaniem:

– Przestałabyś, a to jak to ciele buczy i buczy!– krzyknął Antek siedząc przed rozłożonymi na stole pieniędzmi.

– Kogo nie boli, temu wszystko powoli. Nie bolała cię bieda, kiejś krowę zmarnował i Żydom na rzeź wydał!

– Hale, ozedrę się pewnie i z lelit ci pieniądze wypuszczę, co?

– Jak te ostatnie komorniki ostalim, jak te dziadaki, ani tej kapki mleka, ani pociechy żadnej! Tylem się dorobiła na swoim, tyle! Mój Jezu! Mój Jezu! Drugie zabiegają, jak te woły orzą i jeszcze coś do domu przykupują, a ten ostatnią krowę, com od ojców dostała, sprzeda-

je...Już chyba ostatnia marnacja przyjdzie, ostatnia! – zawodziła nieprzytomnie.

– Rycz, to ci ano ode łba odciągnie, jakieś głupia i wyrozumienia nie masz! Naści pieniądze, popłać, gdzieś winna, kup, coć potrza, a resztę schowaj! – podsunął kupkę pieniędzy, a pięć rubli papierowe schował do pularesu.

– Na co ci tyła pieniędzy?

– Na co? z kijem tylko nie pójdę.

– Gdzie się to wybierasz?

– We świat, roboty poszukam, gnił tutaj nie będę!

– We świat! Wszędzie psi boso chodzą, wszędzie biednemu wiater w kłęby wieje! Sama to ostane, co? – podnosiła głos bezwiednie i groźnie się przysuwała do niego, nie zważał na to, przyodziął się w kozuch, pasem opasał i za czapką oglądał.

– U chłopów robił nie będę, żebym miał skapieć, nie będę! – powiedział.

– Organista potrzebuje do młocki!...

– Hale, ciarach jeden, ciołek taki, co ino na chórze bekuje a gospodarzom w garście patrzy i żyje tym, co uprosi lebo co wycygani, do takiego na wyrobek nie pójdę...

– Kto nie ma chęci, teń wie, jak wykręci!

– Nie dogaduj! – wrzasnął ze złością.

– Mówię ci co kiedy, naprzykrzam się, a dyć robisz, co chcesz!

– Do dworów pójdę – mówił znów spokojnie – o służbie się jakiej przewiem, może od Godów dostanę, choćby

na rataja, a pójdę, byle tutaj nie śmierdzieć i krzywdy na oczach nie mieć ciągiem, bo nie zdzierzę... Dość mi tego, dość mi tego ludzkiego politunku i tego patrzenia kiej na parszywego psa!... We świat iść, gdzie oczy poniesą, byle ino z dala... byle ino prędko!... – zaczął krzyczeć i unosić się.

Hanka zamarła w przerażeniu i stała bez ruchu; jeszcze go takim nie znała.

– Ostaj z Bogiem, za parę dni wrócę.

– Antek! – krzyknęła rozpaczliwie.

– Czego? – Już z sieni nawrócił.

– A to nawet tego słowa dobrego żałujesz... nawet tego...

– Cóż to, ceckał się z tobą będę, może jamorował... Nie to mi w głowie! – zatrzasnął drzwi i poszedł.

Poświstywał przez zęby, wspierał się kijem i szedł rażno, aż śnieg skrzypiał pod nogami, obejrzał się na chałupę. Hanka stała pod ścianą i zanosila się od płaczu, a przez drugie okno wyglądała Weronka.

– Ścierwa, buczy i buczy! Do tego to rozum ma!... We świat! We świat! – szeptał i rozglądał się dookoła, leciał oczami wskrós przeszroniałych bielizn śnieżnych. Rwała go tęsknota jakaś, parła, rzucała przed się, że z radością myślał o innych wsiach, o ludziach nowych i życiu innym. Niespodzianie mu to przyszło, samo z siebie nań spadło i tak porwało z nagłą, jak kiedy wezbrana woda kierz słaby bierze, że ani oprzeć się temu, ni nawrócić. Dola go rzuciła we świat.

Jeszcze godzinę temu ani myślał, że pójdzie, ani wiedział! Samo przyszło, ze świata, z wiatrem pewnie nawiała ta chęć i rozzarzyła mu serce niepowstrzymanym pragnieniem ucieczki. Wyrobek, nie wyrobek, byle ino stąd iść... Hej! Uleciałby jako ten ptak, we wszystek świat niósłby się, na bory, na te nieobjęte ziemice... Juści, co mu tu kapieć, czego doczekiwać? Już go te wspominki przeżarły, że dusza na wiór wyschła, a co mu z tego?... Książd jest prawy, dobrze mu wyłożył, że w sądzie z ojcem nie wygra; a jeszcze sporo grosza dołoży. A z pomstą poczeka w sposobniejszy czas, w sposobniejszy; jeszcze takiego nie ma, któremu by darował krzywdy... A teraz ino iść przed się, gdzie bądź, byle z daleka od Lipiec...

– Gdzie by najpierwej?..

Stanął na skręcie w topolową drogę i nieco wahajaco rozglądał się po zgubionych w omgleniu polach, zimno go przejęło, że zęby mu szczękały i trząsł się we środku.

– Przez wieś i drogą za młynem pójde... – zdecydował prędko i skręcił do wsi; nie uszedł jeszcze i pół staja, gdy usunąć się musiał w bok pod topole – środkiem drogi, wprost na niego waliły jakieś sanie w kłębach kurzawy, a ostro i z dzwoniem.

Jechał Boryna z Jagusią, sam powoził, konie rwały z kopyta podrywając sankowe pudełko kiej piórkiem, a stary jeszcze podcinał batem, przynaglał i coś ze śmiechem powiadał. Jaguś też w głos mówiła, urwała naraz spostrzegłszy Antka, wpili się oczami w siebie na mgnienie, na ten jeden błysk i roznieśli w dwie strony, sanki przesunęły się wnet i utonęły w kurzawie, ale Antek z miejsca się nie ruszył, skamieniał zgoła, jeno patrzył za nimi... wychylali się czasem ze śnieżycy, to zaczerwieniły się Jagusine wełniaki, to dzwonki mocniej zajęczały, i ginęli, przepadali, jakby wskrós tej bielizny pędzili...pod dachem oszroniałych gałęzi, co splełtane jakby sklepienie czyniły, jakoby duch

przebity w śniegach, a podstemplowany czarniawymi pniami topoli, które stały z obu stron drogi i, pochylone, przyginały się niby w ciężkim, utrudzającym chodzie pod wzgórze... Patrzył wciąż w jej oczy, stały przed nim, skrzyły się w śniegach kiej te lnowe kwiatki, na drodze wyrastały wszędzie, a patrzyły zestrachane i żalodne, zdumione a radosne zarazem, przejmujące i żywym ogniem rozbłyśnięte.

Przygasła mu dusza, omgłiła się, jakby te szrony przysypały go doć dna i na wskroś przejęły, że ino te modre oczy same jedne w nim jaśniały. Zwiesił głowę i powłókł się wolno, odwracał się raz i drugi, ale już nic nie było widać pod topolami, czasem jeno dzwonek zajęknął w oddali i kurzawa zamajaczyła.

Zapomniał o wszystkim, jakby z nagłą duszę zgubił, pamięć go odeszła, oglądał się bezradnie, nie wiedzący, co począć... gdzie iść... co się stało? – jakby w sen na jawie się pograżył i ocknąć nie mógł.

Prawie nie wiedzący nawrócił do karczmy wymijając parę sań zapełnionych ludźmi, ale choć pilnie patrzył, nie rozeznał nikogo.

– Gdzie taką hurmą wałą? – spytał Jankla stojącego na progu.

– Do sądu. Sprawa z dworem o krowy, o pobicie pastuchów, wiecie! Ze świadkami jada, a Boryna pojechał przodem.

– Wygrają to?

– Po co mają przegrać! Dziedzica z Woli skarżą, sędzi dziedzic z Rudki, to i dlaczego ma dziedzic przegrać? A ludzie się przejadą, drogi przetrą, zabawią się – w mieście też potrzebują nasi utargować. Wszyscy po trochu wygrają, wszyscy.

Antek nie słuchał przekpiwań, kazał dać okowitki, wsparł się o szynkwasy i stał tak zapatrzony przed się, nieprzytomny prawie, z dobrą godzinę, nie tknąwszy nawet kieliszka.

– Wam coś jest?

– I... co by zaś miało być... – puście do alkierza.

– Nie można, tam siedzą kupcy, wielkie kupcy, oni drugą porębę kupili od dziedzica, tę na Wilczych Dołach, to potrzebują spokoju, może nawet i śpią.

– A to parchów za brody powyciągam i na śnieg wyciępnę! – krzyknął i rzucił się zapamiętale ku alkierzowi, ale od drzwi zawrócił, zabrał butelkę i wcisnął się za stół, w najciemniejszy kąt.

Pusto było w karczmie i cicho, tyla co tam Żydy coś zakrzyczały po swojemu, że Jankiel biegł do nich, albo ktoś wszedł na kieliszek, wypił i wynosił się.

Dzień się już przetaczał na drugą stronę, a i mróz brać musiał, bo skrzypiały płozy sań na śniegu i chłód wiał po karczmie, Antek zaś siedział, popijał z wolna, niby to medytował, a zgoła nie wiedział, co się działo w nim i dookoła.

Pił kwaterkę po kwaterce, a te oczy wciąż modrzały przed nim, tak blisko były, tak blisko, że je powiekami prawie dotykał; wypił trzecią... jaśniały wciąż, jeno się jęły kołować, chwiać i po karczmie nosić jako te światła. Mróz go przeszedł ze strachu, zerwał się na nogi, trzasnął butelką o stół, że w kawałki się rozprysnęła, i szedł ku drzwiom.

– Zapłaćcie! – krzyczał Jankiel zabiegając mu drogę – zapłaćcie, ja wam borgować nie będę...

– Z drogi, psiakrew, Żydzie, bo cię zakatrupię! – wrzasnął z taką mocą, że Żyd zbladł i spieszenie się usunął.

Antek ino gruchnął w drzwi i wybiegł.

ROZDZIAŁ 2

Jakoś o samym południu dzień się nieco rozjaśnił, ale ino tyla, coby kto łuczycem przeciągnął po świetle, bo wnet zgasło i omroczało, jakby śnieg narastał i sposobił się znowu.

W izbie Antków też było dziwnie mroczno, chłodno i smutnie; dzieci bawiły się na łóżku i z cicha do się krzekorzyły, kiej te kurczątko zestraszone, a Hankę tak podrzucała niespokojność, że rady sobie dać nie mogła. Chodziła z kąta w kąt, wyglądała przez okno, to przed domem stała i rozpalonymi oczami wodziła po śniegach. Hale, ani żywej duszy nie ujrzał na drogach ni na polach – parę sań przewlekło się od karczmy i zginęło pod topolami, jakby się zapadły w tej śniegowej topieli, że ni znaku, ni głosu nie ostało po nich. Nic, jeno ta cichość zmartwiała i pustka nieprzejrzana!

– Żeby choć ten dziad jaki zajrzał, żeby choć z kim zagadać! – westchnęła.

– Kucusie! Kucu, kucu, ku-cu! – zaczęła gonić po śniegach kury, bo się rozłaziły i szukały miejsc na trześniach. Pozanosila je na grędy, a z powrotem wywarła gębę na Weronkę, bo jakże, tamta wystawiła do sieni cebratkę z pomyjami dla gadziny, a te zapowietrzzone świntuchy rozlały na ziemię, że kałuża stanęła pod drzwiami.

-...To świń pilnuj, kiej się za gospodynię masz, dzieciom przykaż... ja bez ciebie nie będę się taplała w błocie! – wykrzykiwała przez drzwi.

-...Sprzedała krowę, to głos tu będzie zabierać, ale, błoto już jej przeszkadza, wielka pani, a sama kiej w chlewie siedzi...

– Tobie wara, gdzie siedzę, i wara ci do mojej krowy!

– To i do moich prosiaków ci wara, słyszysz!

Hanka ino trzasnęła drzwiami, bo co miała odpowiadać takiej piekielnicy? – rzec jej to jakie słowo, to ona i na półkopku nie poprzestanie, a jeszcze i do bicia gotowa. – Przywarła drzwi na haczyk, wydobyła pieniądze i wzięła się biedzić nad rozliczaniem. Niemało się utrudziła nad tylachnem pieniędzy, a i myliło się jej wciąż; zgniewana jeszcze była na Weronkę i niespokojna o Antka, to znowu widziało się jej czę-

sto, że krasula czegoś postępuje... albo ją zalewały przypominki ojcowego domu.

-...Juści, że jakby w chlewie siedzimy, juści! – szeptała rozglądając się po izbie – a tam i podłoga, okna jak się patrzy, ściany bielone; i ciepło, i czysto, i wszystkiego po grdykę... Co oni tam robią?... Józka zmywa statki po biedzie, a Jagna przedzie i przez czyste, niezamarzłe szyby na świat spogląda... brak jej to czego!... Wszystkie korale dostała po nieboszczce, a tyle wełniaków, tyle szmat, tyle chust!... Nie narobi się, nie umartwi niczym, tłusto zje... Stacho powiedział przecie, że Jagustynka za nią robi, a ona do białego dnia się wyleguje pod pierzyną i herbatę popija... ziemniaki jej nie służą... a stary się ino przymila i kiej koło dzieciątka zabiega....

Gniew ją przejął nagły, aż się porwała od skrzynki i pogroziła pięścią.

– Złodziej, ścierwa, złodziej, lakudra jedna, tłuć! – wykrzyknęła w głos, aż stary, co był na przypiecku drzemał, zerwał się przestraszony.

– Ociec, przytkajcie ziemniaki ocipką i dół obwalcie śniegiem, bo na mróz się ma – szepnęła spokojniej zbierając się znowu do liczenia.

Staremu coś niesporo szła robota, śniegu była kupa, a sił wiele nie miał, a i te dwa złote postronkowego nie dały mu spokoju, na stole świeciły się dwie złotówki, prawie nowe, dobrze pamiętał...

– Może i dadzą... – myślał – komuż to się przynależą?... aż mu kulas stergł od postronka, tak się krasula wydzierała... wstrzymał przeciech... a kupcom to nie zachwalał? słyszeli... cheba dadzą... Zaraz by starszemu, Pietrusiowi, na pierwszym odpuszcie kupił organki... młodszemu by też trza... Weronczynym dzieciom też... zbóje są i uprzykrzone, ale trza... a sobie tabaki... krzepkiej ino,

jażby we wąpiach zawierciło, bo Stachowa słaba... ani człek nie kichnie od niej... – Rozliczał, a tak żwawo robił, że gdy w godzinę jaką Hanka wyrzała, to ledwie słoma była pokryta śniegiem.

– Za chłopa to zjecie, ale i za dziecko nie zrobicie...

– A dyć się spieszę, Hanuś, inom się zadychał dziebko, tom tego powietrza łapał... pierunem będzie... pierunem... – jękał przestraszony.

– Wieczór już pod lasem, mróz bierze, a cały dół rozwalony, jakby go świnie spyskały. Idźcie do chałupy dzieci pilnować.

ci pilnować:

Sama się zabrała do śniegu i tak ostro, że w jakie dwa pacierze dół był przywalony i galanto oklepany.

Ale mroczyć już poczynało, gdy skończyła, w izbie chłód się podnosił przejmujący, gliniany, mokry tok tężał i dudnił pod trepami kiej klepisko, mróz brał z miejsca i znowu a wzorzysto pokrywał szybki, dzieci skwierczały z cicha, jakby przygłodne nieco, nie przyciszała ich, bo czasu nie było. A to sieczki musiała urznąć dla jałowicy, prosiaka nakarmić, bo pokwikiwał i cisnął się do drzwi, gąski napoić, a to jeszcze raz przepowiedziała sobie, ile i komu miała zapłacić, aż obrzędziwszy wszystko zabrała się do wyjścia.

– Ociec, napalcie ogień a miejcie baczenie na dzieci, za parę pacierzy przyjdę, a jakby Antek wrócił, to kapusta jest w rynce na blasze...

– Dobrze, Hanuś, napalę, przypilnuję, a kapusta jest w rynce, baczę, Hanuś, baczę...

– A te postronkowe wzięłam, nie potrza wam przecież, jeść macie, szmaty macie, czegóż wam więcej?...

– Juści... wszystko mam, Hanuś, wszystko... – szeptał cichutko, odwrócił się szybko do dzieci, bo łyzy posypały mu się z oczów.

Mróz ją obwionął na powietrzu, że mocniej zaciągnęła zapaskę na głowę, śnieg skrzypiał pod nogami, na ziemię sypał się mrok modrawy, suchy i dziwnie przejrzysty, niebo było jasne, kieby szklane, odsłonięte w dalach i już kajś niekajś w wysokościach trzęsła się gwiazda jedna i druga.

Hanka raz w raz macała za pazuchą, czy ma pieniądze, a rozmyślała, że przepyta się tu i ówdzie, a może znajdzie, może uprosi robotę jaką dla Antka, a we świat mu iść nie da! Teraz dopiero przyszło jej do głowy, co był wygadywał, i aż ją zamroczyło to przypomnienie. Nie, póki życia, na drugą wieś się nie przeniesie, pomiędzy obcych nie pójdzie, ady by uschnęła z tęsknicy!

Ogarnęła oczami drogę, zasypane domy, sady ledwie widne spod śniegów i te szarzące nieskończone pola. Wieczór cichy i mroźny opadał coraz prędzej, gwiazd przybywało, jakby je kto rozsiewał pełną garścią, a na ziemi przygasłej wskrósł śnieżnych bielizn wyblyskiwały światelka chałup, dymy czuć było w powietrzu, ludzie snuli się po drodze, głosy jakieś leciały nisko nad śniegami.

– Z tegom wyrosła i jako ten wiaterek nie będę się tłukła po świecie, nie! – szeptała z mocą, zwolniła nieco bo zapadała miejscami w chrupiący śnieg aż po kolana, że trepy trzeba było wyciągać!

– Tu mnie Pan Jezus dał na świat, to już tutaj do śmierci ostanę. Aby ino do zwiesny przetrzymać, to już łączniej będzie, lekciej. A nie zechce Antek robić, to i tak po proszonym nie pójdę, do przedzenia się

wezmę, do tkania, do czego bądź, byle ino pazury zaczepić i biedzie się nie dać... prawda, dyć Weronka a tkaniem zarabia tyle, że jeszcze i ten grosz zapaśny mają... – rozważała skręcając do karczmy. Pochwaliła Boga, Jankiel odrzekł: „Na wieki!” i kiwał się zwyczajnie nad książką nie bacząc na nią, dopiero gdy położyła przed nim pieniądze, uśmiechnął się przyjaźnie, rozjaśnił więcej światło w lampie wiszącej, pomógł jej liczyć i nawet wódką poczęstował. O Antkowym zaś długu ni o nim samym nie rzekł ni słowa; zmyślna jucha była, bo co ta kobiecie wiedzieć o chłopskich jenteresach, w głowę dobrze nie weźmie, nie wyrozumie, jak potrza, a ino z pyskiem wyjechać gotowa. Dopiero kiej się zabierała do wyjścia powiedział:

– A wasz co robi?

– Antek?... A poszedł szukać roboty!

– Bo to we wsi brak? We młynie tartak robia, ja też potrzebuję kogo sprawnego do zwózki drzewa.

– Hale, w karczmie mój robił nie będzie! – wykrzyknęła.

– Niech sobie śpi, niech wypoczywa, kiedy taki pan! Wy macie gęsi, podpaście trochę, kupię na święta.

– Zaśbym tam sprzedawała, ostawiłam ino tyła, co na chowanie!

– Kupicie na wiosnę młode, mnie potrzeba podpasionych. Chcecie, to możecie brać na bórę wszystko, a zapłacicie gęsiami, policzymy się...

– Nie, gąsków nie przedam.

– Sprzedacie, jak krasulę zjecie, to nawet tanio sprzedacie.

– Niedoczekanie twoje, parchu jeden! – szepnęła wychodząc.

Mróz brał, aż w nozdrzach wierciło, niebo iskrzyło się już gwiazdami, a od borów pociągał mroźny, szczypiący wiatr. Szła jednak wolno środkiem drogi i ciekawie się rozpatrywała po chałupach: świeciło się u Wachników, którzy siedzieli ostatni przed kościołem; z obejścia Płoszków buchała wrzawa głosów i kwiki świń; w plebani gorzały wszystkie okna i jakieś konie były niecierpliwie kopytami przed ganikiem; u Kłębów zaś, co w podłe księdza siedzieli, też jaśniało światło i ktosik chodził koło obór, bo słycać było skrzywienie śniegu pod trepami, a dalej, sprzed kościoła, skąd wieś się rozchodziła kieby w te dwie ręce obejmujące staw, mało co było widać wskrós nocy, ino gdzieniegdzie z mroczonej bielizny mżyła światełko jakieś abo pies naszczekiwał.

Hanka popatrzyła ku ojcowej chałupie, westchnęła i zawróciła sprzed kościoła w długie opłotki, wiodące między Kłębowym sadem a

księżym ogrodem do organistów. Dróżka była zasypana, ledwie co przetarta, wąska, a tak przysłonięta krzami obwisłymi pod śniegiem, że co chwila sypał się na nią z trąconych gałęzi.

Dom stał w głębi, w księżym podwórzu, a ino wyjazd miał osobny, krzyki jakieś odeń szły i płacze, a przed sienią czerniała skrzynka, to leżały na śniegu porozrzucane szmaty, pierzyna, rupiecie jakieś... Magda, dziewczka organistów, zanosila się płaczem i krzyczała wniebogłosy pod ścianą.

– Wygnali me! Wypędzili me! Jak tego psa na mróz, w cały świat! A gdzie ja się sierota podzieję teraz?...Gdzie?

– Nie krzycz mi tu, świnió jedna! – wrzasnął głos z sieni wywartej. – Wezmę kija, to wnet zmilkniesz! A wynoś mi się w te pędy, do Franka idź, łajdusie jeden!

Jak się macie, Borynowa! Moiściewy, a to już od jesieni wiadomo było... a mówiłam, prosiłam, zaklinałam, strzegłam – a bo to łajdusa ustrzeże! Wszyscy spać, a ona w świat, wyspacerowała teraz sobie bękartą. A bo to raz mówiłam: Magda, zastanów się, pomiarkuj, on się z tobą nie ożeni... to mi się w żywe oczy zapierała wszystkiego! Juści, zobaczyłam, że dziewczka grubieje i rośnie jak na drożdżach, to jej jak komu dobremu powiadam: Idź, skryj się gdzie na drugą wieś, póki czas, póki ludzie nie wiedzą jeszcze... A bo to usłuchała!... Aż ją dzisiaj wzięły boleści w oborze przy dojeniu... cały skopek mleka wylała...a moja Frania przylata zestraszona i krzyczy, że Magdzie się coś stało! Jezus Maria, w moim domu taki wstyd, a co by to i ksiądz proboszcz na to powiedział! A wynoś mi się sprzed domu, bo cię na drogę wyrzucić każe! – wrzasnęła raz jeszcze wyskakując przed dom.

Magda porwała się spod ściany i z płaczem a wyrzekaniem zaczęła zbierać szmaty i wiązać w toboły.

– Chodźcie do mieszkania, bo zimno. Żeby mi tu i znaku po tobie nie zostało! – krzyknęła na odchodnym.

Powiedła Hanke przez długą sień.

Ogromną, niską izbę rozświetlał ogień, płonący na trzonie komina. Organista rozdzielony, w koszuli tylko i z podwiniętymi rękami, czerwony jak rak, siedział przed ogniem i piekł opłatki... co chwila czerpał łyżką z michy rozrobione, płynne ciasto, rozlewał je na żelazną formę, ścisnął, aż syczało, i kładł nad ogniem wspierając na cegle sztorcem ustawionej, przewracał formę, wyjmował opłatek i rzucał na niski stółek, przed którym siedział mały chłopak i obcinał nożyczkami do równa.

Hanka pozdrowiła wszystkich, a organiścinę pocałowała w rękę.

– Siadajcie, rozgrzejcie się, cóż tam u was słycać?..

Juści, tak zaraz nie mogła się zebrać na to jakie słowo, nie śmiała, rozglądając się po stancji i zazierając ukradkiem do drugiego pokoju, gdzie wprost drzwi, na długim stole pod ścianą, bieleły się stosy opłatków, przyciśnięte deską, a dwie dziewczyny składały je w paczki okręcając papierowymi paskami, zaś w głębi już niedojrzanej brzęczał monotonnie głos klawikordu – muzyka snuła się jak pajęczyna, raz wyżej brała, górnij kieby w śpiewie, to znowu cichła, że ino to brzękliwe przebieranie było słycać, abo zasię cosik się rwało nagle i piskało przenikliwie, aż dreszcz Hanke przenikał, a organista wykrzykiwał:

– Te, trąba, zjadłeś fis jak skwarek! – powtórz od Laudamus pueri.:.

– Na Gody to już? – spytała, że to nieobyczajnie było siedzieć jako ten mruk.

– Tak, parafia wielka, porozrzucana; a wszystkim przecież trzeba opłatki roznieść przed świętami, to i wczas zaczynać muszę.

– Z pszenicy to?

– Spróbujcie.

Podał jej jeszcze gorący opłatek.

– Zaśbym tam śmiała jeść!

Wzięła go przez zapaskę i przeglądała pod światło ze czcią i trwogą jakaś.

– Jak to na nim wyciśnięte historie różne, Jezus!

– Na prawo, w pierwszym kółku, to Matka Boska, święty Jan, Pan Jezus, a w drugim kółku... widzicie...żłób, drabinę, bydłatka... Dzieciatko Jezus na sianie, święty Józef, Matka Boska, a tu klęczą trzej królowie...– objaśniała organiścina.

– Rychtyk prawda, jak to zmyślnie wszystko udane, prawda!...

Obwinęła w chustkę opłatek i schowała za pazuchę, bo chłop jakiś wszedł i coś powiedział, że organista krzyknął.

– Michał! Do chrztu przyjechali, weź klucze i idź do kościoła, bo Jambroży posługuje na plebani, ksiądz już wie...

Muzyka umilkła i przez izbę przeszedł wysoki, blady chłopak.

– Po bracie mojego sierota, na organistę praktykuje, z łaski jeno mój go uczy, cóż robić?... Trza się i nadszarpnąć, a krewniakowi pomóc...

Hanka się rozgadała, pomału, jękliwie, a dała upust żalom swoim i turbacjom. Od trzech tygodni pierwszy raz mogła się wygadać do syta.

Słuchali jej. Powiadali swoje, a choć się strzegli, aby o Borynie nie powiedzieć słowa, uzalali się nad nią tak pocziwie, aż się pobeczła, a organiścina, że to mądra kobieta, wnet zmiarkowała i pierwsza rzekła:

– Czasu może wam co zbędzie, to byście oprzędli mi wełnę. Pakulinie miałam dać, ale weźcie wy; tylko na kółku oprzędźcie, bo na przęślicy nie wyjdzie nierówna.

– Bóg zapłać, a dyć mi trza roboty, inom prosić nie śmiała...

– No, no, nie dziękujcie; człowiek powinien pomagać drugiemu. Wełna już gręplowana, a będzie jej ze sto funtów.

– Uprzędę, umiem dobrze, przecież u ojca samam dla wszystkich i przędła, i tkła, i farbowała, nie kupowali na przyodziewek, nie.

– Obaczcie, sucha i miętka.

– Musi być z dworskich owiec, śliczna wełna,..

– A jakby wam było potrzeba mąki, kaszy, grochu, to powiedzcie, dam wam, policzymy się w robocie.

Wprowadziła ją do komory, gdzie pełno było worów i beczek ze zbożem; półcie słoniny wisiały na ścianie; przędza całymi pękami zwieszała się od belek, a płótno grubachnymi wałami leżało na kupie, a co grzybów suszonych, serów, słoików różnych, a na półkach cały rząd bochnów kiej koła, a inszego dobra toby i nie zliczył.

– Równiuško oprzędę, na kółku, Bóg zapłać pani za wspomozienie, ale widzi mi się, co nie udźwignę sama wełny.

– Odeślę wam przez parobka.

– Dobrze, bo to i na wieś jeszcze mi potrza.

Jeszcze raz podziękowała, ale ciszej jakoś i chłodniej – zazdrość ją ugryzła w serce.

– Naród wszystkiego da, naniesie, przysposobi, to mają pełne komory; albo to i presentami nie zdziera! Kto ma owce, ten ma, co chce! Niechby tak sami wyrabiali! Hale!... – rozmyślała wychodząc w opłotki.

Po Magdzie nie było już śladu, tyła ino, że jakieś stare trepisko czerniało na śniegu, przyspieszyła kroku, bo późno już było, zasiedziała się nieco u organistów.

– Gdzie by to, u kogo przepytać się o robotę la Antka?

Jak gospodynią była, to i przyjacielstwo z nią trzymali wszyscy, ciągiem ktoś do chałupy zaglądał, czegoś potrzebował i w oczy dobrość świadczył.... a teraz stoi oto w pośrodku drogi i biedzi się, gdzie iść, do kogo?... Nie, napraszała się nie będzie nikomu, rada by ino z kobietami pogwarzyć po dawnemu.

Postała przed Kłębami, postała przed Szymonową chałupą, ale wejść nie weszła, nie śmiała i przypomniało się jej, że Antek przykazywał nie zadawać się z ludźmi.

– Nie poradzą, nie wspomogą, a użalać się będą nad tobą jak nad zdechłym psem! – mówił.

– Oj prawda, święta prawda! – szepnęła przypominając organistów.

Hej, żeby to ona chłopem była, zaraz by się jąła roboty i zaradziła wszystkim. Nie skamlałaby i ludziom przed oczy nie świeciłaby swoją biedą.

Poczuła w sobie taki wilczy głód pracy, takie rozpieranie sił, aż się przeciągnęła i mocniej stąpała, raźniej. Ciągnęło ją też, ciągnęło, by przejść obok ojcowej chałupy, by zajrzeć choćby ino w opłotki, by choć oczy nacieszyć, ale zawróciła sprzed kościoła na ścieżynkę uťorowaną ściądkiem zamarźłego stawu i biegnącą ku młynowi i szła ściądko nie rozglądając się na boki, tym ino zajęta, by się na

śliskim lodzie nie pośliznąć i by ściądkiej przejść, i nie widzieć, nie rozkrwawiać sobie duszy przypomnieniem, ale nie zdzierzyła, bo tak jakoś na wprost Borynów przystanęła nagle i nie miała mocy oderwać oczów od świateł mżących w oknach:

– A przecież to nasze, nasze... jakże to iść we świat...Kował by wnet zabrał... nie, nie ruszę się stąd... jak pies warowała będę, czy Antek chce, czy nie... Ociec nie wieczny, a może się co jeszcze przemieni... dziecisków na poniewierkę nie dam ni sama nie pójdę... toć to ich... nasze marzyła wpatrzona w ośnieżony sad, z którego występowały zarisy budynków, białe rozsrebrzone dachy, czerniały ściany, występował w głębi za szopą ostry szczyt brogu. Jakby jej wrosły nogi w lód, że ruszyć się nie mogła ni oderwać oczów, ni serca rozkołatanego.

Noc cicha, mroźna, granatowa, osypana gwiazdami, jakoby tym piaskiem srebrnym, obtulała zaśnieżoną ziemię, drzewa stały bez ruchu, pochylone pod ciężarem śniegów, uśpione, niepojęte w tej cichości, jaka się rozlewała nad światem, niby białe cienie widm, niby stężale opary, śniegi skrzyły się ledwie uchwytnie, głos wszelaki zamarł, że tylko coś, jakby szelest drgających gwiazd, jakby tętna ziemi przemarzłej, jakby senne dychanie drzew zmartwiałych – drżało w mroźnym powietrzu.

A Hanka stała wciąż, niepomna na czas biegnący ni na szczypiące, ostre zimno. Przywarła oczami do domu, piła go, obejmowała sercem i brała w siebie z całą mocą głodu i marzenia.

Zbudził ją dopiero skrzyp śniegu, ktoś zeszedł z drogi na staw i kierował się ku niej, a po chwili spotkała się oko w oko z Nastką Gołębianką.

– Hanka! – wykrzyknęła zdumiona.

– Dziwujesz się, jakbym już stergła i po śmierci straszyla!

– Co wam też do głowy przychodzi, dawnom waju nie widziała, tom się zdziwiła. W którą stronę idziecie?

– A do młyna.

– To i mnie droga, bo Mateuszowi niosę kolację.

– We młynie teraz robi, na młynarczyka praktykuje?...

– Gdzieby tam zaś na młynarczyka się sposobil! Na tartaku, co go to postawili przy młynie, a pilno mają, że już i wieczorami robią.

Szły obok siebie, Hanka mało które słowo rzekła, a ino Nastka trzepała wciąż, ale się strzegła, by o Borynie nic nie powiedzieć, juści, że o to Hanka nie spytała, nijako było, choć rada by posłuchała.

– Dobrze młynarz płaci?

– Po pięć złotych i groszy piętnaście bierze Mateusz...

– Aż tyła! Pięć złotych...

– Przecież jego to głową wszystko idzie, to i nie dziwota.

Hanka milczała, ale przechodząc wprost kuźni, z której przez wybite szyby buchały czerwone światła i krwawiły śniegi, szepnęła:

– Ten judasz zawsze ma co robić.

– Czeladnika se przybrał, a sam ciągiem jeździ, pono z Żydami spółkę trzyma w lesie i razem ludzi oszukują.

– Tną to już poręby?

– W lesie to siedzicie czy co, że wam nie wiadomo?

– Nie w lesie, ale za nowinami nie biegam po wsi.

– A to żebyście wiedzieli, rąbią, ale na przykupnym.

– Juści, naszego przecież nie pozwolą tknąć...

– Ino nie wiada, kto zabroni, wójt trzyma ze dworem, sołtys też i wszyscy, co bogatsi.

– Prawda, kto ta bogaczów zmoże, kto ich przeprze...A zajrzyj, Nastuś, do nas.

– Idźcie z Bogiem, przylecę którego dnia z kądzielą.

Rozstały się przed młynarzowym domem. Nastka poszła do młyna, na dół nieco, a Hanka przez podwórze do kuchni; ledwie się tam dostała, bo pieski się zleciały i zaczęły doszczekiwać i przypierać ją do ściany, aż Jewka obroniła i powiedła, ale nim się rozgadały, weszła młynarzowa i zaraz prosto z rnostu rzekła:

– Do męża macie interes? Jest we młynie.

Nie czekała, ino poszła, ale spotkała się z nim w pół drogi; poprowadził ją do pokoju, zaraz też zapłaciła mu, co była winna za kaszę i mąkę.

– Krowę zjadacie! – powiedział zgarniając pieniądze do szuflady.

– Cóż poradzić, kamieni przeciech nie ugryzie.

Zła była.

– Wałkoń jest wasz chłop, to wam powiem.

– Jest wałkoń abo i nie jest! Cóż to będzie robił? Gdzie? U kogo?

– Nie ma to młocki we wsi?

– Parobkiem ni wyrobnikiem nie był, to i nie dziwota, że się do tego nie rwie.

– Przyzwyczajai się jeszcze, przyzwyczajai! Szkoda mi chłopca, choć wilkiem patrzy i nieustępliwy, rodzonego nie uszanował, ale szkoda człowieka...

– A dyć mówili... że jest robota u pana nnłynarza...dopraszam się... może by pan Antka wziął do roboty...dopraszam się.. – buchnęła płaczem, obłapiała go za nogi, całowała po rękach, a prosiła gorąco.

– Niech przyjdzie, prosił go nie będę, robota jest, ale ciężka, przy obróbce drzewa pod piły...

– Dyć poradzi, sposobny do wszystkiego, jak mało któren we wsi...

– Wiem, dlatego mówię, żeby przyszedł do roboty, ale swoją drogą źle wy swojego pilnujecie – źle.

Stała wystraszona nic nie rozumiejąc.

– Chłop ma dzieci i żonę, a za drugimi się ugania.

Zbladła i poczęła się trząść w sobie.

– Prawdę mówię, wałęsa się po wsi nocami, widzieli go ludzie nie raz jeden...

Odetchnęła z ulgą ogromną, wiedziała przecież o tym i dobrze rozumiała, że go tak pamięć krzywdy rzuca po nocach i spać nie daje... a ludzie zaraz to sobie farbują na swoje.

– Mógł się już wziąć do roboty, zaraz by mu wywietrzały z głowy kochania.

– Gospodarski syn to...

– Dziedzic jucha, w robocie będzie przebierał, jak ta świnia w pełnym korycie. Kiedy taki przebierny, to trzeba było żyć w zgodzie z ojcem, a za Jagusią nie latać...boć to i grzech niemały, i wstyd...

– Co też panu w głowie powstało? co? – zawołała prędko.

– Mówię wam, jak jest, cała wieś o tym wie, spytajcie się! – zawołał głośno i prędko, że to popędliwy był wielce i zawsze rad prawdę rzwał prosto z mostu.

– Czy to ma przyjść? – zapytała cicho.

– Niech przyjdzie, choćby jutro. Co to wam. czego becycie?...

– Nie, nie, to ino z mrozu...

Wolno powracała, ciężko, jakby ją przygniatało do ziemi, że ledwo nogi podnosiła. Ściemniał świat i śniegi tak poszarzały, że jakoś trafić nie mogła na ścieżkę, próżno przecierała oczy z łez marznących u rzęs, próżno... Nie odszukała, nie widziała nic i szła już w tej ciemnicy naglej a bolącej; Jezus! jak bolącej.

– Za Jagusią lata, za Jagusią...

Tchu nie mogła złapać, a serce się jej tłukło jako ten ptak przetrącony, a w głowie kołowało, kołowało, aż wsparła się o jakieś drzewo nad stawem i cisnęła się doń mocno, do bólu.

– Może i nieprawda, może ino cyganił...

Uczepiła się tego ze strachem i oburącz trzymała.

– Mój Jezus! Nie dość biedy, nie dość poniewierki, a tu jeszcze i to się zwala na moją biedną głowę, i to... – jęknęła rzewnie i aby stłumić ból, zaczęła biec prędko, aż do utraty tchu i przytomności; jakby ją wilki goniły, wpadła do izby zadyszana, ledwie żywa.

Antka jeszcze nie było.

Dzieci siedziały przed kominem na dziadkowym kozuchu, a stary strugał im wiatrak i zabawiał.

– Przywieźli weinę, Hanuś, we trzech workach przywieźli...

Rozwiązała wory i w jednym z nich na wierzchu znalazła bochen chleba, kawał słoniny i z dobre pół garnca kaszy.

– Niech ci Pan Jezus odplaci za dobrość – szepnęła rozrzewniona i zaraz też narządziła sutą kolację, i rychło dzieci spać położyła.

Uciszyło się wnet w całym domu, bo u Weroniki już spali, a stary też wkrótce przyległ na przypiecku i zasnął, Hanka zaś wyporządziła kółko, siadła przed kominem i przędła.

Długo w noc siedziała, do pierwszych kurów, a wciąż, jak ta nić, wiło się przez nią młynarzowe powiedzenie: „Za Jagną lata, za Jagną.”

Kółko warczało z cicha, jednostajnie, niestrudzenie, noc zaglądała w okno miesięczną, mroźną twarzą i jakby pobrzękiwała w szybki, i wzdychający tuliła się do ścian, a chłód wypelzał z kątów, za nogi chwytał i siwą pleśnią rozrastał się po glinianym toku; świerszcz strzy-

kał za kominem, ino czasem przerwał, gdy które dziecko zakrzyczało przez sen lubo rzuciło się na łóżku – i znowu sta wała głęboka, przemarznięta cichość! Mróz był coraz cięższy i kieby żelaznymi pazurami ścisnął, bo raz w raz trzaskały deski w szczycie, to pogieęte stare ściany łupnęły, jakby kto strzelił, to belka niektóra pęczniała od mrozu potrząskując z cicha, to snadź ziąb przejął na wskrós przyciesie, że zadygotały z nagłą boleśnie, i cały dom kurczył się, przywierał do ziemi a drgał z zimnicy.

– Że mnie też do głowy nie przyszło! Juści, taka urodna, taka spaśna, taka przypochlebna, a ja co?... Chuchro takie, skóra i gnaty, cóż ja? Czy to umiem go zniewolić do się? czy to śmiem? A choćbym i żyłę każdą wypruła la niego, nic to, kiej serca la mnie nie ma. Cóż ja! Cóż?...

Niemoc ją ogarnęła, niemoc ogromna, cicha i bolesna, tak strasznie bolesna, że nawet płakać nie mogła, nie miała sił, trzęsła się ino w sobie jak ta drzewina drętwiejąca z zimna, co ani uciecze od męki, ni poratunku uprosi, ni bronić się poradzi – jako ta drzewina skrzytwiąła Hanczyna dusza. Wsparła głowę na kółku, opuściła ręce i zapatrzyła się przed się, w swoją dolę nieszczęsną, w gorzką bezmoc swoją, i długo, długo tak trwała, ino kiedy niekiedy spod sinych powiek wysuła ła jaka paląca i padała na wełnę, i zamarzała tam w krwawy różaniec boleści.

Ale nazajutrz wstała spokojniejsza nieco, bo i jakże, miała to czas na turbowanie jak jaka dziedziczka! Może tak jest, jak młynarz powiadał, a może i nie jest! Opuści to ręce, płakać będzie i wyrzekać, kiej wszystko na jej głowie, i dzieci, i gospodarstwo, i bieda cała! Kto temu zaradzi jak nie ona? Tylko pomodliła się gorąco przed Matką Bolesną i żeby Pan Jezus odmienił, to się ochfiarowała iść na zwiesnę do Częstochowy, na trzy msze dać i kiedyś, jak się zapomoże, zanieść cały kamień wosku do kościoła, na światło przed wielki ołtarz.

Ulżyło jej bardzo, jakby się wypowiedała i ten Sakrament święty wzięła, że ostro zabrała się do przedzenia, tylko dzień, chociaż był słoneczny i jasny, dłużył się jej niepomierne i rozbierała ją troska o Antka.

Przyszedł dopiero wieczorem, na samą kolację, ale był taki zbiezdzony, zmarnowany i cichy, a tak się witał pocziwie, dzieciom bułek przyniósł, że prawie zapomniła o podejrzeniach, a gdy jeszcze urznął sieczki i pomagał jej przy obrządku, jak mógł, rozczuliła się tak głęboko, że i wypowiedzieć trudno.

Nie mówił tylko, gdzie był i co robił, juścić nie śmiała o to pytać.

Po kolacji przyszedł Stach, jak był często zaglądał, choć mu Weronka broniła, a w jakiś czas po nim najniespodziewaniej zjawił się stary Kłęb.

Niemало się zdziwili, bo pierwszy to był człowiek ze wsi od czasu ich wygnania, i tak rozumieli, że z jakimś interesem przychodzi.

– Że to nikt ani się pokaże, tom umyślił waju odwiedzić – rzekł prosto.

Dziękowali mu też ze szczerą i głęboką wdzięcznością.

Siedli se rzędem na ławie, blisko komina, i pogadywali wolno, poważnie, a stary dorzucał gałązek na ogień.

– Mróz niezgorszy, co?

– Że i młócić bez kozucha i rękawic trudno – powiedział Stacho.

– A co gorsza, że i wilki się pokazują.

Ze zdumieniem spojrzeli na Kłęba.

– Prawdę mówię, dzisiejszej nocy podkopywały pod wójtów chlew, musiało je coś spłoszyć, że prosiaka nie wzięły, a wygrzebały jamę, aż pod przycieś, sam chodząc w południe oglądać, pięciu ich musiało być najmniej!

– To ani chybi, na ciężką zimę znak.

– Przeciech mrozy dopiero co wzięły i tu już wilki wychodzą...

– Widziałem pod Wołą, na tej drodze za młynem, wiecie, gęsty ślad, jakby całe stado szło na ukos drogi, przyglądałem się, alem myślał, że to pańskie psy polowe, a to wilki musiały być... – powiedział żywo Antek.

– Byliście to i w porębie? – zagadnął Kłęb.

– Nie, powiadali ino ludzie, że tną ten przykupny las, przy Wilczych Dołach.

– Powiedział i mnie borowy, że dziedzic nikogo z Lipiec wołać nie będzie do roboty, pono przez złość, że się o swoje upominają.

– Któż mu to las wytnie, jak nie Lipczaki? – wtrąciła Hanka.

– Moiściewy, tyła wszędy narodu próżno siedzi po chałupach i czeka roboty kiej zmiłowania. Mało tu w samej Woli, mało to tych kołtunów w Rudce albo i tamtych smoluchów w Dębicy! Niech ino dziedzic krzyknie, to w jeden dzień stanie parę sto najzdatniejszego chłopca. Póki na przykupnym rąbią, niech sobie rąbią, niech się wspomogą, niewiele tam tego, a i dla naszych za daleko.

– A jak nasz bór zaczną?... – zapytał Stacho.

– Nie damy! – rzucił krótko i mocno Kłęb. – Pobarujemy się! niech dziedzic zobaczy, kto mocniejszy, on czy cały naród? niech zobaczy!

Nie mówili już o tym, zbyt to leżało wszystkim na wątrobie i piekło, ino jeszcze Bylica powiedział jękająco i nieśmiało:

– Znam ja to plemię dziedzicowe z Woli, znam, figla on wam wystroi...

– Niechaj stroi, nie dziecim, to nas nie zwiedzie– zakończył Kłęb.

Pogadali jeszcze o wypędzeniu Magdy przez organistów, o czym Kłęb rzekł swoje:

– Juści, po ludzku to nie jest, ale i szpitala trudno im było w chałupie zakładać, że to im przecież Magda ni swat, ni brat:

Pogadali o tym i owym i rozeszli dosyć późno, a na odchodnym Kłęb po swojemu prosto i krótko powiedział, żeby do niego zachodzili, a jak im czego potrza, niech ino rzekną – to czy z leguminy, czy paszy dla jałówki, a choćby i te parę złotych – znajdzie się po somszedzku...

Antkowie ostali sami.

Hanka po długim wahaniu, po wielu nieśmiałych wzdychach spytała wreszcie:

– Znalazłeś jaką robotę?

– Nie, byłem we dworze jednym i drugim, przewidywałem się i u ludzi, a nie znalazłem... – odpowiedział cicho nie podnosząc oczów, bo choć prawda, że był tu i owdzie, ale o robotę się nie starał, a ino cały ten czas przewałęsał.

Położyli się, dzieci już spały, ułożone w nogach łóżka dla ciepła; ciemność ogarnęła izbę, tylko księżycowe światło lało się przez zamarnięte, roziskrzzone szybki i przenikało wskroś izby świetlistym pasem, nie zasnęli jednak; Hanka przewracała się z boku na bok i medytowała: teraz powiedzieć o tartaku czy też dopiero jutro rano?

– Szukałem, ale choćbym i dostał; nie pójdę ze wsi, nie będę się tłukł po świecie, jak ten pies bezpański – szepnął po długim milczeniu.

– To samo umyśliłam, tak samo! – zawołała radośnie – po co szukać chleba po świecie?... i we wsi trafia się niezgorszy zarobek, a to młynarz mi powiedział, że ma robotę la ciebie przy tartaku choćby i od jutra, a płaci dwa złote i groszy piętnaście.

– Chodziłaś pytać? – krzyknął.

– Nie, płaciłam, com mu była winna, a on sam powiedział, że miał przysłać po ciebie; nawet i nie wspomniałam – tłumaczyła się zestraszona.

Nic już nie odrzekł, a i ona milczała; leżeli koło siebie nieruchomie, bez słowa, sen ich odleciał zupełnie, roili coś w utajeniu głębokim, czasem wzdychali, to roztopiali duszę w tej głuchej, martwej ciszy – psy jakieś naszczekiwały we wsi, daleko, daleko i słabo, koguty były skrzydłami i piałły już z północa, a szum cichy jakby wiatru zahuczał nad chałupą.

– Śpisz to? – przysunęła się nieco bliżej.

– Kiej śpik mię odszedł.

Leżał wznak, z rękami pod głową, tak blisko przy niej, a tak daleko sercem, daleko myślami – leżał nieruchomy, bez oddechu prawie, bez pamięci, bo Jagusine oczy znowu wyjrzały z ciemności i modrzyły się w księżycowej poświacie...

A Hanka przysunęła się bliżej jeszcze, przywarła gorącą twarzą do jego ramienia, przywarła sercem całym – Nie, już w niej nie było podejrzeń żadnych ni żalów, ni goryczy, a ino tym miłowaniem serdecznym, tą lubością duszną, pełną dufności i oddania się, cisnęła się do jego serca.

– Jantoś, pódziesz to jutro do roboty? – spytała drżąco, byle ino co rzec, byle ino usłyszeć głos jego i zgwarzyć się z jego duszą.

– Może i pójdę, juści, trzeba ich, trzeba... – odpowiadał nie myśląc o tym.

– Idź, Jantoś, idź... – prosiła miętko i zarzuciła mu rękę na szyję i szukała gorącymi ustami jego ust ledwie dyszących.

Ale on nie drgnął nawet, nie odpowiedział, nie poczuł jej uścisku, nie wiedział o niej, szeroko otwartymi oczami patrzył w tamtej oczy, w Jagusine modre oczy.

ROZDZIAŁ 3

Na dobrym już dniu, po śniadaniu, młynarz przywiódł Antka na robotę; ostawił go na zajeździe wśród kłoców zwalonych na wielkie kupy, a sam poszedł do Mateusza, który akuratnie przyrychtowywał drzewo na tartaku i puszczał piły, pogadał z nim cosik i zawołał:

– Róbcie tu sobie, a we wszystkim słuchajcie Mateusza, on tu za mnie rządzi – i poszedł zaraz, bo przykry, przejmujący ziąb ciągnął od rzeki.

– Pewnie topora nie macie? – zagadnął Mateusz schodząc na dół i witając się z nim przyjaźnie.

– Z siekierą przyszedłem, bom nie wiedział.

– To jakbyście się z zębami wybrali, drzewo przemarzło i kruszy się kiej szkło, nic byście siekierą nie zrobili, nie chyci albo tyła co zębem. Pożyczę wam na dzisiaj topora, trza go ino przyostrzyć, a na płask więcej... widzicie... Bartek, weźcie no się do pary z Boryną i tego dąbka rychło wyrzuczcie, bo tam z pił zejdzie niedługo.

Zza olbrzymiego kłoca, leżącego w śniegu, wyprostował się suchy, wysoki a przygarbiony chłop z fajką w zębach, w baranicy siwej na głowie, w żółtym kozusku, w trepach i czerwonych pasiatych portkach, wsparł się na błyszczącym toporze, strzyknął przez zęby i rzekł wesoło:

– Do mnie to się przyżenicie, nie bójcie się, zrobimy taką parę, co to w zgodzie żyje, bez wrzasków i bijatyk.

– Sielny las! Drzewa kiej świece!

– Ale sękate juchy, że niech Bóg broni, jakby krzemieniem nabijane, rzadki ten dzień, w którym topór się nie wyszczerbi. Ino swojego ostrzcie do sucha i gładka, trzeba z włosem ciągnąć po kamieniu, w jedną stronę, to ostrze mocniejsze, z żelazem to jak i z drugim człowiekiem, utrafisz, w co lubi, a powiedziesz kiej tego pieska na postroneczku, gdzie ino ci się uwidzi; taczalnik stoi w młynicy pod jaglakiem...

Może w jakiś pacierz Antek już stanął do roboty naprzeciw Bartka i jał odwalać szczapy a ociesywać drzewo wzdłuż, do ostrego kantu, we-

dle Bartkowego nasmolenia, nie odzywał się jeno, bo go mocno dotknęło, że taki Mateusz, a przewodzi jemu, Borynie – ale kiej brzuch błądzi – koszula nie rządzi, to jeno spluwał w garście i przypinał się ze złością do topora.

– Niezgorzej wam idzie, niezgorzej! – zauważył Bartek.

Juści, że poradzić poradził, niedziwna mu była obróbka drzewa, a i pomyślenie też miał niezgorsze, tylko że robota była ciężka dla niewłózonego, to się rychło zziąjął i zapocił, aż kozuch sciepnął z siebie.

A mróz był tęgi, nie folgował, a że to wciąż trza było stać i grzebać się w śniegu, to ręce grabiały i przywierały do steliska i czas się tak dłużył, że ledwie się doczekał południa.

Ale w obiad przegryzł ino suchego chleba, popił wodą prosto z rzeki i nawet pod dach, do młynicy nie poszedł z drugimi, bał się tam natknąć na znajomków, co byli przywieźli do młyna i czekali swojej kolei. Jeszcze by wydziwiali nad nim, a cieszyli się między sobą z jego poniżenia i biedy, niedoczekanie ich!... Ostał na mrozie, przysiadł pod młynicą, gryzł chleb i wodził oczami po tartaku, któren stał nad samą rzeką, węglem ino przywarty do szczytu młyna, że woda z czterech kół walała pod niego grubym zielonym wałem i poruszała piły.

Ale i nie wythnął jeszcze całkiem ni odpoczął jak się patrzy, a już Mateusz, wracając od młynarza z obiadu, z daleka krzyczał:

– Wychodź! Wychodź!

To chcąc nie chcąc, postępując na krótkie przypołudnie, a trza się było dźwigać i do roboty stawać z drugimi.

A ruchali się żwawo, bo mróz prażył i poganiał galanto.

Młyn turkotał wciąż, a woda spod kół, obrośniętych w lody, kieby w te kłaki zielone i zwite w długie kołtuny, walała z krzykiem pod tartak, piły trzeszczały bezustannie, jednako, jakoby kto szkło gryzł, i pluły żółtymi trocinami. Mateusz zaś uwijał się niestrudzenie, rychtował kloce, zastawiał wodę, puszczał, przybijał drzewo klamrami do burt, rozmiarzał, a wciąż hukał i poganiał ludzi, i wszędzie go było pełno, zwijał się jako ten szczygieł przy konopiach, ino migał jego czerwony w zielone pasy spencerek i siwa baranica po podjeździe, na podeptanych, zawiórzonych śniegach, gdzie obrabiali drzewo, to do młyna biegł, to do ludzi zagadywał, rozrządzał, naganiał, śmiał się, przekpinki powiadał i pogwizdywał, a siarczyście robił, ale najczęściej widny był na pomoście przy piłach, ile że tartak bokowych ścian nie miał i świecił na przestrzał, a wznosił się nad rzeką dość wysoko na czterech tęgich

słupach, o które tak biła woda, że trzciny dach, wsparty ino na szczytach, drygał niekiedy, niby ta wiecha na wietrze.

- Sprawny jucha! – szepnął Antek z uznaniem, ale nie bez złości.
- Mało to bierze? – odmruknął Bartek.

Zabili ręce o ramiona, bo skrzytwa była coraz cięższa, i robili w milczeniu.

Narodu było dość przy robocie, ino że na pogwarę czasu nie było – dwóch warowało przy pilach, zwałało porznięte kloce na ziem, a wciągało nowe, dwóch zaś drugich rozcinało niedorznięte końce i układało tarcice w szychty wielgachne albo co cieńsze i mokrzejsze chronili przed mrozem pod szopami, a jeszcze dwóch obłupywało ze skóry dęby, jodły i świerki, że często gęsto Bartek krzykał do nich przekpiwając:

- Te, drzyki zapowietrzzone, kiej się wyzwolita na hyclów!

Żli byli na to, boć nie psów łupili ze skóry, ale swarzyć się o przewisko nie było czasu. Mateusz tak popędzał, że ledwie niekiedy ukradkiem ino leciał któren do młynicy, by rozgrzać zgrabiałe ręce, a z nawrotem nieledwie w dyrdy pospieszał, bo i sama robota poganiała.

O dobrym już zmroku Antek powlókł się do domu, a tak był przemarznięty, utrudzony i wyzbyty z sił, tak go bolały wszystkie kości, że zaraz po kolacji poszedł pod pierzynę i zasnął kamieniem.

Hanka nie miała serca wypytywać go o nic, ale dogadzała mu, jak mogła, przyciszała wciąż dzieci, starego nagnała, by buciarami nie hałasował, sama boso chodziła po izbie, by go ino nie przebudzić, a na świtanium, kiedy się zabierał do roboty, uwarzyła mu garnuszek mleka do ziemniaków, by se podjadł i rozgrzał się lepiej.

– Psiakrótko, tak mię gnaty bołą, że ruchać się nic mogę! – wyrzekał.

– To ino tak zrazu, boście niezwyczajni, niewłozeni... tłumaczył stary.

- Przejść przejdzie, wiem. Przyniesiesz to, Hanuś, obiad?

– Przyniesę, a gdziebyś to latał taki karwas drogi, przyniesę...

Poszedł zaraz, bo trzeba było równo z dniem stawać na robocie.

I tak mu się zaczęły dnie ciężkiej, znoonej pracy.

I czy mróz choćby i największą skrzytwą prażył, czy zawierucha dęła i biła wichurą i śniegiem, że oczów nie było można ozewrzeć, czy odwilż przychodziła, że trzeba było stać dnie całe w rozmiękłym śniegu, a przykry, wilgotny ziąb w kości wlaził, czy śniegi sypały, że topo-ra własnego mało co widział – trzeba było zrywać się do dnia, biec i

dnie długie pracować, aż gnaty trzeszczały i każda żyła z osobna pruć się z utrudzenia, a śpieszyć się do tego, bo cztery piły tak zeżerały drzewo, że ledwie mogli nastarczyć i Mateusz poganiał.

Ale nie to mu się mierziło, nie ciężka praca, nie wichry złe, skrzytwy, pluchy czy śniegi srogie, zwyczajał się był do tego po trochu – bo jak się człek przyłoży, to mu i w piekle niezgorzej – powiadają mądre ludzie, jeno czego znieść nie mógł, to tego Mateuszowego przodownictwa i tych jego ciągłych doskwierań.

Inni już na to nie baczyli, a on za każdą razą kiej posłyszał, wrzał złością, a nieraz tak odwarknął, że tamten ino ślepiami błyskał, a znowu; jakby z rozmysłem, do wszystkiego się czepiał, niby nie prosto w oczy, ale tak zawždy utrafił w słabiznę, aż skóra cierpła na Antku i pięście mu się zwierają, hamował się jednak jeszcze, jak mógł, przyciszał, a tylko te przygryzki w pamięć zgarniał, czuł dobrze, że Mateusz na okazję czekał, by go z roboty wygonić...

Antkowi zaś tak o robotę nie chodziło wiele, a ino o to, by się nie dać przeprzeć i zmóc bele komu, takiemu łachmytkowi jak Mateusz.

Dość, że się zawzinali na się coraz srożej, bo na samym dnie złości, jak zadra boląca, tkwiła Jagusia. Obaj oni, a już z dawna, jeszcze od wiosny, a może i od zapust, chodzili za nią na przyprzążkę i przepierali jeden drugiego kryjomo, dobrze jednak wiedząc o sobie. Jeno Mateusz robił to prawie na oczach wszystkich i w głos powiadał o swoim miłowaniu, a Antek kryć się z tym musiał, to i głucha, pałaca zazdrość parzyła mu serce.

Nigdy oni nie trzymali ze sobą przyjacielstwa, a zawdy się boczyli na siebie i odgrażali przed ludźmi, że to i każdy z nich miał się za najmocniejszego chłopca we wsi, ale teraz z dnia na dzień rosła w nich złość do siebie i zawziętość, iż po jakimś tygodniu to się już nie witali, a przechodzili mimo, krzesząc ślepiami jako te dwa wilki rozsrożone.

Mateusz nie był zły ni nieużyty, a nasprzeciw, serce miał wspomogliwe i szeroką rękę, jeno zbyt dufał w siebie, zbyt się wynosił nad drugie i za nic je sobie wazył, a i tę miał jeszcze wadę, że za takiego się miał kawalera, któremu żadna dziewczucha się nie oparła, lubił się tym puszyć, rozpowiadać, byle ino przodować we wszystkim. Więc i teraz w smak mu to szło i rad gadał, że Antek robi u niego i słucha się we wszystkim, a w oczy pokornie patrzy jak ta trusia, byle go ino z roboty nie wygonił.

Dziwno to było znającym Antka, ale tak miarkowali, że się chłop upokorzył i przygiął, byle ino roboty nie stracić, a drugie zasię dowo-

dzili, że z tego wyjdą jeszcze historie, bo Antek nie daruje i nie dziś, to jutro odbije swoje, i gotowi byli nawet o zakład iść, że Mateusza spierze na kwaśne jabłko.

Juści, że Antek o tych gadkach nie wiedział, bo do chałup nie zaglądał, znajomków wymijał bez słowa, a z roboty wprost do domu szedł i na odwrót, ale dobrze czuł, że tak być musi, bo niezgorzej przewierzał Mateusza.

– Przyrychtuję ja cię, ścierwo, na taką kapustę, że cię psi nie zjedzą, zmięknie ci rura, nie będziesz się puszył i wynosił – wyrwało mu się jednego razu na robocie, aż Bartek posłyszał i rzekł:

– Poniechajcie go, płacą mu za to, by poganiał! – Nie rozumiał stary.

– Nawet pies mnie mierzi, kiej po próżnicy szczeka.

– Za bardzo bierzecie do serca, jeszcze się wama zapiecze wątroba, a uważam, że i do roboty gorącej się...

– Bo mi zimno – rzucił byle co.

– Z wolna trza wszystko, po porządku, z wolna, a i Pan Jezus mógł świat stawić w jeden dzień, a wolał go robić bez cały tydzień, odpoczywający... robota nie ptak, nie pofrunie, a narywać się la młynarza czy tam innego, jaka wam wola i mus... a Mateusz jest od tego, kiej ten piesek, co strzeże chudoby, będziecie się to nań źlili za szczekanie?...

– Powiedziałem, jak to uważam. Gdzieście to latową porą bywali, zem was we wsi nie ujrzał? – zapytał, aby zmienić rozmowę.

– Niecoś się robiło, niecoś świat Boży oglądało, oczy pasło i duszy rosnać pomagało... – powiadał wolno obciosując drzewo z drugiej strony, prostował się czasem, rozciągał, aż mu stawy trzaskały, a fajki z zębów nie puszczał i rad prawil.

– Robiłem z Mateuszem przy nowym dworze, ale że poganiał i zwiesna była na świecie, pachniało słonko, tom go rzucił, a szli natenczas ludzie do Kalwarii – poszedłem z nimi, by odpustu dostąpić i świata coś niecoś przejrzeć.

– Daleko to do onej Kalwarii?

– Dwa tygodnie szlim, aż za Krakowem, alem nie doszedł. W jednej wsi, gdzieśmy poledniowali, stawiał gospodarz chałupę, a tyle się na tym rozumiał, co koza na pieprzu, zeźliłem się, skląłem juchę, bo drzewa namarnował, i ostałem u niego, że to i prosił. Bez dwa miesiące wyrzyczowałem mu dom, że na dwór patrzył, aż mnie za to chciał swatać ze swoją siostrą, wdową, co wpodle na pięciu morgach siedziała.

– Pewnikiem stara.

– Bogać ta młoda, ale niczego jeszcze, a jakże, tyła że ino łysawa zdziebko, koślawa i świdrem patrzyła, ale na gębie gładka, kiej bochen, którego myszy bez parę niedziel obgryzały, galanta kobieta, dobra, wyżerkę miałem sielną – a to jajecznicą z kiełbasą, a to gorzałka z tłustością, a to inne smaki były, a tak się znarowiła do mnie, że dzień w dzień pod pierzynę była puszczać gotowa... ażem w nocy się wyniosł we świat...

– Nie było się to przyżenić, zawżdy pięć morgów...

– I zawszony kozuch po nieboszczyku. A mnie co po kobiecie! Z dawna mi już obmierzło to babie nasienie, z dawna! A to nic jeno krzyczy, wrzeszczy, lata, jako te sroki na płocie, wy słowo, a ona dwudziestu kiej grochowinami trzęsie... wy macie rozum, a ona ino ozorem zamiata. Mówisz kiej do człowieka, a ta ni wyrozumie, ni rozważy, jeno bele co klepie. Powiadają, że Pan Jezus dał kobiecie ino pół duszy i musi być to prawda... a drugą połówkę diabeł miał narządzić...

– Są i mądre pono, są... – rzekł melancholijnie.

– To i białe wrony pono są, ino że nikto ich nie widział!

– Nie mieliście to swojej kobiety, co?

– Miałem, miałem!... – urwał nagle, wyprostował się i zapatrzył siwymymi oczami w dale, stary już był, zeschły na wiór, żyłasty, prosty – ino się jakoś przygarbił teraz i fajka mu latała w zębach, a łypał powiekami prędko, prędko.

– Schodzi, wciągać! – wrzeszczał chłop od pił.

– Prędej tam, Bartek, nie stójcie, bo i piły staną – wrzeszczał Mateusz.

– Hale, głupi, rychlej nie można, niżli poradzi. Wlazła gapa na kościół, kracze i myśli, że jest księdzem na ambonie – mruknął ze złością, ale musiało mu się cosik zrobić na wnątrzu, bo częściej odpoczywał, wzdychał i za południem się oglądał.

Dobrze, że zaraz przyszło, bo jakoś i kobiety się już pokazały z dwojakami, a Hanka wychodziła za węgła młyna. Tartak stanął, poszli wszyscy jeść do młynicy. Antek zaś, że dobrze znał się z młynarczykiem, bo niejedną flachę wypili ze sobą, wpakował się do jego izdebki, nie uciekał już od ludzi ni stronił od nich, ino im takie oczy pokazywał, że sami go omijali.

W gorącu takim, że ledwie można było dychać, siedziało paru chłopów w kozuchach i pogadywało wesoło, byli to ludzie z dalszych wsi, co do młyna przywieźli i czekali na zmielenie, dokładali torfu do

czerwonego już piecyka, kurzyli papierosy, że cała izdebka tonęła w dymie, i rajcowali.

Antek usiadł na jakichś workach pod okienkiem, dwojaki wziął pomiędzy kolana i łakomie pojadał kapustę z grochem, a potem kluski ziemniaczane z mlekiem, a Hanka ukucnęła mimo i z rozczuleniem wpatrywała się w niego. Wysechł był od pracy, poczerniał, a od tego robienia na mrozie twarz mu miejscami łuszczyła się ze skóry, ale mimo to urodny się jej widział jak nikt drugi na świecie. Juści, że tak było, wysoki, prosty, śmigły; w pasie cienki, w barach rozrosły, gibki; a twarz miał długawą, suchą, nos kiej ten dziób jastrzębi, jeno nie tak garbaty, oczy wielkie, siwozielone, a te brwie, to jakby krychę pociągnął przez całe czoło, od skroni prawie szły do skroni, że kiedy je w gniewie ściągnął, to aż straszno było patrzeć, a czoło miał wyniosłe, ino na pół przysłonięte równo obciętymi, ciemnymi, prawie czarnymi włosami i wąsy goił do cna jak wszyscy, że mu ino te białe zęby grały w czerwonych wargach jako sznur paciorków... rodney był całkiem, że nigdy dość napatrzeć się nie mogła na niego.

– Nie mógł to ociec przynieść, będziesz to co dnia tyle drogi biegała!

– Gnoju mieli urzucić spod jałówki, a samam wołała ci przynieść!

Zawsze tak kierowała, by samej obiad przynosić i chociaż popatrzeć na niego.,

– Cóż tam? – spytał dojadając.

– A cóż by! – oprzędłam już worek wełny i odniosłam organiścinej pięć proników. Kuntentna była wielce... Pietruś ino jakiś rozpalony, jeść nie je i matyjasi ciągiem...

– Obzwał się i tyła.

– Pewnie, że tak, pewnie... A i Jankiel zachodził po gęsi...

– Sprzedasz to?

– Hale, a na zwiesnę to kupowała będę!

– Jak uważasz, tak zrób, twoja w tym głowa.

– I u Wachników znowu się pobiły, aż po księdza chodzili, żeby rozbroił... a u Paczesiów ciele pono się udławiło marchwią.

– Co mi ta po tym – mruknął niecierpliwie.

– Organista jeździł po snopkach – powiedziała po chwili, ale już nieśmiało.

– Cóżes dała?

– Dwie przygarście lnu oczesanego i cztery jajka... Powiedział, że jak nam będzie potrzeba, to da wóz owsianki i poczeka na pieniądze do lata albo i na odrodek da. Nie wzięłam, po cóż nam brać od niego...

przecież... należy nam się jeszcze paszy od ojca, wzielim ino dwa wozy, a z tyłu morgów...

– Nie pójde się upominać i tobie zakazuję. Weź od organisty na odrodek, a nie, to się ostatnie bydlę sprzeda, a pókim żyw, ojca o nic prosił nie będę, rozumiesz...

– Rozumiem, od organisty wziąć...

– A może i zarobię tyła, że starczy, nie bucz ino przy ludziach!

– Dyć nie płacę, nie... ale weź od młynarza z pół korczyka jęczmienia na kaszę, to taniej wyjdzie niżli gotową kupować.

– Dobrze, powiem dzisiaj i zostanę na któren wieczór, to się zmiele.

Hanka wyszła, a on pozostał jeszcze kurząc papierosa, nie wtrącając się do rozmów, jakie chłopci wiedli, a mówili właśnie o bracie dziedzicowym z Wólki.

– Jacek mu było, znałem go dobrze! – zawołał Bartek wchodząc na ten czas do izdebki.

– To wiecie pewnie, że powrócił z dalekich krajów.

– Nie, myślałem nawet, że już dawno pomarł!

– Żywie, bo coś ze dwie niedziele temu, jak przyjechał.

– Wrócił, ale powiadali, że coś niespełna rozumu. We dworze nie chce mieszkać i przeniósł się do lasu do borowego, sam se wszystko narządza, czy jadło, czy też ubiór, aż to dziwno wszystkim, a wieczorami na skrzypkach wygrywa, często gęsto to i po drogach go spotykają, po tych mogiłkach różnych, na których przygrywa...

– Mówili mi, że po wsiach chodzi i wszystkich się wypytuje o jakiegoś Kubę.

– O Kubę! Nie jednemu psu Łysek.

– Przewiska nie powiada, Kubę jakiegoś szuka, któren go miał pono z wojny wynieść i od śmierci uchronić!

– Był ci i u nas Kuba, któren do boru z panami poszedł, ale ten pomarł! – rzucił Antek i podniósł się, bo już Mateusz wrzeszczał za ścianą:

– Wychodźta, co to, do podwieczorku będzieta poledniowali!

Antka porwała złość, – że wybiegł i zawołał:

– Nie drzyj się po próznicy, słyszymy wszyscy.

– Obżarł się mięsem, to krzykaniem ulgę sprawia kałdunowi – powiedział Bartek.

– I... krzyczy, by się przed młynarzem zasłużyć – dorzucił któryś.

– Przy jadle się wylegają, poradzają, gospodarzy juchy udają, a całych portek nie pokażą mamrotał wciąż Mateusz. '

– Do was pije, Antoni, do was!

– Zawrzyj pysk i weź ozór za zęby, bym ci go nie przyciął, a od gospodarzy ci wara! – wrzasnął Antek, gotowy już na wszystko.

Ale Mateusz zamilkł, ino jak ten zbój spoglądał, a już cały dzień słowa nie przemówił do nikogo, ale za robotą Antkową pilnie baczył i stróżował go na każdym kroku, ino przyczepić się nie mógł, bo tamten tak robił rzetelnie, że sam młynarz, któren parę razy dziennie przychodził na robotę, to spostrzegł i przy pierwszej wypłacie tygodniowej postąpił mu na całe trzy złote.

Mateusz się wściekał potem, młynarzowi do oczów skakał, ale ten rzekł:

– Dobryś mi ty, dobry mi i on, dobry mi każdy, któren rzetelnie pracuje.

– To ino mnie przez złość pan jemu postąpił.

– Wart jest tyle co Bartek, a może i więcej, tom postąpił. Sprawiedliwy człowiek jestem, niech każdy o tym wie.

– A bo cisnę wszystko do stu diabłów i niech se pan sam staje do roboty – groził.

– A ciśnij, poszukaj bułek, kiedy ci chleb nie smakuje, idź, tartak poprowadzi Boryna, i do tego za cztery złote na dzień! powiedział młynarz ze śmiechem, bo ano tak z rozmysłem wszystko rychtował, by mieć taniej robotnika.

Pomiarkował się wnet Mateusz, że młynarz nie ustąpi i nie da się nastraszyć, to nie nastawał więcej, schował złość do Antka głęboko za pazuchę że go tam żywym ogniem piekła, ale dla ludzi zrobił się jakby miększym i wyrozumialszym, spostrzegli to w lot, a Bartek splunął na to i rzekł do drugich:

– Głupi jako ten psiak, co nie mógł ugryźć buta, dostał w zęby, to się teraz do niego łąsi. Myślał, że łaskę posiadł, a tak samo go przegonią, niech się tylko lepszy trafi... zawsze tak z bogaczami bywa...

Antkowi zaś zarówno wszystko było, ani rad był z podwyżki, ani cieszyło go zbytnio, że Mateuszowi zmiękła rura i że wieś z niego przekpiwała, o czym powiadali na robocie, tyle go to obchodziło razem, co ten łośki rok albo i mniej. Nie dla płacy robił, to ino Hankę cieszyło, robił, bo mu się tak podobało, a gdyby zechciał brzuchem do góry wylegiwać – wylegiwałby się, choćby się tam nie wiem co stało. A że upodobał sobie w robocie, to się w niej prosto zapamiętał i cho-

dził jak ten koń w kieracie, co i nie popędzany, a w kółko biega, póki go nie zatrzymają.

I tak szedł dzień za dniem, tydzień za tygodniem aż do samych Godów w ciężkiej i bezustannej pracy, aż mu z wolna przycichła dusza i jakby skrępeła na lód, że zgoła niepodobny był do dawnego. Dziwowali się temu ludzie i różnie o tym mówili. Ale to było jeno z wierzchu, dla ludzkich oczów, bo na wewnątrz całkiem było różnie – jako w tej wodzie bystrej i głębokiej, którą mróz w lody okuje i śniegi przysypią – a bełkocze ciągiem, szumi, huka, że ani człek się spodzieje, kiej pęknie powłoka i wody luną... Tak ci było i w nim; robił, harował, pieniądze co do grosza oddawał żonie, w domu przesiadywał wieczorami, a dobry był jak nigdy, cichy, spokojny, dzieci zabawiał, pomagał w gospodarstwie, marnego słowa nie rzekł nikomu, nie wyrzekał i jakby o wszystkich krzywdach zapomniał ale nie zwiódł tym wszystkim Hanczynego serca, nie; juści, że radowała się tej przemianie i dziękowała za nią Bogu gorąco, a zabiegała koło niego, jak mogła, w oczy mu ciągiem patrzyła, by odgadnąć, czego potrzebuje, służką mu była najwierniejszą i najpamiętliwszą, ale i często łapała oczami jego smutne spojrzenia, często nasłuchiwała strwożona jego wzdychów cichych, często opadały jej ręce i z zamartwym sercem oglądała się dokoła, chcąc przewidzieć, skąd przyjdzie nieszczęście, bo dobrze czuła, że w nim waży się cosik straszego, cosik, co ino przez moc zdzierza, co ino przywarło, przytańło się, a ssie mu duszę, ssie...

On zaś ani słowa nie rzekł, źle mu jest czy dobrze, z roboty wracał prosto do domu, o świtaniu się zrywał, kiedy przedzwanieli na roraty, że co dnia przechodził koło oświetlonego kościoła, co dnia zatrzymywał się wprost kruchty posłuchać grania organów, tych muzyckich głosów, tych brzmień rozdzwonionych, cichych; przejmujących, co jakby z mrozów dźwięczały, jakby z tej przedświtowej szarości się rodziły, jakby z tych zórz miedzianych pobrzękiwały z lodowych przysłon i z ziemi przemarzłej niosły się tęsknym, łamiącym marzeniem długiego snu, ciężkiego snu zimy, i co dnia przyspieszał kroku, by go nie ujrzeli zasłuchanego, i biegł drugą stroną stawu, dłuższą, byle ino nie przechodzić koło ojcowego domu nie spotkać nikogo.

Nikogo!

Dlatego też i w niedziele przesiadywał kamieniem w domu, mimo próśb Hanki, by szedł z nią do kościoła. Nie i nie. Bał się spotkania z Jagną, dobrze wiedział, że nie zdzierży, nie wytrzyma!

A przy tym wiedział od Bartka, z którym się niezgorzej stowarzyszył, i sam czuł, że wieś wciąż się nim zajmuje

że go pilnują i śledzą na każdym kroku jak złodzieja, jakby się zmówili na niego – nieraz bowiem spostrzegał przyczajone za węglami oczy, nieraz czuł, jak się oglądają za nim, jak lecą ciekawe, chwytne spojrzenia, co rade by do dna duszy sięgnąć i wypatroszyć ją z każdego zamysłu, i przejrzeć na wskrós. Bolały go te oczy, bo jakby świdrem szły przez duszę, srodze bolały.

– Nie przegryziecie, ścierwy, nie przegryziecie – szeptał nienawistnie, zacinając się w coraz sroższym gniewie na wszystkich, że jeszcze bardziej unikał ludzi.

– Nie potrzeba mi nikogo. Tyle mam ze sobą przyjacielstwa, że ledwie temu poradzę – powiedział Kłębowi, któren mu wyrzucał, że nigdy do niego nie zajrzy.

I prawdę rzekł, że ledwie ze sobą poradził, prawdę; wziął się był mocno w garść, skielznał duszę niby w ten kantar żelazny i trzymał krzepko, nie popuszczał z uwięzi – ale już mu coraz częściej mdlała dusza z utrudzenia i coraz częściej chciało mu się ciepnąć wszystko zdać się na dolę. Zła będzie czy dobra – zarówno mu było, bo życie mu mierzło i przeżerał go smutek – głęboki smutek, co jak ten jastrząb wrzepił się w serce pazurami i darł, i ozdierał.

Ciężko mu było w tym jarzmie, ckno, ciasno i duszno, jak temu spętanemu koniowi w zagrodzie, jak temu psu na łańcuchu, jak... że i nie wypowiedzieć!

Czuł się jako to drzewo rodne, obłamane przez wichę i na zagładę skazane, a schnące powoli w samym środku kwitnącego, zdrowego sadu.

Boć wokoło żyli ludzie, była wieś, życie wrzało zwykłym głębokim bełkotem, pluskało jako ta woda bieżąca, rozlewało się wciąż jednakiem, bujnym, rzeźwym strumieniem. Lipce żyły zwykłym, codziennym życiem: a to chrzciny wyprawiali u Wachników; zrękowiny odbywały się u Kłębów, choć i bez muzyki, ale zabawiali się, jak na adwent przystało; to znowu zmarło się komuś, bodaj że temu Bartkowi, którego to po kopaniach zięciaszek tak pobił, że chyrlał, kwękał, aż się i przeniósł do Abramka na piwo; to Jagustynka zapozwała znowu dzieci do sądów o wycugi; to insze jeszcze sprawy szły, drugie, a w każdej niemal chałupie coś nowego; że naród miał o czym radzić, z czego się śmiać albo i markocić; a zaś po różnych chałupach w długie wieczory zimowe zbierały się kobiety z kądzielą na oprzęd – co tam śmiechu było, mój

Jezus, co zabawy, co gadek, co krzykań, że aż po drogach szły te gzy wesołe! A wszędy co swarów, przyjacielstw, zmawiań, zalecanek wystawań przed chałupami, krętaniny, bijatyk, przemawia uciesznych – jakoby w tym mrówczym albo pszczelnym rojowisku – że ino huczało w chałupach.

A kaźden żył po swojemu, jak mu się widziało, jak mu sposobniej było, a społecznie z drugimi, jak Pan Bóg przykazał.

Kto biedował, zabiegał, kłopotał się, kto się zabawiał i rad w kieliszki przedzwaniał z przyjaciół, kto się puszył i wynosił nad drugie, kto za dzieuchami się uganiał kto chyrlał i na księżą oborę poglądał, kto na ciepłym przypiecku legiwał, komu radość była, komu smutek, komu zaś ni jedno, ni tamto – a wszyscy żyli gwarno, z całej mocy, duszą całą.

Ino on jeden był jakby poza wsią, poza ludźmi i czuł się jako ten ptak obcy, strachliwy a głodny – że choć się tłucze koło jarzących okien, choć wzdycha do pełnych brogów, choć rad by duszą całą do ludzi – a nie wleci; kołuje ino, zagląda, nasłuchuje, męką się żywi, tęsknicę pije, a nie wleci.

Chyba, żeby Pan Jezus co przemienił... a na dobre.

Ale bał się jeszcze myśleć o takiej przemianie.

Jakoś na dni parę przed Godami spotkał się rano z kowalem, chciał go wyminąć, ale tamten zastąpił mu drogę pierwszy wyciągnął rękę i rzekł miętko, jakby z żalem:

– Czekałem, że przyjdiesz jak do rodzonego... poradziłbym, pomógł, chociaż i u mnie się nie przelewa...

– Mogłeś przyjść i pomóc!

– Jakże... pierwszy to miałem się napraszać, żebyś mnie wygonił jak Józkę...

– Juści, kogo nie boli, temu zawsze powoli. – Nie boli! Jednaka nas krzywda spotkała, to i bolenie jednakie.

– Nie cygań w żywe oczy, hale, myśli, że z głupim ma sprawę...

– Jak tego Pana Boga kocham, tak czystą prawdę rzekłem.

– Lis jucha; leci, wywachuje, kręta się, a ogonem ślad zaciera, żeby nawet wiatru za nim nie złapać i szkody nie pomścić.

– Że na weselu byłem, o toś, widzę, krzyw na mnie! Prawda, byłem, nie wypieram się, musiałem ano pójść, sam ksiądz namawiał i niewolił, żeby obrazy boskiej z tego nie wyszło, że dzieci osobno, a ociec osobno.

– Z namowy księdza poszedłeś, powiedz to drugiemu, uwierzy, ale nie ja. Drzesz ty starego za to przyjacielstwo, jak się ino da, z próżnymi rękami nie odchodzisz...

– Ino głupie nie bierą, jak im dają, ale przeciw tobie nie nastają, nie, niech cała wieś powie, spytaj się Jagustynki, ona cięgiem przesiaduje u starego, już nawet mówiłem ojcu o zgodzie z tobą... zrobi się to... uładzi... wyrychtuje na glanc...

– Psów se gódź, nie mnie, słyszysz! Nie prosiłem cię o wojnę, to mie i ze zgodą nie żeń, widzisz go, jaki mi przyjaciel! Zrobiłbyś zgodę, byś ino mógł mi zwlec z grzbietu choćby ten kozuch ostatni... Mówię ci raz jeszcze, całkiem mnie poniechaj i z drogi mi schodź, bo jak mnie kiedy złość rozbierze, to ci tych wiewiórczych kudłów nadrę i żeber pomacam, nie obronią cię i strażniki, choć z nimi trzymasz. Zapamiętaj to sobie!

Odwrócił się i poszedł nie obejrzawszy się nawet na tamtego, kóren z rozdziawioną gębą na środku drogi ostał.

– Cygan ścierwa, ze starym trzyma i do mnie z przyjacielstwem występuje, a obu by nas z torbami puścił, by ino mógł.

Nie uspokoił się rychło po tym spotkaniu, bo do tego nie wiodło mu się jakoś dzisiaj od samego rana; ledwie był wziął się do czesania, wyszczerbił się topór na sęku, a potem zaś, zaraz z przypołudnia, drzewo przygnietło mu nogę, cud prawdziwy, że nie pękła, ale musiał but zezuwać i okładać lodem, bo napuchła i srodze bolała... A do tego i Mateusz dzisiaj był rozszarty jak ten pies, klócił się ze wszystkimi, wciąż mu było źle, wciąż mało, krzyczał, poganiał, a z nim to jakby wyraźnie zwady szukał, że ino, ino do czego gorszego nie przyszło.

Tak się już dziwnie składało, bo nawet tej kaszy, którą miał Franek zrobić na dzisiaj, a o którą Hanka mu co dnia głowę suszyła, nie zrobił i zastawiał się brakiem czasu.

W chałupie też było niezwyczajnie, Hanka chodziła strapiona i zapłakana, bo Pietruś leżał w gorączce jakoby w ogniu, że musiała wołać Jagustynki, aby chłopca okadziła i przemierzyła, bo obsunąć się musiał.

Właśnie przyszła podczas kolacji, przysiadła przed kominem, rozglądała się kryjomo po izbie i dziwną ochotę miała gadać, ino że mało wiele odpowiadali oboje, to zaraz wzięła się oglądać chłopca i lekować...

– Pójdę do młyna, przypilnuję, bo inaczej nie zrobią!– powiedział biorąc za czapkę.

– Ociec nie mogliby to iść zasypywać?...

– Sam pójde, to pewniej kasza będzie! – I poszedł spiesznie, zły był, wzburzony i tak na wnątrzu rozciepany jako to drzewo samotne na wichurze, a przy tym drażniło go wszystko w chałupie, niecierpliwiło, a najbarzej te obmacujące, złodziejskie oczy Jagustynki.

Wieczór był cichy, niemroźny, bo jakoś od rana sfolzało mocno, gwiazd było niewiele, ino gdzieniegdzie, jak przesłony, drgała jaka w dalekościach, wiatr pociągał od lasów, a z nim szedł daleki szum, głuchy, jękliwy przed odmianą, psy gęsto naszczekiwały po wsi, a co trochę suły się kurzawą śniegi, otrząsane z drzew... dymy tłukły się po drodze – a powietrze było wilgotnawe, przejmujące.

We młynie, że to przed świętami, sporo było ludzi; tych, których zboże się mełło, warowali przy gankach, reszta siedziała w izdebce młynarczyka, a w pośrodku Mateusz snadź coś ciekawego powiadał, bo co chwila wybuchali śmiechem.

Antek cofnął się prawie z progu izdebki i poszedł na młyn szukać Franka.

– Rozprawia się na grobli z Magdą, wiecie, tą wypędzoną od organistów! Młynarz chciał go wygonić, jeśli dziewczkę raz jeszcze spotka w młynie, a przesiadywała tu całe noce, bo i gdzież się podzieje biedota! – objaśnił go chłop jeden.

– Kto na zwiesnę za czym bryka, od tego zimą umyka! – dorzucił ze śmiechem inny.

Antek przysiadł pod cylindrem, gdzie się najprzedniejszą mąkę robiło, a tak jakoś wprost wywartych drzwi izdebki, że widział Mateuszowe plecy i głowy innych, pochylonych ku niemu i zasłuchanych, mógł być słyszeć nawet, co mówili, bo niedaleko było, ino turkot młyna nie pozwalał, a i sam słuchać nie chciał.

Uwalił się prawie na workach i jakby drzemał nieco ze znużenia.

Młyn turkotał bez przerwy, trząsał się cały, dygotał i pracował wszystkimi gankami, koła trzepały się tak mocno jakby sto kobiet prało kijankami a bez przerwy, woda z bełkotliwym krzykiem waliła się przez nie, rozbijała wnet piany wrzące, w śnieżyste drzazgi i waliła z rykiem do rzeki.

Antek czekał może z godzinę na Franka, ale podniósł się wreszcie, by iść go poszukać na dworze, a zarazem by się orzeźwić nieco, bo śpik go morzył. Drzwi wychodne prowadziły tuż przy izdebce, przeszedł i biorąc już za klamkę przystanął nagle, posłyszał prawienie Mateusza.

-...a stary sam warzy mleko, to herbatę i do pierzyny jej nosi.. – mówili, że nawet sam koło krów chodzi i z Jagustynką wszystko obrządza, byle ino ona se rączków nie powalała... pono kupił w mieście porcelenę, by się nie przeziębiła za stodołę wychodzić...

Gruchnęli śmiechem ogromnym i dowcipy jak grad się posypały. Antek, sam nie wiedząc dlaczego, cofnął się na dawne miejsce, padł na worki i bezmyślnie patrzył w długą, czerwona smugę światła, bijącą przez wywarte drzwi izdebki. Nie słyszał nic, turkot przygłuszał rozmowy, młyn dygotał bezustannie, szary tuman pyłów mącznych przysłaniał młynnice, lampki wiszące u sufitu gdzieś tam migotały z kurzawy białej, żółciły się jak te kocie oczy zaczajone i drygały raz po raz na sznurach. Ale nie mógł wysiedzieć, podniósł się znowu i cicho, na palcach podsunął się pod same drzwi i słuchał.

-...wszystko mu wytłumaczyła – mówił Mateusz – bez płot pono się spieszyła i bez to – Dominikowa przytwierdziła, jako się to często przytrafia dzieuchom, że i ją to samo spotkało w panieństwie... Każda teraz może zganiać na przełaz ostry... a stary baran uwierzył. Taki mądrała, a uwierzył...

Śmiali się tak, aż ten rehot po młynicy się rozlegał, aż się pokładali.

Antek przysunął się bliżej, prawie w progu stanął, a błady jak trup z zaciśniętymi pięściami, skurczony w sobie, gotowy do skoku.

- A to, co o Antku powiadali – podjął znowu Mateusz, gdy się wyśmiali – że się tam z Jagusią dobrze znali, nieprawda, wiem najlepiej. Sam słyszałem, jak skamlał u drzwi komory niby ten pies, aż go mietłą musiała odganiać. Przyczepił się do niej jak rzep do psiego ogona, ale go przeganiała...

- Widzieliście to?... inaczej na wsi mówili... – zapytał któryś.

- Jakże, raz to byłem u niej w komorze? raz mi się to żaliła na niego?

- Łiesz jak ten pies! – krzyknął Antek przestępując próg.

Mateusz się porwał w ten mig do niego, ale nim mógł zmiarkować co bądź, już Antek skoczył jak ten wilk wściekły, chycił go jedną ręką za orzydle, przydusił, aż tamten dech i głos stracił, drugą ujął za pas, wyrwał z miejsca jak kierz, nogą drzwi wywalił na dwór i poniósł go prędko za tartak, do rzeki ogrodzonej płotem, i cisnął z całej mocy, aż cztery żerdki trzasły kiej słomki, a Mateusz niby klocek ciężki padł we wodę.

Rejwach się uczynił i krzyk wielki, bo rzeka w tym miejscu bystra była i głęboka, rzucili się ludzie na ratunek i wyciągnęli go rychło, ale

był nieprzytomny, ledwie się go docucili. Przyleciał wnet młynarz, przywieśli w parę pacierzy Jambroża, naszło się ludzi ze wsi, aż go przenieśli do młynarzowego domu, bo ciągiem mdłał i rzygał krwią. Po księdza nawet posłali, tak się źle z nim widziało, myśleli, że i ranka nie doczeka.

Antek zaś, kiedy Mateusza wynieśli, siadł spokojnie na jego miejscu przed kominem i grzał sobie ręce, i pogadywał z Frankiem, który się znalazł – a skoro ludzie popowracali i uspokoiło się nieco, rzekł tak głośno, by wszyscy słyszeli, a mocno, by sobie każdy zapamiętał:

– Kto ino będzie mnie szarpał i nastawał na mnie, każdemu tak zrobię albo jeszcze lepiej!

Nikt się nie odezwał, patrzeli na niego z głębokim podziwem, z szacunkiem, bo jakże, żeby takiego chłopca jak Mateusz wziąć tak letko niby ten snopek słomy, ponieść i rzucić do wody! Jeszcze nikt o takim mocarzu nie słyszał!... No, bo żeby się pobili, zmagali i jeden drugiego przemógł, poprzetrącał mu kości, zabił nawet – rzecz zwyczajna! Ale nie, ino wziąć kiej tego szczeniaka za uszy i ciepnać do wody! Że mu ta zebra popękały od żerdeń, nic to, wylekuje się, ale taki wstyd, taki wstyd, tego chyba Mateusz nie przeniesie!... Tak owstydzić człowieka na całe życie!...

– No, no wiecie, moiściewy, tego jeszcze nie było szeptali między sobą.

Ale Antek na nich nie zważał, zmełł kaszę i koło północy poszedł do domu; świeciło się jeszcze u młynarza w tej izbie, gdzie złożyli Mateusza.

– Nie będziesz się, ścierwo, przechwalał więcej, żeś u Jagny w komorze bywał! – szepnął nienawistnie i splunął.

W domu nic nie powiedział, choć Hanka jeszcze nie spała zajęta przedzeniem, ale rano nie poszedł do roboty, był pewny, że go odprawią, zaraz jednak po śniadaniu przyleciał sam młynarz.

– Chodźcież do roboty, co macie z Mateuszem, to wasza sprawa, nic mi do tego, a tartak stać nie może, dopóki nie ozdrowieje; prowadźcie robotę, cztery złote i obiad będę wam płacił.

– Nie pójde, da pan tyle, co Mateuszowi, stanę i nie gorzej poprowadzę.

Młynarz się wściekał, targował, ale przystać musiał, bo nie było rady, zaraz go też zabrał i poszli.

Hanka nic z tego jeszcze nie pojęła, bo o niczym nie wiedziała.

ROZDZIAŁ 4

W Wigilię przed godnymi świętami już od samego świtania wrzał przyspieszony, gorączkowy ruch w całych Lipcach.

W nocy czy też dopiero na odedniu mróz był znowu krzepko chy-cił, a że przyszedł po paru dniach miętkich i wilgnych mgieł, to obwalił drzewa sady jakby tymi szklanymi strużynami albo zasie puchem co najbielszym; słońce się nawet całkiem wylupało i świeciło na modrym, jakby oprzędzonym w cieniuśkie, przejrzyste mgły niebie, jeno że blade było, ostygłe kiej ta Hostia w monstrancji utajona, nic nie grzejące, a naprzeciw, bo mróz brał na dzień, podnosił się jeszcze i przejmował taką skrzytwą, że dech zapierało i stworzenie wszelkie chodziło w parach oddechów, niby w kłębach mgieł, ale świat się cały rozśłonecznił i stanął w takich migotliwych, jarzących blaskach, w takich ostrych skrzeniach, jak żeby kto diamentową rosą przyokrył śniegi, aż oczy bolały patrzeć.

Okólne pola, przywalone śniegiem, leżały białe, roziskrzzone, a głu-che i martwe, ino czasami ptak jakiś łopotał wskroś bielizn mieniących, że ino cień jego czarny migotał po zagonach albo to stadko kuropatw skrzykiwało się pod zasypanymi krzami i płochliwie, czujnie ciągnęło chyłkiem ku ludzkim siedzibom, pod brogi pełne; gdzie znów, ale nie-często, zajaczek jaki zaczerniał, kicał po śniegach, stawał słupka i dra-pał stwardniałą skorupę dobierając się do zboża, ale spłoszony szcze-kaniem psów, uciekał z nawrotem do borów oszroniałych, zawałonych śniegiem, zmartwiałych z zimna! – Pusto i głucho się czyniło na tych nie objętych okiem równiach śnieżnych, a tylko gdzieś, w dalekościach modrawych, majaczyły wsie, siwiały sady, mroczały gąszcze, połyski-wały zamarzłe strumienie.

Chłód przejmujący i od tych mroźnych brzasków świetlisty wionął światem całym i przenikał na wskroś zlodowaciałą ciszą.

Żaden krzyk nie rozdarł zakrzepłego milczenia pól, żaden głos ży-wy nie zadrgał ni nawet poświst wiatru nie zaszeleścił w suchych, roz-iskrzonych śniegach – ledwie niekiedy, czasami, od dróg zgubionych w

zapach, tłukł się jękliwy głos dzwonka i skrzyp sani, ale tak słabo i odległe, że jeszcze nie chył całkiem, nie rozeznał skąd i gdzie, a już przebrzmiał i zgoła przepadło w cichościach.

Ale po lipeckich drogach, z obu stron stawu, rojno było od ludzi i wrzaskliwie; radosny nastrój święta drgał w powietrzu, przenikał ludzi, nawet w bydłatkach się odzywał; krzyki dźwięczały w słuchliwym, mroźnym powietrzu kieby muzyka, śmiechy rozgłośnie, wesołe leciały z końca w koniec wsi, radość buchała z serc; psy jak oszalałe tarzały się po śniegach, szczekały z uciechy i ganiały za wronami, tłukącymi się około domów, po stajniach rżały konie, z obór wyrywały się przeciągle, tęskne ryki, a nawet ten śnieg jakby radośniej skrzypiał pod nogami, płozy sań piskały na twardych wyszlichtanych drogach, dymy były modrymi słupami a prościuteńko, jakby strzelił, okna zaś chałup grały tak w słońcu, aż raziło – a wszędzie pełno było wrzawy dzieci, rwetesu, gęgliwych głosów gęsich, co się trzepały po przyrębłach, nawoływań; pełno było po drogach ludzi, przed domami, w opłotkach, a wskroś ośnieżonych sadów raz po raz czerwieniły się wełniaki kobiet, przebiegających z chałupy do chałupy, że raz po raz tręcane w biegu drzewiny i krze sypały strugami okiści niby tą srebrną kurzawą.

Młyn nawet dzisiaj nie turkotał, stanął na święta całe, a tylko zimne szkliwo wody przejrzystej, puszczonej na upust, dzwoniło bełkotliwie, a gdzieś za nim, w błotach i w oparzeliskach, z oparów kurzących się mgłami wydzierały się krzyki dzikich kaczek i całe ich stada kołowały.

A w każdej chałupie, u Szymonów, u Maćków, u wójtów, u Kłębów, i kto ich tam zliczy a wypowie wszystkich, przewietrzano izby, myto, szorowano, posypywano izby, sienie, a nawet i śnieg przed progami świeżym igliwem, a gdzieniegdzie to i bielono poczerniałe kominy; a wszędzie na gwałt pieczono chleby i one strucle świąteczne, oprawiano śledzie, wiercono w niepolewanych donicach mak do kłusek.

Boć to Gody szły, Pańskiego Dzieciątka święto, radosny dzień cudu i zmiłowania Jezusowego nad światem, błogosławiona przerwa w długich, pracowitych dniach, to i w ludziskach budziła się dusza z zimowego odrętwienia, otrząsała się z szarzyzny, podnosiła się i szła radosna, czująca mocno na spotkanie narodzin Pańskich!

I u Borynów był taki sam rwetes, krętanina i przygotowania.

Stary jeszcze był do dnia pojechał do miasta po zakupy z Pietrkiem, którego przyjął do koni na Kubowe miejsce.

A w chałupie uwijano się żwawo, Józka przyśpiewywała cichuśko i strzygła z papierów kolorowych one cudackie strzyżki, które czy na belkę, czy też na ramy obrazów nalepić, to widzą się kieby pomalowane w żywe kolory, od których aż gra w oczach! A Jagna, z zakasanyimi po ramiona rękawami, miesiła w dzieży ciasto i przy matczynej pomocy piekła strucle tak długachne, że widziały się jako te lechy w sadzie, na których pietruszkę zasiewają, to chleby bielsze nieco z pytłowej mąki – a zwijała się żywo, bo ciasto już kipiało i trza było wyrabiać bochenki, to poglądała za Józnią robotą, to zaglądała do placka z serem i miodem, którego wygrzewał się już pod pierzyną i czekał na piec, to latała na drugą stronę do szabaśnika, w którym buzował się tęgi ogień.

Witek miał przykazane, aby pilnował ognia i dokładał polan, ale tyle go ino widzieli co przy śniadaniu, bo zaraz się gdziesik zapodział. Próżno Józka, to Dominikowa szukały go po obejściu i nawoływały, ani się odezwał jucha;

siedział ano za brogiem w szczerym polu pod krzami i zakładał si-dła na kuropatki, a gęsto je przysypywał plewami dla niepoznaki i przynęty. Łapa z nim był i ten bociek, którego to był w jesieni chorego przygarnął, wykurował, ochraniał, żywił, sztuk różnych wyuczył i tak się z nim pokumał, że niech ino zagwizdał nań po swojemu, to ptak chodził za nim niezgorzej od Łapy, z którym był w wielkiej zgodzie, bo razem wyprawiali się na szczury w stajni.

Rocho zaś, którego na całe święta Boryna do chałupy przyjął, siedział już od rana w kościele i tam do spółki z Jambrozym przystrajali ołtarze i ściany jedliną, jakiej nawiózł księży parobek.

Południe już dochodziło, gdy Jagna skończyła z chlebem, ułożyła bochenki na desce i jeszcze oklepywała i smarowała je białkiem, by zbyt w ogniu nie popękały, gdy Witek wraził głowę w drzwi i krzyknął:

– Kolędę niesą!

Jakoż już od rana starszy organiściak, Jasio, ten, co był w szkołach, roznosił opłatki do spółki z młodszym bratem.

Dojrzała ich Jagna już przed gankiem, że czasu nie było nawet coś uprzatnąć, gdy do izby weszli z Pochwalonym.

Zafrasowała się wielce, że to w izbie rozgardiasz był taki, to ino schowała pod zapaskę gołe ręce i zapraszała, by siedli odpocząć, bo kosze mieli wielkie, a młodszy dźwigał niezgorsze torbeczki i niepróżne.

– Jeszcze mamy pół wsi obejść, a czasu niewiele!... – wzbraniał się.

– Niech pan Jasio choć się ogrzeje, zamróż taki!

– A może zdziebko gorącego mleka, to uwarzę – proponowała Dominikowa. Wymawiali się, ale przysiedli pod oknem na skrzyni, Jasio zaś tak się wpatrzył w Jagnę, aż poczerwieniała i jęła spieszenie ściągać na ręce rękawy, że i on pokraśniał jak burak i wziął w koszu szukać opłatków, a wyjął lepszą i grubszą paczkę, bo w złoty pasek okreconą i poprzekładaną kolorowymi opłatkami. Jaguś wzięła ją przez zapaskę i położyła na talerzu pod Pasyjką, a potem wyniosła z dobry garniec siemienia lnianego i sześć jajek.

– Pan Jaś dawno przyjechał?

– Dopiero w niedzielę, trzy dni temu.

– Pewnikiem cknę się im w tych szkołach? – zapytała matka.

– Nie bardzo, ale to już niedługo, bo tylko do wiosny!

– A mówiła pani organiścina jeszcze w moje wesele, że pan Jasio na księdza idzie...

– Tak, od Wielkiej Nocy, tak! – rzekł ciszej i spuścił oczy.

– Mój Boże, to dopiero pociecha się ojcom ściele! To dopiero radość, że oni księdzem ostaną, a może da Bóg, to i w naszej parafii!

– Cóż tu u was słyhać? – zapytał, aby przerwać pytania niemiłe.

– A cóż by, dał Bóg, że nic złego. Pomaluśku wszystko, pomaluśku, a dookoła, kieby w tym kieracie, jak zwyczajnie w chłopskim stanie.

– Chciałem przyjechać na wasze, Jaguś, wesele, ale mnie nie puścili.

– A taka zabawa była, że bez całe trzy dni tańcowali! – wykrzyknęła Józka.

– Kuba podobno w tym czasie umarł!

– A zmarło mu się, zmarło chudziaczkowi, krew go uszła i nawet bez świętej spowiedzi skończył. Mówią po wsi, że pokutuje, że widzieli, jak się cosik nocami po drogach tłucze, na rozstajach jęczy, to pod krzyżami wystaje i zmiłowania boskiego czeka!... Kubowa dusza to być musi, nie druga!

– Co wy też mówicie!

– Juści, prawdę mówię, nie widziałam sama, to i nie przysięgnę na to, ale może być, może są takie sprawy na świecie, że człowiekowy rozum, choćby i największy, a nie wyrozumie, nie przejrzy – boskie to ano są urządzenia nie ludzkie, nie, bo co my, chudziaki, możemy, to możemy, a resztę Bóg może!

– Szkoda Kuby, sam ksiądz, jak mi opowiadał o jego śmierci, to aż płakał z żalu.

– Bo poczciwości to był parob, że i drugiego nie znaleźć a cichy, pobożny, pracowity, cudzego nie ruszył, a z biednym to gotów się był kapotą ostatnią podzielić.

– Tak się zmienia ciągle w Lipcach, że co przyjadę, poznać się nie mogę. Byłem dzisiaj u Antków, dziecko im chore, bieda u nich aż skrzypi, a on sam tak się zmienił, tak wychudł, że ledwim go poznał!

Nie odezwały się na to ani słowem, jeno Jagna odwróciła szybko twarz i zaczęła nakładać chleb na łopatę, a stara łypnęła oczami, że zaraz pomiarkował, jako w tym jest dla nich coś przykrego, chciał naprawić, myślał, o czym by dalej mówić, gdy Józka przystąpiła zapłonią i ją prosić, aby dał parę kolorowych opłatków.

– Na światy mi potrzebne, były z łośkiego roku, ale się we wesele do cna pomarnowały.

Juści, że dał jej kilkanaście i coś aż w pięciu kolorach.

– Aż tyle! Mój Jezus, a dyć to starczy i na światy, i na księżycę, i na gwiazdy! – wołała ucieszona, poszeptaly z Jagną i zesromana, przysłaniając twarz zapaską, wyniesła mu za nie coś sześć jajek.

Boryna na ten czas powrócił z miasta i wchodził do izby, a za nim wciskał się Łapa z boćkiem, bo Witek też się zjawił równo z gospodarzem.

– Zawierajcie prędko drzwi, bo się ciasto oziębi – krzyczała stara.

– Jak kobiety zabierają się do porządków, to chłopom trza komornego szukać choćby w karczmie, by przy pieczeniu nie zwalili na nas zakalca! – śmiał się Boryna rozgrzewając skostniałe ręce. – Droga jak po szkle i sanna sielna, ale i taki mróz, że trudno w saniach wysiedzieć! Daj, Jaguś, Pietrkowi choćby chleba, bo przemarzł na kość w tym sołdackim szynelu. Jasio na długo do domu?

– Aż do Trzech Króli.

– Ojciec ma z Jasia niezgorszą wyrękę, bo to i przy organach, i w kancelarii! Juści, staremu żal puścić pierzyny na taki mróz.

– Nie dlatego, a tylko że krowa się dzisiaj ocieliła, to został w domu i pilnuje.

– W dobry czas, będzie mleko na całą zimę.

– Hale, Witek, dałeś pić źrebięciu?

– Samam nosiła, ale nawet i po palcu pić nie chciał, baraszkuje ino, a do klaczy się tak wydziera, że przeprowadziłam do większej gródki.

Chłopcy wyszli, ale Jasio jeszcze z opłotków się odwracał za Jagną, bo też jakby jeszcze urodniejszą była niżli na jesieni przed weselem.

Nie dziwota też, iż starego całkiem zawojowała, iż świata za nią nie widział. Dobrze na wsi powiadali, że całkiem zgłupiał z tego kochania, bo choć kwardy był i nieustępliwy la wszystkich po dawnemu, ale Jagusia mogła z nim robić, co ino zechciała, słuchał się jej ze wszystkim, jej oczami patrzył, jej się radził, a i Dominikowej też, że do cna go opanowały! Dobrze mu z tym było, gospodarstwo szło, wszystko było w porządku, wygodę swoją miał, a uzalić się przed kim i poradzić, że już o niczym nie myślał i o nic nie stał, co ino nie było Jagusią, w którą jak w ten obrazek święty patrzył!

Nawet teraz oto wygrzewał się przed kominem, a ciągiem chodził za nią rozmiłowanymi oczami i kieby przed weselem, słodkie słówka wciąż prawił, a jeno o tym myślał, czym by się jej jeszcze więcej przy-podchlebić.

Ale Jagna tyle dbała o jego kochanie, co o ten śnieg z łońskiego roku, jakaś mroczna była, zniecierpliwiona jego amatorami, zła, wszystko ją drażniło, że jak ten luty wichur nosiła się po izbie – robotę spychała na matkę, to na Józkę, a często i starego do niej zaganiała cierpkimi słowy, a sama szła niby to zajrzeć na drugą stronę do pieca albo do żrebaka w stajni, a głównie po to, by ostać samej i zamyślać się o Antku.

Jasio go jej przypomniał, że jak żywy stanął przed nią, jak żywy...

Prawie trzy miesiące go nie widziała, bo jeszcze na długo przed ślubem, tyła ino, co wtedy przejazdem na drodze pod topolami... juści, czas płynął jak ta woda; a to ślub, przenosiny, kłopoty różne, gospodarstwo, że i kiej to miała o nim pomyśleć! Nie widywała go, to i na myśl nie przychodził, a ludzie też wagowali się mówić o nim przed nią... A teraz, nie wiada dlaczego, tak z nagłą stanął przed oczami i patrzył z taką żałością, z takim wyrzutem, aż się jej dusza zatrzęsła ze zgryzoty...

– Nicem ci nie winowata, nie, to czemu stajesz przede mną jak ta dusza pokutująca, czemu straszysz? – myślała żałośnie broniąc się przed wspominkami... ale dziwno jej było, czemu się tak mocno przypomniał, czemuż to ani Mateusz, ani Stacho Płoszka, ni inni?... Nikto drugi, tylko on jeden! Zadać jej cosik musiał, że się biedzi teraz i wydziera z siebie, i w męce się pławi, bo taka tęskność ją rozpierała, aż ją w dołku gnietło, a tak cosik we świat duszę niesło, że poszłaby, gdzie ino oczy poniesą, na bory i lasy.

– Co on tam, chudziak, porabia, co se myśli? I ani sposobu, by z nim pomówić, ani sposobu i... nie wolno! Prawda, nie wolno, Jezus kochany, a dyc by to był śmiertelny grzech, śmiertelny! – mówił to ksiądz na spowiedzi, mówił... – ino by z nim pomówiła raz jeden, choćby przy świadkach, choćby... a to już ani dziś, ani jutro, ani nigdy! Borynowa jest na wiek wieków amen...

– Jagusia, a chodźże, chleb trzeba przesadzić! – wołała stara.

Pobiegła do domu, zwijała się, jak mogła, ale myśli o nim nie ztraciła, wciąż jej wracał na oczy i wszędzie przypominały się jego niebieskie ślepie i te brwie czarne, i te wargi czerwone, słodkie, łakome! Próżno zapamiętała wzięła się do roboty, paliło się jej w rękach, uprzętała izbę, wzięła się pod wieczór do obrządku krów, czego prawie nigdy nie robiła, nic to jednak nie pomogło, bo ciągle stał przed nią i tęsknica rosła w niej, i rozdzierała duszę, co ją tak strasznie rozdrażniło, że przysiadła na skrzyni przy Józce, czyniącej pospiesznie światy, i buchnęła płaczem.

Uspokajała ją matka, uspokajał mąż wystraszony, chodzili koło niej jak koło tego dzieciątka rozgrymaszonego, głaskali, patrzyli w oczy, nic nie pomogło, wypłakała się do woli i wnet się w niej cosik przemieniło z nagłą, bo się podniosła ze skrzyni prawie wesoła, pogadywała ze śmiechem, śpiewać nawet była gotowa, gdyby to był nie adwent!

Popatrzył zdziwiony Boryna, popatrzała matka, a potem na siebie długo i ważnie spoglądali, wywiedli się do sieni, coś tam poszeptali i wrócili rozradowani, weseli, roześmiani i nuż ją brać w ramiona, całować, a tacy byli dobrzy, że stara zakrzyknęła gorąco:

– Nie dźwigaj dziezy, Maciej wyniosą!

– Abo to mi nowina brać i cięższą!

Nic nie rozumiała.

Ale stary nie pozwolił, sam wyniósł, a potem przy sposobności przyparł ją gdzieś w komorze, srodze całował, a radośnie coś szeptał, by Józka nie usłyszała.

– Wam z matką we łbach się poprzewracało, nieprawda, co powiadacie, nie!...

– Oboje z matką znamy się na tym, już ja ci mówię, że tak jest. Zaraz, co to mamy? Gody... to by dopiero na lipca wypadło, w same żniwa... Czas nierychtowny, gorąc, roboty, ale cóż poradzi, trza i za to Panu Bogu podziękować... – I znowu chciał ją całować, wyrwała mu się ze złością i pobiegła do matki z wymówkami, ale stara potwierdziła stanowczo.

- Nieprawda, zdaje się wam ino! – zaprzeczała gorączkowo.
- Nie cieszy cię to, widzę?
- Coby zaś miało cieszyć, mało to kłopotów? a tu jeszcze nowe utrapienie!
- Nie wyrzekaj, by cię Pan Jezus nie pokarał.
- A niechta, a niechta!
- Czemuż to się tak wyrzekasz tego, co?
- Bo nie chcę i tyle!
- Przecież gdyby było dziecko, to w razie śmierci starego, czego Boże broń, do zapisu i jego część by przyszła, a po równo z drugimi, może i na całym gruncie byś ostała...
- Wam ino jedno w głowie: grunt i grunt, a la mnie tyła stoi, co nic...
- Boś młódka jeszcze i głupia, a pleciesz bele co! Człowiek przez gruntu to jak bez nóg, tula się ino, tula, a do nikąd nie zajdzie. Nie powiadaj tylko na sprzeciw Maciejowi, bo mu markotno będzie...
- Nie będę wstrzymywała w sobie, co mi tam Maciej;
- To pyskujże sobie choćby przed całym światem, kiej nie masz rozumu, a mnie daj spokojnie chleb wysadzić, bo się na węgiel spieczę; zajmij się lepiej robotą, śledzie ano przelóż z wody do mleka, to więcej soli stracą, Józka niech maku utrże, jeszcze tyła do zrobienia, a wieczór ino, ino
- Jakoż i prawda była, wieczór już stał u proga, słońce padało za bory, a czerwone zorze rozlewały się po niebie krwawymi zatokami, że śniegi gorzeć się zdawały, jakby zarzewiem posypane – ale wieś głu-chła i przycichała; nosili jeszcze wodę ze stawu, rąbali drwa, to ktoś się spieszył saniami, aż koniom śledziony grały, biegali jeszcze przez staw, skrzypiały wrótnie gdzieniegdzie, zrywały się tu i ówdzie głosy różne, ale z wolna, wraz z gaśnięciem zórz i z tą popielną sinością, jaka się sypała na świat ruch zamierał, przycichały obejścia i pustoszały drogi. Dalekie pola zapadały w mrokach, zimowy wieczór prędko nastawał i brał ziemię w moc swoją, a mróz się podnosił i tak ścisnął, że głośnie-j grały śniegi pod trepami i szyby malowały się w różgi i kwiaty dziwne...
- Wieś zginęła w szarych, śnieżystych mrokach, jakby się rozlała, że ani ujrzał domów, płotów i sadów, jedne tylko światelka migotały ostro a gęściej niżli zwykle, bo wszędy się szykowano do wigilijnej wieczery.

W każdej chałupie, zarówno u bogacza, jak i u komornika, jak i u tej biedoty ostatniej, przystrajano się i czekano z namaszczeniem, a wszędy stawiano w kącie od wschodu snop zboża, okrywano ławy czy stoły płótnem bielonym, podścielano sianem i wyglądano oknami pierwszej gwiazdy.

Jakoś niewidne były zaraz z pierwszego wieczoru; jak to zwykle przy mrozie, bo skoro ostatnie zorze się dopalały, niebo zaczęło się zasnuwać jakby dymami sinymi i całkiem zatapiało się w burościach.

Józka z Witkiem dobrze byli przemarzli, bo stali na zwiadach przed gankiem, nim pierwszą gwiazdę uwidzieli.

– Jest! Jest! – wrzasnął naraz Witek.

Wyjrzał na to Boryna, wyjrzeli i drudzy, a na ostatku Rocho.

Juści, że była, tuż nad wschodem, jakby się rozdarły bure opony, a z głębokich granatowych głębin rodziła się gwiazda i zda się rosła w oczach, leciała, pryskała światłem, jarzyła się coraz bystrzej, a coraz bliżej była, aż Rocho uklęknął na śniegu, a za nim drugie.

– Oto gwiazda Trzech Króli, betlejemska gwiazda, przy której blasku Pan nasz się narodził, niech będzie święte imię Jego pochwalone!

Powtórzyli za nim pobożnie i wpili się oczami w tę światłość daleką, w ten świadek cudu, w ten widomy znak zmiłowania Pańskiego nad światem.

Serca im zabiły rzewliwą wdzięcznością, wiarą gorącą, dufnością i brały w siebie to światło czyste jako ten ogień święty, pleniący złe, jako sakrament.

A gwiazda olbrzymiała, niosła się już niby kula ognista, błękitne smugi szły od niej niby szprychy świętego koła, i skrzyły się po śniegach, i świetlistymi drzazgami rozdzierały ciemności, a za nią, jako te służki wierne, wychylały się z nieba inne, a liczne, nieprzeliczoną i nieprzejrzaną gęstwą, że niebo pokryło się rosą świetlistą i rozwijało się nad światem modrą płachtą, poprzebijaną srebrnymi gwoździami.

– Czas wieczerzać, kiedy słowo ciałem się stało! – rzekł Roch.

Weszli do domu i zaraz też obsiedli wysoką i długą ławę.

Siadł Boryna najpierwszy, siadła Dominikowa z synami, bo się dołożyła, aby razem wieczerzać, siadł Rocho, w pośrodku, siadł Pietrek, siadł Witek kole Józki, tylko Jagusia przysiadła na krótko, bo trzeba było o jadle i przykładaniu pamiętać.

Uroczysta cichość zaległa izbę.

Boryna się przeżegnał i podzielił opłatek pomiędzy wszystkich, pojedli go ze czcią, kieby ten chleb Pański.

– Chrystus się w onej godzinie narodził, to niech każde stworzenie krzepi się tym chlebem świętym! – powiedział Rocho.

A chociaż głodni byli, boć to dzień cały o suchym chlebie, a pojedali wolno i godnie.

Najpierw był buraczany kwas, gotowany na grzybach z ziemniakami całymi, a potem przyszły śledzie w mące obtaczane i smażone w oleju konopnym, później zaś pszenne kluski z makiem, a potem szła kapusta z grzybami, olejem również omaszczona, a na ostatek podała Jagusia przysmak prawdziwy, bo racuszki z gryczanej mąki z miodem zatarte i w makowym oleju upróżone, a przegryzali to wszystko prostym chlebem, bo placka ni strucli, że z mlekiem i masłem były, nie godziło się jeść dnia tego.

Jedli długo i mało kiedy jeśli tam które rzekło jakie słowo, więc ino skrzybot łyżek o wręby się rozlegał i mlaskanie – tylko Boryna raz po raz rwał się pomagać Jagusi a wyręczać, aż go stara skarciła

– Siedzicie, nic się jej nie stanie, daleko jeszcze do czasu, a pierwsze święta na swoim, to niechaj się wkłada!...

Ale Łapa skomlał z cicha, trykał łbem o zady, łasił się a przypochlebiał, by mu prędzej dali, a bociek, któren miał swoje miejsce w sieni, to często gęsto kuł dziobem w ścianę, to klekotał, aż się kury odzywały na grzędach.

Nie skończyli jeszcze, gdy ktosik zapukał do okna.

– Nie puszczać i nie obzierać się, to złe, wciśnie się i na cały rok ostanie! – wykrzyknęła Dominikowa.

Opuścili łyżki i słuchali strwożeni, pukanie znowu się ponowiło.

– Kubowa dusza! – szepnęła Józka.

– Nie pleć, ktosik potrzebujący; w ten dzień nikto nie powinien być głodny ni ostawać bez dachu – odezwał się Roch podnosząc się drzwi otwierać.

Jagustynka to była, stanęła pokornie u proga i przez łyzy, co się jej jak groch sypały, prosiła cicho:

– Dajcie kąt jaki i choćby to, co psu wyrzucicie! Zmiłujcie się nad sierotą... Czekałam, że mnie dzieci zaproszą... czekałam... w chałupie mróz... na darmo wyziębłam... na darmo... Mój Jezus... a teraz, jak ta dziadówka... jak... rodzone dzieci... samą mię ostawiły i bez tej okruszyny chleba... gorzej niżli tego psa... a tam u nich gwarno, pełno ludzi... chodziłam koło węglów... w okna zaglądałam...na darmo...

– Siadajcie z nami. Trzeba było przyjść wam zaraz z wieczora, a na dziecińską łaskę nie czekać... jeno do trumny to ochotnie wbiją gwoździe ostatnie, by się upewnić, że nie wrócicie już po nic...

I z wielką dobrością zrobił jej miejsce wedle siebie.

Ale nie mogła nic przełknąć, choć jej Jagusia niczego nie żałowała i szczerym sercem zniewalała do jądła, cóż, kiej nie mogła, siedziała cicho, skulona i zaparta w sobie, że jeno po dryganiu pleców było widno, jaka ją męka ozdierała.

Cicho się w izbie stało, ciepło, serdecznie, nabożnie i tak uroczyście, jakby między nimi leżało to święte Dzieciątko Jezus.

Ogromny a ciągle podsycany ogień wesoło trzaskał na kominie i rozświetlał całą izbę, aż lśniły się szkła obrazów i czerwieniały zamaznięte szyby, a oni siedzieli teraz wzdłuż ławy, przed ogniem, i poradzali z cicha a poważnie.

Potem Jaguś nagotowała kawy, to słodzili ją suto i popijali z wolna...

Aż Rocho wyjął z zanadru książkę okreconą w różaniec i zaczął z niej czytać cichym a głęboko wzruszonym głosem:

-Jako to stała się nam nowina, Panna porodziła Syna; aż w judejskiej ziemi, w Betlejem, nie bardzo podłym mieście, narodził się Pan w ubóstwie; na sianie, w stajni lichej, między bydłatkami, co w tej radosnej nocy cichej były Mu bratami. – A ta sama gwiazda, co i dzisiaj świeci, splonęła wówczas dla tej świętej Dzieciny – i drogę wskazywała trzem królom, co chociaż pogany i czarne jako te sagany, a serca mieli czujące i z krajów dalekich, zza mórz nieprzejrzanych, zza gór srogich przybiegli z darami, by prawdzie dać świadectwo.”

Długo czytał opowieść ona, a głos mu się wzmagił i rozmadlał, i w śpiew prawie przechodził, że jakby tę świętą litanię wygłaszał, a wszyscy siedzieli w milczeniu pobożnym, w ciszy serc zasłuchanych, w drzeniu dusz olśnionych cudem i w najszczerzym odczuciu łaski Pańskiej narodowi danej!

Hej, mój Jezus kochany! W stajence ci to lichej urodzić się przyszło, tam w tych krajach dalekich, między obcymi, między Żydy paskudne, między heretyki srogie! a w ubóstwie takim, w taki mróz! O biedoto przenajświętsza, o Dziecineczko słodka!... Myśleli i serca były współczuciem, a dusze się zrywały i niesły we świat jako ci ptakowie, aż do tej ziemi narodzin, do tej szopy, przed ten żłób, nad którym śpiewali aniołowie, do świętych nówek Dzieciątka przypadali sercami i całą

mocą wiary ognistej i dufności oddawali Mu się w te służki najwierniejsze aż po wiek wieków amen!

A Rocho wciąż czytał, aż Józka, że to miętkie dzieuszysko było i wielce czujące, zapłakała rzewliwie nad Pańską niedolą, a Jaguś wsparłszy twarz na dłoniach też płakała, aż jej łzy ciekły przez palce, że chowała głowę za Jędrzycha, któren z otwartą gębą wpodłe słuchał, a tak się wielce dziwował słyszanemu, aż raz po raz szarpał Szymka za kapotę i wykrzykiwał:

– Ciel!... – słuchasz to, Szymek! – ale wnet milknął, karany srogim wzrokiem matki.

– Nawet tej kolebeczki nie miała biedota!

– Dziw, że to nie zamarzło!

– I że to chciał Pan Jezus tyle wycierpieć! – powiadali rozważając, gdy skończył, a Rocho im na to:

– Bo ino ofiarą swoją i cierpieniem mógł zbawić naród, a gdyby nie to, to już by zły całkiem zapanował nad światem i wybierał dusze la siebie.

– Rządzi on tu i tak niemało – szepnęła Jagustynka.

– Grzech panuje, to złość rządzi, a to są kumy złego!

– I... co tam rządzi, co panuje, komu tam wiada, jeno to jest pewne, że nad człowiekiem zła dola ma moc swoją i to cierpienie.

– Nie powiadajcie, złość na dzieci was ślepi, byście nie zgrzeszyli!....

Postrofował ja surowo, ale się już nie przeciwiała, pomilkli też wszyscy i rozważali, a Szymek powstał z miejsca i chyłkiem chciał się wynieść.

– Gdzie ci tak pilno? – syknęła stara, bacząca na wszystko.

– Na wieś pójde, gorąc mię rozbiera... – bełkotał zestraszony.

– Do Nastki cię niesie, na gzy, co?

– Zabronicie to, przytrzymacie... – mówił ostrzej, ale już czapkę ciśnął na skrzynię.

– Do chałupy idźta z Jędrzychem, dom na boskiej Opatrzności został, zajrzyjcie do krów i czekajcie, przyjdę po was i razem do kościoła pójdziemy. – Zarządziła, ale chłopaki wołały pozostać niżli w pustej chałupie siedzieć; nie wyganiała ich też więcej, ale się zaraz podniosła i wzięła ze stołu opłatek.

– Witek, zapal latarkę, do krów pójdziemy. W tę noc Narodzenia i każde bydłatko rozumie człowieczą mowę, i przemówić jest zdolne, że to między nimi Pan się narodził. Kto ino bezgrzeszny zagadnie –

ludzkim głosem odpowiedzą; równe są dzisiaj ludziom i społecznie z nimi czujące, więc i opłatkiem trza się z nimi podzielić...

Ruszyli wszyscy do obory, a Witek ze światłem przodem.

Krowy leżały rzędem obok siebie i przeżuwały glamiąc powoli, ale na światło i głosy jęły postękiwać, zbierać się ciężko do powstawania a odwracać ciężkie, ogromne łby.

– Tyś gospodynią, Jaguś, to prawo twoje rozdzielić między wszystkie. Darzyć ci się będą lepiej i nie chorować; jeno jutro rano doić nie można, aż wieczorem, straciłyby mleko.

Jagna połamała opłatek na pięć części i przychyłając się nad każdą krową, czyniła krzyż święty między rogami, a wtykała po kawałku w gębule, na szerokie, ostre ozory.

– A koniom to nie dacie? – zagadnęła Józka.

– Nie było ich w onym czasie przy Narodzeniu, to nie można.

Wracali do izby, a Roch mówił:

– Kuźde stworzenie, trawka kuźda, choćby i ta najmarniejsza, kamuszek najmniejszy, nawet ta gwiazda ledwie dojrzana – wszystko dzisiaj czuje, wszystko wie, że Pan się narodził.

– Jezus kochany! Wszystko! To i ta ziemia, i te kamienie! – wykrzyknęła Jagna.

– Prawdę rzekłem, tak ci to i jest – wszystko ma swoją duszę. Co ino jest na świecie, czującym jest i na swoją godzinę czeka, aż Jezus się zmiłuje i rzeknie: „Wstań, duszo, ożyj, zasługuj się nieba!” Bo i robaczek najmniejszy, i ta trawka chwiejna, wszystko się po swojemu zasługuje i po swojemu chwały Pańskiej dostępuje. A w tę noc, jedną na rok cały, wszystko się podnosi, przecyka, nasłuchuje, a czeka tego słowa! Dla jednych ono przychodzi, la drugich jeszcze nie kolej, to legną potem w mrok, cierpliwie czekający świtu, kto kamieniem, wodą, ziemią, drzewem, kto jeszcze czym innym, jak tam któremu Pan naznaaczył!...

Zamilkli rozważając, co powiedział, bo mądrze był rzekł, prosto do serca, ale się to Borynie ni Dominikowej nie widziało czystą prawdą, bo ją sobie w głowie przekładali i tak, i owak, a pojąć tego nie mogli. Juścić, moc boska jest nieodgadniona a cuda czyniąca, ale żeby kamienie i wszystko duszę swoją miało... nie mogli tego wymiarkować. I nie myśleli już nad tym dłużej, bo przyszli kowalowie z dziećmi.

– U ojca razem posiedzim i społem pójdziemy na pasterkę – tłumaczył kowal.

– Siadajcie, siadajcie... milej będzie w kupie, a toć wszystkie będziemy razem, Grzeli ino brak.

Józka srogo spojrziała na ojca, bo się jej Antkowie przypomnieli, ale bała się rzec tym.

Obsiedli znowu ławy przed ogniem, tylko Pietrek ostał na podwórzu i rąbał drzewo, aby nie brakło opału na święta, a Witek nosił naręczami i układał drwa w sieni.

– Ale, a to bym zapomniał! Dogonił mnie wójt i prosił, byście, Dominikowa, zaraz szli do niej, już tam krzyczy i wydziera się, że pewnie tej nocy zlegnie...

– Do kościoła chciałam ze wszystkimi, ale kiedy mówicie, że już krzyczy, to polecę zająrzeć. Byłam rano, myślałam, że jeszcze parę dni przetrzyma.

Pogadała po cichu z kowalową i pobiegła do chorej, że to znająca była na chorobach i niejednego lepiej wylekowała niżli doctory.

A Rocho ją opowiadać historie różne, przygodne na dzień dzisiejszy, a między drugimi i taką:

– „Dawno już temu będzie, bo tyle roków, co ich jest od Narodzenia, chłop jeden, gospodarz bogaty, szedł był sobie z jarmarku, gdzie sprzedał parę tęgich ciołków; talary miał dobrze schowane w cholewie, kij niezgorszy w garści i krzepki też był, że może we wsi najmocniejszy, ale się spieszył, aby przed nocą do domu się dostać, bo podówczas zbóje kryły się w lasach i pocziwym ludziom drogę zastępowały.

Latową porą musiało to być, bo bór był zielony, pachnący i żywymi głosami rozbrzmiały, a wiatr był duży, to drzew a się kołysały i szum srogi szedł górą. Pospieszał chłopina, jak ino mógł, a rozglądał się strachliwie dookoła, ale nic nie dojrzał... chojary ino stały przy chojarach, dęby przy dębach, sosna przy sośnie, a nigdzie żywej duszy; tyle co te ptaszyska przeciągały między pniami. Strach go. brał coraz bardziej, bo przechodził koło krzyża przez taki gąszcz, gdzie się i oczami nie precisnął, a kędy właśnie najczęściej zbóje następowali, to się przeżegnał, pacierz w głos mówił i w dyrdy pobiegł...

Już się szczęśliwie wydostał z wysokiego lasu, już ino tą karłowatą sośniną a jałowcami się przebierał, już nawet widział pola zielone, rozkołysane, już mu plusk szedł od rzeki, skowronki śpiewały, już ludzi zoczył przy pługach, a nawet bocki jak kluczem ciągnęły na bagniska, a nawet poczuł z wiatrem sady wiśniowe, co były kwitły...gdy wtem z tych krzów ostatnich wyskoczyli zbóje! Dwunastu ich było i wszyscy z nożami! Bronił się, ale wnet przemogli, a że pieniądze oddać po dobro-

ści nie chciał a krzyczał, to powalili go na plecy, przygnietli nogami, odnieśli noże i już, już mieli go żgnąć... a wtem skamienieli z nagłą i zostali tak z podniesionymi nożami, zgarbieni, srodzy a nie ruchający się – i wszystko się w ten mig zatrzymało w miejscu... Ptaki pocichły i wisiały w powietrzu... rzeki stanęły... słońce jakby zakrzepło... wiatr zmartwiał... drzewa ostały, jak je był wichher przygiął... zboża także... bociany zaś kieby wrosły w niebo z rozłożonymi skrzydłami... nawet ten chłop orzący stał z podniesionym batem – świat się cały zaląkł w to oczymgnienie i skamieniał!

Jak to długo było, nie wiadomo – aż rozległ się nad ziemią anielski śpiew:

Bóg się rodzi, moc truchleje!

Ruszyło się zaraz wszystko, ale zbóje poniechali chłopca widząc w tym cudzie przestrogę i razem już poszli za tymi głosami anielskimi do stajenki onej pokłonić się Narodzonemu! Wraz z nimi, co ino żyło na ziemi i w powietrzu.”

Dziwowali się wielce temu, co Rocho opowiadał, ale potem Boryna, to i kowal też opowiadali różne różności.

A w końcu Jagustynka, która cały czas w cichości siedziała, rzekła cierpko:

– Mówicie, mówicie, a tyle jest z tego, że wam czas się nie dłuży! Hale, prawda to była, że przódzi z nieba przychodziły opiekuny różne, co biednemu i uciśnionemu zmarnieć nie dawały! Czemuż teraz takich nie uwidzi?

Mniej to biedy, mniej mizercji, mniej tego dusznego skrzybotu?... Człowiek jest jako ten ptak bezbronny, na świat puszczony – a to go jastrząb, a to go zwierz, a to głód, a w końcu i ta kostucha dodusi – a ci prawią o miłosierdziu i głupie żywią, i manią obietnicami, że zbawienie przyjdzie! Przyjdzie, ale Antychryst, i ten sprawiedliwość wymierzy, ten się zmiłuje, jak ten jastrząb nad kurczątkiem.

Porwał się Rocho i zaczął wielkim głosem wołać:

– Nie bluźnij, kobieto, nie grzesz, nie słuchaj podmów diabelskich, bo na potępienie się wieszysz i wieczny ogień! – Ale upadł na ławę, lży mu załazy głos, trząsł się cały ze zgrozy świętej, z bólu nad tą duszą zgubioną, a gdy nieco przyszedł do siebie, z całej mocy duszy wierzącej wykladał prawdę i na dobrą drogę wyprowadzał.

I długo, długo mówił, że lepiej i ksiądz na ambonie nie potrafił.

A tymczasem zaś Witek, głęboko tknięty słowami, że w noc tę krowy mowę ludzką mają, wywołał po cichu Józkę i poszli oboje do obory.

Trzymając się za ręce i dygocząc ze strachu, a żegnając się raz po raz, wsunęli się do obory pomiędzy krowy.

Przyklęknęli przy największej, jakby przy matce całej obory; tchu im brakowało, dusze się trzęsły, łzy nabiegały do oczów, serca przenikał strach święty, jakoby w kościele podczas Podniesienia, ale dufność serdeczna i wiara w nich była, bo Witek nachylił się aż do samego ucha i szepnął drżąc:

– Siwula, siwula!...

Nie odrzekła ni tym słowem jednym, postękiwała ino, żuła, ruchała gębula pomlaskując ozorem.

– Cosik się jej stało, że nie odpowiada, może – za karę.

Przyklęknęli przy drugiej i znowu Witek zapytał, ale już z płaczem prawie...

– Łaciata! Łaciata!...

Przywarli oboje do jej pyska, słuchali z zamartwym tchem, ale nic nie usłyszeli, ani słowa, nic...

– Grześniśmy pewnie, to nie usłyszemy, ino bezgrzesznym odpowiadają, a my grzeszne...

– Prawda, Józia, prawda, grzeszne my, grzeszne... Mój Jezus... prawda... juści, wziąłem gospodarzowi postroneczki... a i ten rzemień stary... a i te... – nie mógł mówić więcej, płacz go chycił, żal i to poczucie winy, że aż się zanosił, a Józka też mu serdecznie wtórowała, i tak płakali społem, nie mogąc się utulić, aż wypowiedzieli przed sobą przewiny swoje a grzechy wszystkie...

Ale w izbie nikt nie spostrzegł ich braku, śpiewali teraz pieśni pobożne, że to nie czas przed północą na kolędy.

Na drugiej zaś stronie mył się i pucował do czysta Pietrek a przebierał całkiem, bo mu Jagna nowe przyobleczenie, które miał w komorze, wyniesła.

Aż krzyknęli z podziwu, gdy wszedł potem do izby; pozbył się bowiem szynela i tych sołdackich ubierów, a stanął przybrany zwyczajnie po chłopsku.

– Śmieli się ze mnie, burkiem przezywali, tom się i przedział! – wybełkotał.

– Mowę odmień; nie szmaty! – rzuciła Jagustynka.

– Sama mu powróci, sama, bo duszy widno jeszcze nie stracił całkiem.

– Pięć roków we świecie był, mowy swojej nie słyszał, to i nie dziwota!...

Umilkli naraz, bo ostry, przenikliwy głos sygnaturki przedzierał się do izby.

– Sygnuja na pasterkę, trza się nam zbierać!

Jakoż w pacierz może wyszli wszyscy, prócz Jagustynki, która ostała domu pilnować, a głównie, by dać folgę uciśnionemu sercu.

Noc była mroźna, roziskrzona gwiazdami, modrawa.

Sygnaturka wciąż dzwoniła i jako ten ptaszek świergotała zwołujący do kościoła.

Naród też już wychodził z chałup, gdzieniegdzie otwieranymi drzwiami lunał potok światła i zamigotał jak błyskawica, gdzieniegdzie gasły okna, czasem głos jakiś się podniósł w mrokach, kaszel, skrzyp śniegu pod nogami, to słowo Boże, którym się pozdrawiali, a coraz gęściej majaczeli w tej szaromodrawej nocy, tłumami walili, że ino tupot nóg rozlegał się w suchym powietrzu.

Kto był żyw, do kościoła ciągnął, ostały ino po chałupach całkiem stare, chore albo kaleki.

Już z daleka widniały rozgorzałe okna kościelne i główne drzwi na rozcież wywarte, a światłem buchające, naród zaś płynął przez nie i płynął jak woda, z wolna zapełniając wnętrza, przystrojone w jodły i świerki, że jakby gęsty bór wyrósł w kościele, tulił się do białych ścian, obrastał ołtarze, z ław się wynosił i prawie sięgał czubami sklepień, a chwiał się i kołysał pod naporem tej żywej fali, i przysłaniał mgłą, parami oddechów, zza których ledwie migotały jarzące światła ołtarzów.

A naród wciąż jeszcze nadchodził i płynął bez końca...

Nadeszli hurmą całą aż z Polnych Rudek, a szli ramię w ramię, ostro i ciężko, bo chłopcy były ogromne, rozrosłe, w granatowe kapot co do jednej, w podwójnych zapasach i w czepcach pookręcanych w czerwone chusty.

Nadciągali z rzadka, kapaniną, po dwóch, po trzech i ci z Modlicy, cherlaki i mizerota sama; w łatanych siwych kapotach, z kijami, bo na piechty wędrowali; po karczmach szły o nich przekpiwy że samymi piskorzami się żywią, bo to na niskich rolach siedzieli, wśród błot, a dymem torfowym od nich wiało.

I z Woli nadchodził naród, a wiedli się całymi familiami, jak te krze jałowcowe, co zawždy zwartą kupą rosna, niewyrosłe, średniaki

same, a pękate kiej wory, prędkie jednak, wyszczekane, sielne procesowniki, zabijaki niemałe, a szkodniki leśne, w szare kapoty ze sznurami czarnymi przybrane i pasami czerwonymi okręceni.

Nadciągnęła i szlachta rzepecka, co to wedle gadki: „worek ino a płachta”, albo że się ich pięciu krowiego ogona trzyma, a we trzech jedną czapkę mają – ci szli kupą, milczkiem, spode łba patrzący i z góry, a kobiety swoje, jakoby dwórki jakie wystrojone i wielce urodne, białe na gębie, świergotliwe, wiedli w pośrodku i mocno uważali.

A zaraz po nich walili ludzie z Przyłęka, szli zaś jak ten bór sosnowy wyrośnięci, śmigli i mocni; a postrojeni aż oczy raziło; kapoty mieli białe, kamizele czerwone wstęgi u koszul zielone i portki żółtopasiaste, a pchali się środkiem nieustępliwie, nie bacząc na nikogo, przed sam ołtarz.

Za nimi zaś, prawie już na ostatku, jak jakie dziedzice, wychodziły chłopy dębickie, niewielu ich było, a każdy z osobna szedł, z paradą, a puszył się, wynosił i po ławkach przed: wielkim ołtarzem zasiadał, i pierwszeństwo brał przed innymi, dufny w bogactwo swoje – a kobiety ich były z książkami, w czepeczkach białych, wiązanych pod brodę, i w katanach z cienkiego sukna... a potem jeszcze szli z wsi dalszych, z przysiółków różnych, z domów w lasach rozsypanych, z trackich bud, ze dworów, że kto by tam zapamiętał i wyliczył!...

A między tym gąszczem zwartym, kolebiącym się i szumiącym jak bór, gęsto się bielily kapoty Lipczaków i czerwieniały chusty kobiet.

Kościół był zapchany do cna, aż do tego ostatniego miejsca w kruchcie, że którzy byli ostatni, to już na mrozie pod drzwiami pacierz mówili.

Ksiądz wyszedł ze mszą pierwszą, organy zagrały, a naród się założył, pochylił i na kolana padł przed majestatem Pańskim.

I już cicho było, nikt nie śpiewał, a modlił się każdy wpatrzony w księdza i w tę świeczkę, co płonęła wysoko nad ołtarzem, organy huczały przyciszoną a tak tkliwą nutą, że mróz szedł przez kości, czasem ksiądz się odwrócił, rozkładał ręce, powiadał w głos łacińskie święte słowo, to naród wyciągał ramiona, wzdychał głęboko, pochylał się w skrusze pobożnej, bił się w piersi i modlił żarliwie.

Potem zaś, gdy się msza skończyła, ksiądz wlaź na ambonę i prawił długo, nauczał o tym dniu świętym, przestrzegał przed złem, groził, rękami wytrząchał i grzmiał tym słowem palącym, – że jaki taki westchnął ciężko, kto się bił w piersi, kto się w sumieniu z win kajał, kto się zamedytował, któren znów co mięszy, a kobiety zwłaszcza,

plakał – bo ksiądz mówił gorąco a tak mądrze, że każdemu to szło prosto do serca i do rozumu, juści, że tym ino, co słuchali, bo wiewa było takich, których śpik morzył z gorąca.

A dopiero przed drugą mszą, kiej już naród skruszał nieco modleniem się, huknęły znowu organy i ksiądz zaśpiewał:

W żłobie leży, któż pobieży.

Naród się zakołysał, powstał z klęczek, wraz też pochwycił nutę i pełnymi piersiami, a z mocą ryknął jednym głosem:

Kolędować małemu!

Zatrzęsły się drzewa i zadygotały światła od tej serdecznej wichury głosów.

I już, tak się zwarli duszami, wiarą i głosami, że jakby jeden głos śpiewał i bił pieśnią ogromną, ze wszystkich serc rwiącą, aż pod te święte nóżeczki Dzieciątka.

Gdy już i drugą mszę wysłuchali, organista jął wycinać kolędy na taką skoczną nutę, że ustoić było trudno, to się kręcili, przedeptywali, odwracali do chóru i wesoło pokrzykiwali kolędy za organami.

Jeden ino Antek nie śpiewał z drugimi, przyszedł był z żoną i ze Stachami, puścił ich naprzód, a sam ostał przy ławkach, nie chciał już zabierać dawnego miejsca pomiędzy gospodarzami przed ołtarzem, właśnie się był rozglądał, gdzie by przysiąść, kiedy spostrzegł ojca wraz z całym domem, przepychali się środkiem, a Jagna szła na przdzie.

Usunął się pod świerk i już z niej oka nie spuścił, bo widna była z dała przez wzrost, siadła w ławce z brzega zaraz, przy przejściu – nawet nie myśląc o tym i nie wiedząc, cisnął się przez gęstwę uparcie, aż dostał się obok niej, a gdy podczas mszy przyklękali, uklęknął i tak się przychylił, że głową dotykał jej kolan.

Nie spostrzegła go od razu, bo stoczek, przy którym modliła się na książce, rozkręcał tak mdłe światło i gałęzie świerków tak przysłaniały, że nic pobok nie dojrzała, dopiero w czasie Podniesienia, gdy uklęknęła i bijąc się w piersi pochyliła głowę – spojrzała w bok bezwiednie zamarło jej serce, skamieniała z radości, nie śmiała się ruszyć, nie śmiała spojrzeć po raz drugi, bo snem się jej wydało to widzenie, majakiem, niczym więcej... Przywarła oczy i długo, długo klęczała pochyłona, zgięta do ziemi, nieprzytomna prawie ze wzruszenia... aż usiadła raptem i spojrzała mu prosto w twarz.

Tak, on ci to był, Antek, on, wymizerowany wielce, poczerniały, wynędzniały, że łącno nawet w tym mroku dojrzała, a te jego wielkie,

napastliwe i harde oczy tak się słodko patrzyły, a tak żalości były pełne, że ścisnęła się jej dusza trwogą i współczuciem, a łzy same napływały do oczów.

Siedziała sztywno jak i drugie kobiety, w książkę patrzyła, ale ani jednej litery nie rozeznała, ni kart nawet, nic, bo te jego oczy smutne, oczy żalodne, oczy parzące blaskami stały przed nią, jaśniały jak gwiazdy, świat cały przysłoniły, że zatraciła się całkiem, przepadła zgola – a on wciąż klęczał, słyszała jego krótki i gorący oddech i czuła tę moc słodką, tę moc straszną, jaka była od niego, szła jej prosto do serca, kępowała niby powrozami i przejmowała strachem a słodkością, dreszczem, od którego rozum odchodził, miłowania krzykiem tak potężnym, że trzęsa się w niej każda kosteczka, a serce tłukło się jako ten ptak, gdy mu dla swawoli skrzydła przybiją do ściany!...

Msza się odprawiła, kazanie było, druga msza przeszła, naród śpiewał spolem, modlił się, wzdychał, płakał – a oni byli jakby poza światem całym, nie słyszeli nic, nie widzieli nic i nie czuli nic prócz siebie.

Strach, radość, miłowanie, przypomnienia, obietnice, zaklęcia i pożądania paliły się w nich na przemian, szły z serca do serca, wiązały ze sobą, że jednakowo już czuli, jednakowo im serca biły, jednakim ogniem grały im oczy.

Antek przysunął się jeszcze bliżej, wsparł się ramieniem w jej biodro, aż ją przytomność odchodziła i rumieńce oblewały, a podczas gdy znowu przyklęknęła, szepnął jej gorącymi jak węgiel ustami w same ucho:

– Jaguś! Jaguś!

Wstrząsnęła się i omal nie padła ze wzruszenia, tak głos ten przeszył ją lubością, jako tym ostrzem przesłodkim, i radością.

– Wyjdź którego dnia za bróg... o każdym wieczorze czekał będę... nie bój się... pomówić mi z tobą pilno...wyjdź... – szeptał namiętnie i tak blisko, tak blisko, aż ją twarz paliła od jego oddechów...

Nie odpowiedziała, sił jej zbrakło, głos uwiązał w gardle, serce dygotało i tak biło, że chyba słyszeć musieli dokoła – ale uniosła się nieco, jakby już iść chciała tam... gdzie prosił... gdzie miłowaniem nakazywał... za bróg...

W czas jakoś gruchnęli pierwszą kołędę, kościół zatrzęsł się od śpiewów, że ona opamiętała się nieco i usiadła rozglądając się po ludziach i po kościele... Ale Antka już nie było, odsunął się nieznacznie i z wolna wycofał aż na cmentarz.

Długo stał na mrozie pod dzwonnica, rzeźwił się i nabierał powietrza, przytomniał... ale taka radość rozpierała mu serce, taki krzyk miał w sobie, taki wichur mocy, że nie słyszał śpiewu, jaki bił z drzwi kościelnych i szedł na świat, ni jakichś cichych, skamlących głosów, rozlegających się w dzwonnicy... Nic, o niczym nie wiedział, nabrał garść śniegu i połykał chciwie, a potem skoczył przez mur na drogę – i poniosł się jak wichur na pola.

ROZDZIAŁ 5

Borynowie dopiero na samym świtaniu powrócili z kościoła i ledwie w pacierz potem już cały dom chrapał, aż się rozlegało, tylko jedna Jagusia, choć była wielce utrudzona, nie zasnęła; próżno się wciskała w poduszki, próżno oczy przywierała i nawet pierzyną zasłaniała głowę nie pomogło, sen nie przychodził, a jeno jakby zmora zwała się na nią i na piersi padła takim ciężarem, że ani odetchnąć mogła, ni krzyknąć, ni się porwać z łóżka; leżała nieruchoma, w odrętwieniu takiego półsnu, półjawy, w którym rozum niczego nie rozeznaje, a ino sama dusza się wyprzedza ze wspominek, jak gdyby z kądzieli, i omotuje sobą świat cały, cudności różne patrzy, nad ziemiami się nosi, w słońce się ubiera – a tyła sama jest, co te odbicia na wodzie czystej a zwichrzzone... Tak było z Jagną, że chociaż nie zasnęła, a szeszło z jej pamięci wszystko i jako ten ptak niesła się duszą po cudeńkach – po onych dniach pogasłych, po czasach pomarłych, a we wspomnianiach jeno żywiących... w kościele się być czuła...Antek klęczał obok... mówił wciąż i parzył ją oczami, parzył ją słowami, przejmował słodką męką i strachem zarazem... to śpiew jakiś się rozlegał i organy huczały tak przenikliwie, aż każdą nutę z osobna czuła w sobie... to czerwona groźna twarz księdza się jej widziała i wyciągnięte nad narodem ręce... to światła... to potem inne, dawne wspominki przychodziły... spotykania się z nim... całunki... uściski... aż gorąc ją przenikał i taka lubość; że się przeżyła cisnąc mocno do poduszek... to znowu wyraźnie, głośno słyszała: „Wyjdz! Wyjdz!...” aż się podnosiła i jakby szła w sobie, szła... chyłkiem pod drzewami; we mrokach... a strach w niej dygotał, krzyk jakiś leciał za nią, przerażenie wiało z ciemności.

I tak wciąż w kółko, to jedno, to drugie, to dziesiąte przychodziło na nią, że się opamiętać ni wyrwać spod tego nie mogła – nic, tylko zmora musiała ją dusić albo zły nagabywał i do grzechu sposobił.

O dużym już dniu podniosła się z pościeli, ale czuła się jak z krzyża zdjęta, wszystkie kości ją bolały, blada była, roztrzęsiona i strasznie smutna.

Mróz był zelżał nieco, ale poczerniało jakoś na świecie, śnieg chwilami prószył, a czasem znów mocny wiatr powiewał, targał drzewami, że stawały w śnieżnej kurzawie, i po drogach prześwistywał, ale mimo to wieś huczała świąteczną radością, pełno ludzi snuło się po drogach, często saniami ktoś walił, to gromadami wystawiali w opłotkach poradzając, to odwiedzali się po sąsiedzku,

a dzieci całym stadem, kiej te żrebaki na paśniku, baraszkowały na stawie, aż na wieś całą roznosiły się wrzaski.

Ale Jagusi nie było w sercu wesoło ni drujko, nie!...Ziąb ją przejmował, chociaż ogień wesoło buzował na kominie, głucho jej jakoś było, mimo ciągłego gwaru i Józynych śpiewek, dzwoniących po chałupie, obcą się czuła w pośrodku swoich, tak obcą, że ze strachem patrzyła na nich i jakby wśród zbójów się czuła.

A często, nie mogąc się oprzeć, zasłuchiwała się w tych gorących szeptach Antkowych, co wciąż, z jednaką siłą dzwoniły w sercu...

– Gniew boski i potępienie wieczne na takie!” – twarz i wyciągnięte, groźące ręce widziała przed sobą.

Zalękła się srodze, struchlała w głębokim poczuciu winy. – Nie, nie wyjdę! Grzech by był śmiertelny, śmiertelny! – powtarzała krzepiąc się tym słowem i odzegnując od zła, ale dusza jej krzyczała w żalu i męce bo rwała się do niego, rwała całą mocą, całą potęgą życia, jak to drzewo przywalone zwałami rwie się o wiośnie do słońca, jak ta ziemia przęca się pod pierwszym tchnieniem ciepła...

Ale strach grzechu przeważał jeszcze, że zmogła się w sobie i usiłowała zapomnieć o nim, zapomnieć na zawsze....nie wychodziła z chałupy, bała się wychylić w opłotki; bo; może tam gdzie przyczajony czeka i zawoła na nią...a oprze mu się to wtedy, wstrzyma duszę, nie poleci za tym głosem?!...

Ostro się wzięła do gospodarstwa, cóż, kiedy nie było wiele do roboty, Józka już obrządziła wszystko, a do tego stary chodził za nią ciągiem i niczego się tknąć nie pozwalał.

– Odpocznij, nie narywaj się, by ci się przed czasem nie stało co złego.

To i nie robiła, a ino tłukła się po izbach bez celu, wyglądała na świat bez potrzeby, w ganku stawała, a coraz większa ckność ją przejmowała i rozdrażnienie zarazem, bo gniewały ją te stróżujące mężowe oczy, gniewała radość i gwar całego domu, gniewał nawet ten bociek łożący po izbie, że z rozmysłem potraçała go wełniakiem, aż nie mogąc już wytrzymać, a upatrzwszy sposobną chwilę pobiegła do matki, ale

stawem poleciała, na przelaj i jeszcze się trwożnie rozglądała, czy gdzie nie stoi za drzewem zaczajony!...

Matki nie było, rankiem pono zajrzała i powróciła do wójtowej, Jędrzych zaś dym puszczał w komin, a co trochę wybiegał przed dom patrzeć na drogę, bo Szymek przystrajał się w komorze.

Odmieniło się w niej, opadły wszystkie zgryzoty, skoro jeno poczuła się po dawnemu w swojej izbie, na starych śmieciach, poweselała całkiem i bezwiednie prawie zaczęła się krzątać, zajrzała do krów, przecedziła mleko, które od rana jeszcze stało w skopkach, rzuciła krom ziarna, zamietła izbę, uprzątnęła, co było potrza, i wesoło pogadywała z chłopakami, bo Szymek, wystrojony w nową kapotę, wyszedł był na izbę i przyczesywał się przed lusterkiem.

– Kędy się to szykujesz?

– A na wieś, u Płoszków zbierają się chłopaki.

– Da ci to matka iść, co?

– Pytał się ciegiem o przyzwolenstwo nie będę, swój rozum też mam i swoją wolę... i co mi się jeno uwidzi – zrobię!...

– Pewnikiem to robi, pewnikiem! – dogadywał Jędrzych trwożnie wyglądając na drogę.

– A żebyś wiedział, zrobię, na złość zrobię, do Płoszków pójdę, do karczmy pójdę, z chłopakami pił będę! – wykrzykiwał hardo.

– Daj głupiemu wolę, to jak ten cielak w cały świat się poniesie, choć mu ino do cycka iść potrza! – rzekła cicho nie przeciwiąc mu się w niczym, choć wygadywał na matkę i wygrażał się srodze, nawet mało wiele słyszała, bo ano wracać było potrzeba do domu, wracać, a jej tak było żal wychodzić stąd, że prawie z płaczem się podniosła i wolno a ciężko poszła.

A w domu gwarniej jeszcze było i weselej niżli przódzi. Nastka Gołębianka przyleciała i gziły się z Józką, aż na drodze było słyhać.

– Wiecie, a to moja różga zakwitła! – krzyknęła do chodzącej Jagny.

– Jaka różga?

– A tom ją ucięła w Jędrzejki, zasadziłam w piasek, trzymałam na piecu i zakwitła! Zaglądałam wczoraj, nie było jeszcze ani jednego kwiatuszka, a przez noc całkiem zakwitnęła, patrzcie!

Przyniosła ostrożnie garnczek wypełniony piaskiem, w którym tkwiła spora gałąź wiśniowa, obsypana delikatnym kwiatem.

– Trześnia, kwiatuszki różowe i pachnące! – szepnął Witek poważnie.

– A prawda, trześnia!

Obstąpili dokoła i z dziwną radością a podziwem poglądali na okwieconą, woniejącą gałąź, na to weszła Jagustynka, ale dzisiaj była już po dawnemu dufna w siebie, wrzaskliwa, harda i bacząca, aby ino dogryźć komu, a dobrze.

– Zakwitła różga, prawda, ale nie la ciebie, Józia, tobie jeszcze rzemień potrzebny abo i co twardsze! – rzekła zaraz na wstępie.

– A la mnie zakwitła, samam w noc Jędrzejkową ucieła, samam...

– Młódka jeszcze jesteś, to pewnie la Nastki ślub wróży! – tłumaczyła Jaguś.

– W ganczek wsadzałyśmy razem, ale sama ucinałam, to la mnie zakwitła!... – wrzeszczała i aż na płacz się jej zbierało, że nie przytwierdzają.

– Jeszcze ci czas ganiać za parobkami i wystawać na przełazach; starszym przódzi pora, starszym! – mówiła nie patrząc na nikogo, a uśmiechała się ku Nastce – cicho no, Józia. Wiecie, a to w nocy Magda od organistów zległa w kruchcie.

– Cudeńka prawicie! – Żeby to cudeńka, ale prawdziwą prawdę! Jambroży szedł dzwonić i nastąpił na nią...

– Mój Jezus! I nie przemarzła!

– Bogać ta nie, dziecko na śmierć zamarzło! a Magda ledwie zipie. Wzięli ją na plebanię i cucą jeszcze... a lepiej, żeby nie docucili... co jej za niewola żyć, co za dobro ją czeka: cierpienie ano i harowanie!

– Powiadał Mateusz, że jak ją organisty wypędziły przychodziła ciągiem do młyna i tam przesiadywała, ale potem Franek ją sprął i wygonił, pono z młynarzowego przykazu.

– Cóż to miał z nią zrobić, w ramki oprawić i na ścianie powiesić! Chłop on jest jak i drugie, przysięgał, jak sięgał, a dostał, zaprzestał! Juści, bez winy on nie jest, ale najwięcej winowate organisty! Póki zdrowa była to orali w nią kiej w te dwa woły, sama jedna robiła wszystko, a małe to gospodarstwo mają? Samych krów pięć, a dzieci-sków tyle, świń, gadziny, pola tyle! A jak zachorowała, tą ją wyгнаły, ścierwy nie ludzie!

– A po cóż się zadawała z Frankiem! – wykrzyknęła Nastka.

– To samo byś zrobiła nawet z Jaśkiem, byś ino wierzyła, że na zapowiedzi poniesie!

Zaperzyła się o to Nastka i jeła przegadywać, ale wszedł Boryna, więc obie przycichły.

– Wiecie o Magdzie! Już żywie, domacali się w niej ducha, Jambroży powiada, że jeszcze z pacierz, a już by pięty pokazała światu; Rocho trze ją jeszcze śniegiem i poi, ale pono lekować się będzie musiała długo.

– A gdzie się to podzieje biedota, gdzie?

– Chyba Kozły muszą ją wziąć do siebie, boć to ich krewniaczka!

– Kozły! Same tym ino żyją, co gdzie urwią, wycyganią albo i ukradną, to za co będą ją lekowali? Tyle gospodarzy we wsi, tyle bogaczy, a nikt z poratunkiem nie spieszy!

– Juści, gospodarze to mają studnie nieprzebrane, samo im z nieba leci, że ino rozdawać na wsze strony! Każdy ma dosyć swojego, co mu do obcych! Jeszcze by, żebym każdego, komu potrza, z drogi zbierał, do dom zwoził; jeść dawał, lekował i może jeszcze doctorów płacił! Stara jesteście, a w głowie wama przewiewa.

– Prawda, że musu nikt nie ma pomagać drugim, ale człowiek też nie bydle, żeby zdychał pode płotem.

– Takie już jest i będzie urządzenie na świecie, zmienicie to?

– Baczę, że dawniej przed wojną, jeszcze za pańskich czasów, był we wsi szpital dla biednych, w tym domu, gdzie teraz organista siedzi, dobrze baczę, iż z morga płacili.

Boryna się zniecierpliwił i nie chciał o tym mówić więcej:

– Gadanie nasze tyle zrobi, co umarłemu kadzenie zakończył chmurnie:

– Pewnie, że nie pomoże, pewnie! Kto nie ma serca miłosiernego la ludzkiego skrzybotu, temu i płakania są zbędne! Komu jest dobrze, temu się widzi, że wszystko się dzieje na świecie, jak przynależy, jak Pan Bóg przykazał!

Ale już na to Boryna się nie odezwał, wiec Jagustynka zwróciła się do Nastki:

– Jakże tam Mateuszowe boki, lepiej?

– Mateusz? Cóż mu się to stało?...

– Nie wiecie?.. – zawołała Nastka. – A to przed świętami jeszcze, we wtorek, widzi mi się, wasz Antek go pobił; za orzydle wziął, wyniósł z młynicy i tak ciepnął o płot, że cztery żerdki pękły, wpadł do wody i ledwie się nie utopił. Choruje teraz, krwią płuje, ruchać się nie może. Jambroży powiadają, że mu się macica przewróciła i cztery żebra pękły! A tak jęczy ciągiem, tak stęka!

Rozpłakała się.

Jagna porwała się na pierwsze słowa, jakby ją kto żgnął w same serce, bo zaraz jej przyszło do głowy, że to pewnie o nią, ale wnet przysiadła znowu na skrzyni i jęła przyciskać łypiące powieki do wiśniowych kwiatów a chłodzić...

Wszyscy u, domu byli zdumieni, bo o niczym nie wiedzieli, po całej wsi mówiono o tym od początku, a do Borynów nie doszło.

– Trafił swój na swego, zbój na zbója, nie ukrzywdzą się zanadto! – mruknął stary, ale zły być musiał, bo się namarszczył i jął dREWKA rzucać do komina.

– O co się pobili? – spytała później Jagna.

– O ciebie! – warknęła ze złością stara.

– Juści mówcie prawdę.

– Rzekłam! Mateusz się chwalił we młynie przed chłopami że często bywał u ciebie w komorze, Antek to posłyszał i pobił go! Jak te psy o sukę, tak się o ciebie zagryzają.

– Nie powiedajcie do śmiechu, bo mnie słuchać nieletko.

– Rozpytaj się na wsi, kiej mnie nie wierzysz, każdy ci to samo przytwierdzi, przeciech nie prawię, że Mateusz prawdę gadał, a ino, co mówił ludziom,..

– Cygan paskudny, cygan!

– Ochroni cię to chto od pleciuchów! i za grobem często nie darują.

– Dobrze, że go pobił, dobrze, jeszcze bym sama dołożyła! – syknęła zawzięcie.

– Widzisz ją, jak to kurczęciu pazury jastrzebieją.

– Za nieprawdę to bym zabiła zaraz! Cygan ścierwo!

– To samo wszystkim mówię, ino że nie wierzą i na zęby cię biorą.

– Jak im Antek przytnie ozory, to zmilkną!

– Hale, z całym światem zawiedzie wojnę o ciebie, co? – skrzywiła się złośliwie.

– A wy jak ten judasz, podpowiadacie swoje, a cieszycie się z cudzej biedy.

Jaguś srodze się rozeźliła, może pierwszy raz w życiu do tego stopnia, taka była zła na Mateusza, że gotowa była lecieć i drzeć go choćby tymi pazurami! Nie zniesłaby tej złości, gdyby nie wspominki o Antku i o jego dobroci!

Zalewała ją wielka czułość, niewypowiedziana wdzięczność gorzała w jej sercu, że ją obronił i okrzywdzić nie dał. Ale mimo to tak się ciskała po domu, tak o byle co krzyczała na Józkę i Witka, aż się stary zaniepokoił, przysiadł do niej, zaczął głąskać po twarzy i pytał:

– Co ci to, Jaguś, co?

– A cóż by, nic. Odsuńcie się, przy ludziach będą się umilali!

Odsunęła go szorstko.

– Hale, będzie ją głąskał i w pół jeszcze brał, dziadyga jakiś, nie-dojda! – myślała ze złością, bo pierwszy raz spostrzegła jego starość, pierwszy raz obudził się w niej wstręt do niego i głęboka niechęć, nienawiść prawie. Z przyczajoną a radosną wzgardą przyglądała mu się teraz, bo istotnie, w ostatnich czasach postarzał się mocno, powłóczył nogami, garbił się i ręce mu się trzęsły.

– Dziad ten, niezgula!

Otrząsnęła się z obrzydzenia i tym usilniej myślała o Antku, i już się nie broniła przed wspominkami, i nie uciekała od tych kuszących, słodkich szeptów!

A dzień się dłużył ogromnie, nie do wytrzymania, że co chwila wychodziła na ganek, to do sadu za dom i przez drzewa patrzyła na pola... albo wspierała się o chruściany płot, dzielący sad od drogi, biegnącej za wsią wzdłuż sadów i zabudowań, i tęskliwymi oczami leciała we świat, na białe, śnieżne pola, do borów ciemniejących, jeno że nic nie rozeznawała, tak ją całą przejmowała głęboka radość, że za nią się ujął i skrzywdzić nie dał!

– Taki dałby radę wszystkim? Mocarz ci on, mocarz! – myślała z tkliwością. Gdyby się zjawił teraz, w tym oczymgnienu! nie oparłaby mu się, nie!...

Bróg stał niedaleczko, zaraz za drogą, w polu nieco, wróble w nim świerkały i całymi bandami chroniły się do wielkiej dziury, jaka była wybrana w sianie; parobkowi nie chciało się włączyć i z wierzchu zrucać, choć tak Boryna przykazywał, to skubał se po ździebku, kłakami, aż i jamę wyskubał, że parę ludzi mogło się w niej pomieścić.

– Wyjdz! za bróg! Wyjdz! – powtarzała bezwiednie Antkową prośbę.

Uciekła do chałupy, bo zaczęli dzwonić na nieszpory, a jej się zachciało samej iść do kościoła, w głuchej, niejasnej nadziei, że go tam spotka.

Juści, że nie było go w kościele, ale za to spotkała się zaraz przy wejściu w kruchcie z Hanką, pochwaliła Boga wstrzymując rękę przed kropielnicą, by tamta pierwsza umaczała palce, Hanka zaś nie odrzekła pozdrowieniem i nie sięgnęła po wodę święconą, a przeszła mimo i tak ją uderzyła oczami jakby kamieniem.

Aż jej łzy stanęły w oczach z tego sprostowania i jawnej złości, ale siedziała w ławce i nie mogła oczów oderwać od jej zmizerowanej, bladej twarzy.

– Antkowa kobieta, a takie chuchro, taka mizerota, no, no! – snuło się jej po głowie, ale rychło zapomniała o niej, bo śpiewali na chórze i organy tak pięknie przegrywały, tak cicho a uroczyście, że się zatopiła całkiem w muzyce. Nigdy jeszcze nie było jej tak dobrze i słodko w kościele, przynigdy; nie modliła się nawet, książka leżała nie otwarta, różaniec tkwił w palcach nie zaczęty, a ona wzdychała ino, chodziła oczami po mrokach, z wolna płynących z okien, po obrazach, po skrzeniach światła i złocen, po tych farbach ledwie widnych i niesła się duszą w zaświaty, w te cudności i nieba obrazów, w przygasłe, cichnące dźwięki, w rozmodlone śpiewy, w święty spokój ekstazy i piła takie zapomnienie wszystkiego, że już nie baczyła, gdzie jest, jeno się jej widziało, że święci zstępują z obrazów, że idą ku niej z uśmiechem przenajśłodszym, że te błogosławiące ręce wyciągają się nad nią i dalej idą, nad całym narodem, aż się przychylił jako ten łan, a nad nim wieją szaty błękitne, szaty czerwone, spojrzenia miłosierne, grania niewypowiedziane, pieśni dziękczynne – że już i nie wypowiedzieć!

Ocknęła, gdy się nieszpory skończyły i umilkły organy, cisza ją zbudziła z tego sennego rozmarzenia, z żalem się podniosła i wychodziła z drugimi, ale przed kościołem znowu się spotkała z Hanką, która przystanęła na wprost, jakby chciała co rzec, ale ino spojrziała nienawistnie i poszła.

– Wytrzeszcza ślepie i myśli, że mnie tym nastraszy, głupia – pomyślała Jagna wróciwszy do domu.

Wieczór też już był zapadł, wieczór cichy, omdlały jakiś, świąteczny; mroczno było na świecie, światłości gwiazdne pomdlały w mętym niebie, że ino gdzieniegdzie tryskrał promień jaki, śnieg prószył, opadał z wolna, bez szelestu migotał za szybami i snuł się nieskończonym, kłaczkastym przedziwem.

W izbie było cicho również i nieco sennie, przyszedł Szymek zaraz z wieczora niby w odwiedziny, a głównie, by się z Nastką spotkać, siedzieli też w podłe i ciche wiedli rozmowy. Boryny jeszcze nie było. Jagustynka siedziała przed kominem obierając ziemniaki, a po drugiej stronie Pietrek przegrywał z cicha na skrzypicy, ale tak jakoś żałośliwie, że Łapa czasami skomlał i wył przeciągle. Witek też tam siedział z Józką, aż Jagna, którą rozbiierało to granie, krzyknęła przez drzwi:

– Przestań, Pietrek, a to się aż na płacz zbiera z tej muzyki!

– Ja to bym spała najlepiej przy graniu – zaśmiała się Jagustynka.

Ale skrzypki ucichły, dopiero po czasie jakimś ozwały się cichutką, ledwie słyszana nutą za stajni, bo tam się przeniósł Pietrek i długo w noc grał. Kolacja się też dogotowywała, gdy powrócił stary.

– A to wójtowa zległa, rwetes tam niemały, aż Dominikowa przepędza ludzi, tyła się naszło. Trzeba by ci, Jaguś, zajrzeć do niej jutro.

– A zaraz polecę, zaraz! – zawołała skwapliwie a w ogniach cała.

– Możesz i zaraz, pójdę z tobą.

– E... to już jutro może... powiadacie, że tyła tam narodu, wolę po dniu, śnieg pada, ćma!... – tłumaczyła zniechęcona nagle, a on i na to się zgodził i nie nastawał, ile że i weszła akuratnie kowalowa z dziećmi.

– A gdzież to twój?

– Zepsuła się młockarnia we Woli, to go pozwali, bo dworski kowal nie umie obie poradzić...

– Coś często teraz jeździ do dworu? – rzuciła znacząco Jagustynka.

– Przeszkadza to wama?

– Co by zaś, uważam ino, miarkuję i czekam, co z tego wyjdzie...

Ale na tym się skończyło, bo nikomu nie chciało, się wieść głupiej rozmowy la drugich, każdy pogadywał z cicha i leniwie, senność ogarniała wszystkich bez mała z wczorajszego niewywczasowania, że nawet kolację jedli bez smaku, a ino ten i ów z podziwem spoglądał na Jagusię, która gorączkowo uwijała się po izbie, zapraszała do jadła, choć już łyżki pokładli, buchała ni z tego, ni z owego śmiechem, to znowu przysiadła się do dziewczyn i rajcowała trzy po trzy, a nie dokończywszy leciała na drugą stronę, ale już z sieni nawracała z powrotem. Była w gorączce męczącej, bo pełnej obaw i niepokojów. Wieczór włókł się wolno, ociężale, sennie, a w niej rosła i wzmagala się nieustępliwie chęć wybieżenia za dom... do brogu... Ale nie mogła się zdecydować, bała się, że spostrzegą... bała się grzechu... powstrzymywała się całą mocą i dygotała z męki, skowyczała w niej dusza, jak ten pies na łańcuchu, rwało się serce... nie, nie mogła, nie mogła... a on może już tam stoi... czeka... wypatruje... może koło chałupy błądzi... może gdzie w sadzie przyczajony w okna zagląda i patrzy teraz na nią... i prosi... i truchleje z żalości, że nie wyszła... Polecą chyba, nie wytrzyma dłużej... ino na tę minutkę, na to jedno słowo, by mu rzec: idź, nie wyjdę, grzech... Już się za zapaską oglądała, już szła ku drzwiom... szła... ale cosik jakby ją ułapiło za kark i przytrzymało na miejscu... bała się... i Jagustynki oczy chodziły za nią w ślad, jak te psy

tropiące, Nastka też dziwnie spoglądała... stary również... Wiedzą co?... miarkują?... Nie, nie wyjdę dzisiaj, nie...

Zmogła się wreszcie, ale czuła się tak zmordowaną, że ani wiedziała, co się dzieje dokoła. Przecknęła dopiero, gdy Łapa zaczął szczekać przed domem; w izbie było prawie pusto, jedna Jagustynka drzemała pod kominem, a stary patrzył w okno, bo pies szczekał coraz zajadlej.

– Pewnie Antek, nie doczekał się i... – porwała się zestraszona.

Ale to stary Kłęb stanął we drzwiach, a za nim wchodzili wolno, otrzepując się i objając o próg buty ze śniegu – Winciorek, kulawy Grzela, Michał Caban, Franek Bylica, brat Hanczynego ojca, Walenty z krzywą gębą i Józek Wachnik...

Dziwował się tej procesji Boryna, ale juści, że pary z gęby nie puścił, na pozdrowienia odpowiadał, rękę podawał, siedzieć zapraszał, ławki podsuwał i tabaką częstował...

Usadzili się rzędem, tabakę ochotnie zażywali, ten kichnął, ów nos ucierał, tamten zaś oczy, bo tabaka była krzepka, jenszy rozglądał się po izbie, któren znów to jakie słowo rzucił, drugi zaś rozważnie i z namysłem odrzekł – tamten o śniegach prawił, kto z turbacjami wyjeżdżał, kto ino wzdychał a kiwaniem przytwierdzał – a wszystkie razem mądre dyskursu wiedli i z wolna prowadzili do tego, z czym przyszli...

Boryna się kręcił na ławie, w oczy im patrzył, za języki pociągał i z różnych stron zabiegał.

Nie dali się jednak wywieść; siedzieli w rząd, siwi wszyscy, wyschli, wygoleni, równiaki latami, czerstwi jeszcze; choć już starością i pracą przygięci do ziemi, niby te głazy polne omszali; surowi, twardzi, nieprzystępni a mądrali, to się strzegli wymówić przed czasem i kołowali po miedzach sprawy, jako te zmyślne psy owczarskie, kiedy chcą owce zagnać we wrota.

Aż w końcu Kłęb odchrząknął, splunął i rzekł uroczyście:

– Co tu marudzić i zwlekać; przyślim się dowiedzieć, czy trzymacie z nami?...

– Bez was stanować nie możemy...

– Boć pierwszym we wsi jesteście.

– A rozumu też wam Pan Jezus nie poskapił:

– I choć przez urzędu, a gromadzie przewodzicie....

– Kuźden się na was ogląda.

– Ile że o wszystkich krzywdę chodzi.

Powiedział każdy swoje, a przypochlebnie, że Boryna poczerwieniał, ręce rozłożył i zawołał:

- Ludzie kochane, kiej nie miarkuję, z czym przychodzicie?
 - A wedle naszego lasu, mają go rąbać po Trzech Królach!
 - Przeciech już na tartaku rzną jakieś drzewo.
 - Rzną żydowskie z Rudki, nie wiecie to?
 - Nie wiedziałem, czasu nie ma chodzić pomiędzy ludźmi i przepytować...
 - A samiście najpierwsi pomstowali na dziedzica...
 - Bom myślał, że nasze poręby sprzedał... A czyjeż to sprzedał, czyje? – zakrzyczał Caban.
 - Juści, że na przykupnym.
 - Sprzedał i na przykupnym, ale sprzedał i na Wilczych dołach i ma ciąć...
 - Bez naszego przyzwolenstwa ciął nie będzie.
 - Juści, drzewo już wycechowali, las rozmierzyl i po Trzech Królach rąbać zaczną.
 - Kiedy tak, trzeba jechać ze skargą do komisarza– rzekł Boryna po namyśle.
 - Od zasiewów do żniw nie każdy będzie żyw! – mruknął Caban.
 - A jak kto na śmierć chory, na nic mu i dochtory!– dodał Walenty z krzywą gębą.
 - Skarga tyle sprawi, że nim urząd zjedzie i zabroni, to już i pniaków nie ostanie po naszym lesie, a jak to było w Dębicy, baczycie?
 - Z dworem to jak z wilkiem, niech ino jedną owcę spróbuje, wnet całe stado wybierze.
 - Nie trza dać, by się znarowił!
 - Rzekliście mądre słowo, Macieju; jutro po kościele mają się gospodarze zebrać u mnie, by cosik postanowiła gromada, tośwa przyszli waju zaprosić na naradę.
 - Wszystkie przyjdą?...
 - Wszystkie, a zaraz po kościele...
 - Jutro... Cóż, kiej koniecznie muszę jutro jechać do Woli, prawdę mówię, dzielą się tam gospodarką krewniaki, a swarzą i procesują, obiecałem się rozsądzić, by się sierotom krzywda nie stała, jechać muszę, ale co postanowicie, to tak wezmę, jakbym uradzał społecem.
- Wyszli markotni nieco, bo chociaż wszystkiemu przytwierdzał i zgadzał się na wszystko, co mówili, dobrze poczuli, że z nimi szczerze nie trzyma.

– Hale, uradzajcie sobie, ale beze mnie! – myślał – wójt ni młynarz, ni co pierwsi nie pójdą z wami! Niech się dwór dowie, że nie nastaje na niego, prędzej zapłaci

za krowę... i będzie się chciał godzić z osobna...: Głupie!...do ostatniego chojaka pozwolić mu ciąć... a potem dopiero w krzyk, do sądów, areszt położyć, przycisnąć – dałby więcej niżli zgodą. Niech se radzą, poczekam na boku, nie pilno mi, nie!...

Dom już cały legł spać, a Maciej siedział, kredą na ławce pisał, liczył i długo w noc deliberował.

Nazajutrz zaraz po śniadaniu nakazał parobkowi rychtować sanie.

– Jakom wczoraj powiedział, pojedę do Woli, pilnuj tu domu, Jaguś, a jakby się kto dowiadywał, rozgłaszaj, że musiałem jechać, i do wójtowej zajrzyj.

– Późno to wrócić? – pytała z przyczajoną w sercu radością.

– Na odwieczrze, a może i później.

Przyodziewał się świętecznie, a ona zносиła mur z komory ubrania, wiązała wstążki u koszuli pod szyją, pomagała we wszystkim i z gorączkową niecierpliwością przynaglała Pietrka, by prędzej konie zakładał, trzęsła się cała. Nie mogła ustać na miejscu, radość w niej krzyczała, radość, że pojedzie na cały dzień, późno wróci, może dopiero w nocy, a ona zostanie sama i o zmroku – o zmroku wyjdzie za bróg... Wyjdzie! Hej! Rwała się już jej dusza do wylotu, śmiały się oczy, wyciągały ręce, prężyła pierś i ognie błyskawicami upalnymi chodziły po niej i słodką męka oblewały... Ale z nagłą, niespodziewanie chwycił ją dziwny lęk i ścisnął za serce, że zmiłkła, przycichła w sobie i jak błędna patrzyła za Boryną, gdy się okręcił w pas, nadział czapę i wydawał jakieś przykazania Witkowi.

– Weźcie mnie ze sobą! – szepnęła cicho.

– Hale. Któż w chałupie ostanie? – zdziwił się mocno.

– Weźcie mnie, święty Szczepan dzisiaj, roboty wiele nie ma, weźcie mnie, tak mi się markoci, weźcie! – prosiła tak gorąco, że chociaż się dziwował, ale się nie oparł przyzwolił.

W parę chwil już była gotowa i ruszyli zaraz sprzed domu ostro, z kopyta, aż sanie zamietły.

ROZDZIAŁ 6

- Myślałam, żeś gdzie w śniegach uwieźla! – szepnął przekaśliwie.
- Hale, można to przyspieszyć na taką wieję, po omacku szłam całym, bo tak ciepie śniegiem, że oczów nie można ozewrzeć, a takie zaspy na drogach, taki mął, że i na dwa kroki nic nie rozezna przed się.
- Matka w chałupie?
- A juści, gdzie by ta szli na taki psi czas; rano byli u Kozłów, ale z Magdą jest krucho, na księżą oborę patrzy, to i nic poradzić nie poradzili – opowiadała Jagna otrzepując się ze śniegu.
- Cóż tam na wsi? – zagadnął naśmieszliwie.
- Idźcie pytać, to wiedzieć będziecie, po nowinki nie latałam!
- Dziedzic przejechał, nie wiesz to?
- Psu wytrzymać trudno na takiej wiejbie, a dziedzicowi by się tam chciało...
- Kogo mus pędzi, ten i na zakurki patrzył nie będzie...
- Pewnie, jak komu mus... – uśmiechnęła się wąpiąco.
- Sam się obiecał, nikto go nie prosił – powiedział Boryna surowo, odłożył ośnik, wstał z kobylicy i podszedł do okna wyjrzeć, ale na świecie była taka kurzawa, tak kotłowało, że ni płotów, ni drzewin widać nie było.
- Widzi mi się, że śnieg już nie sypie – powiedział łagodniej.
- A nie, kręci ino, rwie, zamiata i tak kurzy, tak ciepie, że drogi nie rozezna – rzekła Jagna, rozgrzała ręce i wzięła się do motania nici z wrzecion na motowidło, stary zaś powrócił do roboty, ale coraz niecierpliwiej spoglądał w okno i nasłuchiwał.
- Gdzie to Józka? – spytał po chwili.
- Pewnikiem u Nastki, ciągiem tam przesiaduje.
- Lofer dzieucha, że tego pacierza w chałupie nie usiedzi.
- A bo jej się cni, powiada.
- Ale, zabawy se będzie szukała.
- Tak powiada, by ino się od roboty wykręcić.
- Nie możesz to przykazać?

– Juści, raz to mówiłam abo dwa, pysk na mnie wywarła jak na tego psa, jak wy jej nie przykróćcie, to ona ma gdzieś moje przykazy.

Ale stary puścił mimo uszów te skargi, bo coraz niecierpliwiej nasłuchiwał, cóż kiej żaden głos ludzki nie dochodził ze dworu, wichura ino wyła, przewalała się po świecie, biła niby barami w ściany, aż dom trzeszczał i pojękiwał.

– Pójdziecie to? – spytała cicho.

Nie odrzekł, bo dosłyszał otwieranie drzwi od sieni, jakoż w tej chwili wpadł zziąjany Witek i krzyknął z progu:

– Dziedzic już przejechał!

– Dawno? Przywieraj drzwi prędko.

– A dyc jeszcze słyhać brzękadła!

– Samjechał?

– Kiej takie zakurki, żem ino konie rozeznał.

– Bieżyj w ten mig i dowiedz się, gdzie stanął!

– Pójdziecie do niego? – zapytała cicho, z tchem przytajonym.

– Poczekam, aż zawołają mnie, napraszał się nie będę, ale beze mnie przeciech nic nie uradzą...

Umilkli oboje, Jagna motała licząc nici i przewiązując je w pasma, a stary, że mu robota leciała z rąk z niecierpliwości, rzucił wszystko i zaczął się przybierać do wyjścia, nim jednak skończył, przyleciał Witek.

– Dziedzic siedzą u młynarza w izbie ode drogi, a konie stoją w podwórzu.

– Cóżes się tak utytłal?

– A bo mię wiater przewrócił w zaspę...

– Pewnie, dobrześ się musiał z chłopakami za łapy po śniegu wodzić!...

– Wiater mię obalił...

– Drzyj obleczenie, drzyj, jak się, jucho, rzemieniem pogrzeję, to zapamiętasz.

– Kiej prawdę mówię... tak wieje, tak ciepie, że ustoic trudno...

– Puść komin, w nocy się dość wygrzejesz, powiedz Pietrkowi, niech się do młocki weźmie, pomóż mu, nie ganiaj po wsi jak ten psiak z wywieszonym ozorem.

– Idę, ino jeszcze drewek przyniesę, bo gospodyni kazała... – szeptał żałośnie i markotnie, że nie mógł opowiadać, co widział na wsi, zakręcił się po izbie, gwizdnął na Łapę, ale pies zwinął się w kłębek i ani chciał słyhać, więc sam poszedł, Boryna zaś, ubrany do wyjścia, łąził

z kąta w kąt, poprawiał w kominie, zachodził do stodoły, to oknem wyglądał, to przed dom wychodził i coraz niecierpliwiej czekał, ale nikt po niego nie przychodził.

- Może zapomnieli... – zauważyła Jaguś.
- Jakże, o mnie by zapomnieli...
- Bo wy kowalowi wierzycie, a on cygan najpierwszy...
- Głupiaś, nie powiadaj, na czym się nie rozumiesz...

Zamilkła obrażona, próżno zagadywał łagodnymi słowy, aż w końcu sam się zeźlił, nadział czapę i z trzaskiem poszedł. Jaguś narządziła kądziel, przysiadła się pod okno i przędła spoglądając od czasu do czasu w śnieżyce, srożącą się za oknem.

Wiatr huczał przeraźliwie, śnieżne tumany kłębam jak domy albo jak te drzewa wielgachne, rozstrzępione taczały się po świetle i raz po raz biły w chałupę, aż wszystko w izbie dygotało, szczękały miski postawiane w szafce i kolebały się u pułapu opłatkowe światełki. Zimno przejmujące, wiejne tak ciągnęło od okien i drzwi, że Łapa wciąż szukał cieplejszego legowiska, a Jagna przyokryła się w zapaszkę.

Witek wsunął się cicho i rzekł nieśmiało:

- Gospodyni!
- Czego?
- Wiecie, a to dziedzice w ogiery przyjechał. Cuganty kiej hamany, kare całkiem, w siatkach czerwonych, z piórami na łbach, a brzękadła na pasach to lśniły się od złota kiej te obrazy w kościele! A jak szły, to niczym ten wiaterek!
- Nie dziwota, dworskie przecież, nie chłopskie!
- Jezus, jeszcze takich smoków nie widział!
- Jeszcze by, nic nie robią i na czystym owsie stoją!
- Pewnie, że tak, ale żeby naszą źrebicę wypaść, ogon jej obciąć, grzywę zapleść i sprząc z wójtową siwką, toby tak samo rwały, co? gospodyni...

Pies się zerwał nagle, nastroszył i zaczął szczeleć.

- Wyrzyj no, ktosik jest w ganku.

Ale nim zdążył, jakiś obwalony śniegiem człowiek stanął w progu, pochwalil Boga, otrzepywał czapkę o buty i rozglądał się po izbie.

- Pozwólcie się ogrzać i wytchnąć nieco! – rzekł prosząco.
- Siadajcie, Witek, przyrzuc na ogień – zarządziła zmieszana.

Nieznajomy siadł przed kominem, ogrzał się nieco i zapalił fajkę.

- Borynowy to dom, Macieja Boryny? – zagadnął odczytując z papierka.

– Juści, Borynowy – przytwierdziła ze strachem, bo się jej uwidziało, że to jakiś z urzędu.

– Ojciec w domu?

– Mój poszli na wieś.

– Poczekam, pozwólcie, że posiedzę przed ogniem, przemarzłem.

– A siedźcie, przeciech ławki ni ognia nie ubędzie.

Nieznajomy zdjął kozuch, ale snadź zimno mu było, bo wstrząsał się cały, zacierał ręce i coraz bliżej przysuwał się do ognia.

– Ciężka zima latoś – szepnął.

– Pewnie; że nie letka. A może mleka zgotować na rozgrzewkę?

– Dziękuję, gdybyście mieli herbatę!...

– Była ci, była, jeszcze jesienią, kiej mój chorzał na brzuch, przywiezłam z miasta, ale wyszła, a nie wiem, u kogo by na wsi znalazł...

– A dobrodziej pono cięgiem arbatę piją – wtrącił Witek.

– Nie potrzeba, nie, herbatę mam ze sobą, zagotujcie mi tylko wody...

– Wrzątku niby!

Przystawiła garnczek z wodą do ognia i siadła z powrotem do kądzieli, ale nie przedła, tyła co czasem furknęła wrzecionem dla niepoznaki i spozierała na niego pilnie, pełna głuchego niepokoju i ciekawości: co za jeden, czego chce, może z urzędu, po jakim spisie, bo cięgiem zaglądał do książeczki?... Ubiór też miał prawie pański, szary z zielonym, jaki to noszą strzelcy dworscy! a to znowu kozuch chłopski i czapkę też! Cudak ci jakiś abo ten obieżyświat! A może i co drugie! Rozmyślała porozumiewając się oczami z Witkiem, którego niby podkładał na ogień, a głównie rozglądał nieznajomego i mocno się dziwował, że ten cmoknął na Łapę.

– Ugryzie, pies zły! – szepnął mimo woli.

– Nie bój się, mnie psy nie gryzą – uśmiechnął się dziwnie i gładził tulący mu się do kolan psi łeb.

Przyszła wkrótce Józka, a za nią zaraz zajrzała Wawrzonowa, to któryś z sąsiadów, bo się już było rozniesło w sąsiedztwie, że jakiś obcy siedzi u Borynow.

A on wciąż się nagrzewał nie bacząc na ludzi ni ich szepty i uwagi, dopiero gdy się woda zagotowała, wydobył z jakiegoś papierka herbatę, zasypał, sam sobie wziął z półki biały garnuszek, nalał wrzątku i przegryzając kawałkiem cukru, popijał i chodził po izbie, a przyglądał się obrazom, sprzętom, to stawał na środku i tak przenikliwie spoglądał w oczy, że ludziom miętko robiło się w dołku.

– Kto to lepił? – wskazał na światy wiszące u sufitu.

– To ja! – pisknęła rozczzerwieniona Józka.

Chodził znowu długo, a Łapa krok w krok za nim.

– Kto tak wymalował? – zawołał zdumiony przystając przed wycinkami, jakie były nalepione na ramach obrazów, a gdzieś i wprost na ścianie.

– Kiej to nie malowane, ino wystrzyżone z papierów!

– Nie może być! – wykrzyknął.

– Samam strzygła, to juści, wiem!

– I samiście to wymyślili, co?

– Sama, a dyć każde dziecko we wsi to potrafi.

Umilkł znowu, nalał sobie drugi raz herbaty, usiadł przed kominem i z dobre parę pacierzy nie rzekł ani słowa.

Ludzie się porozchodzili, bo wieczór nadchodził i zamieć się uciśzała, że ino czasami zrywał się jeszcze ostry wichur, zakręcał, mącił i bił w chałupy, ale coraz rzadziej i słabiej się trzepotał, niby ten ptak wyzbyty z sił dalekim lotem.

Jagna też w końcu odstawiała kądziel i wzięła się do wieczorowych obrządków.

– Służył u was Jakub Socha? – zagadnął nieznajomy.

– Niby Kuba! Juści, że służył, ale się pomarło chudziakowi jeszcze na jesieni.

– Mówił mi ksiądz o tym. Mój Boże, szukałem go od lata po wszystkich wsiach okólnych i znalazłem po śmierci...

– Naszego Kuby szukaliście? – zawołał Witek wzruszony.

– A to pan muszą być dziedzicowym bratem z Woli?

– Skądże mnie znacie?

– Powiedali nieraz ludzie, że dziedzicowy brat wrócił z dalekich krajów i szuka po wsiach jakiegoś Kuby, ale nikto nie miarkował którego.

– Sochy, dopiero dzisiaj się dowiedziałem, że służył u was i że umarł.

– Postrzelili go, krew go uszła i pomarł, pomarł! – wołał Witek przez łązy.

– Długo był u was?

– A zawsze, jak ino pamięcią sięgnę, to zawsze służył u Borynów.

– Poczciwy był podobno? – pytał nieśmiało.

– I jak jeszcze, cała wieś może przyświadczyć, wszyscy, nawet dobrodziej płakali na pochówku i nic nie wzięli za nabożeństwo.

– A mnie pacierza uczył i strzylać uczył, i kiej rodzony ociec opiekę trzymał nade mną! I po dziesiątku czasem dawał i... – wybuchnął płaczem na przypomnienie.

– A pobożny był, cichy, pracowity parobek, że nieraz dobrodziej sam go chwalił...

– Na waszym cmentarzu pochowany?

– Zaśby indziej?

– Ja wiem gdzie, pokażę. Jambroży mu krzyż postawił, a Rocho wypisał na deseczce wszystko, że choć zawiane śniegiem, trafię i doprowadzę! – zawołał Witek.

– A to zaraz pójdźmy, aby przed nocą zdążyć.

Nieznajomy odział się w kożuch i przez długą chwilę stał na środku izby, gdzieś przed się zapatrzony. Stary już był, przygarbiony nieco, siwy, suchy jak wiór; twarz miał poradloną i ziemistą, dziurę w prawym policzku, stary ślad od kuli, a czerwoną, długą krychę nad okiem, nos długi, krzaczastą, rzadką bródkę i ciemne oczy, głęboko wpadnięte i jarzące mocno; fajki z zębów nie popuszczał ani na chwilę i ciągiem ją zapalał. Poruszył się wreszcie i chciał jakieś pieniądze dać Jagusi, ale cofnęła ręce za siebie i poczerwieniała

– Weźcie, za darmo nic na świecie nie dają...

– Hale, we świecie może taka moda. Żyd to jestem albo ten handlarz, co za wodę i ogień każe sobie płacić! – szepnęła obrażona.

– Bóg wam zapłać za gościnność! Powiedzcie waszemu, że był Jacek z Woli. Przypomni mnie sobie, zajrzę tu jeszcze do was kiedy, teraz mi pilno, bo noc nadchodzi; ostajcie z Bogiem.

– Panu Bogu oddajem!

Chciała go pocałować w rękę, ale wyrwał się i żwawo ruszył z chałupy.

Na ziemię, sypał się pierwszy, ledwie dojrzany mrok, wicher ustał, jeno z zasp, co goblami leżały w poprzek drogi, kurzył suchy, miałki śnieg, kieby kto pytle wytrzepywał z mąki, ale ino dołem szła mątwa i kurniawa, bo górą już było przycichło, że domy i sady wychyliły się na jaśnię i stały widne w omdlałym, sinawym tumanie mroczenia.

A wieś jakby przecknęła z odrętwienia, zaroiły się drogi, zawrzały głosami opłotki, gdzieniegdzie brali się do odwalania śniegów sprzed chałup, rąbali w stawie przeręble, nosili wodę, wywierali wrótnie do stodoł, że bicie cepów donośniej rozlegało się po drogach, gdzieniegdzie już i sanie z trudem torowały sobie drogę, nawet wrony pokazały się w obejściach, co było niechybnym znakiem, że szło na odmianę.

Pan Jacek rozglądał się ciekawie dokoła, czasem pytał o ludzi spotykanych, to o chałupy, a szedł tak rażno, że Witek ledwie nadażył, ino Łapa biegł przodem i wyszczekiwał radośnie.

Przed kościołem piętrzyły się tak srogie zasy, że całkiem ogrodzenie przywały i prawie po gałęzie drzew sięgały, musieli obchodzić drugą stroną pobok plebanii, naprzeciw której cała hurma chłopaków ganiała się z wrzaskiem i biła śniegiem, a że Łapa szczekał na nich, chycił go któryś za grzbiet i rzucił w puszystą, dymiącą jeszcze zaspę. Witek skoczył na ratunek, ale i jemu dostało się niezgorzej pecynami, że ledwie się wygramolił, coś niecoś oddał i poleciał chybcikiem, bo pan Jacek nie czekał.

Ledwie się przekopali na cmentarz, a i tam śniegu, było na dobrego chłopa, tyła że ino ramiona krzyżów czerniały się nad groblami i garbami śniegów; miejsce zaś było nieco otwarte, to wiatr jeszcze przeciągał czasami i kurzawa raz po raz przysłaniała wszystko mgławicą, że ino drzewa nagie targwały się w niej i majaczyły pniami. Pola zaś naokół zasnuwane były bielmem, ośleple zgoła i sine mrocnością, że nic nie rozszedł ni drzew, ni kamionek, ni borów – jeno tuż za smętarem, na dróżce zasypanej ciągnęło kilkanaścioro ludzi, ciężko obrzemienionych i przygiętych do ziemi, kurzawa ich przysłaniała co trochę, że przepadali całkiem, ale gdy się przyciszyło, coraz bliżej czerwieniały wełniaki kobiet i widni byli pojedynczo.

– Co to za ludzie, z jarmarku wracają?

– Hale, komorniki, po drzewo chodzili do lasu.

– I na plecach je noszą?

– A juści, koni nie mają, to muszą na plecach dygować.

– Dużo takich we wsi?

– Przeciech niemało. Ino gospodarze mają gronta, a insze na komornym siedzą i na wyrobki chodzą abo do służby się godzą.

– I często po drzewo chodzą, co?

– A raz w tydzień dwór pozwala każdemu przychodzić z kulką, bo co se suszu obłamie a zbierze w płachtę i udźwignie, to jego, ino gospodarze mają prawo z wozem jeździć i z siekierą do lasu... Myśwa z Kubą jeździli ciągiem i nie raz jeden z dobrą duszą we wozie wracali... bo Kuba umieli tak ściąć jakiego grabka i schować pod gałęzie, że ani borowy poznał! – zawołał z dumą.

– Długo Kuba chorował? Opowiedz wszystko.

Juści, że Witek prosić się nie dał i opowiedział, co ino wiedział. Pan Jacek przerywał mu pytaniami, przystawał aż z gorącości, rozkła-

dał ręce, cosik w głos wołał, ale chłopak nie wymiarkował, o co mu szło i dlaczego się tak dziwował, bo po prawdzie nie baczył dobrze, strach go zdziebko przejmował, że to już mrocząło i cały smętarz jakoby się w śmiertelne głoś przyodziewał i różnymi głosami gadał, więc biegł przodem i zestrachanymi oczami wypatrywał Kubowego krzyża; odnalazł go wreszcie, stał pod samym parkanem, wpodłe tych rozwianych mogiłek pobitych na wojnie, przy których modlił się w Zaduszki.

– A dyć tutaj, na krzyzie stoi wypisane: Jakub Socha! – przesyłabizował wodząc palcem po białych, wielkich literach. – To Rocho wypisali, a krzyż sporządził Jambroży!

Pan Jacek dał mu dwie złotówki i kazał spiesznie wracać do domu. Chłopak w dyrdy uciekał, a ino jeden raz się odwrócił, by gwizdnąć na Łapę i spojrzeć, co tamten robi.

– Jezus! Dziedzicowy brat, a klęczy przy Kubowym grobie! – szepnął zdumiony, ale że mrok zapadał i przygięte drzewa trzęsły się jakoś strasznie, strach go przejął taki, że galopem i na przelaj poleciał do wsi. Dopiero koło kościoła się zatrzymał, by złapać nieco powietrza i popatrzeć na pieniądze, trzymane mocno w garści, pies go też właśnie dopędził, że wracali już razem i wolno do chałupy.

A koło stawu natknął się na Antka, wracającego z roboty, pies się rzucił do niego przyłaskać, szczekać i skomleć radośnie, aż go Antek jął głaskać.

– Dobry pies, pocziwy, dobry! Skąd to wracasz, Witek?

Witek opowiedział wszystko, juści, że o pieniądzach nie rzekł.

– Zajrzałyś do dzieci kiedy.

– Przyletę, przyletę, nawet la Pietrusia zrobiłem wózik i jednego cudaka...

– Przynieś go, naści dziesiątkę, byś nie zabaczył!

– A to chybcikiem przylecę, obaczę ino, czy gospodarz nie przyszłi...

– Nie ma ich to w domu? – rzekł niby obojętnie, ale aż zadygotał.

– A u młynarza radzą cosik z dziedzicem i z drugimi!

– Gospodyni w domu? – zapytał ciszej.

– W domu, obrządzają. To ino obaczę i zaraz przylecę...

– Przychodź, przychodź! – szepnął, chciał go pytać, dowiadywać się, ale nie śmiał, ludzie się kręcili dokoła, choć już mrocząło, a przy tym chłopak głupi, wygadałby jeszcze, rozgłosił... Poszedł prędko ku domowi, ale przed kościołem rozejrzał się uważnie, czy kto nie patrzy, i skręcił w bok, na dróżkę biegnącą za stodołami.

Witek zaś pobiegł do chałupy.

Boryny jeszcze nie było, w izbie panował mrok, bo ino na kominie zarzyły się główne. Jagna zwijała się koło obrządków wieczornych, ale zła była, gdyż Józka znowu gdzieś przepadła, a roboty było tyla, że nie wiada, za którą przodzi się imać! Nie słuchała nawet opowiadań Witka, dopiero gdy wspomniał o Antku, przystanąła nagle i nadstawiła uszów...

- Nie powiadaj nikomu, że ci dał dziesiątkę.
- Kiej przykazujecie, to i pary nie puszcze.
- Naści drugą, a zapamiętaj sobie. Do domu poszedł?...

Nie, nie czekała już jego odpowiedzi, porwała się z miejsca nagle, jakby ze strachem wybiegła na ganek i zaczęła wołać Pietrka, a zalek-nionym i czatującym wzrokiem przebiegała sad i opłotki. Nawet za szopę pod bróg zajrzała, nie było nikogo... Uspokoila się wnet, ale ją taka markotność rozebrała, że zaczęła krzyczeć na Józkę i pędzać ją, by rychlej szykowała krowom picie, a wymawiać, że się ciągle po chałupach włóczy i nic nie robi, juści, że dzieucha też nie zmilkła, harda była, pyskata i zawzięta, to się ząb za ząb kłóciła.

– Pyskuj, pyskuj, ociec przyjdą, to cię wnet rzemieniem przycisną!
– pogroziła Jagna zapalając lampę i biorąc się znów do przedzenia, nie odpowiadała już na mamroty Józczyne, bo się jej wydało, że ktoś chodzi za szczytowym oknem...

– Witek, wyjrzyj no, musiał prosiak wyleźć z chlewa i chodzi tam ano po sadzie.

Ale Witek upewniał, że zagnał wszystkie i przymknał drzwi, Józka poszła na drugą stronę i wynosiła z Pietrkiem cebratki z piciem dla krów, a potem przyleciała po skopki do dojenia.

– Sama wydoję, odpocznij se, kiedyś się tak spracowała!
– A dójcie sami, znowu z połowę mleka ostawicie w wymionach! – dogryzała Józka.

– Zawrzyj gębę! – wrzasnęła rozgniewana, wdziwała trepy, podkasała wełniaka, zabrała szkopki i poszła do obory.

Wieczór już był zapadł, wiatr ustał, kurzawa się uciszyła, ale niebo wisiało czarne, bezgwiezdne, wezbrane chmurzyskami, niskie; śniegi szarzały posepnie, jakaś żalosna, zmęczona cichość przygniatała świat, żaden głos ze wsi nie dochodził, a jeno gdzieś od kuźni szło dalekie, głucho bicie młotów.

W oborze było ciemno i duszno, krowy chlipały picie i głośno szorowały ozorami dna cebratek, a raz w raz postękiwały ciężko.

Jagna znalazła po omacku stołek, przysiadła się pod pierwszą z brzegu, namacała wymiona, wytarła je zapaską i wsparłszy głowę o kałdun krowi zaczęła doić.

Cichość ją ogarnęła, że by najlżejszy szelest słyszała wyraźnie; mleko siurkało raz po razie do szkopka, ze stajni dochodziły końskie tupania, to od chałupy szły przytłumione a jazgotliwe rozprawy Józki.

– Rajcuje, a ziemniaków nie obiera! – mruknęła i zmilknęła nagle nasłuchując, bo śnieg zaskrzypiał na podwórzu, jakby kto szedł z prawej strony od szopy, snadź wolno... przystawał nawet... bo przyciszało się na mgnienie... znowu szedł... śnieg trzeszczał coraz bliżej... oderwała głowę i spojrzała w szary otwór drzwi... Zamajaczyła w nim jakaś niewyraźna postać...

– Pietrek!... – zawołała.

– Cicho, Jaguś, cicho!

– Antek!

Struchlała całkiem i tak ją wszelka moc odeszła, że nie wykrztusiła ni słowa więcej, ruszyć się nie mogła, pomyśleć nie umiała, ciągnęła bezwiednie za wymiona jeno, że mleko strzykało na wełniak i na ziemię. Gorąc ją objął i kieby płomień palący wichrem wiał po niej, błyskawicami migotał w oczach a słodkością serce rozpierał; a tak ją cosik ułapiło za grdykę i zatkało piersi, że dziw nie padła umarłą...

– Od samych Godów czatowałem na ciebie, co dnia, w każdy wieczór warowałem jak pies pod brogiem, nie wyszłaś!... – szeptał.

A ten głos zduszony, namiętny, zapiekły mocą kochania, nabrzmiały lubością, warem ją oblewał, ogniami, słodkością, krzykiem potęgi... Stał na wprost, czuła, że się wsparł na krowie, pochylił i patrzył w nią tak z bliska, aż jego gorący oddech palił ją w głowę.

– Nie bój się, Jaguś! Nikto nie widział, nie bojąc się. A jużem nie zdzierzył, nie poradzę, a to i w dzień, i w nocy, i w każdy czas, ciągiem stoisz przede mną, na oczach mi wisisz. Jaguś, nic mi to nie powiesz?

– Cóż ci to rzeknę, co? – szepnęła rozpląkanym głosem.

Zmilkli oboje. Zabrakło im głosu, wzruszenie ich dławilo i ta bliskość, ta upragniona samotność, ta noc niemocą się na nich zwała, ciężarem słodkim, ale i dziwnym lękiem! Rwali się do siebie, a teraz i tego słowa rzec było trudno i ciężko, pożądali się nawzajem, a i ręki do się wyciągnąć było niepodobna – milczeli.

Krowa głośno chlipała picie i tak chlastała ogonem po bokach, że raz po raz zacinała go w twarz, aż go przytrzymał mocno, przechylił się barzej przez kłęby i szepnął znowu:

– Ani śpię, ani jem, ani robić mogę bez ciebie, Jaguś, bez ciebie...

– A mnie też nieletko, nie...

– Myślałaś to kiej o mnie, Jaguś, myślałaś?...

– Mogłam to nie myśleć, kiej mi ciągiem do głowy przychodzisz, ciągiem, że już rady nijakiej dać sobie nie mogę. Prawda to, żeś o mnie pobił Mateusza?

– Prawda. Cyganił o tobie, tom mu pysk stulił, a każdemu zrobię to samo!

Drzwi trzasnęły od chałupy i ktosik prędko leciał przez podwórze, prosto do obory, że Antek ledwie zdążył skoczyć do żłobów i tam przywarować.

– A to Józia kazała przynieść cebratki, bo świniom trza żarcie narządzać.

– Weź obie, weź! – ledwie wykrztusiła.

– Kiej łysula nie wypila jeszcze, potem przyletę.

Witek pędem poleciał, słyhać było, jak znowu drzwi trzasnęły, dopiero Antek się wysunął z ukrycia.

– Wróci ścierwa... pójdę pod bróg, zaczekam... wyjdziesz, Jaguś?

– Bojam się...

– Przyjdź, choćby godzinę abo i dwie, a czekał będę, przyjdź!... – błagał.

Przysunął się z tyłu, bo wciąż siedziała przy krowie, objął ją potężnie przez piersi, przechylił głowę w tył i wpił się tak mocno wargami w jej usta, że straciła oddech, opadły jej ręce, skopek poleciał na ziemię, straciła przytomność, ale prężyła się coraz mocniej i tak zapamiętała cisnęła się ustami do jego ust, że zwarli się na śmierć, padli w siebie i przez długą chwilę trwali w takim szalonym, dzikim, bezprzytomnym pocałunku.

Oderwał się wreszcie i chyłkiem wybiegł z obory.

Zerwała się wreszcie, aby doń skoczyć, ale już cieniem mignął na progu i przepadł w nocy. Nie było go, jeno ten cichy, palący szept grał w niej tak mocno, a tak nakazująco, że się ze zdumieniem rozglądała po oborze... Juści, nie było nikogój; krowy jeno przeżuwały paszę i chlastały ogonami. Wyrzała w podwórze, noc stała za progiem nieprzeniknionymi mrokami, cisza gnietła świat, tyła co te kucia młotów pobrząkiwały w dalekościach... A był przeciech, był... stał przy niej,

obejmował ją, całował... jeszcze usta pałą, jeszcze ognie chodzą po niej błyskawicami, a w sercu wzbiera taki krzyk radości, że nie wypowiedzieć! Jezus, mój Jezus! Poderwało ją cosik i niesło, że choćby w cały świat, zaraz, w ten mig, a poszłaby tam, z nim!... Jantoś! – krzyknęła bezwiednie i dopiero własny głos oprzytomnił ją nieco. Zwijiała się z dojeniem ze wszystkich sił, ale była tak roztrzęsiona, że często pod przodkami krów szukała wymion, i tak roztkliwiona szczęściem, że dopiero idąc do chałupy, na mrozie poczuła, że ma twarz mokrą od płaczu. Zanieśła mleko, ale zapomniała je precedzić, pobiegła na drugą stronę, bo dosłyszała głos Nastki, nic jej nie rzekła i powróciła, przystrajała się przed lusterkiem, to jeszcze polan dorzuciła na ogień, to rozmyślała, że ma coś pilnego zrobić... cóż, kiej nie mogła sobie niczego przypomnieć, niczego... bo ino to stało jej w myślach, że Antek czeka pod brogiem, czeka... Pokręciła się jeszcze błędnie po izbie, okryła się zapaską i poszła.

Przesunęła się cicho koło okien i poszła szczytową ścianą do wąskiego przejścia między sadem a szopą, nakrytego niby dachem obwisłymi pod śniegiem gałęziami, że musiała się przychyłać.

Antek czaił się przy przelazie, skoczył do niej jak wilk, przeniósł ją prawie i pociągnął pod bróg, stojący zaraz za drogą.

Ale nie wiedło się im całkiem dnia tego, bo tyła co wleźli w bróg, co się tam zwarli w całunkach, rozległ się ostry, donośny głos Boryny.

– Jaguś! Jaguś!...

Kieby piorun w nich trzasnął, tak się roznieśli, Antek skoczył w bok i chyłkiem pod ogrodami rwał, a Jagna pobiegła w podwórze, nie bacząc, że gałęzie zdarły jej zapaskę z głowy i całą obsypały kurzawą. Przetarła twarz śniegiem, nazbierała pod szopą naręcz drzewa i wolno spokojnie wróciła do izby.

Stary patrzył na nią spode łba, dziwnie jakoś.

– Zajrzałam do siwuli, bo cosik stęka i pokłada się...

– Szukałem cię w oborze, a nie uwidziałem...

– Bom wtedy już musiała być pod szopą, drwa zbierałam.

– A gdzieżeś się to tak utyłała w śniegu?...

– Gdzie? Ze strzechy śniegowe brody wiszą, to ino trącić, a na głowę się sypią – tłumaczyła się spokojnie, ale twarz odwracała od ognia, by ukryć wypieki.

Ale starego nie zwiedła, niby wprost, oczy w oczy, nie patrzył, dobrze jednak widział, że cała w ogniach, czerwona, a oczy rozjarzone błyszczą się kiej w chorobie. Jakieś głuche, niejasne podejrzenie wśli-

zgnęło mu się do serca, zazdrość kaśliwa zawarczała w nim jak pies i jak pies się przyczaiła. Długo się biedził i rozmyślał, aż w końcu przyszło mu do głowy, że to pewnie Mateusz ją spotkał i przyparł gdzie do płotu.

Nastka właśnie weszła na, to, więc dalejże ją pociągać za język.

– Cóż to, pono Mateusz już zdrowy, chodzi?...

– Hale, zdrowy tam!

– Mówił mi ktosik, że widzieli go na odwiecznerzu, po wsi chodził pono... – zagadywał chytrze, a pilnie patrzył w Jagnę.

– Pleciuchy bają, co ino się im uwidzi, Mateusz ledwie się rucha, z łóżka nawet się nie podnosi, tyla że już krwią nie oddaje. Jambrozy stawiał mu dzisiaj bańki, a teraz narządził okowitki z tustością i lekują się tam obaj tak galanto, aż na drodze się rozlegają śpiewania.

Nie pytał się już więcej, ale podejrzeń się nie pozbył.

A Jagusia, że ciężło jej milczenie i te jego szpiegujące oczy nie dawały spokoju, jęła szeroko opowiadać o bytności pana Jacka.

Zdumiał się tym wielce i zaczął wymiarkowywać, co by to mogło znaczyć, biedził się niemało, rozważał, deliberował, każde słowo z osobna w głowie obracał, aż w końcu wyraźnie z tego wyszło, że dziedzic wysłał pana Jacka do niego, by się wywiedziało, co to naród powie o porębie.

– Kiej nic a nic o las nie pytał.

– Hale, kiej taki cię wywiedzie niby na postronku, że ani zmiarkujesz, kiedy, co i jak, a wszystko wypowiesz. Ho, ho, znam ja ten dziedzicowy pomiot.

– Powiadam wam, że ino o Kubę pytał i o te strzyżki!

– Miedzami kołuje, by drogę wypatrzyć! W tym cosik jest, jakaś dziedzicowa sztuczka, bo jakże, dziedzicowy brat i stojalby tam o Kubę! Głupi ino w takie bajdy uwierzy. Powiadają, że ten Jacek głupawy jest nieco, po wsiach ciągiem się nosi, na skrzypkach pod figurami wygrywa i trzy po trzy plecie. I powiedział, że przyjdzie?

– Powiedział i o was się wypytywał.

– No, no, w głowie się nie chce pomieścić.

– A widzieliście się z dziedzicem? – zagadnęła miękko, by ino nie dać mu rozmyślać.

Ciepnał się, jakby go giez ukąsił w słabiznę.

– Nie, u Szymona cały czas siedziałem – powiedział i zamilkł.

Już nie śmiała pytać, bo ciepał się po chałupie kiej ten pies wściekły, o bele co krzyczał, przyganiał, pomstował, że uczyniło się tak ci-

cho, jakby kto makiem posiał, kuźden mu z oczów rad schodził, bych czego oberwać.

I w takiej przykrej cichości siadali do kolacji, gdy wszedł Rocho, siadł swoim zwyczajem przed ogniem, jeść nie chciał, a gdy skończyli, rzekł cicho:

– Nie od siebie przychodzę. Na wsi powiadają, że dziedzic się na Lipce zawział i ani jednego chłopca nie zawoła do rąbania, przyszedłem się spytać, czy to prawda?

– W imię Ojca i Syna, a skądże mnie to wiedzieć, pierwszy raz słyszę.

– Narada była dzisiaj u młynarza, stamtąd poszła nowina.

– Naradzał się wójt, młynarz i kowal, ale nie ja!

– Jakże, powiadali, że u was był sam dziedzic i żeście z nim poszli.

– Nie nareadzałem się z nimi, chcecie, to wierzcie, prawdę wam rzekłem...

Nie przyznał się, jak wielce go bolało to pominięcie, i że radzili bez niego! Rozsrożył się znowu na przypomnienie, ale milczał, przeżuwał ino w sobie tę obrazę kiej pokrzywy, powstrzymywał się, jak mógł, bych Rocho nie zmiarkował, co się z nim dzieje!

– Jakże, czekał, wypatrywał jak ten głupi, a oni bez niego radzili! Nie daruje im tego, popamiętają. Mają go widać za nic, to im pokaże, co znaczy na wsi. Nie kto drugi, jeno młynarz tak zrobił, parob jeden, obieżyświat krzywdą ludzką się dorobił, a teraz nad wszystkich się wynosi, oszukaniec, zna on o nim takie sprawy, iż z tego może być i kminał, zna... Abo i ten wójt! Bydło mu pasać, nie przewodzić starszym, pijanica; zrobili go wójtem, ale tak samo mogą jutro go zruć i wybrać choćby Jambroża, jedna by z nich była pociecha! A kowal, zięciaszek zapowietrzony! Niech się jeno pojawi w chałupie! Albo i ten dziedzic, to jak wilk, ogania ino koło narodu, a zabiega, a węszy, gdzie by co urwać! Pan, ścierwo, na chłopskich ziemiach siedzi, chłopski las sprzedaje, z chłopskiej łaski żyje, a będzie się tu na naród zmawiał! Ścierwa, nie baczy, że i pańskiej skóry tak samo imają się cepy jak i kuźdego! – Ale nie rzekł ni słowa z tych deliberacji, jakże, nie baba przeciech, by się przed drugimi użalał i przyjacielstwa szukał! Gryzło go to srodze, bolało nawet wielce, ale zasie komu do tego! Zmiarkował się rychło, że to nieobyczajnie przy obcym tak siedzieć z zawartą gębą, to podniósł się z ławy i rzekł:

– Nowiny powiadacie, ale jak się dziedzic uweźmie i nie zawoła, nikto go nie zmusi.

– Prawda, ale żeby mu kto godny przełożył, ile narodu przez to bieduje, to może by ustąpił.

– Prosił go nie będę! – zawołał ostro.

– A ze dwudziestu komorników we wsi siedzi i roboty kiej zmiłowania wygląda! Wiecie sami które, a zima ciężka, śniegi, mrozy, niejednemu już ziemniaki prze-

marzły, a zarobku nie ma żadnego. Nim wiosna przyjdzie, to zrobi się taki przednowek, że strach pomyśleć! A i teraz już bieda taka, że niejeden raz na dzień gorącą warzę pojada i z głodnym brzuchem spać chodzi! Rachowali wszystkie, że skoro dziedzic zacznie ciąć przy Wilczych Dołach, to się robota la wszystkich otworzy! A tu pono się zaprzysiągł, że ani jednego Lipczaka do roboty nie weźmie! Rozgniewał się o to, że podobno skargę na niego pisali do komisarza.

– Samem ją podpisywał i twardo będę przy tym stał, że ni jednej chojki nie zetnie, póki się z nami nie ugodzi i nie odda, co nasze.

– Kiedy tak, to lasu może ciąć nie będą!

– Naszego nie będą.

– A cóż poradzą te biedaki, co? – jęknął.

– Nic im nie poradzę, a latego, by miały robotę, swojego przeciech nie dam. Bronił będę drugich, upominał się za kogo, a jak się mnie krzywda stanie, to chyba ten pies mi pomoże...

– Z tego widzę, że z dworem nie trzymacie.

– Trzymam ze sobą i ze sprawiedliwością, miarkujcie ino. Mam co innego na głowie. To i płakał nie będę, że tam który Wojtek abo Bartek nie ma co do gęby włożyć, księdzowa to sprawa, nie moja! Jeden, żeby i chciał, nie uradzi wszystkiemu.

– Ale wiele pomóc może, wiele – rzucił smutnie Rocho.

– Popróbujcie wodę nosić przetakiem, a obaczycie, co nanosicie, tak jest i z biedą! już takie urządzenie boskie jest, to widzi mi się i ostanie, że jeden ma, a drugi wiater po polu łapie.

Rocho ino pokiwał głową i wyszedł zgryziony, bo nie spodziewał się takiej twardości na biedę ludzką w Borynie, stary go wyprowadził w opłotki i jak zwyczajnie to robił co dnia, poszedł w obejście zajrzeć do krów i do, koni, bo późno już było.

Jagna słała łóżka i właśnie pierzynę roztrzepywała, pacierz mówiąc półgłosem, gdy Maciej wszedł i jakąś ośnieżoną szmatę rzucił jej pod nogi.

– Zapaski gubisz, znalazłem ją przy przełazie! – powiedział cicho, ale tak twardo i tak spojrział na nią przenikliwie, że zmartwiała z przerażenia i dopiero po chwili zaczęła się jękliwie tłumaczyć:

– To... ten Łapa... co ino może... wywłóczy z chałupy... wczoraj to mi trepy zaniósł do budy! Ścierwa, nie pies, taki szkudny...

– Łapa?... cie... no, no... – szeptał uragliwie, bo nic a nic nie uwierzył.

ROZDZIAŁ 7

We Trzy Króle, które jakoś tego roku wypadały w poniedziałek, jeszcze przed skończeniem nieszpórów, bo słyhać było grania i przyśpiewy w kościele, a już naród z wolna ciągnął do karczmy, że to pierwszy raz po adwencie i Godach miała być muzyka, a i szykowały się zmówiny Małgośki Kłębianki z Wickiem Sochą, którego chociaż tak samo się pisał jak nieboszczyk Kuba, ale krewniactwa się z nim wypierał, jako że parob był niepoczciwy i sielnie dufający w swoje morgi.

Powiadali też, jako i Stacho Płoszka, mający się już od kopania ku Ulisi sołtysównie, pewnikiem dzisiaj zapije sprawę i wszystko ze starym władzi, bo krzyw mu był i córki odmawiał, że Stacho był sielny zabijaka, wicher nieposkromiony i z rodzicielami ciągiem się wadził, a za Ulisią chciał całe cztery morgi abo dwa tysiące splate na rękę i dwa krowie ogony w dodatku.

Wójt też dzisiaj wyprawiał chrzciny, jeno że w chałupie, ale różni znajomkowie tak se rachowali, że jak się rozochoci, to w domu nie wytrzyma i z całą kompanią do karczmy zwali, i fundował będzie.

Zaś prócz tych przynęt były jeszcze większe, ważniejsze sprawy, zarówno obchodzące wszystkich.

Bo tak się ano stało, że na sumie od ludzi z drugich wsi dowiedzieli się, że dziedzic, co ino mu było potrze ludzi do poręby, to już zgodził i zadatki podawał: miało iść z Rudki dziesięciu, z Modlicy piętnastu, z Dębicy cosik ośmiu, a samej rzepeckiej szlachty bez mała dwudziestu a z Lipiec ani jeden. Prawda to już była jasna i pewna, bo i sam borowy, którego był na sumie, przytwierdził.

Niemiała z tego turbacja padła na biedotę, nieletka.

Juści, że byli w Lipcach bogacze całą gębą, byli i pomniejsi, którzy zarówno o zarobki nie stali, byli także jensi, u których aż piszczało z biedy, ale się do niej nie przyznawali, bych ino przyjacielstwa z bogaczami nie stracić i w jeden rząd zawždy z nimi stawać – ale i komorników, i takich, co ino chałupy mieli, też nie brakowało: którzy wyrabiali u gospodarzy młocką, którzy na tartaku siekierą, którzy zaś, gdzie się

ino zdarzyła robota, a chyla tyła wyskrzybali, iż jakoś się tam z boska pomocą przeżywali, ale ostawało jeszcze z pięć familii, la których zimową porą całkiem brakowało we wsi roboty, ci to właśnie jako zbawienia czekali na te poręby.

A teraz co począć?

Zima była sroga, mało kóten miał jaki taki grosz zapaśny, niejednemu już i ziemniaki się kończyły, bieda była w chałupie, a głód już zębce szczyrzył za węglem, do zwiesny daleko, a wspomozenia znikąd, to i nie dziwota, że ciężki frasunek padł na dusze. Zbierali się po chałupach, medytowali, aż w końcu kupą całą poszli do Kłęba, by ich ten powiedział do dobrodzieja na poradę, ale Kłąb się wymówił rzekomo zmówinami córki, jensi też podobnie wykręcili się kiej piskorze, bo stali ino o siebie i swoje wyrachowania mieli. Zezlił się tym srodze Bartek z tartaku, kóten choć robotę miał, zawżdy z biednym narodem trzymał, przybrał do się Filipa zza wody, Stacha Bylicowego zięcia, Bartka Kozła, Walka z krzywą gębą i w pięciu poszli do dobrodzieja prosić, by się wstawił za nimi do dziedzica.

Długo nie było ich widać, dopiero po nieszporach przyleciał Jambroży do Kobusów i powiedział, że z księdzem radzą i do karczmy prosto przyjdą.

A tymczasem wieczór się już był uczynił, ostatnie zorze zetliły się do cna, że ino kajś niekaj na zachodzie z tych szarych popiołów żarzyły się kieby głównie dogasające, a świat z wolna otulał się w modrawą a lutą płachtę nocy. Księżyca jeszcze nie było, jeno od suchych, przemarzniętych śniegów były ostygłe, lodowate brzaski, w których rzecz każda widniała jakoby w śmiertelne gżło przyodziana i zgoła umarła; gwiazdy też jęły się wysypywać na ciemne niebo, a tak rosły i trzęsły się w onych dalekościach, tak się jarzyły bystro, aż po śniegach szły skrzzenia. Mróz zaś brał srogi i podnosiła się taka skrzytwa, aż w uszach dzwoniło i żeby najcichszy głos, a leciał światem całym.

W chałupach zaś ognie zapalali i spieszyli z wieczorowymi obrzędami, jeszcze wodę nosili ze stawu, jeszcze czasem skrzypnęły wierzeje albo się jakie bydłatko ozwało, to ktosik podążał spieszno saniami, a ludzie w dyrdy ganiali po obejściach, bo parzyło w twarze jakby rozpalonym żelazem i dech zapierało, ale już wieś cichła całkiem.

Jeno od karczmy coraz ostrzej rozlegały się muzyczne głosy, bo juści, że prawie z każdej chałupy ktosik się tam przebierał na przewiady, a insze zaś, którym nie było do zmówin ni do spraw, też ciągnęli, bo im gorzała pachniała. Ze zaś i babom cniło się ostawać samym, a dziew-

czyny aż piszczwały do gzów i na muzykę nogami przebierały, to raz w raz, nim się jeszcze do cna ściemniało, leciały chyłkiem do karczmy, rzekomo by chłopów nagnać do domów, ale już ostawały. Juści, że za ojcami i dzieci ciągnęły co starsze, zwłaszcza chłopaki zwoływali się z opłotków gwizdaniem i szli kupą, zalegając karcznowe sienie i przyzby, choć mróz prażył żywym ogniem.

A w karczmie kłębiła się już niezgorsza gęstwa.

Tęgi ogień buzował się na kominie, że z pół izby zalewało krwawe światło szczap, których Żyd ciągiem przykładać kazał dziewce, bo kto ino wszedł, otrzepywał buciska o trzon, nagrzewał zgrabiałe ręce i szedł w ciżbę odszukiwać swojaków, że to, mimo ognia i lampy nad szynkwasem, mrok zalegał kąty i trudno było zrazu rozeznąć. W jednym kącie ode drogi, na kłodach od kapusty, siedziały muzykanty po-brzękujący niekiedy, jakby od niechcenia, bo się jeszcze tany nie rozpoczęły na dobre, tyła co tam jakaś niecierpliwsza para się pokręciła.

Na izbie zaś, pod ścianami, przy stołach kupili się kompaniami ludzie, ale mało kto ścisnął kieliszek i przepijał, a jeno rajcowali rozglądając się wkoło, a bacząc na wchodzących.

Jeno przy szynkwasie był większy rejwach, bo stali tam całą kupą goście Kłębowi i familianci Sochy, ale też jeszcze z rzadka przepijali do się, a tylko poredzali, świadczyli sobie godności, jak to przystało na zmówinach.

Wszyscy zaś często a nieznacznie naglądali pod okna, gdzie za stołami siedziało kilkunastu Rzepczaków, przyszli jeszcze za dnia i ostali. Nikt im wstretów nie czynił, ale i nikto się do nich nie kwapił, tyle co Jambroży zaraz się z nimi pokumał i sielnie gorzałę ciągnął a ocyganiał, co ino wlażło. A pobok nich stował Bartek z tartaku ze swoimi i w głoś opowiadał, co im rzekł dobrodziej, a sielnie pomstował na dziedzica, w czym mu najgłośniej wtórował Wojtek Kobus, chłop suchy, mały a tak zapalczywy, że ciągiem się podrywał, walił pięściami w stół i ciepął się jako ten ptak, którego przezwisko nosił, z rozmysłem zaś to czynił, bo domyślali się, że Rzepczaki ciągną na jutro do boru do rąbania, ale żaden z nich jakby nic nie słyszał, tak siedzieli spokojnie, zajęci między sobą.

Nikto też z gospodarzy nie słuchał tych wyzwisk ni zbytnio do serca nie brał, że dobrodziej nie chciał się wstawiać za nimi do dziedzica, a naprzeciw, odwracano się od nich i unikano, czym głośniej krzyczeli, w gąszczu bowiem, jaki rozpierał karczmę, stowarzyszał się kaźden do upodoby i kupił, gdzie było dogodniej, nie bacząc na sąsiadów – tylko

jedna Jagustynka chodziła od kupy do kupy, podjudzała, żarty stroiła, nowiny w uszy ludziom kładła, pilnie jednak bacząc, gdzie już pobrękują flachy a kieliszek kołem chodzi.

I tak powoli, z wolna, niepostrzeżenie wciągał się naród do zabawy, bo coraz większy gwar napelniał izbę i coraz częściej podzwaniały kieliszki, i coraz gęściej się robiło, że już drzwi się prawie nie zamykały, tak szli i szli aż muzykanci, uczestowani przez Kłęba, urnęli rześistego mazura i w pierwszą parę puścił się Socha z Małgością, a za nimi zaś, kto ino miał ochotę.

Ale niewielu szło w tany, oglądając się na pierwszych lipeckich kawalerów, na Płoszkę Stacha, Wachnika, wójtowego brata i drugich, którzy zmawiali się po kątach z dzieuchami, wesołe rozmowy wiedli, a podkpiwali półgłosem z rzepeckiej szlachty, którym wciąż basował Jambroży.

Na to właśnie pokazał się Mateusz, o kiju jeszcze szedł, bo ledwie się był z łóżka zwłóknął, że mu się to cniło za ludźmi, kazał se wnet narządzić gorzałki przegotowanej z miodem, usiadł z boku komina, popijał i rzucał tym słowem wesołym do znajomków, ale z nagłą ucichł, bo Antek stanął we drzwiach, spostrzegł go, podniósł hardo głowę, łypnął ślepiami i przechodził w podłę, jakby nie postrzegając.

Mateusz się uniósł i zawołał:

Boryna! a chodźcie no do mnie.

– Masz sprawę, to pierwszy przystęp – powiedział ostro myśląc, że Mateusz zaczepia.,

– Przyszedłbym, jeno się jeszcze ruchać bez kijaszka nie mogę – odparł miętko.

Antek nie dowierzał, zmarszczył groźnie brwi i podszedł, ale na to Mateusz chytał go za rękę i zniewolił, by przysiadł na ławie.

– Siadaj przy mnie. Owstydziliś mnie przed całym światem, pobiłeś tak, jucho, że już mi księdza wołali, ale gniewu do ciebie nie mam nijakiego i pierwszy z tym słowem zgody przychodzę. Napij się ze mną. Nikt mnie jeszcze nie pobił i myślałem, że takiego na świecie nie ma. Mocarz z ciebie prawdziwy, żeby takim chłopem jak ja rzucić kiej snopem, no, no...

– Boś mi na robocie przypiekał ciągiem, a potem i szczekał paskudnie, to mię rozebrało, żem. już i nie baczył, co robię.

– Twoja prawda, twoja, sam to przytwierdzam i nie strachu, a po dobroci... Aleś mnie przyrychtował, no, żywą krew oddawałem, ziobra mi popękały, do ciebie piję, Antek, co tam, poniechaj złości, ja ci już

nie pamiętam, choć mnie jeszcze plecy bołą... aleś ty chyba krzepciejszy niżli Wawrzek z Woli?...

– Nie zbiłem go to na odpusście we żniwa, jeszcze się pono lekuje...

– Wawrzona! Powiadali o tym, alem wierzyć nie wierzył. Żydzie, haraku z esencją, a w ten mig, bo przetrączę! – krzyknął.

– Ale coś pyskował przed chłopami, to nieprawda? – pytał cicho Antek.

– Nieprawda, przez złość ino gadałem, tak sobie... nie, gdzieby tam zaś – wypierał się przeglądając pod światło flaszkę, by mu prawdy z oczów nie wyczytał.

Przepili raz i drugi, potem Antek postawił kolejkę i znowu przepili, i już tak siedzieli wpodłe siebie, pobratani zgoła i w takim przyjacielstwie, aż się na karczmie dziwowano temu. Mateusz zaś, że sobie był podpił niezgorzej, pokrzykiwał na muzykę, by raźniej grała, przytupywał, śmiał się w głos do chłopaków, aż przycichnął i jął Antkowi do ucha powiadać.

– Juści i to prawda, że brać ją chciałem przez moc, ale mnie tak pazurami pobronowała, jakby mnie kto pyskiem po cierniach przewiółkł. Tyś jej był milszy, wiem o tym dobrze, nie wypieraj się, ty, i bez to na mnie nie chciała patrzeć!... Trudno wołu wodzić, kiej nie chce sam chodzić; zazdrość mnie kąsała, że i nie wypowiedzieć, hej! Dziewka równa cudu, że i nie naleźć śliczniejszej, a poszła za starego na twoją krzywdę, tego to już wyrozumieć nie mogę...

– Na moją krzywdę i na moje zatracenie! – jęknął cicho i aż się zerwał, tak ognie w nim zagrały na wspomnienie; że ino zaklął i cosik mrucał do siebie.

– Cichoj, ludzie ano posłyszają i roznieść gotowi.

– Bom to co rzekł?

– Juści, inom ja nie dosłyszał, ale mogli drudzy.

– Bo już mi ścierpieć trudno, tak mię tu w piersiach rozpiera, że samo się rwie ze mnie, samo...

– Mówię ci, nie daj się, póki czas – radził chytrze, pociągając go z wolna za język.

– Mogę to, kiej kochanie gorsze choroby, ogniem po kościach chodzi, wrzątkiem w sercu bełkocze, a taką tęsknością duszę przejmuje, że ni jeść, ni spać, ni robić nic, jeno by człowiek łbem tłukł o ścianę albo i zgoła życia się pozbawił!

– Abo to nie wiem! Mój Jezus, abom to sam za Jagną nie latał! Ale jest tylko jedna rada na kochanie: ożenić się, a jakby ręką odjął. Znalą-

złaby się i druga: kiej ożenkiem nie można, dostać kobietę, a wnet smak do niej przejdzie i kochanie się skończy! Prawdę ci mówię, przecieżem niezgorszy praktyk! – dowodził chępliwie.

– A jak i potem nie przejdzie? – rzekł smutnie.

– Juści, któren zza płota postękuje, za węglami się czai, a kiej kiecka zachręści, drygają mu kulasy – takiemu rychło się nie przemieni, ale to ciołak, nie chłop, za takiego nie dałbym i tego grosza – rzucił pogardliwie.

– Czystą prawdę rzekłeś, ale widzi mi się, że są i takie chłopy, są... – zamedytował się.

– Przepij no do mnie, do cna mi zaschło w gardzieli! Psiachmać sobacza z babami, niektóra chuchro takie, co kieby dmuchnął, nakryłaby się nogami, a często i największego moczarza wodzi kieby to ciełę na postroneczku, mocy pozbawi, rozumu pozbawi i jeszcze na pośmiewisko świata poda! Diable nasienie, ścierwo, mówię ci, pij do mnie!..

– W twoje ręce, bracie, w twoje!

– Bóg zapłać, mówię ci, pluń na to diable nasienie, przecież rozum swój masz...

Przepili raz i drugi a pogadywali, Antek już był zdziebko napity, a że nigdy nie miał przed kim się wyżalić, to teraz brała go szalona chęć do wywnętrzenia, że ledwie się powstrzymał, tyła co tam rzucił czasami jakie ważne słowo, z którego Mateusz i tak wszystko miarkował, jeno nie dawał tego poznać po sobie.

W karczmie zaś zabawa już szła rzetelna, muzyka rznąła co sił i tany szły za tanami, pito już we wszystkich kątach, gdzieniegdzie już przychodziło do sporów, a wszędy gadano tak głośno, że wrzawa przepelniała izbę, a tupoty taneczników rozlegały się kieby bicie cepów. Kłębowa kompania przetoczyła się do alkierza, skąd też niezgorszy wrzask dochodził, jeno Socha i Małgośka tańcowali zapamiętane abo ujawszy się wpół na mróz biegli na powietrze. Bartek z tartaku ze swoimi wciąż stali na jednym miejscu, pili już z drugiej flachy, a Wojtek Kobus już wprost wykrzykiwał ku rzepeckim ludziom:

– Ślachta, ścierwy, worek i płachta! – że to za szlachtę się uważali.

– Dziedzice, pół wsi jedną krowę doi! – dorzucił zjadliwie drugi.

– Kołtuniarze, przez koni się obywają, bo ich same wszy noszą.

– Żydoskie paroby!

– Dworskie pomietła, do psów się im godzić, kiej taki dobry wiatr czują!

– Poczyły też we dworze swoje i ciągną.

– Będą tu ludziom odbierać robotę.
 – Wyczeszemy wama kołtuny, że bez łbów pouciekacie!
 – Wycieruchy, obieżyświaty, brakło u Żydów palenia w piecach, to przyleciały!

Dogadywali mocno, a jaki taki pięścią wygrażał i darł się do nich, a coraz więcej ludzi wrzało przeciwko, coraz zapalczywsze koło ich otaczało, że to już gorzałka ponosiła, ale oni się nie odzywali, siedzieli przy sobie kupą całą, kije ino ściskali między kolanami, popijali piwo, przegryzali kielbasę, jaką mieli ze sobą, a hardo, nieustraszliwie poglądali na chłopów.

Byłoby może i przyszło z miejsca do bitki, ale Kłąb przyleciał, jał uspokajać, przekładać a prosić, a za nim starsi i Jambroży, że Kobus zaprzestał pyskować, drugich też odciągnęli na poczęstunek do szynkwasu, potem muzyka sielnie zagrała, a Jambroż jał znowu cyganić niestworzone historie o wojnach, Napolionie, Naczelniku, a później i insze ucieszne rzeczy, aż się niejedni pokładali ze śmiechu; a on rad wielce, podpity niezgorzej, rozparł się przy stole i prawił:

– Na ostatek opowiem jeszcze jedną historię, krótką, bo mi pilno tańcować, a i dzieuchy krzywe, że do nich nie przychodzę! Wiecie, zmówiny dzisiaj Kłębianki ze Sochą Wickiem. Gdybym chciał, moje by były z Małgošką, moje! Bo ano było tak:

„We czwartek zwalili się do starego Kłęba z wódką! Przyszli w jeden czas od Sochy i przyszli od Pryczka; jedni przepijają harakiem, drudzy zaś słodką, od jednych Kłąb pije i od drugich nie wylewa. Jeden jest dobry, a i drugi nie gorszy!

Swaty aż się pocą, tak prawią i zalecają swoich kawalerów:

Ten ma morgi galante przez skowronków nawożone, a drugi też takie, na których ino pieskowie wesela swoje odprawują.

Jeden ma chałupę, do której świnię pod przyciesiami włożą, a i drugi nie gorszą.

Obaj sielne bogacze, że szukać daleko!

Socha ma cały kołnierz od kozucha, bo resztę pieski rozniesty, Pryczek zaś ma obertelek od świątecznych portek i guzik świecący kiej ze złota!

Jeden chłopak śmigły kiej ta kopica, a i drugiemu brzucho wzdeno od ziemniaków!

Galante parobki!

Sosze ślina z gęby cieknie, a Pryczek ma ślepie kaprawe!

Równe we wszystkim, a takie robotne i zapamiętałe, że choćby pół ćwiartki ziemniaków na raz zjedzą i za drugą patrzą!

Oba dobre na zięciów, oba krowy mogą popaść, izbę przymieść, gnoju urzucić; oba krzywdy dziewce nie zrobią nijakiej, bo z boćkami kompanii nie trzymają. Sielne parobki, rozmowne, mądrala, przemysłne, z jadłem zawsze do gęby trafiają, a nie gdzie indziej.

Co tu począć, kiej oba się zarówno widzą staremu, to się kręci, w nosie dłubie, a Małgośki pyta: którego chcesz?...

– Oba pokraki, tatulu, pozwólcie, to już se Jambroża wybierę!...

Stary głową kręcił, deliberował długo, wiadomo, że mądrala na całą chałupę, a tu chłopaki przynaglają, swaty swoje wciąż prawią, to się napił od jednych haraku, napił się od drugich słodkiej i powiada:

– Wagę przynieśta!

Przynieśli oną wagę, ustawili, a on prawi:

– Zważta się, chłopaki, kóren będzie cięższy, tego na zięcia wybierę.

Zafrasowały się swaty, posłali po gorzałkę i medytują: kóren? bo obaj byli kieby te pluskwy zeschnięte! Skoczyły po rozum do głowy Pryczkowe swaty, nasuły mu za pazuchę kamieni, to w kieszenie naphały. Ale i Sochowie też nie były głupie, nie było co, to gęsiora wsadzili mu pod kapotę i na wagę go stawiają... liczą, aż tu cosik powiada: S... s... s... Socha niby, i gęsior bęc na ziemię! Roześmieli się wszyscy, a Kłęb powiada:

– Zmyślna jucha jest, choć wagi nie trzyma, ty będziesz moim zięciem!”

Juści, że w tym, prócz tego ważenia, innej prawdy nie było, jeno że opowiadał tak śmiesznie, aż się popłakiwali z uciechy i takim śmiechem buchali, że na całą karczmę szło.

Że wnet Kłębowi goście wywalili się z alkierza i całą hurmą szli w taniec, to wrzask się podniósł, tupot, krzyki, że już żadnego głosu z osobna nie rozeznał.

Ze łbów poczynało kurzyć, gorącość rozbierała, uciecha rosła, to i młodzi hulali z całej mocy, a starsi zasię zalegali stoły, stowarzyszali się, gdzie ino mogli i gdzie kto ustojał, bo tanecznicy rozbijali i coraz większym kołem zataczali, a kaźden w głos gadał, przepijał, z drugimi się cieszył, swojego dowodził, święta używał.

Muzyka zaś rznąła siarczyście i tany szły zapamiętałe, choć był taki gąszcz, że głowa przy głowie, plecy przy plecach, to i tak się trząchali,

po izbie nosili, pokrzykiwali wesoło, a obcasami bili, że ino dyle skowyczały i szynkwasy podrygiwał!

Zabawa była sielna, boć wszyscy się dokładali z całej mocy, duszą całą.

Zima toć szła, naród oderwał ręce spracowane od matki ziemi, to i podnosił przygięte karki, podnosił zafrasowane dusze, prostował się, rozrastał i równał jeden z drugim w wolności, w odpoczywaniu i w tej myśli swobodnej, że kaźden człowiek widniał z osobna i wyraźnie jako ten bór, z którego nie wydzielisz drzewin latem, bo w jednakim, równo zielonym gąszczu stoi przywarty do rodnej ziemi, a niech jeno śnieg spadnie, ziemia się przesłoni, a wnet kaźde drzewo dojrzysz z osobna i w ten mig rozeznasz: dąbek-li to, grabek-li to, osiczyna-li to!

Takuteńko było i z narodem.

Jeno Antek z Mateuszem nie ruchali się ze swoich miejsc, siedzieli przy się po przyjacielsku i z cicha ugwarzali o różnościach, ile że ciągiem ktoś do nich przystawał i swoje dokładał; przyszedł Stacho Płoszka, przyszedł Balcerek, przyszedł wójtów brat i drugie; te wszystkie najpierwsze we wsi kawalery, którzy družbowali na weselu Jagusi. Zrazu nieśmiało przystawali, że to nie wiada było, czy Antek jakim ostrym słowem nie ciepnie, ale nie, podawał kaźdemu rękę a z dobrością patrzył, to i wnet otoczyli go zwartym kołem, pilnie słuchali, przyjacielstwo świadczyli i tak mu się umilali a zdawali we wszystkim, jak przódzi, kiedy to im przewodził jeszcze, uśmiechał się ino gorzko jakoś, bo mu się wspomniało jak to jeszcze wczoraj a ci sami omijali go z dala na drodze.

– Ani cię nikaj nie ujrzyć, do karczmy nie zachodzisz! – powiedział Płoszka.

– Od rana do nocy robię, to kiej to mam czas na karczmę?

– Prawda, prawda! – przytwierdzili półgłosem, a potem z wolna przeszli na różne sprawy wsiowe, na ojców, to o dzieuchach mówili, to o zimie, bo rozmowa jakoś się nie wiedła, Antek mało mówił, a ciągiem spoglądał na drzwi, spodziewał się, że Jagna przyjdzie. Dopiero gdy Balcerek jął opowiadać o naradzie, jaka się odbyła we święta u Kłębów względem lasu, słuchał uważnie.

– Cóż uredzili? – zapytał.

– A cóż, skamlali, narzekali, żalili się, a rady nijakiej nie powzięli, prócz tej, że nie trza pozwolić na wyręb.

– A bo to co mądrego uradzą te słomiane wiechcie! – wykrzyknął Płoszka. – Zbierają się, gorzały się napiją, wysapiają, nawyrzekają i tyła

z tych narad jest, co z łośńskiego śniegu, a dziedzic może sobie spokojnie ciąć choćby i wszystkie las.

– Nie trza pozwolić – rzucił krótko Mateusz.

– Któż to go powstrzyma, któż zabroni? – zaczęli wykrzykiwać.

– Któż jak nie wy?

– A juści, pozwolą to na co? Ozwałem się kiedyś, to ociec mię skrzyczał, żebym nosa pilnował, że to nie moja sprawa, a ich, gospodarzy! Juści, mają prawo do tego, bo wszystko w garści dierzą i choćby na tę minutę, a nie popuszczą, a my cóż znaczymy, tyle co te parobki! – unosił się Płoszka.

– Żle jest całkiem, źle.

– A nie tak powinno być!

– Juści, że młodych powinni przypuścić do gruntów i do rządów.

– A samym na wycugi iść!

– Ja wojsko odsłużyłem, lata mi idą, a tego, co moje, dać nie chcą!

– krzyczał Płoszka.

– Każdemu czas na swoje.

– A wszyscyśmy tutaj pokrzywdzeni.

– A najbarzej Antek!

– Trza by we wsi zrobić porządki! – szepnął twardo

Szymek, Jagusin brat, któren niedawno przyszedł i stał poza drugimi cicho, spojrzeli na niego zdumieni, a on wysunął się na czoło i jał gorąco prawić o swoich krzywdach, a w oczy wszystkim patrzył i czerwieniał się, że to nieprzywykły był przed drugimi mówić i bojał się jeszcze nieco matki.

– Nastka go tak nauczyła rozumu! – szepnął któryś, roześmiali się wszyscy, aż Szymek zmilknął i cofnął się w cień, wtedy wójtów brat, Grzela Rakoski, choć nie był rozmowny i nieco się zająkiwał, zaczął prawić.

– Że starzy trzymają grunta i dzieciom nie popuszczają, źle juści jest, bo krzywda – ale to jest najgorsze, że się głupio rządzą. Przecie z tym lasem dawno byłby koniec, żeby się byli zgodzili z dziedzicem.

– Jakże, dawał po dwie morgi, kiedy się nam należy po cztery na półwłóczek.

– Należy albo i nie należy, to jeszcze nie wiadomo, to już urzędniki rozsądzą.

– Kiedy oni z dziedzicami trzymają!

– Hale, trzymają tam, przecież sam komisarz powiedział, by się nie godzić na dwie morgi, to dziedzic musi dać więcej! – tłumaczył Balcerrek.

– Cichocie no, bo kował ano ze starszym idzie!– szepnęła Mateusz.

Obejrzeni się na drzwi, jakoż prawdziwie, kował wiódł się pod pachy ze starszym, obaj już byli napici niezgorzej, to się mocno przepychali przez gęstwą i rznęli prosto do szynkwasu, ale nie postali tam długo, Żyd ich powiódł do alkierza.

– Na chrzcinach u wójta się uraczyli.

– Wyprawia to dzisiaj? – zapytał Antek.

– A dyc ojcowie nasi tam siedzą. Sołtys poszedł w kumy z Balcerkową, bo pono stary Boryna się pogniewał i nie chciał – tłumaczył Płozka.

– A to co za jeden? – wykrzyknął Balcerek.

– To pan Jacek, dziedzicowy brat z Woli! – objaśniał Grzela. Aż powstali, by się przyjrzeć, bo pan Jacek przeciskał się z wolna a oczami kogoś szukał, aż i natknął się na Bartka z tartaku i z nim poszedł pod ścianę, do rzepeckich.

– Czego on może chcieć?

– Czego, a niczego, tak se chodzi ino po wsiach, z chłopami gada, niejednemu pomoże, na skrzypkach przygrywa, dzieuchy piosneczek uczy, głupawy jest pono.

– Kończ no, Grzela, coś zaczął, kończ!

– O lesie zacząłem mówić; moja rada jest taka, aby tej sprawy samym starym nie ostawiać, bo zepsują.

– Cóż, na to jest tylko jedna rada, złączą las ciąć, całą wsią iść, rozegnać, nie pozwolić dopóty, aż się dziedzic ze wsią nie ugodzi! – rzekł mocno Antek.

– To samo uradzali u Kłęba.

– Uradzali! Ale nie zrobią, bo kto pójdzie za nimi?

– Gospodarze pójdą.

– Nie wszystkie.

– Jak Boryna poprowadzi, to i wszyscy pójdą.

– Jeno nie wiada, czy Maciej zechce.

– To Antek poprowadzi – wykrzyknął zapalczywie Balcerek.

Przytwardzili mu gorąco wszyscy, jeden tylko Grzela się sprzeciwiał, a że bywał we świecie i gazetę „Zorzę” czytywał, to jął naucznie i kiej z książki prawić, że gwałtu nie można czynić, bo wda się w to sąd i

prócz kozy nikt więcej nie wskóra, że trzeba, aby wieś sprowadziła z miasta adwokata, a ten by wszystko po sprawiedliwości wyrzeczył.

Nie chcieli go słuchać długo i jaki taki przekpiwał, ozeźlił się też srodze i powiedział:

– Na ojców wyrzekacie, że głupie, a sami ani za grosz pomyslenia nie macie, a jeno jak te dzieci, co jeszcze bałykują, cudze powtarzacie!

– Boryna z Jagusią i dzieuchami! – zauważył któryś.

Antek, któren chciał coś odpowiedzieć Grzeli, zmiłknął i poleciał oczami za Jagną.

Późno przyszli, już po kolacji, bo stary długo się opierał skamleniom Józki i namowom Nastki, czekał, aż Jagusia poprosi, ale ona zaraz po obiedzie zapowiedziała ostro, że pójdzie na muzykę, odparł jej ostro, iż się nogą z chałupy nie ruszy, nie poszedł do wójta, to nigdzie nie pójdzie.

Nie prosiła go już więcej, zawzięła się tak, że ani tym słowem więcej się nie odezwała, popłakiwała jeno po kątach, drzwiami trzaskała, wystawała przed domem na mrozie i ciskała się po chałupie jak ten zły wiatr, aże mroziło od niej złością, a gdy do kolacji siadali, nie poszła jeść, jeno zaczęła wełniaki ze skrzyni dobywać, przymierzać a przystrajać się.

To i cóż miał stary począć, klął, przygadywał, zapowiadał, że nie pójdzie, w końcu jeszcze ją sielnie musiał przeproszać i rad nierad powiodł do karczmy.

Hardo ano wchodził, wyniośle i mało z kim się witał, bo i równych było niewiele, jako że co najpierwsi u wójta byli na chrzcinach, syna zaś nie spostrzegł, chociaż się pilnie rozglądał w tłoku.

Antek zaś już nie spuszczał oczów z Jagusi, stała właśnie przy szynkwasiu, chłopaki się do niej sypnęli zapraszać do tańca, odmawiała pogadując wesoło, a ukradkiem przebierając oczami wskrós ludzi – taka urodna widziała się dzisiaj, że choć naród już był napity, a spoglądali na nią z podziwem. Ponad wszystkie piękniejsza. A przecież była tam i Nastka, ano do malwy z czerwieni szmat i wyrostu podobna, była i Weronka Płoszkówna kiej georginia rumiana i w sobie wielce podufała, była Sochówna, skrzat ledwie dorosły, gibki i z gębusią kiej ten cukier słodką, były i drugie urodne, wyrosłe, ciągnące oczy parobków, a jak Balcerkówna Marysia, na podziw wyrosła, biała, rzepiasta dziewczka i pierwsza we wsi tanecznicza – ale żadna ani się równała z Jagną, żadna. Przenosiła wszystkie urodę, strojem, postawą i tymi modrymi, jarczającymi ślepiami, jako róża przenosi one nasturcje a malwy, a georgi-

nie, a maki, że zgoła podlejsze się przy niej widzą, tak ci ona przenosiła wszystkie i nad wszystkie panowała. Przystroić się też dzisiaj kiej na jakie wesele; wełniak wdziała gorącożółty w zielone a białe pasy, stanik zaś z modrego aksamitu, dziergany złotą nitką i głęboko, do pól piersi wycięty, a na koszuli cienińskiej, która bieluchną fryzką burzyła się suto koło szyi i przy dłoniach, zawiesiła rzędy koralu, bursztynów i onych pereł, na włosach miała chusteczkę jedwabną, modrawą, w różowy rzucik farbowaną, a końce od niej puściła na plecy.

Brały ją za to przystrojenie kobiety na ozory i przymawiały złośliwie, nie dbała ta o to wcale, dojrzała wnet Antka i pokraśniawszy z radości, jako ta woda pod zachód, odwróciła się od starego, któremu Żyd cosik gadał i zaraz poprowadził do alkierza, gdzie i pozostał.

Juści, że Antek ino tego czekał, bo wnet bokiem karczmy się przecisnął i spokojnie witał się z nimi, choć Józka umyślnie się odwróciła.

– Przyszliście na muzykę czy na zmówiny Małgoški?

– Na muzykę... – odparła cicho, bo głos jej całkiem odjęło wzruszenie.

Stali przy sobie czas jakiś bez słowa, jeno dychali prędeż, a ukradkiem zaglądali sobie w oczy, tanecznicy zepchnęli ich pod ścianę, Nastkę pojał do tańca Szymek, Józka też się gdzieś zapodziała, że sami zostali.

– Co dnia wyczekuję, co dnia... – szepnął cicho.

– A mogę to wyjść?... pilnują mnie odparła ze drzeniem, ręce się ich spotkały same jakoś, cisnęli się biodrami, pobledli oboje, tchu im brakowało, w oczach skry się jarzyły, a w sercach była taka muzyka, że i nie wypowiedzieć.

– Odstap ździebko, puść!... – prosiła cichutko, boć pełno było ludzi dookoła.

Nie odrzekł na to, jeno ujął ją mocno wpół, gęstwę roztrącił, wywiódł w koło i krzyknął do muzykantów:

– Obertasa; chłopacy, a ostro!

Juści, że trzasnęli z całej mocy, aż basica jęknęła, znali go przecież, że jak się rozochoci, to gotów całej karczmy fundować!

A za nim puścili się w tan i jego kamraty, tańcował Płoszka, tańcował Balcerek, tańcował Grzela, tańcowały i drugie, a Mateusz, że mu to żebra jeszcze nie popuszczają, to ino przytupywał a krzykał la zachęty!

Antek zaś hulał zapamiętale, wywiódł się naprzód, przegonił wszystkich i wiał w pierwszą parę tak siarczyście, że już nic nie pamięt-

tał i na nic ni zważał, bo Jaguś cisnęła się do niego słodko, a raz w raz, ledwie dech łapiąc, prosiła:

– Jeszcze, Jantoś, jeszcze żdziebko!

Długo tańcowali, odpoczęli tyła, by złapać niecoś tchu napić się piwa, i znowu poszli w tan nie bacząc, że ludzie zwracają na nich uwagę, coś szepczą a krzywią się i w głos dogadują.

Ale Antkowi już było wszystko jedno dzisiaj, skoro jeno poczuł ją przy sobie, skoro przycisnął do się, że aż się przeżyła i przywierała te lube modre oczy, to się już był całkiem zapamiętał! Radość w nim grała i takie wesele, jak kieby się ten zwiesnowy dzień w nim zrobił. Zapomniał o ludziach i świecie całym, krew w nim zawrzała i moc wstała taka harda, nieustępliwa, aż mu piersi rozpierało! A Jaguś też była całkiem jakby utopiona w lubości i w zapamiętaniu! Unosił ją jak ten smok, nie opierała się temu, bo jakże, mogłaby to, kiej kręcił nią, ponosił, przyciskał, że chwilami mrozczało w niej i traciła z pamięci świat wszystek, a grało w niej takim weselem, młodością, uciechą, że już nic nie widziała, ino te jego brwie czarne, te oczy przepaściste, a te wargi czerwone, ciągnące!

A skrzypice wycinały siarczyście, zawodzący i niesły się piesneczką, jako ten żniwny wichur palącą, od której krew się w ogień przemieniała i serce grało weselem a mocą; basy zaś pobekiwały drygliwie do taktu, że same nogi niosły i trzaskały hołubce; flet zaś przegwizdywał i wabił kiej ten kos na zwiesnę, a taką lubością przejmował, tak serce otwierał, aż ciarki przechodziły, w głowie się mąciło, tchu brakowało, a zarazem chciało się płakać i śmiać, i krzykać, i tulić, i całować, i lecieć gdzieś we świat wszystek, w zapamiętanie – to i tańcowali tak ogniście, aż się karczma trzęsła i dygotały beczki z muzykantami.

Z pięćdziesiąt par mieniło się w tym kole wielgachnym, taczającym się od ściany do ściany, rozśpiewanym, pijanym uciechą i taką mocą, że flachy się przewracały, lampy gasły, noc ich obejmowała i rozdrgały mrok, bo ino te głównie w kominie rozżarzane wichurą pędu, sypały iskrami i buchały krwawym płomieniem, w którym ledwie majaczył zbity kłęb ludzki, wijący się dookoła taką gęstwą, że ani okiem uchwycił ni rozpoznał, gdzie chłop, gdzie kobieta! Kapoty wiewały górą kiej te skrzydła białe, wełniaki, wstążki, zapaski, rozpalone twarze, jarzące oczy, tupoty zapamiętałe, śpiewki, pokrzyki, wszystko się wraz mieszało, kręciło w kółko kieby jedno wrzeciono, od którego bił ogromny wrzask i leciał przez wywarte do sieni drzwi w ośnieżoną, mroźną, zimową noc.

Antek zaś hulał wciąż na przedzie, bił obcasami najgłośniej, zawijał kiej wichura, przypadał do ziemi, że myśleli: upadnie! Gdzie zaś, on już stał, już znowu ponosił, już krzykał, czasem jaką piosneczkę muzykantom rzucał i no-

sił się wskroś cizby, rozbijał, tratował, jak burza szedł, aż strach brał niejednych, a mało kto za nim nadążył.

Z dobrą godzinę tak wywijał, bo chociaż inni przystawali zmęczeni, a nawet i muzyce mdlały ręce, pieniądze im rzucał, przynaglał grać i tańcował, że w końcu prawie ino we dwoje pozostali w kole. Juści, że przez to baby już głośno wydziwiałały z takiej hulanki, kiwały głowami, meły ozorami i litowały się nad Boryną, aż Józka, zła na Antka, a barzej jeszcze na macochę, poleciała do starego.

– Ociec, a to Antek tańczy z macochą, aż ludzie wydziwiają! – szepnęła.

– Niech tańczą, od tego karczma! – odparł i wziął się znowu trącać ze starszym i kowalem, a prawić cosik.

Wróciła z niczym, ale jeła naglącać za nimi pilnie, bo po tańcu stali przy szynkwasio z całą gromadą dziewczyn i chłopaków. Wesoło im było, Jambroży bowiem, pijany już całkiem, prawił im takie przypowiadki, aż się dziewczyny przysłaniały zapaskami, a parobcy w głos śmieli, a jeszcze swoje dokładali. Antek fundował wszystkim piwo, pierwszy przepijał, niewolił, w ramiona brał parobków, ścisnął, a dzieuchom całymi garściami pchał za pazuchę karmelki, by móc przy tym i Jagusi nakłaść, a mimo zmęczenia śmiał się najgłośniej i rad się rozga-dywał!

Na karczmie też się zabawiano niezgorzej, naród się już całkiem rozochocił i rozgrzał, to ciągiem jakieś pary tańcowały, a drudzy gęstwili się, gdzie się ino dało, i radzili, przepijali, kumali się jedni z drugimi i wesołości całym sercem zażywali. Rzepecka szlachta ruszyła zza swojego stołu, bo się już byli pokumali przy gorzałce z Lipczakami, a niektórzy i do tańca się brali, dzieuchy się nie wymawiałały, że to obejście mieli delikatniejsze i grzecznie prosili.

Antkowa zaś gromada zabawiała się z osobna, że to młódź sama była i co najpierwsza we wsi, a on, mimo że ze wszystkimi pogadywał, prawie o Bożym świecie nie wiedział i prosto jakby się dzisiaj zapamiętał, na nic już nie patrzył, z niczym się nie krył, bo i nie poradził nawet – to i nie baczył, że ludzie dookoła spozierają uważnie i pilnie nasłuchują. Hale, dbał tam o to – wciąż jej prawił do ucha, przypierał do ściany, obejmował, za ręce brał, ale ledwie się już wstrzymywał od

całowania! Oczy mu ino latały nieprzytomnie i w piersiach wzbierała taka burza, że gotów się był ważyć na wszystko, byle zaraz przed nią, bo widział w modrych, rozplómonionych oczach podziw i kochanie! To i rósł coraz bardziej, puszył się i hukał kiej ten wichler, nim uderzy! Pił przy tym tego i Jagusię niewolił, aż się jej w głowie mąciło, że ani wiedziała, co się z nią dzieje, jeno chwilami, gdy muzyka milkła i karczma nieco przycichała, przytomniała zdziebko, strach ją ogarniał, obzierała się ze zdumieniem, jakby poratunku szukając, uciekać nawet pragnęła, ale stał pobok i tak patrzył; taki żar buchał od niego, takie kochanie w niej wzbierało, że w mig zapominała o wszystkim.

Ciągnęło się to dosyć długo, bo Antek już gorzałkę stawiał całej kompanii. Żyd chętnie dawał i każdą kwartę dwa razy na drzwiach znaczył.

Że zaś całej kompanii zaczęło w głowach się mącić, to kupą poszli tańcować, bych się nieco otrzeźwić, juści, że i Antek z Jagusią tańcowali na przedzie.

Wyszedł na to z alkierza Boryna, przywiedły go kobiety zgorzone, popatrzył i wnet się we wszystkim pomiarkował, złość go poderwała sroga, zakąsił ino zęby, zapiął pętle kapoty, czapę nacisnął i jął się przebierać do nich. Ustępowali mu z drogi, bo blady był kiej ściana i oczami dziko świecił.

– Do domu! – powiedział głośno, gdy nadlecieli, i chciał ją chyć za rękę, ale w ten mig Antek zakręcił w miejscu i poniósł dalej, że próżno chciała się wyrwać. Podskoczył wtedy Boryna, rozwalił koło, wyrwał ją z Antkowych ramion, nie popuścił i nie spojrzawszy nawet na syna wiódł z karczmy.

Muzyka raptem ustała, cichość z nagłą padła na wszystkich, że stanęli jak wryci, nikt się i słowem nie ozwał, miarkowali bowiem, że staje się coś strasznego, gdyż Antek rzucił się za nimi, roztrącił cizbę kiej snopki i wybiegł z karczmy, ale skoro go jeno mróz owionął, zatoczył się na drzewo leżące przed domem i padł w śnieg, rychło się jednak podniósł i dognał ich na skrócie drogi koło stawu.

– Idź swoją drogą i ludzi nie zaczepiaj! – krzyknął stary odwracając się do niego. Jagna z wrzaskiem uciekła do chałupy, a Józka wtykała w garście staremu jakiś kół i wrzeszczała:

– Bijcie tego zbója, bijcie, tatulu!...

– Puśćcie ją, puśćcie! – bełkotał Antek zgoła nieprzytomnie i przysuwał się z pięściami, gotowymi do darcia.

– Mówię ci, odejdz, bo, jak Bóg na niebie, zakatrupię cię jak psa! Słyszysz? – krzyknął znów stary, gotowy na wszystko, Antek cofnął się bezwiednie, opadły mu ręce, strach go uderzył tak mocny, że drzeć zaczął, a stary poszedł wolno ku domowi.

Nie skoczył już za nim, stał roztrzęsiony, nieprzytomny i wodził pustymi oczami dookoła, nie było już nikogo, księżyc świecił jasno, śniegi się skrzyły i posepna białość widniała wszędzie. Nic nie mógł wymiarkować, co się to stało, oprzytomniał nieco w karczmie dopiero, dokąd go przywiedli przyjaciele, którzy mu skoczyli na ratunek, bo gruchnęło, że się z ojcem bije.

Zabawa się też skończyła, rozchodzili się do domów, że to i późno już było, karczma opustoszała rychło, jeno po drogach grzmiały jeszcze czas jakiś hukania i przyśpiewki, pozostali tylko Rzepeczaki, którzy mieli zanocować, i pan Jacek przygrywał im ano na skrzypicy wielce żałośliwe pienia, że siedzieli za stołem powspierani na rękach i wzdychali, no i Antek, siedzący w kącie samotnie, bo że się nie mogli z nim dogadać, gdyż nic nie odpowiadał, opuścili go wszyscy. Siedział tak martwy i niewiedzący, że darmo mu Żyd przypominał, iż karczmę zamyka, nie słyszał i nie rozumiał zgoła, przecknął dopiero na głos Hanka, której ludzie donieśli, że się pobił znowu z ojcem.

– Czego ci potraza? – zapytał.

– Chodź do domu, późno już – prosiła powstrzymując łzy.

– Idź sama, nie pójdę z tobą! Mówię ci, odejdz! – krzyknął groźnie, a potem nagle, nie wiada laczego, nachylił się do niej i w samą twarz powiedział: – Żeby mnie w kajdany skuli, w lochu zamknęli, wolniejszym bym był niżli przy tobie, słyszysz, wolniejszym!

Hanka zapłakała żałośnie i poszła.

I on się zaraz podniósł, wyszedł na dwór i powlókł się ku młynowi.

Noc była jasna, rozgorzała miesięczną poświatą, drzewa kładły długie, zgoła niebieskie, przesrebrzone cienie, mróz taki ścisnął, że raz po raz słycać było trzaskanie żerdeń i jakby cichy, przejmujący skowyt niósł się po roziskrzonych śniegach, cichość martwa, zeskrzytwniała tuliła świat cały, wieś już spała, ani jedno okno nie błyskało światłem, ni pies nie zaszczekał, ni młyn nie turkotał, nic – jeno od karczmy dochodził schryplły śpiew Jambroża, którego swoim zwyczajem wyśpiewywał na środku drogi, ale słabo kieby przez sen.

Antek włókł się ciężko i wolno dookoła stawu, przystawał, rozglądał się nieprzytomnie, nasłuchiwał trwożnie, bo wciąż huczały mu we łbie ojcowe straszne słowa, bo wciąż widział jego oczy rozsrożone,

bijące w niego kiej nożem, że cofał się bezwiednie, lęk ścisnął go za gardło, serce zamierało, włosy się jeżyły – a z pamięci ginęła zawziętość, ginęło kochanie, ginęło wszystko, a ostawał jeno strach śmiertelny, dygocące przerażenia i rozpaczliwa, żalna niemoc...

Sam nie wiedział, kiedy zaczął iść ku domowi, gdy sprzed kościoła doszedł go bolesny płacz i głośne wyrzekania, pod figurą, stojącą przed samymi wrótniami na cmentarz, ktosik leżał rozkrzyżowany na śniegu, w cieniu, jaki padał od parkanu, nic nie można było rozpoznać, pochylił się myśląc, że to jaki obcy wędrownik albo i pijany – a to Hanka leżała zebrząc miłosierdzia.

– Chodź do domu, ziąb taki, chodź, Hanuś! – prosił, bo mu dziwnie zmięła dusza, a że się nie odezwała, uniósł ją przez siłę i powiódł do domu.

Nie mówili nic ze sobą, bo Hanka rzewnie płakała.

ROZDZIAŁ 8

U Borynów było kiej w grobie po tym święcie – nie płacz, nie krzyki, nie pomstowania, a ino ciężka cichość, złowrogo przyczajona i pełna powstrzymywanych gniewów a żalów.

Cały dom zmiłknął, osnuł się posepnością, a żył w ciągłej trwodze i oczekiwaniu czegoś straszego, jak kieby pod dachem, któren lada chwila ma paść na głowy.

Stary, powróciwszy do domu ni potem, nawet nazajutrz ani marnego słowa nie rzekł Jagusi, nawet przed Dominikową się nie użalał, jak-by się nic nie stało.

Rozchorzał jeno z tych przytajonych w sobie złości i z łóżka się podnieść nie mógł, że to go ciągiem mdliło, kolki spierały w boku i gorącość rozbierała.

– Nic to innego, tylko wątroba się wama zapiekła albo macica opadła! – rzekła Dominikowa smarując mu boki gorącym olejem; nic się nie odezwał, jeno postękiwał boleśnie i w pułap uparcie patrzył.

– Nie Jagusina to wina, nie! – zaczęła cicho, by na izbie nie dosłyszeli, bo się już srodze frasowała, że ani słowa nie powiedział o wczorajszej sprawie.

– A czyja? – mruknął.

– W czym to winowata? Wyście ostawili ją samą i poszli pić do alkierza, muzyka grała, tańcowały wszystkie, bawiły się, to cóż, jak ten samson miała stać w kącie, młoda przecież, zdrowa i zabawy jej potrzeba: Zniewolił ją, to i poszła tańcować. Mogła to nie iść? Kuźden w karczmie ma prawo brać do tańca, która mu się jeno uwidzi, a że ją wybrał i nie popuszczał zbój ten jeden, to ino przez złość do was, ino przez złość!

– Smarujcie jeno i róbcie, bym wyzdrowiał rychło, a nie uczcie mnie rozumu, dobrze sam wiem, jak było, nie trzeba mi waszego powiedania.

– Kiejście taki mądry, to i to wiedzieć powinniście, że kobieta młoda, zdrowa też swojej uciechy potrzebuje! Nie drewno jest ni starucha,

za chłopą poszła, to chłopą jej potrza, nie dziadygi, by z nim różaniec przebierała, nie!

– A i to czemuście mi ją dali? – rzucił urągliwie.

– Czemu? A kto to skamlał jak ten pies? Nie ja was molestowałam, byście ją wzieni, nie ja wam ją podtykałam ni ona sama! Mogła se iść za każdego drugiego i z tych najpierwszych we wsi, tylu ich było...

– Było, jeno nie do zeniaczki!...

– Ażeby wam ozór wykręciło za to pieskie szczekanie!

– Prawda was sparzyła kiej pokrzywa, żeście się tak ciepnęli!

– Cygaństwo paskudne to, nie prawda! Cygaństwo!

Naciągnął pierzynę na piersi, odwrócił się do ściany i ani już słowem się ozwał na jej dowodzenia gorące, dopiero gdy w płacz uderzyła, szepnął złośliwie:

– Jak baba kijanką nie poredzi, to myśli płaczem co wskórać!

Dobrze wiedział, co powiedział, dobrze! Teraz ano, kiej się z łóżka podnieść nie mógł, przychodziło mu do głowy, co to o niej powiadano przódzi, rozważał to sobie, układał, do kupy ściągał, deliberował – i taka złość go przejmowała, taka zazdrość gryzła, że nie mógł wyleżeć, rzucał się na łóżku, klął z cicha, to odwracał się twarzą do izby i tymi złymi, jastrzębimi ślepiami chodził za Jagną... Ona zaś była jakaś blade, zmizerowana, że jak senna chodziła po domu, a ino tymi żalonymi oczami skrzywdzonego dzieciątka spozierała na niego i tak wzdychała, aż mu się żal robiło i serce zdziebko tajało, ale i zazdrość tym większa rosła.

Wlekło się tak blisko całą niedzielę, że już w chałupie wytrzymać było trudno, miałać przecież duszę wielce czującą – jako ten kwiat niektóry, co niech jeno ziąb nań chuchnie, a wnet owarzy się i rozdygocze z bolenia. Mizerniała też w oczach, sypiać nie mogła, jadło nie smakowało, usiedzieć trudno było na miejscu i robotą zająć, bo wszystko leciało z rąk i strach ciągiem za nią chodził, bo i jakże, kiej stary wciąż leżał, postękiwał, dobrego słowa nie rzekł, a jako ten zbój spoglądał. Cięgiem czuła jego oczy na sobie, ciągiem, że już wytrzymać nie mogła. Ciężyło jej życie, bo i tęskności rozbierały nieopowiedziane, że to i o Antku nic nie wiedziała, nie pokazał się bowiem przez tę niedzielę, choć nieraz o zmierzchu pod śmiertelnym strachem wyglądała pod bróg! Nie śmiała się zaś pytać nikogo. Już się jej tak mierziło w chałupie, że po parę razy w dzień biegała do matki, ale Dominikowa mało siedziała w chałupie, do chorych chodziła, to w kościele przesiadywała, a jeśli była, to pokazywała srogą twarz i gorzkie wymówki czyniła, a

chłopaki też łąziły omroczone, złe i strapione, bo stara Szymka pobiła miądlicą, że to we Trzy Króle przepił był w karczmie całe cztery złote. Zaglądała potem do sąsiadów, by ino jakoś ten dzień zepchnąć, ale i tam dobrze jej nie było, juści, nie wyganiałi jej, ale przez zęby cedzili słowa, twardo spojierali, a wszyscy zarówno biadali nad chorobą staroego wyrzekając żałośliwie, jakie to teraz czasy nastają paskudne!

A Józka też, jak ino mogła, dogryzała jej na każdym kroku, nawet Witek bojał się pleść po swojemu przy gospodarzu, że słowa nie było z kim przemówić, tyła było całej uciechy i rozerwania myśli, co tam Pietrek wieczorami po robocie przegrywał z cicha na skrzypkach we stajni; bo w chałupie stary nie pozwalał.

A zima wciąż była sroga, mroźna i wiejna, że trza było w chałupie siedzieć!

Dopiero jakoś w sobotę stary, choć zdrowy nie był jeszcze, zwlókł się z łóżka, ubrał ciepło, bo mróz był trzaskający, i poszedł na wieś.

Zachodził do różnych chałup, niby to ogrzać się zdziebko, gdzie znowu ze sprawami, a nawet z takimi przestawał chętnie, jakich przódzi mijał bez słowa, i wszędy pierwszy zaczynał o karczmie i całą sprawę w śmieszki obracał a rad rozpowiadał, jako się był tego napił i przez to zachorzał!

Dziwowano się temu, przytakiwano, głowami kiwano, ale nikt się w pole wyprowadzić nie dał: Znali przecież dobrze jego nieustępliwą hardość, a i to, że skoro na ambit wziął, można go było żywym ogniem przypiekać, a głosu by nie wydał; wiedziano również, jako się zawżdy wynosił nad inne, puszył, za najlepszego we wsi miał, a wielce baczył, by go na ozorach nie obnosili.

Rozumiano też, że zapobiega i plotki gasi, jakie były powstały.

A nawet stary Szymon, sołtys, powiedział mu prosto w oczy, jak to u niego było zwyczajne:

– Baj baj, chłop śliwy rwie, a ino ich dwie! Ludzkie gadanie jest jak ten ogień, nie przygascie pazurami, sam się musi wypalić! A to wam jeno przypomnę, com był rzekł przed ślubem: jak stary bierze młodą, złego nie odegna i święconą wodą!

Zeźlił się tym i prosto wrócił do chałupy, Jaguś zaś myśląc, że skoro wstał, to już wszystko przeminęło i powróci do dawnego, odetchnęła z ulgą i jęła do niego zagadywać, to w oczy naglądać, przymilać się i po izbie krzekorzyć słodko, jak przódzi... Ale wnet ją opamiętał takim ostrym słowem, że struchlała; a potem nie zrobił się inszym, nie pieścił,

nie hołubił, myśli nie zgadywał ni o jej łaski się starał, a ostro kiej na dziewczkę krzyczał za nieporządki i do roboty zaganiał.

Od tego dnia wszystko z nawrotem w swoje garście ujął, przypilnowywał i z rąk nie popuszczał. Całe dnie, skoro jeno wyzdrowiał, młócił z Pietrkiem i w stodole robił koło zboża, krokiem się prawie nie ruszając z obejścia, bo nawet wieczorami w chałupie narządzał uprzążę albo na kobylicy wystrugiwał różne porządki gospodarskie, a tak pilnie stróżował Jagusi, że i kroku nie mogła zrobić, by za nią nie wyglądał, nawet jej świąteczne szmaty zamknął i klucz nosił przy sobie.

Nacierzpiała się ona, nacierzpiała! Mało tego bowiem, że o bele co krzyczał i słowa dobrego nie powiedział, ale prosto tak wszystko robił, jakby nie ona była gospodynią, bo ino Józce rozporządzał, co się ma robić, z Józką o różnych rzeczach prawił, których i dziewczyna nie wyrozumiała, i Józce o wszystkim kazał mieć baczenie!

A Jagny jakby nie było, przedła dnie całe, chodziła kiej błędna albo do matki uciekała na wyżalenie i skargi, nie poradziła na to stara, bo jej rzekł ostro:

– Była panią, robiła, co chciała, nic jej nie brakowało, a nie umiała tego poszanować, to niech popróbuję czego innego! A to wam zapowiadam, powiedzcie jej, że póki kulasami rucham, bronił swojego dobra będę i nie dopuszczę, żeby się prześmiewano ze mnie kiej z kukły jakiej, zapamiętajcie to sobie.

– Bójcie się Boga, a dyć ona nic złego nie zrobiła!

– Niechby zrobiła, nie tak bym gadał i nie tak postąpił! Ale dosyć i tego, że się z Antkiem zadawała!

– W karczmie, w tańcu, przy wszystkich przecież!

– Hale, w karczmie tylko! Hale!... – bowiem, że kiedy to jej zapskę znalazł w opłótkach, musiała wychodzić do Antka.

Nie dał się więc przekonać, nie wierzył niczemu i twardo stał przy swoim, a na zakończenie powiedział:

– Dobry człowiek jestem, zgodliwy, wszyscy o tym wiedzą, ale jak mnie kto chłasnje batem, gotowem oddać kłonicą.

– Bijcie, kto wama winowaty, ale nie krzywdźcie bo z krzywdy każdej pomsta rośnie.

– Któren swojego broni, nie krzywdzi!

– Jeno byście w porę uwidzieli, kaj się wasze kończy!

– Grozicie, widzę!

– Swoje tylko powiadam, a wy zbyt w siebie dufacie. Baczcie i na to, że kto na innych kładzie znaki – sam taki!

– Dosyć mi waszych nauk i przypowieści, swój rozum też mam! – rozniewał się.

I na tym się skończyło, bo Dominikowa, widząc jego zatwardziałość i nieustępliwość, nie ponawiała już tej sprawy dufając, iż to samo przejdzie i jakoś się uładzi, ale on ani na dzień jeden nie pofolgował, zawziął się i nawet w tej złości smak znajdował, a chociaż nieraz w nocy słysząc Jagusine płacze zrywał się bezwiednie, by do niej biec, w porę się jednak miarkował udając, że wstał oknem wyrzeć albo czy drzwi pozamykane.

Ciągnęło się tak bez przerwy całych parę tygodni, Jagnie było marcotno, smutno i tak źle, że ledwie już ścierpiała, na ludzi patrzeć nie śmiała, wstyd jej było przed wsią, boć wszyscy dobrze wiedzieli, co się tam u Borynów wyprawia!

Dom całkiem omroczał, że snuli się po nim cicho, lękliwie kieby te cienie.

Co prawda, mało kto zaglądał mając i u siebie dość swarów! Wójt się też nie pokazywał, zagniewany, że Boryna nie chciał mu podawać do chrztu; tyle jeno, co tam chłopaki Dominikowej czasem zajrzały, Nastka Gołębianka przybiegła z kądzielą, ale ta więcej do Józki i by się z Szymkiem spotykać, że nie było z niej pociechy, to i Rocho czasem zaglądał, ale widząc twarze posępne, zagniewane, mało siedział.

Jeden tylko kowal przychodził co wieczór i długo przesiadywał, a jak tylko mógł, podjudzał jeszcze starego przeciw Jagnie i w łaski się nowe wkładał, juści, że i Jagustynka często zachodziła, chętnie swoje dokładając, gdzie się kłócili. Dominikowa też bywała co dnia i co dnia jedno przywtarzała, by Jagna pokorą starego ujmowała. Cóż? kiej Jagna nie mogła się upokorzyć, za nic nie mogła, a naprzeciw, bunt się w niej podnosił i złość ją podrywała coraz częściej. Wielce jej w tym pomagała Jagustynka, bo raz z cicha zaczęła:

– Jaguś, a to mi cię żal okrutnie kieby rodzonej? Ten stary pies cię ukrzywdza, a ty kiej ten baranek cierpisz! Nie tak inne kobiety robią, nie!...

– Jakże? – spytała dość ciekawie, bo już jej obmierzył ten stan.

– Złego dobrością nie przepiesz, a ino jeszcze większą złością! Za dziewczkę cię ma, a ty nic; szmaty ci pono w skrzyni pozamykał, na każdym kroku pilnuje, dobrego słowa nie da – a ty co? Wzdychasz, trujesz się i boskiego zmiłowania wyczekujesz! Póki się człowiek nie przyłoży, to mu i Pan Bóg nie dołoży! Żeby tak na mnie, wiedziałabym, co zrobić! Józkę spralabym, niech się nie rządzi w chałupie, gospodynią

przecież jesteś, chłopu bym też nie ustąpiła w niczym! Kiej chce wojny, to niech ma taką, ażę mu grdyką wylezie! Hale, pozwól chłopu panować nad sobą, to:się wnet do bicia weźmie i nie wiada, na czym skończy! – A najpierwsze – zniżyła głos i do ucha jej szeptała – odstaw go kiej tego ciołka od krowy, nie przypuszczaj do siebie ani na zdziebko, jak tego psa przed progiem trzymaj! Wnet zobaczysz, jak zmięknie i jak się udobrzy!

Jagna zerwała się od kądzieli, by ukryć twarz rozczzerwioną.

– Czegóż się, głupia, sromasz? Złego w tym nie ma! wszystkie tak robią i robić będą, nie ja pierwsza wymyśliłam taki sposób! Wiadomo przeciech, że kiecką chłopu dalej zaprowadzi niżli psa sperką, bo pies rychlej się pomiarkuje! A starego łacniej niżli młodziaka, bo łakomszy i trudno mu po cudzych chałupach szkodzić! Zrób tak, a wnet mi podziękujesz! A co tam pyskują na ciebie i Antka, do serca nie bierz, żebyś jak ten młody śnieg była, sadzy się dowidzą! Na świecie jest takie urządzenie, że któren się da, to mu i kiwnąć palcem nie przepuszczą, a któren nie stoi, co o nim powiadają, mocny jest a hardy, to może robić, co mu się żywnie podoba! Nikt nawet słówkiem nie piśnie naprzeciw, a łaścić się będą kiej pieski! Do krzepkich należy świat wszystek, do nieustępliwych a zawziętych! Na mnie się dosyć wygadywali, dosyć, ca na twoją matkę też, że to z tym Florkiem wiadomo było...

– Nie tykajcie matki!

– Niech ci ta świętą ostanie! Prawda i to, że kaźden potrzebuje świętości jakiejś.

Długo jeszcze prawiała, nauczała ją, a z wolna, choć i nie pytana, rozpowiadała o Antku, co ino mogła wymyślić. Słuchała tego chciwie Jagusia nie zdradziwszy się jednak ani słówkiem, ale rady owe mocno wzięła do głowy i cały dzień deliberowała nad nimi. Wieczorem zaś, kiedy był Rocho, kowal i Nastka, rzekła do starego:

– Dajcie no klucze od skrzyni, muszę szmaty przewietrzyć.

Dał przywstydzony nieco, bo Nastka śmiechem buchnęła, ale mimo to, gdy skończyła przekładanie, wyciągnął rękę po klucz.

– Same moje są tam szmaty, to już sama se przypilnuję! – powiedziała hardo.

I od tego wieczoru zaczęło się piekło w chałupie. Stary się nie przemienił, ale i ona nie ustępowała, na słowo odpowiadała całą kopą, a tak głośno, że na drodze słychać było krzyki. Nie pomagało to wiele, to na złość zaczęła wszystko robić.

Do Józki przyczepiała się na każdym kroku, a tak nieraz boleśnie karciała, że dziewczyna z płaczem biegła się skarżyć; nic to nie pomagało, bo jeszcze barzej piekłowała, skoro nie szło po jej woli. Wieczorami zaś umyślnie się przenosiła na drugą stronę ostawiając starego w pierwszej izbie, tam Pietrka niewoliła do grania przyśpiewując mu do wtóru różne piosneczki do późna w noc; to znowu w niedzielę przystroiła się, jak ino mogła najlepiej, a nie czekając na męża sama poszła do kościoła, wystając po drogach z parobkami.

Stary się zdumiewał tą przemianą, wściekał ze złości, próbował się nie dawać, zapobiegał, by się to po wsi nie roznieśli, nic jednak nie poradził na jej humory, a coraz częściej dla świętego spokoju ustępował.

– Moiściewy! barankiem się widziała, tą owieczką pokorną, a teraz okoniem stawa! – wykrzyknął raz do Jagustynki.

– Chleb ją rozpiera i ponosi! – odrzekła z oburzeniem, bo zawsze temu przytwierdzała, kto z nią radził. – Ale to wam powiem, że póki czas, trza czymś twardym wyganiać humory, bo potem i kłonicą nie poradzi.

– Nie jest to we zwyczaju Borynów! – powiedział wyniośle.

– Widzi mi się, że i u Borynów do tego przyjdzie! – szepnęła złośliwie.

Jakoś w parę dni potem, zaraz po Gromniczej, dał znać wieczorem Jambroży, że ksiądz nazajutrz będzie jeździł po kołędzie.

Zakrzętały się zaraz od rana koło porządków, że nawet stary unikając piekła, bo Jagna sielnie dunderowała na Józkę, sam się zabrał do odwalania śniegu z opłotków; wywietrzono izby, omieciono z pajęczyn ściany, Józka wysypała żółtym piaskiem ganek i sienie, i spieszenie przebierali się odświętnie, bo ksiądz już był w niedalekim sąsiedztwie, u Balcerków.

Jakoż wkrótce stanęły księżę sanie przed gankiem, a on sam w komży na futrze, poprzedzany przez dwóch organiściaków, przybranych kiej do mszy, wszedł do izby, odmówił łacińskie modlitwy, pokropił i poszedł w obejście poświęcić budynki i cały dobytek. Boryna niósł przed nim na talerzu wodę święconą, a on w głos się modlił i poświęcał wszystko po kolei, organiściaki zaś szli wzdłuż przyśpiewując kolędy i gęsto potrząchając dzwoneczkami, a reszta kieby za procesją szła z tyłu.

Skończywszy zaś wrócił do izby i przysiadł odpoczywać, a nim Boryna z parobkiem zsykali do sań pół korca owsa i grochu ćwiartkę, jął przesłuchiwać pacierza Józkę i Witka.

Tak galanto umieli, aż się dziwił i pytał, kto ich uczył.

– Pacierza to mię nauczył Kuba, a katechizmu i na lementarzu Rocho! – odpowiadał śmiało Witek, aż go ksiądz pogłaskał po głowie, ale Józka tak straciła śmiałość, że się ino rozczzerwieniła, popłakała i tego słowa nie wykrztusiła! Dal im po dwa obrazki, a nauczał, by słuchali starszych, pacierze odmawiali i grzechu się strzegli, bo zły na każdym kroku się czai, a do piekła namawia. A potem podniósłszy głos spojrzął na Jagnę i groźnie zakończył:

– Powiadam wam, że nic się nie ukryje przed okiem sprawiedliwości Bożej, nic! Strzeżcie się dnia sądu i dnia kary, pokutujcie i poprawiajcie się póki czas!

Dzieci buchnęły płaczem, bo się im uwidziało, jakoby w kościele byli podczas kazania, Jagusi też serce zabiło trwożnie i rumieńce powlekły twarz, bo dobrze zrozumiała, że do niej mówił, a skoro Maciej powrócił, wyszła zaraz nie śmiejąc księdzu spojrzeć w oczy.

– Chciałbym z wami pomówić, Macieju! – szepnął, gdy zostali sami, kazał mu przy sobie siadać, odchrząknął, tabaki mu podał, nos wytarł chusteczką, od której szły zapachy kiej z trybularza, jak potem opowiadał Witek, palce z trzaskiem wyciągał ze stawów i z cicha zaczął:

– Mówili mi ludzie o tym, co się tam w karczmie stało, mówili!

– Juści, na oczach wszystkich było! – powtórzył stary smutnie.

– Nie chodźcie do karczmy i kobiet tam nie prowadzajcie, tyle zakazuję, piersi zrywam, proszę, nic nie pomaga, macie więc za swoje, ale jednak Bogu gorąco dziękujcie, że grzechu większego tam nie było, mówię wam, nie było!

– Nie było! – Twarz mu się rozjaśniła, bo księdzu wierzył.

– Powiadali mi też, że ją srogo karzecie za to, niesłusznie robicie, a kto niesprawiedliwość czyni, grzeszy, mówię wam, grzeszy!

– Gdzie zaś, jenom ją chciał nieco przykrócić, jeno...

– Antek jest winien, nie ona! – przerwał mu popędliwie. – Umyślnie przez złość na was zmusił ją do tańcowania, widocznie, że chciał z wami awantury, mówię wam, że chciał awantury! – zapewniał uroczyście, przyrządzony przez Dominikową, na której słowach zupełnie polegał. – Ale, co tom miał jeszcze powiedzieć... aha... żróbka łązi po stajni, trzeba zamknąć w gródce, bo kopnie ją wałach i gotowe nie-

szczęście, w przeszłym roku przez to samo zmarnowali mi klaczkę! Po jakim to ogierze?

– A po młynarzowym!

– Zaraz poznałem z maści i z tego łyska na czole, tęgi żreback!... Ale z Antkiem powinniście zgodę zrobić koniecznie, przez te gniewy na nic się chłop rozpuścił.

– Nie gniewałem się z nim, to i o zgodę prosił go nie będę – powiedział zawzięcie.

– Radzę wam jak ksiądz, a zrobicie, co wam sumienie dyktuje, ale to wam mówię, że z waszej winy człowiek się marnuje, dzisiaj jeszcze mi mówili, że ciągle w karczmie przesiaduje i wszystkich chłopaków buntuje, na starszych powstaje i podobno coś przeciw dworowi zamierza.

– Nic mi o tym nie powiadali.

– Jak się parszywa owca do stada wśliźnie, wszystkie zarazi! A z tych zmawiań przeciwko dworowi może wypaść dla całej wsi wielkie nieszczęście.

Ale Boryna nie chciał o tej sprawie mówić, więc ksiądz pogadał o c różnych rzeczach, a w końcu rzekł:

– Zgodą tylko, moi drodzy, zgodą – zażył tabaki i nakładał czapkę.

– Na zgodzie opiera się świat cały, zgodnie, po dobroci, to i dwór by się ugodził z wami, mówił, wspominał mi coś o tym dziedzic, dobry to człowiek i chciałby to załatwić po sąsiedzku...

– Wilcze sąsiedztwo, a na takiego najlepszy kół albo żelazo.

Ksiądz się zachnął, popatrzył mu w twarz, ale spotkawszy jego szare, zimne, nieubłagane oczy i zacięte wargi, odwrócił się spieszenie i zatarł ręce ze zdenerwowania, nie lubił bowiem sporów.

– Muszę już iść. To wam jeszcze powiem, że nie powinniście zbytnią surowością zrażać do siebie kobiety, młoda jest, pstro ma w głowie jak każda kobieta, to trzeba z nią mądrze i sprawiedliwie postępować; trzeba jedno nie widzieć, drugiego nie dosłyszeć, a na trzecie nie zważać, by tym sposobem uchronić się przed niesnaskami, z tego wychodzą najgorsze rzeczy. Pan Bóg zawsze błogosławi zgodliwym, mówię wam, błogosławi! Kiż to diabeł! – krzyknął zrywając się, bo bociek, stojący przy skrzyni nieruchomo, kujnął z całej siły w błyszczący but księdza.

– Dyc bociek, Witek go jesienią przygarnął, bo ostało ptaszysko, wykurował, że to miał skrzydło złamane, i teraz siedzi w chałupie i myszy łowi kiej kot.

– No, wiecie, jeszcze nie widziałem oswojonego bociana dziwne, dziwne!

Nachylił się do niego, chciał głaskać, ale bociek się nie dał ruszyć, przekręcił szyję i boczkiem, czająco znów godził w księżę buty.

– Wiecie, tak mi się podoba, że chętnie bym go kupił od was, sprzedacie?

– Cóż bym tam miał sprzedawać, chłopak go wnet zanieś na plebanię.

– Przyślę po niego Walka.

– Nie da się on tknąć nikomu, tylko jednego Witka słucha.

Zawołali chłopaka, ksiądz mu dał złotówkę i polecił przynieść o zmroku; skoro wróci z objazdu, ale Witek uderzył w bek i zaraz po wyjściu księdza zabrał boćka do obory i tam ryczał prawie do wieczora, że stary musiał go przyciszać rzemieniem przypominając odniesienie ptaka Juści, chłopak usłuchać musiał, ale serce skwierczało mu z żalu i boleści, nawet rzemieni zbytnio nie czuł, chodził kiej ogłupiały z zapuchłymi od płaczu oczami, a jak ino mógł, dopadał boćka, ogarniał go ramionami, całował a żalnym płaczem się zanosił...

O zmierzchu zaś, kiej ksiądz już ze wsi powrócił, ukrył boćka w swoją kapotę, by go uchronić od mrozu, i do spółki z Józką, ptak bowiem był ciężki, popłakując rzewnie ponieśli go na plebanię, a Łapa pobiegł z nimi i też coś markotno szczekał.

Stary, im dłużej rozważał słowa księdza i te jego szczere zapewnienia, tym więcej się rozjaśniał, uspakajał i z wolna, niepostrzeżenie zmieniał swoje postępowanie z Jagusią.

Wszystko powracało do dawnego stanu, ale już nie powróciła do chałupy dawna radosna wrzawa, ten spokój wewnętrzny i ta cicha, głęboka dufność.

Było jak z tym garnkiem rozbitym, co choć odrutowany i zgoła cały się widział, a gdziesik cieknął i przepuszczał wodę w takim miejscu, że i pod światło nie rozpoznał.

Tak i w chałupie się widziało, bo przez oną zgodę nierozeznanymi szparutkami ciekły przyczajone nieufności, żale przypływały zdziebko, ale żywe jeszcze i zgoła nie zabite jeszcze podejrzenia.

Stary bowiem mimo najszczerszych usiłowań nie zatracił w sobie nieufności i prawie mimo woli, a dawał ciągłe baczenie na każdy ruch Jagny, ona zaś ani na to oczymgnienie nie zapomniała mu tych złości i srogich słów, wrzała wciąż odemstą nie mogąc uciec spod tych jego przenikliwych, stróżujących oczów.

Może i dlatego, że pilnował i nie wierzył jej, znienawidziła go jeszcze bardziej, a coraz potężniej wydzieraa się do Antka.

Tak się już umiała zmyślnie urządzać, że co parę dni widywała się z nim pod brogiem. Pomagał im w tym Witek, który całkiem serce stracił do gospodarza za tego boćka, a przyłgnał do Jagny, że to mu i teraz dawała lepsze podwieczorki, więcej omasty, a czego gęsto i parę groszy kapnęło od Antka. Ale głównie pomagała im Jagustynka, tak się umiała wkraść w łaski Jagny i tyle zaufania wzbudziła w Antku, że prosto nie było sposobu widywania się bez jej pomocy. Cna to nosiła wieści między nimi, ona stróżowała przed starym i ochraniała przed niespodziankami! A wszystko to robiła przez czystą złość do całego świata! Mściła się na drugich za własną poniewierkę i krzywdy; nie cierpiała bowiem Jagny ni Antka, ale jeszcze bardziej starego, jak zresztą wszystkich bogaczy ze wsi, że mają wszystko, a jej nie dostaje nawet tego kąta, gdzie by mogła głowę schronić, i tej łyżki warzy! Zarówno jednak nienawidziła biednych i jeszcze bardziej prześmiewała.

Prosto diabelska kuma albo i co gorszego, jak o niej powiadali.

– Wezmą się za łby i pozagryzają jak te wściekłe psy – myślała często, wielce rada ze swojej roboty, że zaś zimą nie było wiele co robić, to łaźiła po chałupach z kądzielą, podsłuchiwała, a judziła jednych na drugich prześmiewając ze wszystkich zarówno, nie śmieli drzwi zamykać przed nią obawiając się jej ozora, a głównie tego, że pono złe oczy miała... Zazierała i do Antków, ale najczęściej spotykała się z nim, gdy z roboty powracał, i wtedy to mu w uszy kładła nowiny od Jagny.

Jakoś we dwie niedziele po bytności księdza u Borynów przydybała go koło stawu.

– Wiesz, stary sielnie powstawał na ciebie przed księdzem.

– O cóż to znowu szczekał? – pytał niedbale.

– Że ludzi podmawiasz na dwór, że trzeba by cię oddać strażnikom i jeszcze drugie...

– Niech popróbuje! Nimby mnie wzięli, takiego bym mu na dach puścił koguta, że kamień na kamieniu by nie ostał? – zawołał namiętnie.

Poleciała zaraz z tą nowiną do starego, „myślał długo i powiedział cicho:

– Podobne to do niego, taki zbój, podobne.

I więcej nie rzekł, nie chciał się z babą zadawać w poufałości, ale skoro Rocho przyszedł wieczorem, zwierzył się przed nim.

– Nie wiercie wszystkiemu, co Jagustynka przynosi, zła to kobieta!

– Może to i nieprawda, ale bywały podobne przypadki. Przecież stary Pryczek spalił swojego szwagra, że go skrzywdził przy działach, siedział za to w kreminalu, ale spalił. To i Antek może to zrobić, musiał coś napomknąć o tym, całkiem nie stworzyłaby sobie.

A Rocho, że to dobry był człowiek, wielce się tym strapił i jął namawiać:

– Pogódźcie się, odpuście mu co gruntu, przecież i on żyć musi, ustatkuj się prędzej, a nie będzie już powodów do kłótni i odgrazań...

– Nie, żebym miał zmarnieć, żebym miał z torbami, iść, pójdę; a pókim żyw, nie dam i tego zagona! Że mnie pobił i sponiewierał jak psa, darowałbym, choć ciężko i trudno – ale jeśli on i co innego zamierza!...

– Napletli wam, a wy to do serca bierzecie!...

– Juści, nieprawda to jest, juści... ale żeby się to mogło stać... aże mnie rozum odchodzi i zimno w kościach przewierca... kiej pomyślę, że mogłoby się to stać...

Zacisnął pięście i skamieniał ze zgrozy samego przypuszczenia możliwości onej. Nic nie wiedział, nie myślał nigdy o tym, był nawet pewnym w głębi Jagusinej niewinności, ale poczuł, że w tej synowskiej nienawiści do niego musi być cosik więcej niżli gniewy i żale o grunt, że ta zapamiętałość, którą wtedy uwidział w jego oczach, z innego źródlika bije, czuł to dobrze i w tej właśnie chwili poczuł sam w trzewiach taką samą nienawiść zimną, mściwą i nieubłaganą, zwrócił się do Rocha i cicho powiedział:

– Za ciasno dla nas obydwóch w Lipcach!

– Co wam znowu przychodzi do głowy, co? – krzyknął wystraszony.

– I niechaj Bóg broni, by mi wlaźł kiedy w pazury przy takiej okazji!...

Uspokajał go Rocho, tłumaczył, ale nic nie wskórał.

– Spali mnie, zobaczycie!

I od tej chwili mało już kiedy zaznał spokoju. O każdym zmierzchu stróżował niepostrzeżenie, czaił się za węglami, obchodził dom i budynki, zaglądał pod strzechy, a w nocy się często budził, godzinami całymi nasłuchiwał, i za najmniejszym trzaskiem zrywał się z łóżka i z psem obiegał wszystkie kąty. Dopatrzył raz pod brogiem jakieś wydeptane, na wpół zawiane ślady, dopatrzył później i przy przełazie i jesz-

cze lepiej się utwierdził w pewności, że to Antek podchodzi nocami i wypatruje jeno sposobności podpalenia; co innego nie przychodziło mu jeszcze na myśl.

Kupił od młynarza wielce srogięgo psa i zrobił mu budę pod szopą, a jątrzył ciągiem, mało jeść dawał, podszczuwał, że nocami pies latał i użerał jak wściekły, a rzucał się na każdego, że niejednego dobrze skaleczył, aż skargi z te-

go powstały.

Ale przy tych ostrożnościach i pilnowaniach stary mizerniał i tak chudł, że pas do pól bieder opadał, poczerniał, przygarbił się, nogami za sobą ciągał i na wiór się zesychał z tych utajonych myślunków i turbacji, że mu ino oczy gorzały kiej w chorobie. Że zaś nikogo bliżej nie dopuszczał i zwierzać się a wyżalać nie miał przed kim, to go i barzej piekły te ognie i przepalały.

Nikt też się nie dorozumiewał, co mu ta we wąpiach siedzi a podgryza.

Baczył więcej na dobytek, sprawił złęgo psa, czuwał nocami, rozumieli bez to, że wilki się ano nad podziw rozmnożyły tej zimy i mało której nocy nie podbierały się stadami pod wieś; nieraz słyhać było ich wycia i często też się podkopywały do obór, i gdzieniegdzie coś uskubnęły. A przy tym, jak to zawdy pod wiosnę, i o złodziejach chodziły słuchy coraz częstsze; wzięli podobno chłopu z Dębicy parę klaczy, wzięli w Rudce wieprza, to znowu krowę gdzie indziej – i jak kamień we wodę, ni znaku po nich! To i niejeden w Lipcach w łeb się skrobał, opatrywał zamki i stajni strzegł, że to najlepsze mieli konie na okolicę.

I tak szedł czas wolno i równo, jako te godziny na zegarze, ani go wyprzedzić, ani wstrzymać!

Zima wciąż była sroga, choć zmienna jak rzadko; bywały takie mrozy, jakich i najstarsi nie pamiętali, to śniegi spadały ogromne, to znowu były całe tygodnie odwilgi, że woda stała po rowach, a gdzieniegdzie i zagony czerniały, to przychodziły takie wiejby, takie kurzawy, że światła nie dojrzał, a po nich zaś bywały dni spokojne, ciche i tak słońce przygrzewało, że drogi roiły się od dzieci, wywierano drzwi, ludzi ogarniała radość, a starzy, się pod ścianami wygrzewali.

Zaś w Lipcach szło swoim odwiecznym porządkiem, komu śmierć była naznaczona – umierał, komu radość weselił się, komu bieda – wyrzekał, komu choroba spowiadał się i czekał końca – i pchało się jakoś

z Bożą pomocą, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, bych się ino zwiesny doczekać abo tego, co komu przeznaczone.

Tymczasem zaś co niedziela grzmiała muzyka w karczmie, hulano, pito, czasem się wadzono, czasem za łby brano, aż ksiądz potem karcił z ambony, no i drugie szły sprawy. Odbyło się wesele Kłębianki, trzy dni się zabawiali, a tak hucznie, że powiadali, jako Kłęb dopożyzył pięćdziesiąt rubli od organisty na to wesele. Sołtys też wyprawiał niezgorsze zmówiny córce z Płoszką. Gdzie znowu chrzciny się odbyły, ale z rzadka, nie pora jeszcze była, wiele bowiem kobiet spodziewało się dopiero na zwiesne.

Staremu Pryczkowi też się zmarło jakoś w tym czasie, tydzień ledwie chorzał, a miał chudziaczek dopiero na sześćdziesiąty i czwarty – cała wieś poszła na pogrzeb, bo dzieci stypę wyprawiali galantą...

Gdzie zaś zbierano się wieczorami na oprzęd, tam nachodziło się tyła dzieuch i parobków, że robiła się taka zabawa, śmiechy, radoście – aż miło, bo to i Mateusz, wyzdrowiawszy całkiem, przewodził młodzi i najbarzej dokazywał.

A te pogwary ciągle, obmowy, kwasy, kłótnie, sąsiedzkie swary, nowinki – wieś się od nich trzęsła. A czasem trafił się dziad jaki bywały, to opowiadał różności o świecie i tygodniami we wsi siedział.

Czasem znów list przyszedł od którego chłopaka z wojska, co to było czytań, narad, opowiadań, wzdychów dzieuszyn a matczynych płaczów, że i na całe tygodnie starczyło!

A insze rzeczy! a to Magda poszła w służbę do karczmy, to pies Borynów pogryzł Walkowego chłopaka, że precesem się odgrażali, to krowa Jędrzejom udławiła się ziemniakiem, że dorzynać ją musiał Jambroży, to Grzela pożyczyl sto pięćdziesiąt rubli od młynarza i dał w zastaw łąkę, to kowal kupił parę koni, że dziwowano się temu wielce i mocno nad tym deliberowano, to dobrodziej chorował przez cały tydzień, aż ksiądz z Tymowa przyjeżdżał go zastępować – a to o złodziejach mówiono, o strachach różnych baby pletły, o wilkach też często, bo pono wydusiły owce we dworze, o gospodarstwie, o świecie, ludziach, a te insze rzeczy, że ni spamiętać, ni opowiedzieć któż poredzi! a tak ciągiem coś nowego, że wszystkim starczyło i na dnie, i na długie wieczory, że to czasu zimową porą nikomu nie brakowało.

Tym samym zabawiali się i u Borynów, jeno z tą odmianą, że stary kamieniem siedział w domu i na żadne zabawy nie chodził, a i kobietom też iść nie pozwalał, że już desperacja brała Jagusię, a Józka całe dnie mamrotała ze złości, bo się jej dziwnie matyjasilo w chałupie sie-

dzieć, tyła bywało całej uciechy, że nie wzbraniał chodzić z kądziałą, ale do tych jeno chałup, gdzie się same starsze kobiety zbierały.

Więc też przeważnie siedzieli wieczorami w domu.

Jednego wieczora, jakoś już pod koniec lutego, zeszło się parę osób i siedzieli po drugiej stronie, bo tam tkąła płótno Dominikowa przy lampce, a reszta z powodu tęgiego ziębu kupiła się przed kominem. Jagusia z Nastką przedły, aż wrzeciona warczały, kolacja się dogotowywała, Józka kręciła się po izbie, a stary pykał z fajki w komin i coś sobie myślał głęboko, bo prawie się nie odzywał. Przykrzyła się wszystkim ta cichość, bo ino ogień trzaskał, świerszcz skrzypiał z kąta, warsztat hukał od czasu do czasu, a nikt jakoś się nie odzywał, więc Nastka pierwsza zaczęła:

– Pójdziecie to jutro z kądziałą do Kłębów?

– Zapraszała Marysia dzisiaj.

– Rocho obiecali, że jutro tam z książki będą czytać historie o królach.

– Poszłabym, ale nie wiem jeszcze... – spojrzała pytająco na starego.

– To i ja pójdę, tatulu... – prosiła Józka.

Nie odpowiedział, bo pies mocno przyszcze kiwał na ganku i zaraz wsunął się nieśmiało Jasiak, Przewrotnym nazywany z prześmiewiska.

– Zawieraj drzwi, gapo, bo tu nie obora! – wrzasnęła Dominikowa.

– Nie bójże się, nie zjedzą cię, czegoż się rozglądasz? – pytała Jagna.

– A bo... bociek musiał się kajś przytaić i jeszcze mie kujnie... – jąkał się, wystraszonymi oczami wodząc po kątach.

– Oho, boćka gospodarz wydali dobrodziejowi, nic ci już nie zrobi! – mruknął Witek.

– A bo i nie wiem, po co go było trzymać, jeno ludzi krzywdził!

– Siadaj, nie marudź! – nakazała Nastka wskazując miejsce w podłogę.

– Hale, kogo to ukrzywdził, cheba jednych głupich abo psów obcych? Chodził se jak ten dziedzic po stacji, myszy łowił, wszystkim ustępował, a wydali go! – szepnął z wyrzutem chłopak.

– Cicho, cicho, obłaskawisz se na wiosnę drugiego, kiej ci żal za boćkami!

– A nie obłaskawię, bo i ten będzie jeszcze mój, niech się jeno ciepło zrobi, to już umyśliłem taki sposób na niego, że nie wytrzyma na plebanii, a przyleci!

Jasiek koniecznie chciał się dowiedzieć tego sposobu, ale Witek burknął:

– Głupi! kury se macaj, myśli, że co lepszego poradzi. Kto ma rozum, to se swój sposób wynajdzie, a nie będzie brał od drugich!

Skrzyczała go Nastka biorąc w obronę Jaśka, boć wielce stała o niego; głupawy on juści był, wieś się z niego prześmiewała, niezgraba, ale jedynek na dziesięciu morgach, to dziewczyna tak sobie rachowała, że Szymek miał tylko pięć morgów i to nie wiadomo; czy mu Dominikowa pozwoli się żenić, więc znarowiła chłopaka do siebie, iż ciągiem łąził za nią, a trzymała w odwodzie na ten przypadek.

Siedział ano teraz przy niej, w oczy poglądał i rozmyślał, co by tu rzec takiego, gdy wszedł wójt, bo się już był ze starym pogodził, a zaraz od proga zawołał:

– Powiestkę wama przyniosłem, macie się jawić na sądy jutro w południe.

– Do zjazdu o krowę?

– Tak to i stoi, o krowę ze dworem!

– Rano trzeba wyjechać, bo do powiatu kawał drogi. Witek, idź zaraz do Pietrka i naszykujcie, co potrza, a ty pojedziesz na świadka. A Bartek uwiadomiony?

– Byłem dzisiaj w kancelarii i la wszystkich przywiozłem powiestki, kupą całą pojedziecie, ale dwór winowaty, to niech płaci.

– A bogać tam niewinien, tylachna krowa!

– Chodźcie na drugą stronę, mam z wami pogadać! – szepnął wójt.

Prześli i siedzieli tak długo, że tam im kolację Józka podała.

Wójt go namawiał już nie po raz pierwszy, by się do nich przyłączył, z dworem nie zrywał, przewłóczył sprawę, czekał, z Kłębem i drugimi razem nie szedł, i tym podobnie. Stary dotychczas się wahał, kalkulował, nie odmawiał ale na tę ni na drugą stronę się nie przechylał, bo był się mocno zagniewał, że go to wtedy dziedzic nie wezwał na naradę do młynarza.

Wójt zaś, widząc, że nie poradzi, na ostatku już na przynętę powie-dział:

– Wiecie o tym, jako ja, młynarz i kowal zrobiliśmy ugodę ze dworem, że sami we trzech zwozić będziemy drzewo na tartak, a potem deski do miasta.

– No, juści, że wiem, dosyć się przecież napomstowali na was inni, że nikomu zarobić nie pozwalacie.

– Dużo ta o to stoję, co pyskują, szkoda na to czasu, to wam zaś chcę powiedzieć, cośmy we trzech uredzili – słuchajcie jeno; co powiem.

Stary ino łysnął ślepiami i rozważał, jaki to będzie podstęp.

– Uradziliłim przypuścić waju do spółki! Woźcie tyła, co i my! Sprzężaj macie dobry, parobek się jeno wałkoni, a zarobek pewny, płacą od kubika. Nim się w polu roboty zaczna, jak nic zarobicie ze sto rubli.

– Kiedy zaczynacie zwózkę? – rzekł po długim namyśle.

– A choćby od jutra zaczynać! Tną już na bliższych porębach, drogi też niegorsze, to póki sanna, siła można nawieźć, mój parobek wyjeżdża we czwartek.

– Psiakrótko, żeby to wiedział, jak wypadnie ta moja sprawa o krowę.

– Przystańcie jeno do nas, a dobrze wypadnie, już ja wójt to wama mówię...

Stary długo deliberował spozierając pilnie na wójta, kredą se cosik na ławie pisał, po łbie skrobał, aż i rzekł:

– Dobrze, woził będę i sprzęgnę się z wami.

– Kiej tak, zajrzyjcie jutro po sądach do młynarza, a poredzimy jeszcze, muszę już bieżyć, bo mi kował sanie podkuwa.

Odszedł wielce uradowany myśląc, iż starego kupił tą zwózką i na swoją stronę przyciągnął.

Juści, młynarz mógł się z dworem godzić, grunty miał nietabelowe i do lasu mu było nic; wójt też siedział na ziemiach poduchownych, kował toż samo, ale nie on, Boryna! Rachował sobie, że zwózka zwózką, sprawa zaś o las osobno; nim zgoda z dziedzicem nastanie albo-li do wojny przyjdzie, upłynie dość czasu... a co mu szkodzi tamtym przytwierdzać, głupiego udawać, z nimi trzymać, kiej i tak swojego nie daruje przy sposobie, a tymczasem dobrze zarobić te kilkadziesiąt rubli, konie i tak trza żywić, i parobka płacić! – uśmiechał się do siebie, ręce zacierał a mruczał zadowolony:

– Głupie juchy jak te barany, myślą, że mnie wywiedły w pole kiej ciołaka, głupie!

Wrócił do kobiet wielce rozradowany, Jagusi w izbie nie było.

– Gdzież to Jagusia?

– Świniom ponieśli żarcie! – objaśniła Nastka.

Pogadywał wesoło, żartował z Jaśkiem, to z Dominikową, a coraz niespokojniej czekał na żonę, bo jakoś długo nie przychodziła, nic nie

dał znać po sobie i wyszedł w podwórze. Chłopaki w stodole na klepi-sku szykowali sanie na jutrzejszą jazdę, bo trza było na płozy włożyć półkoszki i umocować. Obejrzał, pogadał, zajrzał do koni, zajrzał do świń, to do obory – Jagny nigdzie nie było. Przystanął pod okapem w cieniu nieco i czekał. Noc była ciemna, wiatr się zrywał zimny i szumiął, wielkie ciężkie chmury gnały po niebie stadami, śnieg prószył chwilami.

Może w pacierz abo i dwa cień jakiś zamajaczył w przejściu od przełazu – stary się szybko wysunął, przyskoczył i szepnął ze wściekłością:

– Gdzieżeś to była, co?

Ale Jagna, choć się wystraszyła zrazu, odrzekła urągliwie:

– Obaczcie, łacno za wiatrem traficie! – i poszła do chałupy.

Nic już o tym w domu nie zaczynał, a gdy się szykowali do spania, powiedział dobrotliwie i całkiem miętko nie podnosząc oczów na Jagnę:

– Chcesz to jutro bieżyć do Kłębów?

– Kiej nie bronicie, to z Józką pójdziemy.

– Chcesz, to cię nie wstrzymuję... ale do sądu pojedę, dom zostanie na boskiej Opatrzności, lepiej byś w chałupie ostała...

– A bo to nie wróćcie do zmroku?...

– Widzi mi się, że chyba dopiero późno w noc... na śnieg się ma, daleko, nie pospieszę... ale kiej się napierasz, idź, nie wzbraniam...

ROZDZIAŁ 9

Już od wczesnego rana miało się na kurzawę; dzień nastał chmurny, wietrzny i wielce swarliwy, śnieg prószył drobny, suchy a ostry kiej kasza ledwie przetarta w żarnach, po równo zaś zrywał się coraz mocniejszy wiatr, hukliwy sielnie i kołujący niespodzianymi nawrotami, że jako ten pijanica taczał się na wszystkie strony, skowyczał, przegwizdywał a śniegami miecił zapalczywie.

Nie bacząc jednak na pogodę, zaraz z pierwszego południa Hanka ze starym Bylicą, a z nimi jeszcze parę komornic, wybrali się po susz do lasu.

Czas był nieopowiedzianie przykry; wiatr tłukł się po polach, ciepła drzewinami, hurkotał po wsi, a co trochę podrywał tumany śniegów, zakręcał z poświstem i wytrzepywał je nad światem kieby te chusty pełne białych, a kłujących paździerzy, że wszystko topiło się w nierozpoznanej mątwie i świstach.

Zaraz za wsią poszli gęsiego przywianymi miedzami ku borom ledwie czubami widnym w kurzawie, a jeszcze dalekim.

Wiatr wzmagął się jeszcze, bił ze wszystkich stron, tańcował, kręcił i tak w nich siepał, że ledwie mogli się utrzymać na nogach, przyginali się ino barzej ku ziemi, a on zabiegał z przodu, darł suchy śnieg pomieszany z piaskiem i prażył w twarze, aż oczy trza było przysłaniać.

Szli w milczeniu, jako że wiatr zatykał i rwał słowa, a postępując nieco i ręce rozcierając śniegiem, bo ziąb był przenikliwy i na wskroś lichą przyodzieżę przejmował, i zaspy się czyniły od kamionek, to od drzew i groblami zastępowały, że każdą trza było wymijać nakładając niemało drogi.

Hanka szła na przedzie, często się obzierając za ojcem, któren skulony, z okreconą w zapaskę głową, w starym kozuchu Antkowym, przepasany powrósem, włókł się na końcu, ledwie się poruchając pod wiatr; zatykało go ciągiem, przystawać musiał co trochę; by wytchnąć i obetrzeć załzawione od wiatru oczy, potem zaś w dyrdy śpieszył cicho pojękując:

– Idę Hanuś, idę... Nie bój się, nie ostanę!

Juści, wołałyby pozostać na przypiecku, wołał, ale cóż kiej ona, biedaczka, szła, śmiałyby to ostać! a i w chałupie ziąb nie do wytrzymania, dzieci skwierczą z zimna, warzy już nie było przy czym zrobić, że jeno suchego chleba pojedli... a tu zimny wiater tak przebiera po kościach, kieby tymi lodowymi palicami... – przemyślał dyrdając za nimi.

Pewnie, że kiedy mus ułapi za łeb, nie wyslizgniesz się, człowieku, nie!

To Hanusia jeno zasiekała zęby i szła ano po drzewo razem z komornicami. Prawda, na to już zeszło, że w parze z Filipką, z Krakaliną, ze starą Kobusową i Magdą Kozłową, z tymi największymi biedotami w jeden rząd, razem.

Wzdychała jeno ciężko, zacinała zęby, a szła, i to nie po raz pierwszy, nie...

– A niechta! A niechta! – szeptała twardo, moc w sobie wzbierając i cierpliwość.

Trzeba, to chodzi po drzewo, dyguje na plecach, w jeden rząd z dziadówkami, jak Filipka, stawa, a płakać nie będzie ni żalić się nie będzie, ni o poratunek zabiegać.

Gdzie to i pójdzie? Dadzą chyba, ale to jakie słowo litościwe, od którego dziw krew nie tryśnie z serca... Pan Jezus ją doświadcza, krzyże zsyła, to może kiedyś i wynagrodzi... A niechta, przetrzyma wszystko, nie pomarnuje się z dziećmi i rąk nie opuści, a na politowanie ludzkie ni pośmiewisko się nie da!

Wycierpiała się ona ostatnimi czasy tyła, że każda kosteczka trzęsła się w niej i łamała z osobna z tego bolenia – wycierpiała! Nie to, że bieda i poniewierka, że często głód, iż ledwie dzieciom starczyło, nie, że Antek w karczmie przepijał z kamratami, o dom nie stał, a kiej ten pies zwleczony chyłkiem się do chałupy wsuwa i na jakie bądź słowo napomknienia za kij chwyta – bywa to bowiem nierzadko i gdzie indziej, można by odpuścić; ot, przyszła na niego taka zła godzina, to aby jeno cierpliwie przeczekać, przejść jeszcze może. Ale tego przeniewierstwa nie mogła mu zapomnieć, przeboleć i darować!

Nie, nie poredziła. Jak to, ma żonę i dzieci, a o wszystkim zapomniała tamtej. To ją kieby rozpalonymi obcęgami ścisnęło za serce, przegryzało na wskroś i rozrastało się w niej piekącą, nieustępliwą pamięcią.

– Za Jagną lata, ją miłuje, przez nią to wszystko!

Zdało się jej, że zły idzie pobok, a wciąż szepta do ucha te straszne przypominki, nie uciec od nich nie zapomnieć, nie! Ból poniewierki dusznej, poniżenia, wstyd, zazdrość, pomsta i te wszystkie jędze nieszczęścia wsadzały kolczaste łby do jej serca i tak szarpały, że choćby krzyczeć wniebogłosy, a łbem tłuc o ścianę!

– Zmiłuj się, Panie, pofolguj, Jezu! – jęczała w sobie podnosząc rozpalone nigdy nie wysychającymi łzami oczy ku niebu.

Zaczęła przyspieszać kroku, bo tak wiało na tych podleśnych wyzninach, że już nie mogła wytrzymać z zimna; baby zaś ostawały nieco i szły wolno, kiej te czerwone kłęby ledwie widne w kurzawie, a bór już był niedaleko, gdy tumany opadały na chwilę, wyrastał nagle z bielizny ogromną, ciemną ścianą pni zwartych, przez które mroczały ciche, lodowate głębie.

– Chodźcie prędzej, w lesie będzieta odpoczywały! – nawoływała niecierpliwie.

Ale kobietom się nie spieszyło, odpoczywały często przykucając na śniegu, głowami od wiatru, kiej to stado kuropatew, i rajcowały z cicha, zaś na jej wołania Filipka mruknęła niechętnie:

– Hanka gania jak ten pies za wroną i myśli, że rychlej co złapie...

– Na co to jej zeszło, chudziacze – szepnęła współczująco Krakalina.

– Nawygrzewała się dosyć w Borynowej chałupie, najadła tłusto, nasmakowała dobrości, to może teraz i biedy popróbować. Człowiek całe życie przymiera głodem, haruje jak wół, a nikt nawet nie polituje.

– A przódzi to nas nawet nie pozdrawiała...

– Moiściewy, chleb daje rogi, a głód nogi, powiedają.

– Chciałam kiejś pożyczyć terlicy, powiedziała, że ma la siebie.

– Prawda, że ona ta otwartej ręki la ludzi nie miała, wynosiła się nad drugie, jak wszystkie Boryny, ale szkoda kobiety, szkoda!

– Po sprawiedliwości, ale ten Antek łajdus, no!

– Juści, że łajdus, juści. Ale i to wiadomo, że kiep, suczka nie chce, pies nie weźmie, każdy chłop polecą, jak go kiecką przywabią.

– Gdyby na mnie padło, na środku drogi zdarłabym Jagnę za łeb, a wyzwała, a skleła, a kudłów naczesała, żeby całe życie pamiętała.

– Przyjdzie i do tego, jeśli czymś gorszym się nie skończy!

– To już takie Paczesiowe nasienie, a Dominikowa nie insza była, nie.

– Chodźma; wiater nisko podbiera, to na noc może ustać.

Dowlekli się wnet do lasu i porozchodzili, a blisko, by móc się skrzyknąć łącno do powrotu.

Mrok ich ogarnął i pochłonał całkiem, że ledwie gdzieniegdzie ślad jaki ostał.

Bór był stary, ogromny, wyniosły; sosna stała przy sośnie nieprzeliczoną ciżbą, gęstwą nieprzebraną, a tak śmigłą, prostą i mocarną, że widziały się kiej te wielgachne słupy z opleśniałej miedzi, majaczące w mroku szarozielonych sklepień nieprzejrzanyimi rzędami – posępne, lodowe brzaski były z dołu od śniegów, zaś w górze, przez strzępiaste konary, niby wskroś zdziurawionych strzech, świeciło niebo białawe i mętne.

Wichura przewalała się górą, że czasami cichość się czyniła jakby w kościele, kiedy to z nagła organy zmilkną i śpiewy ustaną, a jeno szemrzą wzdychy ostatnie, tupoty, pogasłe brzmienia pacierzów i te przytajone, konające nuty – bór stawał wtedy nieruchomy, oniemiały, jakby wsłuchany w grzmotliwą wrzawę, w ten dziki krzyk pól tratowanych, co rwał się gdziesik ze świata i niósł wysoko, daleko, że tylko jękliwym świegotem drgał po lesie.

Wnet jednak wichur uderzał w bór całą mocą, wszystkimi kłami trzaskał o pnie, wżerał się w lute głębie, porykiwał w mrokach, targał olbrzymami, ale na darmo, nie przemógł, bo wyzbyty z sił opadał, głuchnął i marł ze skowytem w gęstych, przyziemnych krzaczach – a las ni drgnął, ni jedna gałąź nie trzasnęła, ni jeden pień się zakolysał, cichość była jeszcze głębsza i bardziej przerażająca, że tylko ptak jaki niekiedy załopotał wskroś mroków.

A czasami znowu wichura spadała tak nagle, niespodziewanie i potężnie, jak ten jastrząb spada zgłodniały, tak łomotała skrzydłami, rwała wierzchoły, gnietła i rozwałała wszystko ze wściekłym rykiem, aż bór drgał jakby przebudzony, otrząsał się z martwoty, chwiał z końca w koniec, drzewa kolebały się, od drzew pomruk leciał groźny, przydużony i z nagła bór się prostował, podnosił, szedł jakby, przyginał ciężko i uderzał ze strasznym krzykiem, a bił już jak ten mocarz oślepy gniewem i pomstą, że wrzask się zrywał, bój napelniał las, strach padał na wszelkie stworzenia, przyczajone w podszyciach, a oszalałe z trwogi ptactwo tłukło się wśród śniegów, lejących się wzburzonymi strugami, i wśród podruzgotanych gałęzi i wierzchołów.

Ale potem nastawały długie, zgoła martwe cisze, w których słycać było wyraźnie jakieś dalekie, ciężkie łomoty.

– Las rąbią przy Wilczych Dołach, gęsto się wali – szepnął stary nasłuchując nad ziemią głuchych drgań.

– Nie marudźcie, do nocy siedzieć nie będziemy.

Zaszli się w wysoki, młody zagajnik, w taki gąszcz splątanych i zwartych ze sobą gałęzi, że ledwie się mogli przeciskać do środka, cisza ich otoczyła grobowa, żaden głos się już tam nie przedzierał, nawet światło jeno z trudem sączyło się przez grubą pokrywę śniegów, wiszącą na czubach niby dach. Ziemista, spopieliała szarość zapełniała głębię, śniegu prawie nie było na ziemi, a tylko opadły z dawna, zwietrzały susz zaścielał miejscami po kolana, kajś niekajś zieleniły się półka mchów, to jakby przytajone przed zimą żółkłe jagodziny albo muchar zaschnięty.

Hanka obłamywała kulka co grubsze gałęzie, przycinała je do jednego wymiaru układając w rozpostartą płachtę, a robiła tak zapalczywie, aż chustkę zruciała z gorąca, i może w jaką godzinę narychtowała takie brzemiono drewek, iż ledwie mogła je sobie zadać, stary też narządził pęk niezgorszy, obwiązał sznurem i włókł go rozglądając się za pniem, by z niego łącniej wziąć na plecy.

Hukali na kobiety, ale w dużym lesie znowu się srożyła wichura, to się i nie skrzyknęli.

– Hanuś, do topolowej nam się przebrać, lepiej będzie niżli przez pola.

– To chodźmy, pilnujcie się mnie i daleko nie ostajcie.

Wzięli się zaraz z miejsca na lewo, przez kawał starej dębiny, ale ciężko było, śnieg leżał po kolana, to gurbił się miejscami w zagony, bo drzewa stały rzadko i bez liści, tyle że gdzieniegdzie wśród rozłożystych potężnych konarów trzęsły się siwe brody, tu i owdzie jaki młody dąbek, pokryty zrudziałymi kudłami, przyginał się do ziemi ze świsem. Wiatr dał z całej mocy i tak kurzył śniegami, że iść było niepodobna, stary się wnet zmęczył i ustał, a i Hance sił brakowało, to jeno wspierała się brzemieniem o drzewa, wystrachanymi oczami szukając lepszej drogi.

– Nie przejdziemy tędy, a za dębiną mokradła, nawróćmy do pól.

Jakoż nawrócili w duży i zwarty las sosnowy, gdzie ciszej było nieco i śniegi nie zalegały tak wysoko, a pokrótce wyszli na pola – ale tam szły takie zakurki, że świata nie rozpoznał nawet na to śmignięcie kamieniem, nic, jeno biała, rozkłębiona, przewalająca się ćma. Wicher zaś wciąż parł ku borowi, odbijał się kiej od ściany, przewalał wznak na pola, ale wstawał niezmożony, zgarniał całe góry śniegów i niby tą

białą chmurą prał w drzewa, aż jęk leciał po lesie, a tak mącił, zakręcał i bił, że ledwie weszli na zagony, starego ciepnał o ziem, aż dźwigać go musiała, sama ledwie mogąc się utrzymać na nogach.

Wrócili do boru i przykucnąwszy za pniami medytowali, którądy pójść, bo całkiem już nie wiada było, w jaką stronę się obrócić.

– Tą dróżką na lewo, a wyjdzierny niechybnie do topolowej, przy krzyżu.

– Kiej całkiem nie baczę tej dróżki.

Tłumaczył długo, bo się bała puścić na niepewne.

– A miarkujecie aby, w jaką stronę się wziąć?

– Od lewej ręki, widzi mi się.

Powlekli się wzdłuż lasu, pobrzeżem skrywając się nieco od naporu wichury.

– Chodźcie prędzej, nocy tylko co patrzyć.

– Jeno tego powietrza złapię i letę, Hanuś, letę...

Juści, nieletko się im było przebierać, dróżkę całkiem zasypało, a do tego z boku od pól wciąż grzmocił wicher i ciepłał śnieżycą, próżno się chronili za drzewa, to przywierali jak te zajączki pod jałowcami, wszędzie przewiewało do kości, zaś głębią straszno było iść, drzewa szumiały dziko, cały las się kolebał i prawie ziemię zamiatał konarami, gałęzie siekły, po twarzach, to czasami z takim trzaskiem padały chojary, iż się wydawało, jako cały bór runie zdruzgotany.

Biegli też, co ino sił i tchu starczyło, aby rychlej dopaść drogi i zdążyć przed nocą, która mogła spaść leda chwila, bo już szarzało nieco na polach i wskróś skołtunionych śniegów przewijały się ślepe smugi, kieby te dymy jeszcze nikłe.

Dorwali się wreszcie drogi i padli pod krzyżem, ledwie żywi z utrudzenia.

Krzyż stał na skraju lasu, tuż przy drodze, broniły go od burz cztery ogromne brzozy w białych gzałach, z obwisłymi niby warkocze gałęziami; na czarnym drzewie był rozkrzyżowany Chrystus z blachy, pomalowanej w takie kolory, że jak żywy się widział; snadź wiać ode rwał go, bo wisiał tylko na jednej ręce, trzaskał sobą o drzewa i skrzy piał zardzewiałym głosem, jakby litości prosił i poratunku. Brzozy targane wichurą okrywały go ciągiem sobą, trzęsły się, przyginały, a śniegowe tumany zasypywały kurzawą, że stał cały w mgłach, przez które migotało Jezusowe sine ciało i jego blada, okrwawiona twarz wychylała się raz po raz z bielizn, aż się luto robiło na sercu.

Stary spoglądał nań z przerażeniem, żegnał się, ale nie śmiał się odezwać, bo Hanka miała twarz srogą, zaciętą, nierozpoznaną, jak ta noc, co już szła przyczajona wskroś wichrów, śniegów, tumanów – wskroś świata.

Zdawała się nic nie widzieć, i na nic nie baczyć, siedziała zatopiona w mrocznych myśleniach, a wciąż o jednym: o Antkowym przenie-wierstwie; tuman się w niej kłębił, pełen okrwawionych wzdychów, jako to Jezusowe ciało na krzyżu, pełen zakrzepłych w lód, a palących łez, pełen żywych, a zapiekłych w boleści głosów.

– Wstydu nie ma, Boga się nie boi, toć jakby z rodzoną matką się sprzągł! Jezus! Jezus!

Zgroza ją poderwała kieby huragan, strach nią zatrząsł, a potem zawrzała gniewem tak dzikim i mściwym, jak ten bór, co się był przy-giał naraz i rzucił rozsrożony na wichurę.

– Chodźmy prędzej, chodźmy! – wołała zarzucając brzemię i przy-gięta pod ciężarem weszła na drogę nie oglądając się za starym, poga-niała ją niezmożona, zawzięta złość.

– Zapłacę ci za wszystko, zapłacę! – skowyczała dziko, kiej te topole nagie, rozkrzyczane, zmagające się z wichurą. – Dostyc już tego, a to i kamień już by się rozpekł, gdyby go robak taki przewiercał! Antek chce, to niech przepada, niech w karczmie przesiaduje, ale swojej krzywdy nie daruję, nie, zapłacę jej za wszystko! Zgniję za to w kreminalu, to zgniję, ale już by sprawiedliwości na świecie nie było, żeby taka spokojnie chodziła po świętej ziemi... – przemyśliwała srogo, ale z wolna przygasały w niej złości i bladły, kiej te kwiaty na mrozie, bo sił zaczynało brakować, ciężar ją przygniatał, sęki wpijały się w plecy i chociaż przez zapaskę i kaftan, a wgniatały się w żywe mięso, ramiona ją strasznie bolały, a zaś ten węzeł płachty, zakrecony w kij, wrzynał się w gardziel i dusił, szła coraz wolniej i ciężiej.

Droga była kopna, zawalona zaspami i otwarta na przestrzał la wia-trów, że topole z obu stron ledwie były widne w kurzawie, stały chwiejnym, nieskończonym szeregiem, szumiały rozpacznie targając się kiej te ptaki poplątane we wnykach, bijące na oślep skrzydłami, rozkrzyczane. Wicher jakby już tracił na mocy, przycichał górą, ale natomiast coraz wścieklej tarzał się na polach, z obu stron drogi, na równiach, w poszarzałych i mętnych dalach kotłowała wciąż zawieja, tysiące wirów zawodziło diabelski tan, tysiące kłębów zrywało się z ziemi, toczyło, narastało, kieby te wielgachne białe wrzeciona furko-czące, tysiące kup ogromnych, stogów powichrzonych, grobel szło po

polach, ruchało się, kłębiło, w oczach rośło, podnosiło w górę, sięgało, zda się, nieba, przysłaniało świat i pękało ze świstem i wrzawą. Jakby tym kotłem gotującym się, przepelnionym białym wrzątkiem, rozkipionym, okrytym osędzielizną i parami lodowymi, widziała się cała ziemia.

A zewsząd wraz z noc szło tysiące głosów, podnosiły się z ziemi, syczały górą, grzmiały wszędzie, jakieś poświsty kieby batami siekły naokół, to grania nierozeznane drgały nad ziemią, to szумы borów huczały niby ta organowa muzyka w czas Podniesienia, to jakieś krzyki, długie, żalosne, rozdzierały powietrze, jakby krzyki ptaków zbłąkanych, jakieś skowyczące, straszne łkania, to chichoty, to te ostre, suche poświsty topoli kołyszących się w mętnych, białawych kurzawach, niby straszne majaki z powyciąganymi ku niebu ramionami.

Nic nie rozeznał i na krok jeden, że Hanka omackiem prawie się wlekła od topoli do topoli, odpoczywała często, z przerażeniem nasłuchując tych głosów.

Pod jakąś topolą czerniał przyczajony zajaczek, którego na jej widok rymnął w zawieję, że go porwała jakby w pazury, aż bek się rozległ bolesny w kurzawie. Patrzała za nim z politowaniem, bo już ruchać się nie mogła, przyginała się coraz niżej i ledwie nogi potrafiła wyciągać ze śniegu, tak ją przygniatało to brzemień, iż zdawało się jej chwilami, jako dźwiga na sobie zimę, śniegi, wichry, cały świat zgoła i że zawsze tak szła śmiertelnie wyczerpana, ledwie żywa z utrudzenia, z okrwawioną, przesmutną duszą w sobie, i zawsze do końca świata tak wlec się będzie, zawsze. Strasznie się jej dłużyło, droga jakby nie miała końca, a ciężar tak przygniatał, iż coraz częściej przywierała pod drzewami i coraz dłużej siedziała omroczona, na pół przytomna, chłodziła śniegiem rozpalona twarz, przecierała oczy, trzeźwiła się, jak mogła, a wciąż jakby zapadała na samo dno tej rozkrzyczanej, lutej rozwiei żywiołów. Jeno popłakiwała żałośnie, łyż same się łały tryskając z tych najgłębszych, utajonych smutków człowieczych, z samego dna serca rozdartego, z tego skrzybotu ginących bez ratunku, czasem zaś, ale rzadko, bo zapominała o wszystkim, modliła się, szeptała pacierze jękliwym głosem, ćwierkała je w sobie porwanymi słowy kiej ten ptaszek marznący, którego tylko kiejś niekiedy zatrzepie skrzydłem, a że już mocy nijakiej nie ma, to przysiada, tuli się, piuka i wraz zapada w coraz głębszą senność!

Drgała naraz porywając się z miejsca wystraszona, zdało się jej bowiem, iż słyszy jakieś płakania i przyzywy dziecińskie, jakby to jej Pietruś wołał!

I biegła znowu całą mocą, potykała się o zwały, plątała w zaspach, a szła gnana trwogą o dzieci, która wstała w niej z nagłą i kieby biczem popędzała, że już nie czuła zmęczenia ni zimna.

Z wiatrem dobiegło ją jakieś dzwonienie, brzęk orczyków i głosy ludzkie, ale tak rozpadłe, że choć przystanąła nasłuchując, nie zebrała ni słowa, ktoś jednak jechał za nią i był coraz bliżej, aż się wyłoniły z kurzawy łby końskie.

– Ojcowe! – szepnęła dojrawszy białą łysicę żrebicy i ruszyła nie czekając.

Nie omyliła się, Boryna to powracał ze sądów z Witkiem i Jambrozym; jechali z wolna, gdyż przez zasy ledwie się było można przekopać, a nawet w gorszych miejscach musieli kanie przeprowadzać za uzdy; snadź byli niezgorzej napici, bo rajcowali z prześmieciami głośnymi, a Jambrozy często podśpiewywał po swojemu, nie bacząc na zamieć.

Hanka ustąpiła z drogi, naciągając chustkę barzej na oczy, ale mimo to stary przy wymijaniu poznał ją zaraz z pierwszego rzutu i przyłożył koniom po bacie, by prędzej przejechać, szkapę poderwały się z miejsca i wnet utknęły w nowej zaspie; wtedy obejrzał się i wstrzymał konie, a gdy się wyłoniła z kurzawy i zrównała z saniami, powiedział:

– Zwał drzewo w półkoszki, przysiądź, podwiezę cię.

Tak była nawykła do ojcowych przykazań, że spełniła wszystko bez wahania.

– Bylicę zabrali Bartek, siedział ano pod drzewem i płakał, jadą za nami.

Nie odrzekła, zapatrzona ponuro w mątwe nocy i kurzawy, jaka się srożyła dookoła, siedziała skulona na przednim siedzeniu dygocząc z utrudzenia i nie mogąc jeszcze myśli pozbierać, a stary przyglądał się jej długo i uważnie. Zmizerowana była, że aż litość brała patrzeć na jej twarz wychudzoną, siną, poodmrażaną, oczy miała zapuchłe od płaczów, a usta zacięte boleśnie, trzęsła się cała z umęczenia i zimna, próżno obtulając w podartą chuścinę.

– Powinnaś się ochraniać, w takim stanie nietrudno o chorobę...

– A któż to za mnie zrobi? – szepnęła cicho.

– Na taki czas wybierać się do boru!

– Drzewa zbrakło, warzy nie było przy czym zgotować...

– Chłopaki zdrowe?

– Pietruś chorzał bez parę niedziel, ale już tak całkiem wydobrzył, że teraz dwa razy tyle by jadł – odpowiadała śmiało budząc się z odrętwienia, odsłoniła z twarzy chustę spozierając mu prosto w oczy bez dawnego lęku i zestrachanej pokorności, stary zaś wciąż zagadywał i pytał, a zdumiewał się wielce nad jej przemianą, nie mógł się bowiem doszukać dawnej Hanki. Dziwny, mrozący spokój bił od niej, a jakaś moc skamieniała, nieustępliwa widniała w jej zaciętych wargach. Nie przerażał ją jak dawniej, mówiła niby z równym a obcym o różnych rzeczach nie skarżąc się ani słówkiem, nie żaląc... Odpowiadała prosto, do składu, a głosem dziwnie surowym, przecierpianym i przez to jakby stężałym w chropawą grudę utajonych boleń, jeno w oczach niebieskich, wypłakanych tliło się ostre zarzewie czującej mocno duszy.

– Odmieniłaś się, widzę.

– Bieda łacniej przekuwa człowieka niżli kowal żelazo.

Zdumiał się nad odpowiedzią, że nie wiedział, co na to rzec, więc zwrócił się do Jambroża mówić o sprawie ze dworem, którą wbrew zapewnieniom wójta przegrał i jeszcze koszta musiał zapłacić:

– Odbierę se, com stracił, odbierę... – mówił spokojnie.

– Trudno to będzie, dwór ma długie ręce i wszędzie poradzi się zastawić.

– I na zastawę jest sposób, na wszystko jest sposób, by ino cierpliwość mieć i poczekać na porę.

– Wasza prawda, Macieju, ale też ziąb, no, wartałoby do karczmy na rozgrzewkę wstąpić.

– Wstąpimy, ma być kwaśno, niech będzie kiej ocet. Ale powiadam wam, że ino kowal musi kuć żelazo, póki gorąc trzyma, człowiek, jeśli chce co wygrać, na zimno musi kuć dołą a w cierpliwości hartować.

Dojeżdżali do wsi, mrok się już był zrobił gęsty i wichura przechodziła, kurzyło jeszcze galanto po drodze, że domów nie rozpoznał, ale z wolna przycichało na świecie.

Na wprost dróżki do chałupy stary wstrzymał konie i gdy wysiadła, pomagał jej wziąć brzemię na plecy, a wreszcie rzekł z cicha do niej tylko:

– A zajrzyj do mnie którego dnia, choćby jutro. Miarkuję, że musi być z wami krucho, ten łajdus przepija wszystko, a ty pewnikiem mrzesz głodem z dziećmi.

– Wygnaliście nas, to gdziebym zaś śmiała przyjść.

– Głupiaś, jensza to rzecz, nie twoja, mówię ci, przyjdź, znajdzie się jeszcze i dla was.

Pocałowała go w rękę i odchodziła bez słowa, tak ją ułapiło rozrzewnienie za gardło, że głosu nie mogła wydobyć.

– Przyjdiesz to? – zapytał za nią dziwnie miętko i ciepło.

– Przyjdę. Bóg wam zapłać, kiej przykazujecie, to przyjdę...

Popędził konie i zaraz skręcał przed karczmą, a Hanka już nie czekając na ojca, któren akuratnie wysiadał z Bartkowych sani, poleciała do chałupy.

W izbie było ciemno i tak zimno, że gorzej się widziało niżli na dworze, dzieci spały pokulone w łóżku pod pierzyną, zakrzatnęła się żwawo koło warzy i obrządków, a wciąż przemyśliwała o tym dziwnym spotkaniu z Boryną.

– Nie, żebyś skapiał, nie przyjdę, dałby mi Antek! – wykrzyknęła ze złością, ale równocześnie i inne, bardziej spokojne myśli przychodziły, a z nimi i bunt srogi przeciwko mężowi.

Jakże, przez kogóż to wycierpiała najwięcej, jeśli nie przez niego! Stary zapisał grunt tej świni i wygnał ich, prawda, ale Antek go pierwszy pobił i zawsze czekał na niego, to się i ozeźlił... Miał prawo, każdy by to zrobił, grunt jego i dzieciński, ale póki żyje, jego wola dać lub nie. A jak to miętko powiedział: „Przyjdź!”, o dzieci pytał, o wszystko! Juści, a i pół tej biedy i poniewierki by nie było, gdyby się Antek nie sprzął z tą suką, temu stary nie winowaty, nie!

Rozmyślała różnie i tłumaczyła, i coraz bardziej ustępował z niej gniew do starego.

Przywłókł się i Bylica, tak przemarzły i zmęczony srodze, że z dobrą godzinę rozgrzewał się przed kominem, nim zaczął opowiadać, jako już był całkiem ustał, a może by i zamroził się na śmierć pod drzewem, gdyby nie Boryna.

– Dojrzał mnie i chciał brać na sanie, ale gdym mu rzekł żeś przodem poszła, ostawił mnie Bartkowi, a sam pognął konie, by cię dogonić...

– Tak było? Nic mi o tym nie powiedział.

– Kwardy on jeno z wierzchu, la niepoznaki.

Po kolacji, gdy dzieci nakarmione do syta, poobtulane w pierzyny, znowu zasnęły, Hanka siadła przed ogniem do przędzenia resztek wełny organiścinej, a stary wygrzewał się wciąż, spoglądał nieśmiało, chrząkał, zbierał odwagę, aż w końcu zaczął jęklawie:

– Zrób z nim zgodę, na Antka się nie oglądaj, a ino siebie i dzieci miej na widoku.

– Łacno to powiedzieć.

– Kiedy on pierwszy przystąpił do ciebie z dobrym słowem, poniechaj złości. Tam u niego w chałupie piekło... nie dziś, to jutro Jagnę wygoni i ostanie sam... Józka nie poredzi w tym gospodarstwie, stary jeszcze nie jest, ale też wszystkiego nie zrobi ni dojrzy... dobrze, byś jego łaskę na ten czas miała... o toś zabiegać powinnaś... Byłabyś mu pod ręką w sposobną porę... to nie wiada, jak by się stało... może by przyzwał z powrotem... nie zdzierzysz tej biedzie, nie...

Opuściła na te słowa wrzeciono, wsparła głowę o przęślicę i zadumała się głęboko nad swoją dolą rozważając powoli rady ojcowe.

A stary przyszykował sobie spanie i cicho zapytał:

– Mówił w drodze z tobą?

Opowiedziała, jak było.

– To idź, córko, bieżyj choćby zaraz jutro, staw mu się, kiej przyzywa, bieżyj... bacz ino na siebie i dzieci... starego się trzymaj... oczami mu świeć... dobrą mu bądź... pokorne ciele dwie matki ssie... złością jeszcze nikto świata nie zwojował... Antek jeszcze powróci do ciebie... opętało go złe i rzuca po świecie... ale wnet przejrzy i powróci... Pan Jezus podaje ci taką godzinę, by z biedy wyciągnąć... to nikogo nie słuchaj, a bieżyj...

Długo ją namawiał i przekonywał, a nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi zmilknął pomarkotniały i narządziwszy sobie spanie legł cicho, Hanka zaś przedła dalej rozmyślając nad jego radami.

Czasem zaś wyglądała oknem, czy Antek nie wraca, ale nie było ani słychu.

Siadała znowu do roboty, ale nie mogła przuć dzisiaj, nitka się rwała, to wrzeciono wypadło z palców, bo coraz pilniej rozważała słowa Borynowe.

– A może się tak stanie, może przyjdzie taka godzina, że ją przyzwie...

I z wolna, z wolna, kołująca jeszcze, pełna wahań wstawiała w niej niezmożona chęć zgody i powrotu do starego.

– Troje nas cierpi biedę, a niezadługo będzie czworo! Dam to wtedy radę, co?

Antka już nie wliczała, nie brała w rachubę w tej chwili, widziała tylko siebie i dzieci; sama się czuła gotową do stanowienia za wszyst-

kich. Jakże, na kogo się to spuści? Kto to pomoże, chyba Bóg jeden albo i Boryna!

Zaczęła marzyć, że niechby się jeno dorwała z powrotem gospodarstwa, niechby znowu poczuła ziemię pod nogami, to się tak przypnie do niej, tak weprze całą duszą pazurami, że nic ją nie oderwie i nie zmoże. Nadzieja w niej rosła wraz z takim nabierem sił, aż ją rozpierało we środku od mocy, nieustępliwości a odwagi, ognie chodziły po niej, oczy się roziskrzyły... już się nawet czuła tam, u Borynów, rządziła wszystkim, gospodynią była...

Długo, może do samego północkska tak się rozmarzała postanawiając równocześnie, że zaraz z rana, jak przykazywał, zabierze jeno dzieci i pójdzie do starego, choćby Antek nie wiem jak zakazywał, choćby ją nawet skatował, nie posłucha i pójdzie, a tej dobrej okazji nie popuści... Moc w sobie poczuła niezmożoną do walki choćby z całym światem, nie wahała się już ni bała niczego!

Wyjrzała jeszcze na dwór, wiatr całkiem ustał, uspokoiło się zupełnie, noc była ciemna, że ledwie te śniegi szarzały, na niebie kłębiły się ogromne chmury i przewalały się kiej wody, od borów dalekich czy też z tej ciemnicy nieprzejrzanej szły jakieś głucho szумы.

Zgasiła światło i szepcząc pacierze zaczęła się rozbierać.

Naraz jakiś wrzask daleki, przytłumiony zadrgał w ciszy, rósł, rozlegał się coraz wyraźniej, a wraz z nim i blask krwawy uderzył w szyby.

Wybiegła przed dom wystraszona.

Paliło się, gdziesik ze środka wsi buchały słupy ognia, dymów i skier. Dzwon zaczął bić na trwogę i krzyki się wzmagaly.

– Gore! wstawajta, gore! – zakrzyczała do Stachów, przyodziła się naprędcie i wypadła na dróżkę, ale zaraz prawie natknęła się na Antka biegnącego pędem ode wsi.

– U kogo się pali?...

– Nie wiem, wracaj do chałupy!

– Może to u ojca, bo jakoś w pośrodku! – bełkotała w trwodze śmiertelnej.

– Wracaj, psiakrew! – ryknął porywając ją przez siłę do izby.

Okrwawiony był, bez czapki, kozuch miał porozrywany, twarz osmoloną i dziki, nieprzytomny ogień w oczach.

ROZDZIAŁ 10

Tegoż samego dnia, po obrządkach, a już o dobrym wieczorze zaczęli się schodzić do Kłębów na oną prześlivicową wieczornicę.

Kłębowa sprosiła głównie same starsze kobiety, powinowate swoje albo w kumostwie będące. Przychodziły też w porę, jedna za drugą, nie zawodząc ni się zbyt opóźniając, boć każda kuma rada ciągnęła do drugiej, aby się zgwarzyć społecznie i co nowego posłuchać.

Najpierwsza, jak to miała we zwyczaju, przyszła Wachnikowa z kłakiem wełny w zapasce i z wrzecionami zapasowymi pod pachą; potem przyszła Gołębowa, Mateusza matka, skrzywiona kiej po occie, z obwiązaną gębą, narzekająca wiecznie i ciągiem się skarżąca na wszystko; a po niej, niby ta rozgdakana, odęta kwoka, przyszła Walentowa; po tej zaś Sikorzyna, chuda kiej mietła, turkot baba i w sąsiedzkich swarach najzawziętsza; a po niej wtoczyła się gruba kiej beczka Płoszkowa, czerwona na gębie, spaśna, zestrojona zawdy, dufna w siebie, dworująca nad wszystkie i wyszczekana, jak mało która, ale ogólnie nie lubiana; tuż za nią wsunęła się cicho, czająco kiej ten koczur, Balcerkowa, sucha, mała, zawiędła, ponura a sielna procesownica, która z pół wsią za łeb się wodziła i co miesiąc stawała na sądy; a po nich włązła hardo, choć i nie proszona Kobusowa, Wojtka żona, pleciuch najgorszy i zazdrośnica niepomierna, że strzegli się jej przyjacielstwa kiej ognia. Przyszła jeszcze, zasapana i zgoniona, Grzeli z krzywą gębą kobieta, pijak baba, wykpis i fortelnica, jakich mało, a szkudnik w cudzym najgorszy! Przyszła i stara Sochowa, mać Kłębowego zięcia, cicha kobieta, pobożna wielce i wraz z Dominikową najwięcej w kościele przesiadująca; przyszły i drugie jeszcze insze, ale już tak wybrane, o których nie wiada, co rzec, bo podobne sobie kiej te gąski w stadzie, że nie rozpoznał jednej od drugiej, chyba jeno po obleczeniu – a zeszło się razem sporo babiego narodu i z czym która miała: to z wełną do oprzędu, to ze lnem, to z pakułami, a niektóre z szyciem albo z tą przygarścią pierza do zdarcia, by ino nie dać pozoru, jako się zeszły po próżnicy; na rajcowanie.

Sadowiły się wielkim kołem w pośrodku izby, pod lampą wiszącą u pułapu, kiej te krze na szerokiej grzędzie, rozrosłe, dostałe i późną jesienią owarzone, bo starsze już były a prawie jednolatki.

Kłębowa wszystkim zarówno była rada witając się z każdą cicho, że to słabowała na piersi i głos miała cedzący, zadychliwy, Kłęb zaś, jako człowiek ludzki, mądry i zgodę ze wszystkimi trzymający, to prawil miłe słowa i sam stołki a ławy podsuwał...

Nadeszła później nieco Jagusia z Józką i Nastką, a z nimi jeszcze parę dziewczyn, za którymi ściągali w pojedynkę parobcy.

Sporo ludu się nabrało, boć i wieczory były długie, roboty nie mieli żadnej. Zima szła sroga i przykre dnie, to cknioło się chodzić spać razem z kurami, gdyż i tak do świtania tyła się jeszcze wyspał i wyleżał, aż boki bolały.

Porozsadzali się, jak mogli, kto na ławach, kto na skrzyniach, którym zaś, jak parobkom, Kłębiaki pieńki przynosili ze dwora, a jeszcze miejsca dosyć ostawało w izbie, bo dom był wielki, choć niski, starą modą pobudowany, pono jeszcze przez Kłębowego pradziada, że rachowali mu ze sto pięćdziesiąt roków z okładem, w ziemię też już zapadał, przygarbił się kiej staruch i strzechami płotów dotykał, aż musieli podporami go wspierać, by się do cna nie zwalił.

Gwar się czynił z wolna, bo cicho jeszcze pogadywały między sobą tylko, wrzeciona jeno furkotały i dudniły po podłodze, a gdzieniegdzie i kółko warczało, ale niewielu, bo nie dowierzały zbyt tym nowomodnym wymysłom woląc przuć po staremu na przęślicach.

Kłębiaki, a czterech było młodziaków, wyrosłych jak sosny i już prawie pod wąsem, skręcali powróśla przy drzwiach, reszta zaś parobków rozwalala się po kątach kurząc papierosy, szczerząc zęby i prześmiewając się z dziewczynami, że co trochę cała izba się trzęsła od chichotów; a starsze jeszcze rade dokładały swoje, bych więcej było do śmiechów i zabawy.

Przyszedł w końcu i wyczekiwany Rocho, a tuż za nim Mateusz.

– Wieje to jeszcze? – spytała któraś.

– Całkiem ustało i ma się na odmianę.

– Od borów coś huczy, pewnikiem przyjdzie odelga – dorzucił Kłęb.

Rocho siadł na uboczy do zastawionej miski, bo u Kłębów teraz dzieci nauczał, mieszkał i jadał, Mateusz zaś witał się z niektórymi, nie patrząc nawet na Jagnę, jakby jej nie dojrzał, choć siedziała w pośrodku.

ku i najpierwsza mu w oczy wpadła, uśmiechnęła się na to leciutko, nieznacznie stróżując oczami drzwi wchodowych.

– A wiało też dzisiaj, że niech ręka boska broni! Kobiety na pół żywe przywlekły się z lasu, a pono Hanka z Bylicą jeszcze nie powróciła – zagadnęła Sochowa.

– Juści, biednym to zawdy wieje w plecy – mruknęła Kobusowa.

– Na co to ano i tej Hance zeszło! – zaczęła Płoszkowa, ale spostrzegłszy, że na Jagnę uderzyły ognie, urwała prędko zagadując czym innym.

– Jagustynki nie było? – zapytał Rocho.

– Płotkami ni obmową nie pożywi się u nas, to za nic ma taką kompanię.

– Pleciuch baba, tak dzisiaj najurzyła u Szymków, że sołtysowa skłękła się z wójtową, i żeby nie ludzie, do bicia by przyszło.

– A bo jej pozwalają przewodzić.

– I ustępują kiej przed czym pocziwym.

– Nikto się nie znajdzie, żeby jej zapłacił za te ciągłe swary i kłyżnienia.

– Przeciech wiedzą wszyscy jaka, to czemu szczekaczowi wiarę dają.

– Juści, kto wymiarkuje, kiedy prawdę powie, a kiej scygani!

– Wszystko jest bez to, że każda rada słucha na drugą – zakończyła Płoszkowa.

– Niechby się mnie czepiła, nie darowałabym! – wykrzyknęła Teresa żołnierka.

– Hale, jakby o tobie co dnia nie pyskowała po wsi szepnęła urągliwie Balcerkowa.

– Słyszeliście, przywórcie! – zakrzyczała rozczewniona, boć wiadomym było, że z Mateuszem dobrze się znała.

– Przywórcze, nawet prosto do oczów powiem, niech jeno twój z wojska powróci!

– Wara wam do mnie! ale, będą tu bele co powiadać!...

– Nie drzyj się, kiej cię nikt nie zaczepia – zgromiła ją surowo Płoszkowa, ale Teresa długo nie mogła się uspokoić mamrocząc cosik z cicha.

– Byli już z niedźwiedziem? – zagadnął Rocho, aby zwrócić uwagę w inną stronę.

– Ino ich patrzeć, bo są już u organistów.

– Które to chodzą?

– A dyć te wisielaki Gulbasowe i Filipki chłopaki!

– Idą już, idą! – zaczęły wołać dziewczyny, bo się rozległ przed domem długi ryk, a po nim głosy różnych zwierząt zaczęły się rozlegać w sieni, to kogut piał, owce beczały; koń rżał, a przewodził im ktosik na pischcałce, wreszcie drzwi się otwarły i przodem wlaźł chłopak, przyodziany w kozuch do góry wełną, z czapą wysoką, przysmolony na gębie, że jak Cygan się widział, a ciągnął za sobą na długim powróśle onego niedźwiedzia, przybranego całkiem w grochowiny, z kożuszanym łbem, z ruchającymi się uszami z papieru i z ozorem czerwonym, może na łokieć wywalonym, do rąk zaś miał przywiązane kije, okręcone w grochowiny i wrazone w trepy, że chodził niby na czworakach, a za nim szedł tuż drugi wodziciel, ze słomianą pytą i kijem ostrymi kołkami najeżonym, na których tkwiły kawałki słoniny, to chleby, to jakieś pękate torbeczki wisiały, a dopiero za nimi Michał od organisty na pischcałce przygrywający i cała hurma chłopaków z kijami, bijąc nimi w podłogę i pokrzykując z całej mocy.

Niedźwiednik pochwalił Boga, zapiał potem kiej kokot, zabeczał jak baran, zarżał niby ogier rozgrzany i zaczął wykrzykiwać:

– Niedźwiedniki my z kraju dalekiego, z za morza szerokiego, z lasu wielgachnego! gdzie ludzie do góry nogami chodzą, gdzie płoty kielbasami grodzą, a ogniem się chłodzą; gdzie garnki do słońca przystawiają, świny po wodach pływają i deszcze gorzałką padają; niedźwiedzia my srogiego wodzim i po świecie chodzimy! Powiedzieli nam ludzie, że w tej wsi są gospodarze bogacze, gospodynie użyczliwe, a dzieuchy piękne, tośmy przyśli z kraju dalekiego, z za dunaju szerokiego, by nas opatrzyli, grzecznie przyjęli i na drogę co dali. Amen.

– Pokażcie, co umiecie, a może się la was znajdzie co w komorze – rzekł Kłab.

– Pokażemy wraz! Hej! graj, pischcało! tańcuj, misiu, tańcuj! – zakrzyczał kropiąc go kijem, a na to pischcałka wrzasnęła przebieraną nutą, chłopaki rypnęli kijami w podłogę i nuż przykrzykiwać, wodziciel udawał różne głosy, a niedźwiadek jął skakać na czworakach, ruchał uszami. kłapał ozorem, wierzgał, za dzieuchami gonił, a wodziciel niby go to powstrzymywał, a pytą wokół prał, co wlaźło, i krzykał:

– Nie znalazłaś se mężyny, naści, babo, grochowiny!

Krzyk się podniósł w izbie, wrzaski, rwetes, bieganina, przegony, piski, a taka uciecha zapanowała, aż się za boki brali, niedźwiedź zaś wciąż baraszkował, figle stroił, przewalał się na ziem, ryczał, uciesznie skakał, to dziewczyny brał wpół tymi drewnianymi kulasami i ciągnął

w tan, do taktu Michałowej piszczalki, a rzekome niedźwiedniki wraz z chłopakami tak dokazywali, że dziw się chałupa nie rozwalila od tych wrzasków, gonów i śmiechów!

Opatrzyła ich suto Kłębowa, że wreszcie się wynieśli, ale długo jeszcze słycać było na drodze wrzaski i naszczekiwanie psów.

– Któryż to udawał niedźwiedzia? – zapytała Sochowa, gdy się nieco uspokoiło.

– A Jasiek Przewrotny, nie poznaliście to?

– Kiej pod tym łbem kożuszonym nie mogłam rozpoznać.

– Moiściewy, do figłów to rozum ma, pokraka jedna zauważyła Kobusowa.

– Powiadacie, jakby już Jasiek całkiem był głupi! – bronila go Nastka, Mateusz pomagał jej opowiadając różności o nim, jako tylko nieśmiały jest, ale zgoła niegłupi., a tak bronił Jaśkowej sprawy, że nikto się nie przeciwil, jeno domyślne, przytajone uśmiechy zaczęły latać po twarzach.

Usadzili się znowu na dawne miejsca i pogwarzali wesoło, dziewczyny zaś z Józką na czele, jako najśmielszą, nacisnęły Rocha pod kominem i nuż go molestować i milić się przed nim, by opowiedział jaką historię, jak to u Borynów na jesieni:

– A pamiętasz to, Józia, com wtedy powiadał?

– I jak! Było to o tym Burku Panajezusowym!

– Rzeknę wam dzisiaj o królach, kiejście ciekawe!

Przysunęli mu stołek pod lampę, rozstąpili się nieco, że usiadł w pośrodku, kiej ten stary, siwy dąb na polanie, otoczony półkołem zwarłych, pochylonych krzy, i zaczął prawić z wolna i niegłośno.

Cichość ogarnęła izbę, że jeno wrzeciona warkotały, a czasem ogień trzasnął na kominie albo czyjeś westchnienie zaszemrało – a Rocha powiadał cudenka różne i historie o królach, o wojnach srogich, o górach, gdzie śpi wojsko zakłete, czekając jego zatrażenia, by się zbudzić i paść na nieprzyjacioły, i pobić, i ziemię ze złego oczyścić; o zamkach wielgachnych, gdzie złote izby, gdzie królowny zakłete w białych gzałach w księżycowe noce lamentują i wybawiciela czekają, gdzie w pustych pokojach co noc brzmi muzyka, zabawy idą, ludzie się schodzą, a niech kur zapieje, wszystko zapada i w groby się kładzie; o krajach, gdzie ludzie kiej drzewa, gdzie mocarze, co górami rzucają, gdzie skarby nieprzebrane, przez smoki one piekielne strzeżone, gdzie ptaki-żary, gdzie Madeje, gdzie kije samobije, a one Lele-Polele, a one południce, upiory, strachy, czary, dziwności! – a drugie jeszcze, insze a

cudne i wprost nie do wiary, że wrzeczona z rąk leciały, a dusze się nie-
sły w zaczarowane świąty, oczy gorzały, łzy ciekły z nieopowiedzianej
lubości i serca dziw nie wyskoczyły z piersi z utęsknienia i podziwu.

A na końcu opowiadał o królu, którego panowie la prześmiewiska
chłopskim królem przezywali, że to był pan ludzki, sprawiedliwy i do-
bro narodowi całemu czyniący, o jego wojnach srogich, tułactwie,
przebieraniach się po chłopsku, w którym chodził po wsiach, w kumo-
stwach się bratał, o złem się przewidywał i krzywdy naprawiał, i zło-
ści gasił, a potem, by już być za jedno z chłopami, to się ożenił z go-
spodarską córką spod Krakowa, a Zofia było jej na imię, dzieci z nią
miał, na zamek powiódł krakowski i tam w długi wiek rządy sprawo-
wał jako ten ociec najlepszemu narodu i pierwszy gospodarz!

Słuchali coraz pilniej, nie tracąc ani słowa i dech nawet tając w so-
bie, bych ino nie przerwać tego różańca cudowności. Jagusia zaś cał-
kiem nie mogła przuć, opadły jej ręce, pochyliła głowę i wsparta po-
liczkiem o kądziel, utopiła modre, oławione oczy w Rochowej twarzy,
któren się jej widział jako ten święty z obrazów zeszy, boć i był podo-
bien ze siwego włosa, z długiej białej brody i z tych oczów białych,
zapatrzonych gdziesik w zaświaty – słuchała go całą duszą, całą mocą
czującego mocno serca i tak gorąco brała w siebie jego powiadania, że
ledwie mogła dychać ze wzruszenia, widziała wszystko jak żywe i tam
szła duszą, gdzie wiódł słowami, a już najbardziej chwyciła ją za serce
ta historia o królu i tej gospodarskiej córce. Jezus, jak się to jej ślicz-
nym widziało!

– I to sam król tak żył z chłopami? – zapytał Kłęb po długim mil-
czeniu.

– Sam król!

– Jezus, umarłabym, gdyby król do mnie przemówił! – szepnęła
Nastka.

– Poszłabym za nim w cały świat za to jedno słowo!

W cały świat! – wykrzyknęła namiętnie Jagna, przejęta takim moc-
nym a zapamiętałym wzruszeniem, że niechby się jawił w ten moment,
niechby rzekł to słowo, a poszłaby, jak stała, w tę noc, w ten mróz, w
cały świat!

Opadli wnet Rocha pytaniami, a gdzie to zamki takie, wojska takie,
te bogactwa, te moce, śliczności takie, króle takie, gdzie?

Więc opowiadał smutnie nieco a tak mądrze, wraz prawdy różne i
przykazania powiadał, że jeno wzdychali ciężko medytując i rozważa-
jąc pilnie te urządzenia na świecie...

– Jedno dzisiaj człowiekowie, a jutro w boskiej mocy! – rzekł Kłęb.

Rocho odpoczywał zmęczony, a że zaś wszystkich dusze ogarnięte były jeszcze onymi cudownościami, to zaczęli między sobą cicho zrazu, a potem już dla wszystkich w głos opowiadać, co kto wiedział.

Jedna co rzekła, po tej druga, to i trzeciej się przypomniało, i czwartej, a każda co nowego niesła, że snuły się one gadki jako te nici z kądzieli, jako ta miesięczna poświata, grająca farbami na pośleptych, pomarłych wodach, przytajonych w borach – to o topielicy przychodzącej nocami karmić głodne dzieciątko, o upiorach, którym musiano w trumnach serca przebijać osikowymi kołkami, by z ludzi krwi nie wypijały, o południcach duszących po miedzach, o drzewach gadających, o wilkołakach, o zjawach strasznych północnych godzin, strachach, wisielcach, o czarownicach i pokutujących duszach, i o takich dziwnych, przerażających rzeczach, od których słuchania włosy się podnosiły, serca zamierały z trwogi, zimny dreszcz przenikał wszystkich, że milkli naraz oglądając się trwożnie, nasłuchując, bo się wydawało, iż coś chodzi po pułapie, że cosik czai się za oknami, że przez szyby krwawią się jakieś ślepia i w ciemnych kątach kłębią się nierozpoznane cienie... aż niejedna żegnała się prędko, pacierz trzepiąc w cichości dzwoniącymi zębami... ale to rychło przechodziło jak cień, gdy chmurka słońce nakryje, że potem nie wiada nawet, czy był... i znowu powiadali, przedli a motali dalej one gadki nieskończone, którym sam Rocho pilnie się przysłuchiwał i nową historię rzekł o koniu...

– „Jeden biedny gospodarz pięciomorgowy miał konia, ale tak narownego i próżniaka jak mało, próżno mu dogadzał, owsem pasł, a nie dogodził, koń robić nie chciał, uprzęże rwał i kopytami bił, że ani dostąpić... Pewnego razu zeźlił się chłop srodze; bo obaczył, że z nim dobrością nie poradzi, założył go do pługa i począł umyślnie orać stary ugor, by go przemęczyć i do pokory nagiąć, ale koń ciągnąć nie chciał, sprął go wtedy kozicą, co wlaźło, i przymusił; koń robił, jeno że sobie to miał za krzywdę i zapamiętał dobrze, aż i wyczekał na porę sposobną, kiej gospodarz razu jednego schylił się, by mu pęta zdjąć z kulasów, trzasnął go zadnimi kopytami i na miejscu zabił, a sam w cały świat pognął na wolność!

Latem było mu niezgorzej, w cieniach się wylegiwał i w cudzych zbożach wypasał, ale skoro nadeszła zima, spadły śniegi, mróz chwycił, paszy brakło i ziąb przejmował go do kości, to popędził znowu dalej szukać strawy, leciał tak dnie i noce, bo wciaż była zima, śniegi i

mrozy, a wilki tuż za nim, że mu już niejednen dobrze boków pazurami zmacał!...

Bieży, bieży, bieży, aż i wyszedł na kraj zimy, w jakąś łąkę, gdzie ciepło było, trawy po kolana, źródelka bełkotały i skrzyły się w słońcu, cienie chłodne chwiały się nad brzegami i wiaterek miły przeciągał, wparł się wnet w trawę i dalej żreć, boć zgłodniały był do cna – ale co chyci zębami trawy, to ino ostre kamienie przegryza trawa zniknęła! Wody chciał popić – nie było, ostało jeno błocko śmierdzące; położyć się chciał w cieniu – cienie odlatywały, a słońce żarło żywym ogniem! Cały dzień się tak trudził i na darmo! Chciał już wrócić do borów, borów nie było! Zarżało konisko boleśnie, odpowiedziały mu jakieś konie z dala, powlókł się za głosem i w końcu dojrzał za łąkami jakiś dwór sielny, jakby cały ze srebra, szyby miał z drogich kamieni, a strzechę kieby z nieba nabitego gwiazdami, ludzie tam jakieś chudzili. Powlókł się do nich, bo już wolał nawet pracować ciężko niżli z głodu marnie ginąć... Przestojął na skwarze dzień cały, bo nikto z uzdą do niego nie wyszedł, dopiero o wieczornym czasie wychodzi ktosik ku niemu, jakby sam gospodarz! Jezus ci to był, on Gospodarz Przenajświętszy, on Pan niebieski, i rzecze:

– Nic tu po tobie, wałkoniu i zabijaku, jak błogosławić będą ci, co się teraz przeklinają, każę cię wpuścić do stajni.

– Bił me, tom się bronił!

– Za bicie przede mną sprawa, ale i sprawiedliwość ja w ręce trzymam.

– Takim głodny, takim spragniony, takim obolały! – jęczało konisko.

– Rzekłem swoje, ruszaj precz, wilkom cię każę jeszcze szcuć i poganiać...

To i zawróciło konisko do zimowego kraju, i wlekło się o chłodzie i głodzie, a w wielkim strachu, bo wilki, jako te psy Jezusowe, poganiały pilnie strasząc go wyciem, aż i pewnej nocy zwiesnowej stanął przed wrótniami swojego gospodarza i zarżał, by go przyjęli z powrotem, ale na to wyleciała wdowa z dziećmi, a poznawszy go, choć tak był zbiedzony, nuż go prać, czym popadło, odganiać a wyklinać za krzywdy, bo bez te śmierć chłopa pobidniała i w wielkiej nędzy żyła wraz z dziećmi.

Nawrócił do borów, bo już nie wiedział, co począć, opadły go zwierzaki, nie bronił się nawet, zarówno mu już była i śmierć, ale one go ino obmacały i starszy powiedział:

– Nie zjemy cię, boś za chudy, skóra i gnaty, szkoda pazurów, ale ulitujem się nad tobą i pomożemy...

Wzięły go między siebie i powiedły rankiem na gospodarzowe pole, i założyły do pługa, którego stał w roli, wdowa nim orała wraz z krową i dziećmi.

– Poorzą tobą, podpasą, to jesienią powrócim cię wyprząść! – powiedziały.

O dniu nadeszła wdowa i poznała go zaraz, to choć krzyknęła zrazu, że to cud, iż powrócił i stał już w pługu, ale rychło żałośliwość przypominków tak ją objęła, że zaczęła znowu wyklinać i bić, co ino wlażło! Robiła też w, niego potem, robiła, a odbijała się za krzywdę! Całe lata tak szło w ciężkiej, cierpliwej pracy, bo choć koniskowi skóra się odparzała od chomąta, ani zarżał, wiedział, iż cierpi sprawiedliwie. Dopiero w parę років, kiej wdowa się dorobiła nowego chłopca i tych morgów, co po sąsiedzku szły wpodłe, zmiękła la konia i powiedziała:

– Ukrzywdziłeś nas, ale za twoją sprawą Pan Jezus pobłogosławił, rodziło się, chłop się niezgorszy trafił, rolim przykupiła, to ci już z serca odpuszczam.

I zaraz tej samej nocy, kiej w chałupie chrzciny sprawiali, przyszły Panajezusowe wilki, wyprowadziły konia ze stajni i powiedły do niebieskiej zagrody!”

Dziwowali się temu zrządzeniu boskiemu niepomiernie, zastanawiając szeroko, jak to Pan Jezus zawsze karze zło, a dobre wynagradza i o niczym, choćby na ten przykład o koniu takim, nie przepomni.

– Choćby i ten robaczek wierzący w ścianie, a nie ukryje się przed Jego okiem...

– Ni nawet najtajniejsze pomyślenie, ni chęć jaka paskudna – dorzucił Rocho.

Wzdrygnęła się na to Jagna, bo i Antek wszedł akuratnie, ale mało kto go zauważył, choć cichość była, bo pod ten czas opowiadała Walentowa takie cudności o królownie zaklętej, że wrzeczona przestały warczeć, wszystkim ręce opadły, powstrzymywali oddechy i jak uroczeni siedzieli wsłuchując się całą duszą.

I tak się ano przesuwiał ten lutowy, zimny wieczór.

Dusze się wznosiły, pod niebo rosły, a płonęły jak te smolne szczapy, że jeno szmer wzdychów, marzeń i pożądań niby te kwietne motyle trzęsły się po izbie.

Osnuwali się w żywy, rozdrzany, mieniący farbami oprzęd cudowności, że całkiem przysłoniły się oczy na wszystek świat smutny i szary, i biedny!

Po polach bładzili ciemnych, prześwieblonych widziadłami, co jak żagwie buchały krwawą pożogą; na one ruczaje szli srebrne, pełne śpiewań nierozeznanych, tajemnych wołań, plusków; w bory zakłete, gdzie rycerze, wielkoludy, zamki one; widma straszliwe, smoki piekielnym ogniem zionące; po rozstajach stawali strwożeni, gdzie upiory z chichotem przelatywały, gdzie potępionych głosem jęczą wisielce, a strzygi z nietoperzowymi skrzydłami przelatują; bładzili po mogiłkach za cieniami pokutujących samobójców; w pustych rozwalonych zamkach i kościołach słuchali głosów dziwnych, patrzeli się nieskończonym korowodom mar przerażających, w bojach byli, pod wodami, gdzie śpiące jaskółki, poplątane w girlandy, budzi o każdej wiośnie Matka Boża i na świat wypuszcza.

I nosili się przez nieba i piekła, przez wszystkie straszności, przez ciemnice Bożego gniewu i przez jasności łaski Jego świętej, przez nieopowiedziane krainy cudów i czarów, dziwów i zachwyków, przez takie światy, gdzie jeno dusze człowiekowie bładzą jako te ptaki pośleple od piorunów i błyskawic, przez takie miejsca, do których człowiek tylko w godzinie cudu albo i we śnie zagłada, patrzy olśniony, dziwuje się i nie wie sam o sobie, czy jest-li w żywych jeszcze!

Hej! jakby morze powstało wałem nieprzeniknionym, wałem czarów, skrzeń i cudowności, że przepadła sprzed oczów ziemia cała, izba, luta noc, świat ten cały pełen utrapień i nędz wszelkich, i krzywd, i płakań, i żaleń, i czekań – a otwarły się oczy na świat inny, nowy i tak cudowny, że żadne usta tego nie wypowiedzą!

Baśniowy świat ich otoczył, baśniowe życie objęło tęczami, baśniowe marzenia stawały się rzeczywistością – umierali prawie z zachwyków zmartwychwstając zarazem tam, w tym życiu jasnym, wielkim, mocarnym, bujnym a świętym, i cudownościami poprzeraśtanym kieby dojrzałe zboże wyczką i makami, tam gdzie każde drzewo mówi, każdy ruczaj śpiewa, każdy ptak jest zakłety, każdy kamień ma duszę, każdy bór jest pełen czarów, każda grudka ziemi przepojona nieznanymi potęgami – gdzie wszystko wielkie, nadludzkie, niewidziane żyło świętym życiem cudów!

Tam się parli całą potęgą tęsknoty, tam snuli się oczarowani, gdzie wszystko spletało się w nierozzerwalny łań cuch marzeń i życia, cudów i pragnień, w czarodziejski korowód wyśnionego istnienia, do którego

wciąż, przez całą nędzę bytowania ziemskiego rwały się im strudzone, okaleczały dusze!

Cóż ta to życie szare i nędzne, cóż ta ten dzień zwykły, podobien do patrzenia chorego, smutkami kieby mgłą przysłoniony, mrok to jeno, noc smutna i ciężka, przez którą chyba dopiero w godzinę śmierci dojrzyć własnymi oczami dziwy one.

Jako to bydlę, jarzmem przygięte do ziemi, żyjesz, człowieku, zabiegasz, turbujesz się, by dzień ten przeżyć, a nie pomyślisz nawet, co się okólnie dzieje, jakie to kadzielne zapachy wioną światem, od jakich świętych ołtarzy idą głosy, jakie utajone cuda są wszędy!...

Jako ten ślepy kamień pod wodą głęboką żyjesz, człowieku...

W ciemnicy, człowieku, orzesz żywota rolę i płacz zasiewasz, ten trud, ten ból...

I w błocie tarzasz gwieźdną duszę, człowieku, w błocie... Opowiadali dalej, wciąż, a Rocho dopomagał chętnie, sam się dziwował, sam wzdychał, sam płakał, kiej i drudzy płakali...

A czasem następowały długie, głębokie milczenia, że słyhać było kołatanie serc wzruszonych, wilgotne blaski oczów świeciły kiej rosa, drżały westchnienia podziwu i tęsknot, dusze się kładły do stóp Pańskich w tym cudów kościele i śpiewały przepotężny hymn dziękczynienia. Cichością śpiewały wszystkie serca, przepelnione czarem, drzące, upojone świętą komunią marzenia – jako ta ziemia drży pławiąc się w słońcu wiośniwym, jako te wody pod wieczór w pogodny czas i cichy, że jeno drgnienia po niej się snują, a tęcze, a kolory; jako te zboża młode o pierwszym wieczorze majowym, co jeno kolebią się słodko, szemrzają przeciągle a trzęsą piórkami kieby tym pacierzem dziękczynnym.

Jagusia zaś była jakby wniebowzięta, tak czuła wszystko głęboko, tak brała w siebie i za taką prawdę miała, że rosło to w niej i stawało przed oczami kiej żywe, że mogła wszystko powycinać z papieru. Dali też jej jakieś pozapisywane karty dzieci, które Rocho nauczał a ona nasłuchując opowiadań wystrzygała po kolei czy to strachy, czy króle, czy upiory, czy smoki, czy inne różności, a tak utrafiła, że kaźden mógł poznać od wejrzenia.

Tyla wystrzygnęła, że można było nimi oblepić całą belkę, a jeszcze i pofarbowała lubryką czerwoną i niebieską, jaką jej Antek podsunał, tak była zajęta słuchaniem i robotą, że o całym świecie zapomniała, nie baczyła nawet na niego, nie widząc, że się czegoś niecierpliwi, a

ukradkiem daje jakieś znaki... a nikt drugi też nie spostrzegł tego w zaszłuchaniu i w tej ciszy, jaka panowała.

Naraz psy zaczęły doszczekiwać zajadle i skowyczeć w opłotkach, aż któryś Kłębiak na dwór wyleciał i powiadał potem, iż chłop jakiś uciekał sprzed okien.

Nie zwracali na to uwagi, nie widząc wcale, że później, gdy psy zmiłkły, jakaś twarz przesunęła się za szybą i przepadła tak prędko, że tylko jedna z dziewczyn krzyknęła załękła, oczy przecierając zdumiona.

– Tam ktosik chodzi pod oknami! – zawołała.

– Słysząc, jak śnieg skrzypi pod nogami!

– Jakby na ścianę się skrabał!

Zmartwieli wszyscy nasłuchując, a bojąc ruszyć się z miejsca, opadli nagłą trwogą.

– Kto o czym baje, temu się staje! – szepnęła ze strachem któraś.

– O złym się powiadało, to może się i wywołał i wypatruje, kogo by wziąć!

– Jezus Maria!

– Wyjrzyjcie no, chłopaki, tam nie ma nikogo, psy pewnie baraszkują po śniegu.

– Hale, kiedyś dobrze widziałam za oknem, łeb kiej ceber i ślepie czerwone!

– Przywidziało ci się! – zawołał Rocho i że nikt nie chciał wyjrzeć, sam poszedł na dwór, by uspokoić wszystkich. j

– Opowiem wam historię o Matce Boskiej, to wnet szczerzą przewidzenia – zagadał siadając na dawnym miejscu, uspokoił się nieco, ale raz po raz ktoś podnosił oczy na okno i strachem utajonym dygotał.

– „Dawno to już się działo, dawno, przed wiekami, że jeno o tym w starych księgach stoi... We wsi jednej pod Krakowem żył kmieć, Kazimierz mu było na imię, a na przydomko Jastrząb, osiadły był z dawna, rodowy i bogacz, całe włoki obsiewał, las swój miał, chałupę kiej dwór i młynek nad strugą.. Pan Jezus mu błogosławił, wiedło się wszystko, brogi zawdy miał pełne, gotowy grosz w skrzyni, dzieci zdrowe i kobietę poczciwą; bo dobry był człowiek, mądry, wyrozumiały, pokornego serca i sprawiedliwy dla wszelkiego stworzenia.

Przewodził gromadzie kiej ojciec, opiekował się biednymi, sprawiedliwości bronił, podatkami nie uciskał, a poczciwości we wszystkim przestrzegał pilnie i pierwszy był zawdy do pomocy bliźniemu i poratunku.

Żył też sobie cicho, spokojnie i szczęśliwie jak u Pana Boga za piecem.

Aż razu pewnego król jął skrzykiwać naród na wojnę przeciw poganom.

Zafraswał się wielce Jastrząb, bo żal mu było doma odbieżyć i ruszać na one boje srogie.

Ale królewski parobek u drzwi stał i przynagłał!

Na wielką wojnę się miało, Turek ano sprośny w kraje polskie wszedł, wsie palił, kościoły rabował, księży zarzynał, naród tępił lebo w postronkach pędził do swoich pogańskich krajów.

Trza się było gotować i na obronę stawać!

Zbawienie wieczne czeka tego, któren ochotnie kładzie głowę za swoich i wiarę świętą.

Zwołał tedy Jastrząb gromadę, wybrał co tęższych parobków, konie, wozy i wnet ruszyli rankiem jakoś po mszy świętej!

A cała wieś odprowadzała ich z płaczem i lamentem aż pod figurę Częstochowskiej, która stała przy drodze na rozstajach.

Wojował rok, wojował dwa, że w końcu i słuch wszelki o nim zaginął.

Insze dawno powrócili do domów, a Jastrzębia jak nie było, tak nie było, myśleli, że już był zabity albo go Turek wziął do niewoli, o czym nawet z cicha jeszcze dziady i wędrowce różne powiadali...

Aż w końcu trzeciego roku na pierwszą zwiesnę powrócił, ale sam, bez czeladzi, bez wozów i koni, piechty, zbiedzony, zmarnowany, z kosturem jeno kiej dziad...

Pomodlił się gorąco przed Matką Bożą, że mu pozwolili jeszcze swojej ziemi, i spiesznie ruszył do wsi...

Nikt go nie witał, nikt nie poznawał, że psom się ano musiał oganiać.

Przychodzi przed swój dom, przeciera oczy, żegna się, a poznać nie może... Jezus Maria! Gumien nie ma, stajen nie ma, sadów nie ma, płotów nawet nie ma, z lewentarza ni śladu... a z chałupy ino zręby spalone... dzieci nie ma... pusto... straszno... jeno żona schorowana wywlekła się z barłogu na jego spotkanie i gorzkimi łzami zapłakała!

Kieby piorun w niego trzasnął!

Oto kiedy on wojował i nieprzyjacioły Pańskie gromił, przyszedł do chałupy mór i pobił mu wszystkie dzieci... piorun spalił... wilki wydusiły stada... źli ludzie rozgrabili... sąsiady zabrały ziemię... susze wy-

pały zboża... grady wytlukły resztę... że nie zostało nic, ziemia jeno a niebo.

Siedział na progu kiej zmartwiały, a na odwieczerzu, kiedy przedzwanieli na Anioł Pański, zerwał się nagle i jął strasznym głosem wyklinać i pomstować!

Próżno go żona wstrzymywała, próżno u nóg mu się wlekła błagający, przeklinał i przeklinał, że na darmo krew swoją lał za Pańską sprawę, na darmo bronił kościołów, na darmo rany ponosił, głód cierpiał, na darmo pocziwym był i pobożnym; na darmo. – Pan Bóg i tak go opuścił i na zatracenie skazał!

Strasznie bluźnił przeciw boskiemu imieniowi a krzyczał, że już chyba złemu się cały odda, bo on jeden ludzi w biedzie nie opuszcza.

Juści, że na takie przyzwy wnet się zły jawił przed nim.

Jastrząb się już nie pomiarkował w tej złości, a ino zawołał:

– Pomagaj, diable, jeśli możesz, bo mi się wielka krzywda stała.

Głupi, nie pomiarkował, że Pan Jezus chciał go doświadczyć i wypróbować.

– Pomogę, a oddasz duszę? – zaskrzeczał zły.

– Dam, choćby i zaraz!

Napisali cyrograf, któren chłop krwią ze serdecznego palca podpisał.

I już od tego dnia zaczęło mu się wszystko wieść, sam mało co robił, a ino doglądał i rządził, Michałek, bo tak się kazał zły przezywać, robił za niego, a drugie diabły poprzebierane za parobków, to za Miemców, pomagały, że w krótkim czasie gospodarstwo było jeszcze lepsze, większe i bogatsze niżli przódzi.

Ino dzieci nie było nowych, bo jakże bez błogosławieństwa boskiego mogły być!

Gryzł się tym Jastrząb srodze, a po nocach czasami rozmyślał, jak to przyjdzie gorzeć w tym piekle wiecznym, i nie cieszyły go ni bogactwa, ni nic... Aż musiał mu Michałek jawić przed oczy, jako wszystkie bogacze, panowie, kupy diabłom się za żywota zaprzędali, a żaden z nich się nie turbuje ni rozmyśla, co tam będzie po śmierci, a jeno się weselą i wszystkiego używają do syta!

Uspokajał się potem Jastrząb i jeszcze barzej przeciwko Bogu srożył, że aż sam krzyż pod lasem zrąbał, obrazy z domu powyrzucał i do figury Częstochowskiej się brał, by ją roznieść, iż mu to do orki przeskadzała, ledwie go od tego kobieta odwiedła skamleniem i prośbami.

I tak roki płynęły za rokami jako ta woda bystra, bogactwa rosły niepomierne, a z nimi także znaczenie, iż nawet sam król zajeżdżał do niego, na dwór zapraszał i między swoich komorników sadzał.

Puszył się tym Jastrząb, wynosił nad drugie, biedotą pomiatał, wszelkiej poczciwości się wyzbył, że, już za nic miał świat cały.

Głupi! nie baczył, czym przyjdzie zapłacić za to...

Aż w końcu i przyszła godzina porachunku. Panu Jezusowi już zbrakło cierpliwości i pobłażania la zatwardziałego grzesznika...

Nadszedł czas sądu i kary.

Najpierw zwały się na niego ciężkie choroby i nie popuszczały ni na to oczymgnięcie.

Potem lewentarze padły na mór.

Potem piorun spalił wszelkie zabudowania.

Potem grady wybiły zboża.

Potem czeladź go odbiegła.

Potem zaś przyszły takie susze, że wszystko spaliło się na popiół, drzewa poschły, wody wyschły, ziemia popękała.

Potem opuścili go całkiem ludzie i bieda siadła na progu.

A on chorzał ciężko, ciało mu kawałami odpadało, kości próchniały.

Na darmo skamlał o poratunek Michałka i jego diablích kamratów: nawet zły nie poradzi, kiej nad kim zawiśnie ręka Bożego gniewu!

A i diabli nie stali już o niego: ich był, to aby prędzej skonął, dmuchali mu w one rany straszne, bych się barzej jątrzyły.

Jedno zmiłowanie Pańskie mogło go tylko wybawić!

Jakoś późną jesienią przyszła jedna noc tak wiejna, że wicher zerwał dach z chałupy i powyrywał wszystkie drzwi i okna, wraz zaś zleciała się cała hurma diabłów i nuż tańcować koło węglów, a cisnąć się z widłami do środka, bo Jastrząb już był na skonaniu...

Kobieta broniła go, jak mogła, obrazem świętym osłaniając, to kredą poświęconą znacząc progi a okna, ale już ustawała z wielkiej turbacji, by nie pomarł bez Sakramentów i pojednania z Bogiem; to chociaż zakazywał, tak był jeszcze w tej ostatniej godzinie zatwardziały, chociaż złe przeszkadzało, upatrzyła porę i poleciała na plebanię.

Ale ksiądz szykował się gdzieś do drogi, a do bezbożnika iść nie chciał.

– Co Pan Bóg opuścił, diabli zabrać muszą, nic tam już po mnie... – i pojechał na karty do dworu.

Zapłakała gorzko z frasunku, przyklękła przed oną figurą Częstochowskiej i tym szlochem krwawym, tym szrybotem serdecznym skamlała o zmiłowanie.

Ulitowała się nad nią Panienska święta i przemówiła:

– Nie płacz, kobieto, wysłuchane są twoje prośby...

I schodzi do niej z ołtarza, jak stała, w koronie złotej, w onym płaszczu modrym, zasianym gwiazdami, z różańcem u pasa... jaśniejąca dobrocią... Przenajświętsza i gwieździe zarannej podobna... Kobieta padła przed Nią na twarz.

Podniosła ją świętymi rączkami, otarła te łzy żałośliwe, przytuliła do serca i powiada tkliwie:

– Prowadź do chałupy, może ci co poredzę, służebnico wierna.

Obejrzała chorego i zafrasowało się wielce serce miłościwe.

– Bez księdza się nie obejdzie, kobietą jeno jestem i takiej mocy nie mam, jaką Jezus dał księżom! Łajdus on jest, o naród nie dba, zgoła zły pasterz, odpowie za to srogo, ale on jeden ma moc rozgrzeszania... Sama pójdę po tego kostyrę do dworu... Naści różaniec, broń nim grzesznika, póki nie przyjdę.

Ale jak tu było iść?... noc ciemna, wiatery, deszcz, błocko, kawał drogi, a do tego diabli wszędzie psocili.

Nie ulękła się niczego Pani Niebieska, nie! Przyodziała się jeno od pluchy w płachtę i poszła w tę ciemnicę...

Doszła do dworu umęczona srodze i przemokła do nitki; zapukała prosząc pokornie, bych ksiądz szedł pilno do chorego, ale on, dojrawszy, iż to jakaś biedota i taki psi czas na dworze, kazał powiedzieć, że rano przyjedzie, teraz nie ma czasu i grał dalej, pił i barszkował z panami.

Matka Boża jeno westchnęła boleśnie nad jego niepoczciwością, to sprawiając, że zaraz zjawiała się złota karetka, cugi, lokaje, przedziała się na panią starościnę i weszła na pokoje.

Juści, że ksiądz zaraz pojechał chętnie i w te pędy.

Przyjechali jeszcze na czas, ale już śmierć siedziała na progu, a diabli przez moc dobywali się do chłopca, by go porwać żywcem, nim ksiądz nadjedzie z Panem Jezusem; tyle że broniła go kobieta różańcem, to obrazem drzwi przytykając, to pacierzem, to tym Imieniem Pańskim.

Wyspowiadał się Jastrząb, za grzechy żałował, Boga przepraszał, rozgrzeszenie dostał i zaraz w ten moment Bogu ducha oddał. Sama

Najświętsza zamknęła mu oczy, pobłogosławiła kobietę i powiada do struchlałego księdza:

– Pódzi za mną!...

Nie mógł się jeszcze pomiarkować, ale poszedł, rozgląda się przed chałupą, a tu ani karety, ni lokajów, jeno deszcz, błoto, ciemnica i śmierć, idąca za nim trop w trop... Ułakł się wielce i dalejże gnać za Panienką ku kapliczce!

Patrzy, a tu Ona już w płaszczu i koronie, otoczona chórami anielskimi, wstępuje na ołtarz, na dawne miejsce.

Poznał ci wtedy Królową Niebieską, strach go wziął, padł na kolana, ryknął płaczem i wyciągnął ręce o zmiłowanie.

A Panienska święta spojrziała nań gniewnie i rzekła:

Wieki tak całe pokłęczysz za grzechy, popłaczesz, nim odpokutujesz...

W kamień się wnet obrócił i tak już ostał, nocami jeno płacze, ręce wyciągnięte trzyma, zmiłowania czeka i już od wiek wieków tak klęczy.

Amen!

.....

Do dzisiaj oglądać można oną figurę w Dąbrowie pod Przedbozrzem: pod kościołem stoi ku wiecznej pamiętliwości i ostrzeżeniu grzeszników, jako „kara za złe nikogo nie minie.”

Długie a głębokie milczenie padło na wszystkich, kaźden rozważał słyszane i kaźden pełen był świętej cichości, podziwu, dobrotliwości i lęku.

Co tu rzec w taką porę, kiej się dusza człowiekowa rozpręży jako to żelazo w ogniu, nabrzmieje czuciem i jasnością, że jeno ją tknąć, a gotowa gwiezdny deszczem rozprysnąć i tęczą się rozsnuć między ziemią a niebem.

To trwali w cichości, póki ostatnie zarzewia nie zaczęły w nich przygasać.

Mateusz wyciągnął flecik i jął na nim przebierać i ciągnąć z cicha tą nutą rzewliwą a mieniącą, jakoby kto rosy suł po owych pajęczynach, a Sochowa zaśpiewała „Pod Twoją obronę”. Przywtarzali jej z cicha.

A potem zaś z wolna zaczęli pogadywać o tym i owym, jak zwyczajnie.

Młódź zaczęła między sobą się prześmiewać, bo Tereska żołnierka zadawała parobkom zagadki ucieszne, że zaś ktosik powiedział, jako Boryna powrócił już ze sądów i pije teraz w karczmie ze swoją kompanią, Jagusia zawinęła się cicho i wyszła nie wołając nawet Józki, a za nią Antek wysunął się też ukradkiem, dopadł jeszcze w sieni u proga, ujął mocno za rękę i powiódł do innych drzwi na podwórze, a stamtąd przez sad do stodoły.

Prawie nie zauważono ich wyjścia, bo Tereska w głos wołała:

- „Przez ciała, przez duszy, a pod pierzyną się ruszy..”co to jest?
- Chleb, chleb, każdy wie! – wołali skupiając się koło niej.
- Albo to: „Gonia się goście po lipowym moście...”
- Przetak i groch!
- Każde dziecko o takich zagadkach wie.
- To mówcie drugie, mądrzejsze!
- „W koszuli się na świat rodzi,
A po świecie nago chodzi.”

Długo zgadywali, aż dopiero Mateusz powiedział, że to ser, i sam zadał taką zagadkę:

- „Lipowe drzewo wesoło śpiwa,
A koń na baranie ogonem kiwa.”
- Z trudem się domyślili, iż to ma znaczyć skrzypce.
Tereska zaś powiedziała jeszcze trudniejszą:
- „Bez nóg, bez rąk, bez głowy i brzucha,
A kaj się obróci, wszędy se dmucha!”

Wiater to miało znaczyć; zaczęli się o to swarzyć, prześmiewać i coraz ucieszniejsze zagadki powiadać, aż się izba roztrzęsła gwarem i wesołością.

I jeszcze długo w noc tak się społecznie zabawiali.

ROZDZIAŁ 11

...Wpadli do sadu, chyłkiem przesunęli się pod obwisłymi gałęziami i prędko, trwożnie, niby spłoszone jelonki, wybiegli za stodoły, w omroczałe śniegi, w noc bezgwiezdną i w niezgłębioną cichość pól przemarzłych.

Przepadli w nocy; zginęła wieś, umilkła nagle wrzawa ludzka, porwały się nawet najslabsze odgłosy życia, że zapomnieli wnet o wszystkim i ujawszy się wpół, przywarli mocno do siebie biedro w biedro, przychyleni nieco, radośni a strwożeni, milczący a pełni rozśpiewania, lecieli ze wszystkich sił w cały ten świat, modrością siną zasnutą i milczeniem.

– Jaguś!

– Co?

– Jesteś to?

– Zaśby nie!...

Tyle jeno rzekli, czasami przystając, aby odetchnąć.

Zapierało im głosy trwożne bicie serc i potężny krzyk radości przytającej; zaglądali w siebie co chwila, oczy przeświecały się nawzajem, niby upalne, nieme błyskawice, a usta spadały na się z piorunową mocą i z takim głodnym, pożerającym ogniem, że zataczali się z upojenia, tchu brakowało, dziw serca nie rozpekły; ziemia usuwała się spod nóg, lecieli jakoby w ognistą przepaść i rozglądając się ślepymi od żarów oczyma, zrywali się wnet z miejsca i znowu biegli, ani wiedząc dokąd i kędy, byle dalej, choćby w samą najgłębszą noc, aż tam, w te zwite kołtuny cieniów...

Jeszcze staje... jeszcze dwa... dalej... głębiej... aż wszystko zginęło z oczu, i świat cały, i sama pamięć o nim, aż przepadli całkiem w zapamiętaniu, jakoby we śnie nieprzypomnianym, a jeno przez dusze wiedzianym, jakoby w tym śnie cudownym, śnionym na jawie tam, w Kłębowej izbie, przed chwilą zaledwie, że tonęli jeszcze w świetlistej smudze cichych, mistycznych powiadań, że jeszcze pełni byli dziwów i zjaw onych, że jeszcze te prześnione baśniowe moce otrząsały na ich

dusze cudowny okwiat oczarowań, trwóg świętych, zdumień najgłębszych, uniesień i nieutulonych tęsknic!

Byli spowici jeszcze w czarodziejską tęczę cudów i marzeń, że płynęli jakby z korowodem tych dziwów, wywołanych przed chwilą, przez baśniowe kraje szli, na wskrós tych scen nadludzkich, wszystkich stawań, wszystkich cudów, przez najgłębsze kręgi zdumień i oczarowań. Jawy kołysały się w cieniach, po niebie błądziły, wyrastały z każdym spojrzeniem oczu, przez serca płynęły, aż chwilami przytajali oddechy, zamierali z trwogi i przywarci do siebie, oniemieli, zalekli, wpatrywali się w bezdenną, skłębioną głąb marzenia, aż rozkwitały im dusze w kwiat zdumień, w przeświety kwiat wiary i modlitewnych uniesień, że padali na samo dno podziwu i niepamięci.

A potem, powracając do przytomności, długo bładzili oczyma zdumionymi po nocy, nie wiedząc dobrze, zali są jeszcze między żywe, zali w nich się stawały te cuda, zali nie sen to wszystko, nie omanienie!...

– Nie bojasz się, Jaguś, co?

– Dyć bym za tobą poszła w cały świat na śmierć! – szepnęła z mocą, tuląc się do niego zapamiętale...

– Czekałaś to na mnie? – zapytał po chwili.

– Jakże! Kto ino w sienie wszedł, to aż me podrywało... po tom przeciech jeno poszła do Kłębów... po to... myślałam, że się nie doczekam...

– A kiej wszedłem, to udałaś, że mnie nie widzisz...

– Głupi... miałam patrzeć, żeby co pomiarkowali! Ale mę tak w dołku ścisnęło, że dziw nie spadłam ze stołka... ażem wode piła na strzeżwienie...

– Najmilejsza moja!...

– Siedziałaś z tyłu, czułam, ale bojałam się popatrzeć na ciebie, bojałam się zagadać... a serce to mi się tak tłukło, tak kołatało, że ludzie musieli słyszeć... Jezus! o małym nie krzykała z kumentności!...

– Miarkowałem, że cię u Kłębów zastanę i razem wyjdziemy...

– Do dom chciałam bieżyć, a zniewoliłeś...

– Nie chciałaś to, Jaguś, co?...

– Hale... nieraz myślałam, by się tak stało... nieraz...

– Myślałaś tak! Myślałaś – szeptał namiętnie.

– Zaśby nie, Jantoś! a ciągiem, ciągiem... Tam za przełazem niedobrze...

– Prawda... tutaj nikto nas nie spłoszy... Sami jesteśmy...

– Sami!... i taka ciemnica... i... – szeptała rzucając mu się na szyję i obejmując go ze wszystkiej mocy szału i miłości...

.....

Nie wiało już na polach, jeno czasami wiatery przegarniał miękkim powiewem i kieby tymi pieszczącymi szeptami przechładzał rozpalone twarze. Nie było gwiazd jarzących ni księżycy, niebo wisało nisko, skłębione brudnymi i poszarpanymi runami chmur, kieby to stado wółłów burych zaległo puste i nagie ugory, a dale majaczyły jakoby przez szare, rozwleczone dymy, że świat cały zdał się utkany z mgieł, drgającej wszędy ciemności i wzburzonego mętu.

Głęboki, niepokojący, a ledwie odczuty szmer drgał w powietrzu, płynął jakby od borów zatopionych w nocy albo od chmur, z tych dzikich rozpadlin, z których raz po raz wyfruwały stada białych obłoków, uciekających chyżo, kieby klucze wiosennego ptactwa gonione przez jastrzębie.

Noc była ciemna i boleśnie wzburzona, głucha, a pełna dziwnego ruchu, pełna lęku, niepochwytanych drgań, trwożnych szmerów, przyczajonych zjaw i nagłych stawań rzeczy niewytłumaczonych a przerażających; czasami z nagłą spod zwałów ciemnicy wybliskiwały widmowe bladeści śniegów, to jakieś lodowe, wilgotnawe, ropiące brzaski pełzały w wężowych skrętach wskroś cieniów, to znowu noc jakby zawieriała powieki, mroki spadały czarną, nieprzeniknioną ulewą i świat cały przepadał, że oczy, nie mogąc się uchwycić niczego, zsuwały się bezsilnie w samą głąb przerażenia i dusza drętwiała, przywalona głuchą martwością grobu, a chwilami rozdzierały się przysłony cieniów, pękały jakby gromem rozprute i przez straszliwe rozpadliny chmur widać było w głębokościach granatowe, pola ugwieżdżonego, cichego nieba.

To znowu z pól czy od chałup, z nieba czy z zatopionych dali, nie wiada zgoła skąd, drgały rozprysłe, pełzające jakby głosy, jakby blaski, jakby echa jakieś zgubione, widma dźwięków i rzeczy dawno pomarłych a błędzących po świecie płynęły żalonym korowodem i ginęły nie wiadomo gdzie, jak te pomarłe światłości gwiazdne.

Ale oni oślepli na wszystko, burza się w nich zerwała i rosła wzmagając się co mgnienie, przewalała się z serca do serca potokiem palących a niewypowiedzianych żądź, błyskawicowych spojrzeń, bolesnych drżeń, niepokojów nagłych, całunków parzących, słów splątanych, bezładnych a olśniewających niby dzikie mioty piorunów, onie-

mień śmiertelnych, tkliwości, a takiego czaru zarazem, że dusili się w uściskach, rozgniatali do bólu, darli się wprost pazurami, jakby chcąc wyrwać z siebie wnętrzności i skąpać się w rozkoszach męki, a przesłonięte bielmami oczy nie widziały już nic, nawet samych siebie.

I porwani miłosną wichurą, oślepli na wszystko, oszaleli, wyzbyci z pamięci stopieni z sobą jako dwie żagwie płonące, nieśli się w tę noc nieprzejrzaną, w pustkę i głuchą samotność, by oddawać się sobie na śmierć, do dna dusz, pożeranych wieczystym głodem trwania...

Nie mogli już mówić, tylko nieprzytomne krzyki rwały się im gdziesik aż z samych trzewiów, tylko szepty zduszone, porwane a strzeliste jak wytryski ognia, słowa błędne i opite szalem, spojrzenia żrące do szpiku, spojrzenia struchlałe obłąkaniem, spojrzenia huraganów walących na siebie, aż przejął ich taki straszny dygot żądy że zwarli się z dzikim skowytym i padli... nieprzytomni zgoła...

Świat się wszystek zakołował i runął wraz z nimi w ogniste przepaście...

.....

- Już me rozum odchodzi!...
- Nie krzycz... cicho, Jaguś...
- Kiej muszę... wścieknę się abo co!
- Dziw mi serce nie rozpęknie!
- Spalę się... loboga, puść... daj odzipnąć...

.....

- O Jezu... bo zamrę... o Jezu!...
- We świecie jedyna...
- Jantoś! Jantoś!...

.....

...Jako te soki, żywiące skryto pod ziemią, budzą się o wiosnie każdej, rozprężają nieśmiertelną żądzą, prą do się przez zwały świata, z krańców ziemi płyną, niebami kołują, aż się odnajdą, przypadną w sobie i w świętej tajemnicy poczną, bych się potem stać zdumionym oczom: wiosnianą porą albo kwiatem, duszą człowieczą lebo poszumem drzewin zielonych...

Tak ci i oni parli do siebie przez długie tęsknice, przez dni udreki, przez szare, długie, puste dni, aż się odnaleźli i z jednakim, niezmożonym krzykiem pożądań padali sobie w ramiona zwierając się tak potężnie jako te sosny, gdy je burza wyrwie i zdruzgotane rzuci na siebie, że obejmują się rozpacznie, mocą wszystką i w śmiertelnym zmaganiu kolebiają się, szamocą, chwieją, nim społem w lutą śmierć upadną...

A osłaniała ich noc i opręda, bych się stało, co przeznaczone...

.....

Kuropatwy zaczęły się skrzykiwać gdzieś w ciemnościach, a tak blisko, że słyhać było idące całe stado; rozlegał się szybki szelest, jakby skrzydeł podnoszonych do lotu i bijących o śniegi, to oddzielne, cierpkie głosy rozdzierały ciszę, a od wsi, snadź niedalekiej, zrywały się

przyduszone, a mocne piania kogutów.

– Późno już... – szepnęła trwożnie.

– Jeszcze daleko do północks, pieją ano na odmianę.

– Odwilga będzie.

– Juści, śnieg zamiękł.

Zające gdziesik blisko jakby za kamionką, pod którą siedzieli, zaczęły beczeć, przeganiać się i gzić kieby na weselisku, aż całą gromadą przeleciały obok nich, że odskoczyli z przerażeniem.

Parzą się juchy i tak ślepną, że na człowieka nie baczą. Na zwiesnę idzie.

– Myślałam, że jakiś zwierz dziki...

– Cicho no, przykucnij! – szepnął zalekłym głosem.

Przywarli do kamionki w milczeniu. Z rozbielonej śniegowymi brzaskami ciemności jęły się wynurzać jakieś cienie długie i pełzające... posuwały się wolno... chyłkiem, to znikwały całkiem, jakby się pod ziemię zapadły, że ino oczy świeciły kieby te świętojańskie robaczki w gęstwinie; były może o pół staja zaledwie od nich, przewlekły się wnet i całkiem zginęły w ciemnicy, aż nagle rozległ się krótki, bolesny, śmiertelny bek zajęczy, potem ostry tupot, wrzawa charczeń, kotłownina jakaś przerażająca, chrupot miazdżonych kości, groźny warkot i znowu milczenie głębokie a niepokojące zaległo dookoła.

– Wilki ozdartył zajaczka.

– Od wiatru siedzim, to i nie zwąchały.

– Bojam się... chodźmy już... ziąb mnie przejmuje... – wstrząsnęła się.

Ogarnął ją sobą i rozgrzewał takimi całunkami, aż oboje wnet zabaczyli o całym świecie, objęli się krzepko w pas i poszli jakąś dróżką, która się im sama nawinęła pod nogi; szli kołysząc się ciężko ruchem drzew, pokrytych nadmiarem kwiatów i kolebiących się cicho w pszczelnym brzęku...

Milczeli, a jeno szmer pocałunków, wzdychów, namiętne pokrzyki, głuchy warkot upojeń, radosne bicie serc okryły, ich jakoby drgającym żarem pól wiośnianych: byli jako te okwiecone wiosną rozłogi, zatopione w świetlistym pobrzęku radości; boć tak samo rozkwitały im oczy, tak samo dyszeli upalnym tchnieniem pól rozprażonych w słonecznej połodze, drzeniem traw rosnących, drganiem i pobłyskiem strumieni, stłumionym krzykiem ptaków; serca tętniały w jedno z tą ziemią świętą, a spojrzenia padały kieby ten ciężki, rodny okwiat jabłonkowy, a słowa ciche, rzadkie, ważne wytryskiwały z samego rdzenia duszy, niby olśniewające pędy drzew w majowe świty, a oddechy były jako te wiewy pieszczące młodą ruń, a dusze jako ten dzień wiośniany, rozśłoneczniony, jako te zboża w słup idące, pełne skowronkowych świergotów, blasków, poszumów, lśniącej zieleni i niezmożonej radości istnienia...

To milkli z nagłą i przystawali zapadając w ciemnościach jakiegoś przepadania, jak kiedy chmura przysłoni słońce i świat ścichnie, omroczy się i w żałości a lęku przepada na mgnienie...

Ale wnet podnosili się z oniemiań, radość buchała w nich pożarem, weselny ton rozbrzmiewał w duszach, uskrzydłał mocą takiego szczęścia i tak. rwał do podniebnego lotu, że ni wiedząc wybuchali namiętym, nieprzytomnym zgłola śpiewem...

Kołysali się w takt głosów, co zdały się bić tęczowymi skrzydłami i gwiazdym, rozpalonym wytryskiem dźwięków rozsypywały się w noc zmartwiałą i pustą.

Nie wiedzieli już nic, szli przywarci do się a bezwolni, zgubieni w sobie a niepamiętliwi, pijani jeno tą nadludzką mocą czucia, co ich nieśła w nadświaty i rwała się pieśnią bezładną, splątana, bez słów prawie.

...Pieśń dzika i wzburzona płynęła rwącym potokiem z serc wezbranych i biła we świat wszystek zwycięskim krzykiem miłości...

...I jako krzew ognisty płonęła w chaosie mroków i nocnego mętu...

...To była chwilami jakby ciężkim, druzgocącym warkotem wód, zrywających lodowe okowy...

...Ledwie dosłyszalnym, brzękliwym a słodkim poszumem dzwoniła, niby fala zbóż kołyszących się w słońcu...

...Pękały złote łańcuchy brzemień, rozsypywały się na wiatr i ordzawiały wlekły się ciężko po zagonach, że były jeno krzykami nocy, czasem szlochom bezsilnym, wołaniem sierocym, głosem zaguby i lęku...

...I w grobowej cichości umierały.

Ale po chwili jak ptaki wystraszone zrywały się kur słońcu szalonym lotem, serca nabrzmiwały taką potęgą wlotu i zagubienia się we wszystkim, że wybuchali oślepiającym hymnem uniesienia, modlitewną pieśnią ziemi całej, nieśmiertelnym krzykiem istnienia.

.....

– Jaguś! – szepnął zdumiony m głosem, jakby spostrzegając ją przy sobie.

– Dyc to ja! – odparła jakoś łzawo i cicho.

Znaleźli się na drodze, biegnącej wzdłuż wsi za stodołami, ale już po Borynowej stronie.

Naraz Jagna zaczęła płakać.

Co ci to?

Abo to wiem?... a tak mię cosik sparło, że się same łzy leją.

Zafrasował się wielce, przysiedli pod jakąś stodołę na wystających węglach, przygarnął ją mocno i otoczył ramionami, że kieby dzieciątko przywarła mu do piersi, zapatrzyła się gdziesik w siebie, a łzy skapywały jej z oczu jak ta rosa z kwiatów; obcierał je dłonią, to rękawem, ale wciąż płynęły

Boisz się?...

Zaśby czego! jeno taka cichość we mnie rośnie, kieby śmierć przy mnie stała, a tak mnie cosik podrywa, tak ponosi, że tego nieba bym się uwiesiła i z tymi chmurami poniesła we świat.

Nie odrzekł, zamilkli oboje; przymroczono w nich nagle, jakiś cień padł na dusze i zmącił jasne tonie, i przenikną dziwnie bolesną tęskliwością, że jeszcze barzej rwali się do siebie, barzej szukali w sobie ostoji jakiejś, barzej przepierali przez się w jakiś upragniony świat...

Wiatr zawiął, drzewa zakołysały się trwożnie, osypujące ich mokrym śniegiem; chmury skłębione, ciężkie zaczęły się nagle rozpadać i uciekać w różne strony, a cichy, rozedrgany jęk powiał po śniegach.

– Trza bieżyć do dom, późno już – szepnęła unosząc się nieco.

– Nie bój się, jeszcze spać nie śpią, słycać głosy na drodze, pewnikiem rozchodzą się od Kłębów.

Cebratki zostawiłam przy dojeniu, jeszcze se kulasy krowy połamia.

Ucichli, bo jakieś głosy rozległy się bliżej i przeszły; ale gdzieś z boku, jakby na tej samej dróżce, zaskrzypiał śnieg i jakiś cień wysoki zamajaczył tak wyraźnie, że zerwali się na równe nogi.

Ktosik tam jest... przyczaił się jeno pod płotem.

Uwidziało ci się... czasem za chmurą takie cienie idą.

Długo nasłuchiwali rozpatrując ciemności.

Chodźmy do broga, tam będzie ciszej! – szepnął gorąco.

Oglądali się trwożnie co chwila, przystając z zapartym tchem i nasłuchując, ale cicho było naokół i martwo; podeszli więc chyłkiem, ostrożnie do broga i wsunęli się w głęboki otwór, czerniejący tuż nad ziemią.

.....

Pociemniało znowu na świecie, chmury się zawarły w gąszcz nieprzeniknioną, blade światłości pogasły, noc jakby przymknęła powieki i zapadła w głęboki sen, wiatr przemknął bez śladu, cisza wionęła jeszcze głębsza i bardziej niepokojąca, że słycać było dygotanie drzew obwisłych pod śniegiem i daleki, daleki bełkot wody spadającej na koła młyńskie, a po długiej chwili śnieg znowu zaskrzypiał na dróżce: dobrze już słycać było ciche, ostrożne, jakby wilcze kroki... Cień jakiś oderwał się od ścian i przygarbiony posuwał się po śniegach, był coraz bliżej, wyrastał, zatrzymywał się co mgnienie i znowu szedł... skręcił za bróg od pola, przyczołgał się prawie pod otwór i nasłuchiwał długo...

Potem przesunął się do przełazu i zniknął pod drzewami...

Nie wyszło i Zdrowaś, kiej się znowu pokazał wlekąc za sobą wielgachną wiązkę słomy, przystanął na mgnienie, posłuchał i skoczył do brogu, przytknął wiązką dziurę... trzasnęła zapałka i ogień w mig rozbłysnął po słomie, zatrzepał się, tysiącem jęzorów błysnął i po chwili buchnął krwawą płachtą, ogarniając całą ścianę brogu...

Boryna zaś przygięty, straszny kiej trup, czatował z widłami w ręku.

.....

Oni zaś wnet pomiarkowali, co się dzieje: krwawe błyski jęły się przeciskać do środka i dym gryzący zapełniał jamę, porwali się z krzykiem, bijąc się o ściany, nie wiedząc wyjścia, oszaleli ze strachu i ledwie co dychający, aż Antek cudem jakimś natrafił na przysłonę, wparł się całą mocą i razem z nią padł na ziemię, ale nim się porwał, stary runął na niego i przebódl widłami do ziemi, nie trafił dobrze, bo Antek się zerwał i nim stary ponowił, trzasnął go pięściami w piersi i pognął w cały świat.

Rzucił się wtedy stary do brogu, ale już i Jagny nie było, jeno mu mignęła i przepadła w nocy, więc jął ryczeć oszalałym, nieprzytomnym zgoła głosem:

– Gore! gore! – i biegał z widłami dookoła brogu że kiej zły widział się w krwawym brzasku, bo ogień objął już cały bróg i z szumem miotając się, sycząc, bił w górę okropnym słupem płomieni i dymów.

Ludzie zaczęli nadbiegać, krzyki poszły po wsi, ktosik uderzył w dzwon, trwoga zaszarpała serca, a łuna rosła i pożar ognistą płachtą powiewał na wsze strony, i pryskał deszczem iskier na zabudowania, na wieś całą.

ROZDZIAŁ 12

Co się działo w Lipcach po onej nocy pamiętliwej, to i najpierwszemu głowaczowi niełatwo byłoby zapamiętać wszystko a opowiedzieć; tak się bowiem zakotłowało we wsi jakoby w tym mrowisku, kiej w nim jaki niecnota kijaszkiem zagrzebie.

Ledwie rozedniało chyla tyła i ludzie oczy z pomroki nocnej przetarli, a już każdemu było pilno na pogorzeliisko, że niejeden pacierze jeszcze w drodze odmawiał, a pędem biegał kieby na ten jarmarek.

Dzień się był podniósł ciężki i tak przemglony, że choć już pora była na dużą jasność, a mrozczało jeszcze kieby na świtanie, śnieg bowiem jął walić mokrymi płatami i przysłonił świat roztrzęsioną, szklistą i przemiękłą płachtą, ale nikto na pluchę nie zważał, schodzili się ze wszystkich stron i całymi godzinami wystawali na pogorzeliisku przedzając z cicha o wczorajszym, a strzygąc uszami, bych czego nowego dosłyszeć.

Gwar się też czynił niemały, bo coraz więcej nadciągało narodu, że kupy już stały w opłotkach, pełno było w podwórzu, a już zgoła ciżbą się gęstwili wpodłe brogu, że ino czerwieniało na śniegach od kobiecego przyodziewku.

Bróg był spalony do cna i porozwalany, że jeno dwa słupy sterczały z pogorzeli, opalone kiej główne, na chlewach zaś i szopie dachy pozrywano do samych zrębów i rozrzucono, że cała dróżka i pole wokoło, na jakie pół stajania, zaniesione były opalonym poszyciem, potrzaskanymi łatami, przepaloną słomą i na pół zwęglonym drzewem i wszelką spalenizną.

Śnieg padał bez przerwy i z wolna pokrywał wszystko szklistą powłoką, ale miejscami topniał od przytających żarów. a niekiedy z porozwalanych kup siana wytryskiwały strugi czarnego dymu i buchał błady, trzeszczący płomień, ale wnet rzucali się nań chłopci z osękami, dusili trepami, bili kijami i przywalali śniegiem.

Właśnie byli rozwlekli taką roztląłą kupę, gdy któryś, bodaj chłopak Kłębów, wygarnął osękiem jakąś opaloną szmatę i podniósł wysoko.

– Jagusina zapaska! – wrzasnęła urągliwie Kozłowa, boć już dobrze wiedziano, co się stało.

– Pogrzebta no, chłopaki, może najdzieta tam jeszcze jakie portki!...

– Hale! wyniósł je całe, tyle że mógł zgubić na drodze.

– Dzieuchy już szukały, ktosik je uprzedził.

– Bych Hance odnieść – gadały wybuchając śmiechem.

– Cichota, pyskacze, ale! Na zabawę się zebrały i zęby będą szczerzyć z cudzego nieszczęścia! – krzyknął rozgniewany sołtys. – Do domu, baby! Czego tu stoita? Jużeśta dosyć namełły ozorami – i rzucił się, by rozganiać.

– Zasię wam do nas! pilnujcie swojego, kiejście na to ustanowieni!

– krzyknęła Kozłowa tak mocno, że sołtys tylko popatrzył na nią, splunął i poszedł w podwórze, a nikt się nawet nie ruszył z miejsca, baby zaś jęły sobie trepami podsuwać zapaskę, oglądać, a coś cicho i ze zgrozą opowiadać.

– Taką trzeba ze wsi wyświecić ożogiem kiej czarownicę! – rzekła w głos Kobusowa.

– A przeciech! bez nią to wszystko! bez nią! – przygadywała Sikorzyna.

– Juścić, ale Pan Jezus strzegł, że cała wieś nie poszła z dymem! – szepnęła Sochowa.

– Bo i prawda, że cud, prawdziwy cud!

– Wiatru też nie było i w czas spostrzegli.

– A ktosik w dzwon uderzył, bo wieś była w pierwszym śpiku.

Pono to niedźwiedniki szły z karczmy i pierwsze zobaczyły.

– Moiściewy! ale ich sam Boryna złapał w brogu i tyle co rozegnał, a tu ogień zaraz buchnął... Miarkowałem wczoraj u Kłębów, że coś będzie, skoro razem się wynieśli.

– Pono już dawno stróżował za nimi.

– Jakże! powiadał mój chłopak, że wczoraj cały czas chodził po drodze przed Kłębową chałupą i miał ich na oku – prawila pod nosem Kobusowa.

– Toteż widno, co bez złość Antek podpalił.

– Abo się to nie odgrażał?

– Cała wieś o tym wiedziała.

– Musiało się na tym skończyć, musiało! – dogadywała Kozłowa.

A w drugiej grupie starszych gospodyń szeptano również różności, jeno tyle że ciszej i ważniej.

– Stary pono tak zbił Jagnę, że leży chora u matki...wiecie to?

– Jakże! zaraz do dnia, powiadali, wygnał ją, skrzynkę za nią wyrzucił i wszystkie szmaty – dorzuciła milcząca dotąd Balcerkowa.

– Nie powiadajcie byle czego, byłam dopiero co w cha-łupie, skrzynka stoi na swoim miejscu – objaśniała Płoszkowa.

– Ale już na weselu przepowiadałam, że się tak skończy – podjęła głośniejsze.

– Co się dzieje, mój Jezus! co się dzieje! – jęknęła Sochowa chwytając się za głowę.

– Ano co, do kreminatu go wezmą i tyła!

– Sprawiedliwie mu się to należy: cała wieś mogła pogorzeć!

– A tom już spała w najlepsze, a tu Łuka, co latał z niedźwiednikami, bębni w okno i krzyczy: „Gore!”

Jezus Maria! w oknach czerwono, jakoby kto zarzewiem szyby obwalił, to mi już ze strachu całkiem moc odjęło... a tu dzwon bije... ludzie krzyczą... – opowiadała Płoszkowa.

– Skoro jeno powiedzieli, że Boryna się pali, zaraz mnie tknęło, że to Antkowa sprawa – przerwała jej któraś.

– Cichocie, powiadacie, jakbyście na oczy widzieli.

– Widzieć nie widziałam, ale skoro tak wszystkie powiedają...

– Jeszcze w zapusty bąkała o tym tu i owdzie Jagnustynka...

– Ani chybi, wezmą go w dybki i posadzą w kreminale.

– Co mu ta zrobią? widział to kto? są na to świadki? co? – zauważyła Balcerkowa, że to procesownica była sielna i na prawie się znała.

– A nie złapał go to stary?...

– Złapał, ale na czym innym, a choćby i widział podpalanie, świadczyć nie może, bo ociec i w złości z sobą żyli.

– Sądów to sprawa, nie nasza, ale kto winowaty przed Bogiem i ludźmi, jeśli nie ta suka Jagna? Co – podniosła znowu surowy głos Balcerkowa.

– Prawda! Juści! takie zberezeństwo, taki grzech! – szeptały ciszej, zbiły się w kupę i zaczęły jedna przez drugą wypominać jej grzechy.

Gadały coraz głośniejsze i coraz zawzięciej potępiały Jagnę, wygłaszały teraz wszystko, co ino było i nie było, co ino która kiedy bądź zasłyszała albo i sama stworzyła na nią: wszystkie dawne urazy i zawiści zasyczały w duszach, że jako ten kamienny grad leciały na nią przezwi-

ska, wymysły, odgróзки złe i nienawistne słowa, wzburzona złość, że gdyby się tak jawiła w tej chwili, to ani chybi z pięściami rzuciłyby się do niej.

Chłopi zaś w drugiej kupie poredzali spokojniej, ale nie mniej zawzięcie powstawali na Antka; gniew z wolna ogarniał wszystkie serca, wzburzenie głębokie, srogie kołysało tłumem, błyskało w oczach pionurami, że niejedna pięść się wyciągała groźnie, gotowa do spadnięcia, niejedno twarde słowo jak kamień zawarczało, że nawet Mateusz, który go obraniał zrazu, dał spokój, a jeno w końcu rzekł:

– Rozum mu odjąć musiało, jeśli się na taką rzecz ważył!

Ale na to skoczył rozszokowany kowal i ją przekładać gospodarzom, że Antek dawno się odgrażał podpaleniem, że stary już z dawna wiedział o tym i całymi nocami pilnował.

– A że on to zrobił, to bym przysiągł, a zresztą są świadki, zeznają i musi być kara na takich, musi! A bo to nie zmawiał się wciąż z parobkami, nie buntował to przeciw starszym, nie podmawiał do złego, wiem ci ja nawet z którymi, wiem, patrzę nawet na nich, słuchają mnie teraz i jeszcze śmiać bronić takiego – wrzeszczał groźnie. – Zaraza z takiego na całą wieś płynie, zaraza, że do kreminatu, na Sybir go, kijami zatłuc kiej psa wściekłego, bo nie dość obraży boskiej, żeby z rodzoną macochą... a tu podpala jeszcze! Cud jeno, że cała wieś nie poszła! – wykrzykiwał namiętnie, snadź miał w tym jakieś wyrachowanie.

Zmiarkował to Rocho stojący z Kłębem na uboczu i rzekł:

– Mocno stajecie mu naprzeciw, choć wczoraj jeszcze piliście z nim w karczmie.

– Wróg mi każdego, którego wieś całą mógł powieść na dziady!

– Ale dziedzic to wama nie wrogiem! – dorzucił poważnie Kłęb.

Zawrzeszczał ich, zakrzyczeli i insi, a kowal rzucał się między ludzi, podjudzał, do pomsty wzywał, niestworzone rzeczy wymyślał na niego; aż i naród dość już wzburzony zmaćił się do dna i zakłębził, zaczęli głośno wołać, by przywieść podpalacza, skuć w, kajdany i do urzędu powieść, a insi, gorętsi, już się oglądali za kijami i chcieli bieżć, wywlec go z chałupy i tak sprać, bych całe życie popamiętał!... najbarzej nastawali ci, którym nieraz Antek żebra zrachował kijaszkiem...

Rejwach się podniósł, krzyki, klątwy, wygróзки i takie zamieszanie, że naród się skłębził i miotał jako ten gąszcz smagany wichurą, i jał się kolebać, bić kiej fala o płoty, przecć ku wrótniom i na drogę przeciekać – próżno wójt skoczył uspokajając, próżno sołtys i co starsi przekładali i

tłumaczyli, głosy ich ginęły w piekielnej wrzawie, a oni sami porwani przez pęd szli razem z innymi, nikt ani słuchał, ni zważał na ich mowy, kuźden się rwał, rzucał, krzykał, co mu sił starczyło, że kieby opętanie jakieś poniosło wszystkich wichurą pomsty...

Naraz Kozłowa jęła się przedzierać naprzód i krzyczeć wniebogłosy:

– Oboje winowaci, oboje przywlec i skarać na pogorzeliśku!...

Baby, a zwłaszcza komornice i biedota wszystka, wzięły wtór za nią i z krzykiem nieludzkim, rozczapierzone, nieprzytomne zgoła, darły się pobok niej na czoło przez gęstwą rozwścieklonym, huczącym potokiem; podniósł się wrzask i pisk w wąskich opłotkach, boć wszyscy się naraz cisnęli, wszyscy krzyczeli, wszyscy trząchali pięściami, przepychali się z mocą, że jeno oczy błyszcząły groźnie i splątana, dzika wrzawa biła od nich kiej belkot wód wzburzonych, kiej ten głos gniewu powszechnego, co objął wszystkie serca płomieniem – tłoczyli się coraz mocniej i prędzej, gdy ci na przedzie idący jęli wołać:

– Książd z Panem Jezusem idzie! książd!

Tłum się zatargał jakby na uwięzi, zakołysał i runął na drogę, przystawał, rozpadał się na bryzgi, ściszał, aż nagle przymilkł całkiem i upadł na kolana, i pochylił obnażone głowy...

Książd bowiem nadchodził od kościoła z Panem Jezusem; Jambroży szedł z zapaloną latarnią na przedzie i przydzwaniał...

Przeszedł rychło, że widział się już jakoby za obmarzniętą szybą w tym gęstym, śniegowym tumanie, gdy zaczęli powstawać z klęczek.

– Do Filipki idzie, tak pono przemarzła wczoraj w boru, że już od świtania ledwie zipie, mówią, co wieczora nie doczeka.

– Wzywali go też i do Bartka z tartaka...

– Zachorzał to?

– Jakże, nie wiecie? drzewo go tak przygnietło, że pewnie już nic z chłopca nie będzie... – szeptano spoglądając za księdzem. Kilka gospodyń ruszyło za nim w asyście i cała hurma chłopaków poleciała na przełaj przez staw ku młynowi, reszta zaś stała bezradnie jak to stado owiec, kiedy je z nagłą pies obgoni, gniew się gdziesik podział, ten pęd mocy prysnął, gwar umilkł, że rozglądali się po sobie, jakby przecknięci z głębokiego snu, przestępowali z nogi na nogę, drapali się po łbach, coś niecoś przerzekali, a że niejednemu wstyd się robiło, to jeno spluwał, czapę naciskał i chyłkiem przebierał się z gromady, która kiej ta woda rozlewała się po drodze i ginęła z wolna rozciekając się po opłotkach i chałupach. Kozłowa jedna mimo wszystko jazgotowała głośno i

wygrażający się Jagnie i Antkowi, ale widząc, że ją wszyscy odstąpili, nakłęła, by sobie ulżyć złości, skłóciła się z Rochem, którego jej słowa prawdy powiedział, i poszła na wieś, że w końcu ostało ludzi mało wiele i ci, którzy czuwali nad pogorzela i strzegli, by w razie odnowy ognia dać pomoc.

Ostał się w podwórzu i kowal, ale tak zeżłony tym, co się stało, że milczał, kręcił się niespokojnie, zaglądał po kątach i raz po raz przeganiał Łapę, którego wciąż za nim naszczekiwał i docierał...

Boryna zaś nie pokazał się ani razu przez cały ten czas, powiadali, że zakopał się w pierzyny i śpi, jedna tylko Józka, z zapuchłymi od płaczów oczami, wzywała przed chałupę na naród i kryła się z nawrotem, że sama Jagustynka obrządzała gospodarstwo, ale i stara była dzisiaj kiej osa, kaśliwa i nieprzystępna jak nigdy, że bali się jej pytać, bo tak odpowiadała, iż jakby kto pokrzyw polizał.

Zaś o samym południu przyjechał pisarz ze strażnikami i jeśli opisywać pogorzela i badać przyczyny pożaru, to juści, że i reszta narodu rozpierchła się na wsze strony, bych czasem nie pociągnęli do świadczania.

Drogi z nagła opustoszały prawie całkiem, prawda, że i śnieg walił bezustannie, a nawet jeszcze mokrzejczy, bo nim tknął ziemi, topniał i grząską mlaką pokrywał wszystko, w chałupach natomiast wrzało kieby w ulach, bo w Lipcach tego dnia zrobiło się jakoby święto niespodziane, mało kto co robił i pamiętał o czym, że gdzieniegdzie krowy jęczały przy pustych żłobach, a jeno radzono wszędzie, często ktoś się przemykał z chałupy do chałupy, baby latały z ozorami, nowiny krążyły kiej wrony z komina do komina, a w oknach i przed drzwiami, to w opłotkach wzywały rozciekawione twarze, czekające, czy też Antka powiezą strażniki!

Ciekawość i zniecierpliwienie rosnęło z godziny na godzinę, a nie wiada było nic pewnego, bo co trochę ktosik wpadał zziajany i powiadał, że już po Antka poszli, drudzy zaś przysięgali, że strażników pobili, wyrwał się z więzów i w cały świat poszedł, a insi zaś zasię znowu co innego pletli.

To zaś ino było prawdą, że Witek latał do karczmy po gorzałkę i że z komina Borynowego sielnie się kurzyło, miarkowali z tego, co jakąś warzę la strażników narządzają.

A już pod sam wieczór przejechała wójtowa bryka z pisarzem i strażnikami, ale bez Antka!

Zdumienie i rozczarowanie zawodu ogarnęło wieś, boć wszyscy byli pewni, że go zakutego w kajdany powieżą do kreminału, próżno się głowili a delibrowali, co stary zeznał do protokołu, wiedział jeno o tym wójt i sołtys, ale ci nie chcieli nic powiadać, więc ciekawość wzrosła niepomiernie i snuły się przypuszczenia coraz insze i zgoła niepodobne do wiary...

Noc się z wolna zrobiła ciemna i dość cicha, śnieg był przestał padać i brało jakby na przymrozek, bo choć chmurzyska bure przeganiały po niebie, ale gdzieniegdzie, w przerwach wysokich, błysnęła gwiazda wyiskrzona i ostry powiew ścisnął zdziebko rozmiękłe śniegi, że chrupały pod nogami, po chałupach błyskały światła, i ludzie, kupiąc się po ciasnych izbach przed ogniskami, uspokajali się po całodziennych wzruszeniach, nie przestając jednak snuć domysłów i przypuszczeń!

Bo juści materii nie brakowało, jeśli bowiem Antka nie zabrali, to nie on spalił, więc kto? – Nie Jagna przecież, nikt by temu wiary nie dał, nie stary; taka myśl ani powstała komu w głowie!

Błądzili przeto kieby po omacku nie mogąc w żaden sposób znaleźć wyjścia z męczącej zagadki... We wszystkich chałupach gadali o tym, a niktó prawdy się nie dowiedział, tyle jeno z tych deliberacji wyszło, że gniew do Antka przeszedł, zmiłkli nawet jego wrogowie, a przyjaciele, jak Mateusz, podnieśli znowu obronne głosy; ale natomiast wzniesła się sroga niechęć ku Jagnie i dochodziła aż do zgrozy straszego, śmiertelnego grzechu. Kobiety ją ano wzięły na ozory i tak przewlekały między sobą, że jakby po tych ostrych cierniach, nie ostawiając całego nawet ni kawałka skóry! Dostało się przy tym i Dominikowej niemało, dostało... a jeszcze i barzej ciskały się na nią w złości, że niktó nie wiedział, co się z Jagną dzieje, bo stara odpędzała ciekawych od proga kieby tych psów naprzykrzonych.

Ale jedno, co zgodnie i jednako wszyscy czuli, to głębokie współczucie dla Hanki, nad którą się szczerze litowano i żalowano serdecznie, a nawet Kłębowa i Sikorowa zaraz z wieczora poszły do niej z dobrym słowem wzięwszy coś niecoś w węzełki.

Tak ano przeszedł on dzień na długo pamiętliwy, nazajutrz zaś wszystko powróciło do dawnego, ciekawość przygasła, gniewy ostygły, wzburzenie się uciszyło i opadło, kuźden znowu wrócił do swojej koleiny, pochylił głowę pod jarzmem i niósł dołę, jak Pan Bóg przykazał, bez szemrania i z cierpliwością.

Juścić, że gadano tu i owdzie o tych zdarzeniach, ale coraz rzadziej i płoniej, boć każdemu bliższe są i pierwsze własne troski a frasunki, jakie dzień każdy z osobna przynosi.

Przyszedł marzec i nastaly czasy zgoła nie do wytrzymania, dnie były ciemne, smutne i tak przejęte pluchą, deszczami, to śniegiem mokrym, że trudno się było wychylić za chałupę, słońce jakby się gdziesik zatraciło w tych niskich, zielonawych topielach chmur, że nawet i na to oczów mgnienie nie rozbłyskało – śniegi z wolna topniały albo podmiękle, sflażone zieleniły się od pluchy kiej pleśnią obrosłe, woda stała w bruzdach i zatapiała niziny i obejścia, nocami zaś brały przymrozki, że trudno się było utrzymać na olodowaciałych drogach i przejściach.

Przez taki psi czas prędzej i zapomniano o pożarze, ile że ni Boryna, ni Antek, ni Jagna nie drażnili sobą ludzkich oczów, to wpadli w niepamięć jako ten kamień na dno, że jeno woda czasami zgurbi się nad nim, zmarszczy, połamie, rozkolesi, zaszemrze i znowu płynie spokojnie.

Tak przeszło dni parę aż do ostatniego, zapustnego wtorku.

Że zaś ostatki były półświętkiem, więc już od samego rana niemały ruch uczynił się po chałupach, bo przyogarniano nieco izby, a z każdego prawie domu ktosik pojechał do miasteczka za różnościami, głównie zaś po mięso albo choćby po ten kawał kiełbasy lub sperki, jeno biedota musiała się kumentować śledziem, wziętym na bóróg od Żyda, i ziemniakami ze solą.

U bogaczy to już od samego południa smażono pączki, że mimo pluchy po całej wsi rozwłóczyły się zapachy przepalonego szmalcu, prażonych mięsów i jensze, barzej jeszcze jątrzące ślinę smaki.

Niedźwiedniki włóczyły się znowu od chałupy do chałupy ze swoimi cudakami, że wciąż a coraz w innej stronie buchały wrzawliwe głosy chłopaków...

Wieczorem zaś po kolacji zrobili muzykę w karczmie, na którą, kto żyw i ruchał nogami, pospieszył, nie bacząc na deszcz ze śniegiem, jaki zaraz od zmierzchu padał. Zabawiano się ze wszystkiego serca, ile że to ostatni raz przed Wielkim Postem. Mateusz grał na skrzypicy, od wtóru mu przebierał na fleciku Pietrek, Borynów parobek, a przybębniał Jasiak Przewrotny.

Hulano ochotnie jak mało kiedy i do późna, do tela, póki dzwon na kościele nie uderzył na znak, że to już północ i zapustom koniec; wnet zmilkły muzyckie głosy, zaprzestano tańców, dopito spiesznie flach i

kieliszków, i naród się cicho rozchodził. że ostał jeno Jambroży, niezgorzej napity, bo swoim zwyczajem jał przed karczmą wyśpiewywać.

Tylko w chałupie Dominikowej błyszczało światło do późna, powiadali, że do drugich kurów, bo siedział tam ano wójt ze sołtysem i zgodę czynili między Jagną a Boryną.

Wiś już dawno spała, cichość objęła świat, bo deszcz jakoś z północka ustał, a oni jeszcze radzili...

.....

Jeno w Antkowym domu nie było cichości ni spokojnego śpiku, ni wesołych ostatków.

Co się tam działo w Hancynej duszy przez te długie dni i noce, od tej minuty gdy ją w czas pożaru spotkał przed chałupą i siłą przyniewolił do powrotu, to chyba jeden Pan Bóg wie, ale tego żadne ludzkie słowo nie wypomni.

Juści, że jeszcze tej samej nocy dowiedziała się wszystkiego od Weronki.

To zamarła w niej dusza od męki i leżała jako ten trup nagi, śmiercią swoją okropny. Przez pierwsze dwa dni prawie się nie ruszała od prześcicy, prząść nie przędła, a jeno ruchała bezwolnie rękami, jako ten człowiek we śpiączce śmiertelnej, zapatrzona pustym, wyżartym wzrokiem w siebie, w te lute wieje smutków, w te żalosne odmęty łez palących, krzywd i niesprawiedliwości, że ni spała przez ten czas, ni jadła, ni wiedziała dobrze, co się wokoło dzieje, nawet płaczów dziecińskich niepomna ni siebie, aż ulitowała się nad nią Weronka i zajęła się dziećmi i starym, któren na dobitkę zachorzał po tym chodzeniu do lasu i leżał na przypiecku postępując z cicha.

Antka też jakby nie było, wychodził równo ze świtem, a wracał późną nocą, nie bacząc na nią ni na dzieci, a zresztą nie mogła się przemóc choćby na to jedno słowo do niego, nie poredziła, tak zapiekłą miała duszę z żalości i jakby na kamień stężała.

Dopiero trzeciego dnia jakoś przebudziła się; przecknęła jakby ze snu straszego, ale tak zmieniona, że kieby zgoła inna podniosła się z tej martwicy, twarz miała szarą, popielną zgoła, porytą zmarszczkami, postarzała o lata, a tak przystygła, że jakoby ją kto z drzewa wyrzezał, jeno oczy gorzały bystro a sucho i usta zacinały się mocno, opadła przy tym do cna z ciała, że szmaty wisiały na niej kiej na kołku.

Powstała znowu do życia, ale i na wewnątrz przemieniona, bo choć dawną duszę miała jakby zetloną na proch, to w sercu poczuła jakąś dziwną, nie odczuwaną dawniej moc, nieustępliwą siłę życia i walki, hardą pewność, że przemoże i weźmie górę nad wszystkim.

Przypadła zaraz do dzieci popłakujących żałośnie, ogarnęła je sobą i dziw nie zadusiła w całunkach i wraz z nimi buchnęła długim, słodkim płaczem, to jej dopiero ulżyło i powróciło całkiem do pamięci.

Uporządkowała prędko izbę i poszła do Weronki dziękować za dobre serce i przepraszać za dawne winy; zgoda wnet nastąpiła, nie dziwiła się temu siostra, a jeno tego nie mogła zmiarkować, że Hanka się nie skarżyła na Antka, nie pomstowała, nie wyrzekała na dołę, nie, jakby te rzeczy umarły dawno i padły w niepamięć, tyle co w końcu powiedziała twardo:

Tak się teraz czuję kiej wdowa, to juści, że już sama muszę się poturbować o dzieciach i o wszystkim.

I wkrótce, jeszcze tego dnia na odwieczrzezu, poszła na wieś do Kłębów i inszych znajomków, bych się przewiedzieć, co się tam z Boryną dzieje... boć dobrze zapamiętała jego słowa wyrzeczone wtedy przy rozstaniu.

Ale nie poszła zaraz do niego, przeczekała jeszcze dni parę, wagowała się bowiem nawijać mu się przed oczy tak prędko po wszystkim.

Dopiero we wstępną środę, w Popielec, nie szykując nawet śniadania, ogarnęła się, jak mogła najlepiej, dzieci dała pod Weronczyną opiekę i zabierała się do wyjścia.

– Kaj się to zbierasz tak rano? – zapytał Antek.

– Do kościoła, Popielec dzisiaj – odrzekła niechętnie i wymijająco.

– Nie sporządzisz to śniadania?

– Idź se do karczmy, Żyd ci jeszcze poborguje – wyrwało się jej niechęć.

Skoczył na równe nogi, kieby go kto kijem zdzielił, ale nie zważając na to wyszła. Nie bojała się już teraz krzyków jego ni złości, jakby obcym, a tak dalekim się jej widział, aż się sama temu dziwowała, a choć czasami drgało w niej cosik, jakby ostatni płomyk dawnego miłowania, niby to zarzewie, przywalone smutkami i rozdeptane, gasiła je w sobie z rozmysłem, siłą przypominków tych nie przebolanych nigdy krzywd.

Akuratnie i ludzie wychodzili do kościoła, gdy skręciła na topolową drogę.

Dzień się zrobił dziwnie jasny i pogodny, słońce świeciło od samego wschodu, nocny, tęgi przymrozek jeszcze się był nie roztopił w odwildze, ze strzech kapało sznurami lśniących paciorków, a zlodowaciałe wody po drogach i rowach świeciły się kiej lustra, oszroniałe zaś drzewa roziskrzyły się w słońcu, płonęły i kieby tą srebrną przędzą leciały na ziemię; czyste, niebieskie niebo, pełne mlecznych, małych chmur, grało w słońcu jako rozkwitły lnowy łan, gdy;weń stado owiec wpadnie i tak się weprze, że ledwie im białe grzbiety widać, powietrze przeciągało czyste, mroźne a tak rzeźwe, iż człek z lubością nim dychał. Poweselał cały świat, lśniły się kałuże i mieniły się złotymi brzaškami wyszklone śniegi, po drogach dzieci ślizgały się zawzięcie i pokrzykiwały radośnie, gdzieniegdzie zaś staruch jaki wystawał pod ścianą na słońcu, psy nawet naszczekiwały radośnie przeganiając stada wron włóczących się za żerem – a cudna, przesłoneczniona roztocz zalewała cały świat pogodną jasnością i prawie wiośniwym ciepłem.

W kościele natomiast owionął Hanke przejmujący chłód i głębokie, modlitewne milczenie, msza cicha już się odprawiała przed wielkim ołtarzem, naród w pobożnym skupieniu, rozmodlony, zalegał gęstwą środkową nawę, zalana potokami światła, a wciąż jeszcze nadchodzili opóźnieni.

Ale Hanka nie cisnęła się do ludzi, poszła w boczną nawę, pustą całkiem i tak mroczną, że jeno gdzieniegdzie zółciły się złocenia o lodowych, skąpych smugach światła, chciała ostać sam na sam z duszą własną i Bogiem, przykłęka przed ołtarzem Wniebowzięcia, pocałowała ziemię, rozłożyła ręce i wpatrzona w słodką twarz Matki litościwej, zatopiła się w modlitwie.

Tutaj dopiero wybuchnęła żalami, u tych świętych nówek Pocieszycielki złożyła przekrwioną ranami duszę w pokorze najgłębszej a dufności bezgranicznej i czyniła spowiedź serdeczną. Przed Matką i Panią całego narodu kajała się z win wszelkich, bo juści, grzeszna była, skoro ją tak Pan Jezus pokarał, grzeszna! A to nieuzyczliwa la drugich, a to wynosząca się nad inne, a to kłótniwa a niechluj, a to lubiła i zjeść dobrze, i polenić się, a to w służbie Bożej opieszała – grzeszną była. Krzyczała w sobie rozpalonym, opłyniętym krwią żalem skruchy, że dziw jej serce nie pękło, i błagała o zmiłowanie, za Antkowe ciężkie grzechy i przewiny zebrała miłosierdzia, i tłukła się w serdecznej prośbie jako ten ptaszek, co przed śmiercią ucieka i bije skrzydełkami w szyby, trzepocze się, piuka żałośnie, bych go zratowali.

Płacz nią wstrząsał i przepalał żar próśb i błagań, z duszy jakby raną otwartą płynął strumień modłów i płakań, co się kiej te krwawe perły rozsuwały po zimnej podłodze.

Msza się skończyła i cały naród w skrusze, a często gęsto i z płakaniem przystępował do ołtarza chyląc pokornie głowy pod popiół, którym ksiądz z głośną modlitwą pokutną posypywał przyklękających.

Hanka nie czekając końca tej popielcowej uroczystości wyszła na świat, wielce czując się wzmożoną na siłach i dufna już całkiem w pomoc Bożą.

Z podniesioną głową odpowiadała na ludzkie pozdrowienia i szła wśród spojrzeń ciekawych nieulekła, śmiało zaś, choć ze drzeniem, skręciła w Borynowe opłotki.

Mój Boże, tylachna czasu nogą tutaj nie stąpiła, a jeno jako ten pies zawsze krążyła z dala i żałośnie, ogarniała też teraz kochającym wzrokiem dom i budynki, płoty i każde drzewko lśniące w osędzieliznie, a tak pamiętliwe, jakby z jej serca wyrosło, z jej krwi było. Roześmiała się jej dusza rozradowaniem, że gotowa była całować tę ziemię świętą, a ledwo wstąpiła przed ganek, Łapa się doń rzucił z takim skowytem radosnym, aż Józka wyjrzała do sieni stając w zdumieniu, nie wierząc własnym oczom.

Hanka! Loboga! Hanka!

– Jam ci, jam, nie poznajesz czy co? Ociec doma?

– Dyc są w chałupie, są... żeście to przyszli... Hanka!... – i rozplakało się dzieuszysko całując ją po rękach kiej tę matkę rodzoną.

Stary zaś posłyszawszy głos sam wyszedł naprzeciw i wprowadził do izby, do nóg mu padła z płaczem, wzruszona jego widokiem i przypomnieniami bijącymi z każdego kąta tej chałupy kochanej. Rychło się utuliła, bo stary ją się wypytywać o dzieci i ze współczuciem użalał się nad nią i jej zmizerowaniem; opowiadała wszystko, nie tając niczego, wystraszona tylko zmianą, jaka w nim zaszła, postarzał się bowiem bardzo, wychudł na wiór i pochylił mocno, twarz mu jeno ostała dawna, barzej jeszcze zacięta i groźna.

Rozmawiali długo, ani razu nie wypominając Antka ni Jagny, strzegli się oboje tykać tych bolączek nabrzmiałych, a gdy po jakiej godzinie Hanka zabierała się do wyjścia, stary przykazał Józce naszykować w tobołki, co ino było można, aż Witek musiał to wieźć na sanceczkach, boby sama nie udźwignęła, a jeszcze na odchodnym dał jej parę złotych na sól i rzekł:

– Przychodźże częściej, choćby i co dzień, nie wiada, co się ze mną stać może, to dawaj na dom baczenie, Józka ci krzywą nie jest. Z tym i poszła rozmyślając po drodze nad ojcowcymi słowami, że nawet mało zwracała uwagi na opowiadanie Witka, którego jej szeptał, jako wójt ze sołtysem co dnia przychodzą i do zgody z Jagną nagłą starego, że nawet do dobrodzieja gospodarz chodził wraz z Dominikową, która wczoraj do późna w noc radziła ze starym, i talk plótl, co ino wiedział, bych się jej przypochlebić.

W chałupie zastała jeszcze Antka, naprawiał sobie but pod oknem, nie spojrział nawet na nią, a dopiero ujrzawszy Witka i tobołki ozwał się ze złością:

- Byłaś, widzę, po proszonym...
- Kiej zeszałam na dziadówkę, to i z litości ludzkiej żyć muszę. Gdy zaś Witek wyszedł, wybuchnął gniewem.
- Przykazywałem ci, psiakrew, byś do ojca nie chodziła!
- Sam mnie przyzwał, tom poszła, sam mnie opatrzył, tom wzięła, z głodu mrzeć nie będę ni dzieciom nie dam, kiej ty o to nie stoisz!
- Odnieś to zaraz, nie potrza mi nic od niego! – zakrzyczał.
- Ale mnie potrza i dzieciom.
- Mówię ci, odnieś abo sam mu odnieś i w gardziel wrażę, niech się udusi swoją dobrością, słyszysz, bo za drzwi wszystko wyciepnę!
- Spróbuj ano, tknij choćby, a obaczysz! – warknęła chwytając za maglownicę, gotowa bronić do upadłego, tak groźna i rozjuszona, że cofnął się zmieszany tym oporem niespodziewanym.
- Tanio cię kupił, glonkiem chleba jak tego psa – mruknął ponuro.
- Jeszcześ taniej nas i siebie sprzedał, bo za Jagną kieckę! – wykrzyknęła bez namysłu, że zwinął się jakby nożem pchnięty, ale Hanka jakby się naraz wściekła, zalały ją wspomnienia krzywd, że buchnęła nagłym, wezbranym potokiem wypominków i żalów wiecznie tajonych, nie darowała mu już nic, nie przepomniała ani jednej przewiny, ani jednego zła, a jeno biła w niego zapamiętałością kieby tymi cepami, żeby mogła – zabiłaby na śmierć w tej minucie!...

Ułakł się jej rozwścieklenia, zatargało mu się cosik w piersiach, przychylił się i nie wiedział, co rzec, złość go odpadła i gorzki, gryzący wstyd tak mu zalał duszę, że chwycił czapkę i uciekł z chałupy.

Długo nie mógł pomiarkować, co się jej stało, a jeno jak ten pies sponiewierany gnał gdzieś przed się, bez pamięci zgoła – jak zresztą co dnia...

Od owej strasznej chwili pożaru wyrabiał się w nim cosik straszego, że jakoby się całkiem wściekł w sobie. Na robotę nie chodził, choć młynarz przysyłał po niego parę razy, a ino wałęsał się po wsi, w karczmie przesiadywał i pił, snując coraz krwawsze zamysły pomsty i nie widząc już nic poza tym, iż go nawet nie obchodziły posądzenia o podpalenie ojca.

– Niech mi to do oczów któren powie, niech się waży!– powiedział Mateuszowi w karczmie i na głos, by ludzie słyszeli.

Sprzedał Żydowi ostatnią jałówkę i przepijał ją z kompanami, bo stowarzyszył się z najgorszymi we wsi, przystali do niego tacy, jak Bartek, Koziół, Filip z za wody, Franek młynarczyk i te co najgorsze Gulbasowe wisielaki, które zawsze były pierwsze do wszelkiej rozpusty i ciągiem się po wsi wałęsały, kiej wilki, upatrując, co by się chycić dało i nieść Żydowi na gorzałkę, ale jemu zarówno było, jakie są, byle się jeno przy nim kompaniono, bo bakę mu świecili, jak pieski w oczy naglądając, że choć czasem i pobił, ale półkwatki gęsto stawiał i ochraniał przed ludźmi.

Wyprawiali też społem takie brewerie po wsi, napastowania i bijatyki, że co dnia chodziły na nich skargi do wójta, a nawet i przed dobrodzieja.

Przestrzegał go Mateusz, ale na darmo, próżno i Kłęb z czystego przyjaćielstwa zaklinał, by się usatkwował i do zguby nie szedł, próżno mu przekładał – Antek ani usłuchał, ni dał sobie co mówić, zapamiętywał się coraz barzej, jeszcze więcej pił i już się całej wsi odgrażał.

I tak się stulał w, to jakieś zatracenie, kieby z tego pagórka spadzi-stego, nie bacząc na nic ni na nikogo, a wieś nie przestała mieć na niego pilnego baczenia, bo choć o tym podpaleniu różnie różni powiadali, ale widząc, co wyprawia, oburzali się coraz mocniej, a że przy tym i kowal z cicha podjudzał, to z wolna odstręczali się nawet dawni przyjaciele, omijali go z dala, pierwsi głośno powstając na niego, juści, nie stając o to, pomstą zaślepiony, boć tym jeno dychał, rozdmuchując ją w sobie niby zarzewie, bych płomieniem buchnęło.

A do tego, jakby na złość wszystkim, z Jagną nie zaprzestał, kochanie go tam do niej ciągnęło czy co innego, Bóg ta wie – w Dominikowej stodole się schodzili, juści, że skryto przed matką, tyle że im Szymek pomagał ochotnie, pewny za to Antkowej pomocy przy ożenku z Nastką.

Jaguś wychodziła do niego niechętnie, pod strachem zawdy, bo jakby w niej do cna struchlało kochanie po mężowych basałykach, od

czego nosiła jeszcze bolące ślady, ale zarówno bojała się Antka, gdyż zapowiedział groźnie, że jeśli nie wyjdzie do niego na każde zawołanie, to on w biały dzień, przy wszystkich, przyjdzie do chałupy i spierze ją jeszcze lepiej od Boryny.

Juści, kto przez kogo zgrzeszy, temu się do niego nie spieszy, ale że groźbą niewolił, to wychodziła rada nierada.

Niedługo to jednak trwało, bo jakoś zaraz we czwartek popielcowy przyleciał do karczmy Szymek, odciągnął go w kąt i powiedział, że dopiero co Jagnę pogodzili ze starym i już się do niego przeniesła.

Jakby go kłonicą ździelił przez ciemienie, tak go zamroczyła ta nowina, boć wczoraj jeszcze o zmierzchu widział się z nią i ani słówkiem nie wspomniała!

– Tała przede mną! – pomyślał, jakby mu kto żywego ognia nasy-pał w serce, że ledwie się doczekał wieczora i pobiegł.

Długo krążył koło ojcowej chałupy, naglądał i wyczekiwał przy przełazie, nawet się, nie pokazała, tak się tym rozjątrzył i uzuchwalił, że wyrwał jakiś kołek i wszedł w obejście gotowy na wszystko, zdecydowany iść choćby do chałupy – już był na ganku i nawet za kłamkę brał, ale w ostatniej chwili odrzuciło go cosik od drzwi, przypomnienie ojcowej twarzy stanęło mu w oczach z taką mocą, że cofnął się strwożony, zadygotał cały z przerażenia, nie mógł się przemóc, a ino cicho, strachliwie, chyłkiem poniósł się z nawrotem.

Nie mógł potem zrozumieć, czego się ulęknął, co się z nim stało, zupełnie jak wtedy nad stawem. Ale i dni następnych nie mógł się z nią zobaczyć, choć całe wieczory wystawał przy przełazie i czał się jak wilk. Nie spotkał jej nawet w niedzielę, choć długo czatował przed kościołem. Umyślił przeto iść na nieszpory, pewny, że ją tam spotka i znajdzie jakiś sposób pomówienia.

Spóźnił się nieco, bo nieszpory już się zaczęły, kościół był pełny a tak mroczny, że jeno pod sklepieniami szarzały resztki dnia, dołem zaś, w ciemnościach gdzieniegdzie roztałych płomieniem stoczków, mrowił się naród i warkotał kiej rzeka kołysząc się ku wielkiemu ołtarzowi rzeźbienie oświetlonemu, przepchał się aż do kraty i rozglądał nieznacznie, ale nie dojrzał Jagny ni nikogo od ojca, natomiast często łapał ciekawe spojrzenia wlepione w siebie i czuł, że zwracają baczenie, bo ktoś niektoś poszeptywał do sąsiada wskazując nań ukradkiem.

Śpiewali już Gorzkie Żale, boć to była pierwsza niedziela postu. Ksiądz, ubrany w komżę, siedział z boku ołtarza z książką w ręku i raz w raz spoglądał na niego surowo.

Organy huczały przejmująco, a cały naród śpiewał w jeden głos, chwilami zaś urywały się głosy, ścichały organy i z chóru, jakoby gdziesik spod nieba, rozlegał się płaczliwy, urywany głos organisty, czytającego rozważania męki Panajezusowej.

Antek zaś nic nie słyszał, bo z wolna zapomniał, po co przyszedł i gdzie jest, przejęły go te śpiewy na wskroś i osnuły pieśczoną, kołyszącą nutą, że dziwnie osłabł w sobie, senność go ogarniała i głęboka cisza, że zapadał i jakby leciał gdziesik w jakąś światłość, a co oprzytomniał i otworzył oczy, spotykał się z oczami księdza; którego nań wciąż spoglądał, że to wyższy był nad drugie i już z dala widny, a tak świdrował, iż Antek odwracał ociężałą głowę i znowu zapominał o wszystkim; przecknął z nagła:

Wisi na krzyżu Pan, Stwórca nieba,
Płakać za grzechy, człowiecze, trzeba

– zahuczał kościół, że jakby z jednej, niepojętej jakiejś gardzieli wyrwał się ten krzyk i buchnął taką żałościwą mocą, takim przepłakany jękiem, aż mury się zatrzęsły, naród porwał się z klęczek, zakłębił i rozgrzmiał wszystkimi naraz głosami, duszą wszystką śpiewał i wszystkim płaczem pokutnym.

Prześpiewali, a długo jeszcze po kościele tłukły się jękliwe, bolesne echa i szmer łkań, westchnień i modłów gorących.

Nabożeństwo jeszcze się ciągnęło dość długo, ale już był do cna przytomny. Odszedł go śpik, a jeno jakiś ciężki, niezwalczony smutek czepił się duszy i tak ją rozpierał, że gdyby nie wstyd, nie zdzierzyłby tych łez, co się cisnęły do oczów, że już chciał wyjść nie czekając końca, gdy naraz organy umilkły, ksiądz stanął przed ołtarzem i zaczął wygłaszać naukę.

Ludzie zaczęli się pchać naprzód, że ani myśleć było o wyjściu, ruszyć się nawet nie mógł przyparty do kraty; cisza ogarnęła kościół, że każde słowo księdza słyhać było wyraźnie. Opowiadał o Męce Jezusowej, a gdy skończył, jął napominać grzesznych, groźnie wytrząchając rękami, a patrząc co trochę na Antka, którego wprost niego stał, jeno niżej nieco, i nie mógł oderwać oczów, kieby przykuty i urzeczony palającymi spojrzeniami księdza...

W skupionej i zasłuchanej gęstwie już się zrywały płacze, już gdzieniegdzie żalne westchnienie się rozległo, to święte słowo „Jezus” zabrzmiało jękiem, a ksiądz mówił coraz mocniej i groźniej, rósł, zda się, w oczach wszystkich, olbrzymiał, błyskawice rzucał oczami, wznosił ręce, i słowa jego padały na głowy kiej kamienie i jako rozpalone

żelazo przypiekały serca – bo jął smagać a wypominać przewiny wszystkie i zdrożności, jakich się dopuszczali: a zakwardziałość w grzechach, niepamięć przykazań Bożych i one klótnie wieczne, bijatyki, pijaństwa – mówił zaś tak gorąco, że zatrzęsły się dusze w udęce grzeszności swojej, rozpląkały się żalami wszystkie serca i kieby deszcz rosisty zaszemrały płacze i wzdychy pokutne – a ksiądz naraz pochylił się ku Antkowi i ogromnym głosem wołał o synach wyrodnym, o podpalaczach ojców rodzonych, o uwodzicielach i grzesznikach takich, których nie minie ogień wieczny ni kara ludzka!

Struchlał ci cały naród, przycichł raptem, tając dech w piersiach, wszystkie oczy kiej ten grad piorunowy padły na Antka, boć rozumieli, kogo ksiądz wypomina, a on stał wyprostowany, pobladły na płótno i ledwie dychający, gdyż te słowa leciały na niego z hukiem, jakby cały kościół się walił, obejrzał się jeno jakby za ratunkiem, ale luz się robił dookoła, dojrzał zalękłe i groźne twarze, odsuwające się mimo woli kiej od zapowietrzonego, a ksiądz krzyczał już całym głosem i wyklinał go, a do pokuty wzywał, a potem zwrócił się do całego narodu, wyciągnął ręce i wołał, bych się strzegli takiego zbója, bych się chronili przed takim, bych dawali takiemu odprawę od ognia, wody i jadła, od strzechy nawet, by odganiałi jak parszywego grzechem, bo zaraża wszystko i kała, a gdy się nie poprawi, złego nie naprawi, pokutował nie będzie – to by wyrwali go jak pokrzywę i precz wyrzucili na zatrącenie!

Antek odwrócił się nagle i wolno szedł do wyjścia, ludzie mu się usuwali z drogi, że kieby ulicą z nagłą uczynioną przechodził, a głos księdza biegł za nim i smagał go do żywej krwi.

Jakiś krzyk rozpaczliwy zerwał się na kościele, ale nie słyszał, jeno szedł prosto przed siebie, prędko, by nie paść trupem z męki, by uciec z tych oczów szarpiących, od tego głosu straszego.

Wypadł na drogę i ani wiedząc gdzie, poleciał w topolową drogę ku lasom, przystawał chwilami zalękły i słuchał głosu, który mu wciąż brzmiał w uszach kiej dzwon tak bił ciężko, że dziw głowa nie rozpeękała.

Noc była ciemna i wietrzna, topole przyginały się z szumem, że niekiedy gałęź jakaś chlastała go po twarzy, to znowu przyciszało się i drobny, przykry, marcowy deszcz zacinał w twarz, ale Antek nie zważał na nic, biegł jak błędny, a przerażony i pełen zgrozy niewypowiedzianej

– Że już i gorzej być nie może! – szepnął wreszcie przystając. – Sprawiedliwie mówił! Sprawiedliwie! – Jezus mój, Jezus! – ryknął naraz chwytając się za głowę, bo w tym momencie jakby przejrzał i zrozumiał winy swoje i grzechy, że wstyd wprost nieludzki zaszarpał mu duszą i ozrywał ją na kawały.

Pod jakimś drzewem siedział długo, zapatrzony w noc i zasluchany w cichą, trwożliwą i straszną jakąś gęźbę drzew.

– Przez niego wszystko, przez niego! – począł krzyczeć i ogarnęło go jakby szaleństwo gniewu i nienawiści, wstały wszystkie żale dawne i wszystkie dzikie zamysły pomsty skłębiły się w nim i przewalały, jak te chmury pędzące po niebie.

– Nie daruję! Nie daruję! – zawyła w nim dawna zapamiętałość, że ostro ruszył z powrotem do wsi.

Kościół był już zamknięty, w chałupach się świeciło, a po drogach tu i owdzie spotykał ludzi stojących kupkami i radzących cosik mimo deszczu i zimna.

Poszedł do karczmy, dojrzał przez okno, że jest tam sporo ludzi, ale się nie zawahał i wszedł ostro, i jakby nigdy nic, przystąpił do największej kupy i chciał się witać ze znajomkami, któryś mu tam rękę podał, ale reszta odsunęła się żywo na wsze strony i spiesznie zaczęli wychodzić. Nim się spostrzegł, został prawie sam w karczmie; dziad jakiś siedział przed kominem i Żyd za szynkwasem. Zrozumiał, że to on rozgonił wszystkich, ale połknął i to, i kazał dać wódki, jeno że, postawił nie dopity kieliszek i spiesznie wyszedł. Łaził błędnie dookoła stawu i spoglądał z uwagą na pręgi światła, co chlustały gdzieniegdzie z okien na śnieg przemiękły i lśniły się we wodzie, pokrywającej lód.

Zmiękł znowu w sobie i niewypowiedziana ciężkość zwała mu się na serce, poczuł się tak samotnym, zbiedzonym i nieszczęśliwym, taką potrzebę czuł wyżalenia się i wejścia między ludzi, posiedzenia choćby przed jakim ogniem, że do pierwszej z brzega chałupy poszedł, do Płoszków.

Byli wszyscy, ale na jego wejście porwali się zestraszeni, nawet Stacho nie wiedział, co rzec.

– Jakbym zarznął kogo, tak patrzycie! – rzekł cicho i poszedł do drugich, do Balcerków, ale i ci przyjęli go lodowato, bąkali coś niecoś, a nikt nawet przysiąść nie zapraszał.

Zajrzał jeszcze tu i owdzie, wszędzie było to samo.

Więc jakby dla próby ostatniej, by sobie nie oszczędzić żadnej boleści i upokorzenia, poszedł do Mateusza, nie było go doma, jeno stara

Gołębowa prosto z miejsca wywarła na niego pysk, skłęta i jak tego psa przegoniła z chałupy.

Ani słówkiem nie odrzekł ni się gniewem zapalił, odeszła go bowiem wszelka złość i pomiarkowanie, co się z nim dzieje. Powłókł się wolno w noc, obchodził staw, to przystawał gdzieniegdzie i patrzył na wieś, zatopioną w mrokach, znaczącą się jeno światełkami okien, patrzył zdumiony, jakby ją po raz pierwszy widział, otaczała go dookoła przywartymi do ziemi chałupami, zagradzała go zewsząd, że jakby ruszyć się nie mógł i wyrwać z tych płotów i sadów, i świateł! Nie mógł się pomiarkować, czuł jeno, że jakaś moc nieprzeparta bierze go za gardziel i do ziemi przygina, do jarzma nakłania i przejmuje niewytłumaczonym strachem.

Z głęboką trwogą spozierał na rozbłyśnięte okna, bo mu się wydało, że go stróżują, że patrzą za nim i nieprzerwanym łańcuchem idą na niego, ściskają i wiążą w pęta, że już ruchać się nie mógł ni krzyżeć, ni uciekać, więc przywarł pod jakimś drzewem i zmacony do dna słuchał, że od domów, z cieniów wszystkich, z pól, spod samego nieba, spadają nań srogie potępienia słowa i cały naród idzie na niego.

– Sprawiedliwie! Sprawiedliwie! – szeptał z najgłębszą pokorą, pełnią serca skruszonego, strachem śmiertelnym przejęty i tą mocą wsi potężną.

Światła z wolna gasły jedno po drugim, wieś usypiała, deszcz jeno mżył i trzepał w pochylone drzewa, a czasem pies gdziesik zaszczekał i cichość przerażająca ogarniała świat, gdy Antek oprzytomniał zupełnie i porwał się na nogi.

– Sprawiedliwie mówił... swoją prawdę powiadał... ale ja mojego nie daruję... żebym skapiał, nie daruję, psiakrew!...

Krzyknął zapamiętale wygrażając pięściami wsi całej i wszystkiemu światu!...

Nacisnął czapkę i poszedł do karczmy.

ROZDZIAŁ 13

Na zwiesnę się miało; ciągiem nieprzerwanym szły już te rozkisle dnię marcowe, że czas się ano uczynił zgoła psi, rozmiękły, zimny i przemglony; co dnia padały deszcze ze śniegiem, co dnia szły takie wycinki a flagi, iż na świat wyrzeć było nie sposób; co dnia brudne, skołtunione ciemnice tłukły się po polach i tak przyduszały wszelką światłość, że posępne, ciężkie zmierzchy wisiały nad ziemią od świtu do nocy, zaś niekiedy, jeśli z burych topieli wyrzało słońce, to ledwie na to Zdrowaś, że nim dusza pocieszyła się jasnością i kości poczuły ciepło – już nowe mroki się roztrzęsały nad światem, nowe wichry zawodziły, nowe pluchy i flagi szły, aż dzień się niejeden widział jako ten psiak utyłany, błotem ociekły i z zimna skamlący:

Matyjasilo się to narodowi, że i nie wypowiedzieć, tym się, jeno kaźden krzepił a pocieszał, bych jeszcze jaką niedzielę wstrzymać abo i dwie, i zwiesna całkiem przemoże i za wszystko zapłaci, ale tymczasowie flażyło ciągiem nie do wytrzymania, przeciekało przez dachy, kajś niekaj zacinało przez ściany i okna, lało ze wszystkich stron, że już nie można było sobie dać rady z wodą, waliła bowiem z pól, pełno jej było po rowach, a drogi lśniły się kiej te potoki bystre, zatapiała opłotki i stała grząskimi sadzawkami w obejściach, a że zaś śnieg co dnia barzej topniał i szły ciągle deszcze, ziemia prędko odmarzała i puszczały lody, to już miejscami, po stronie przypołudniowej, czyniło się takie błocko, iż musieli kłaść przed chałupami deski albo mościć przejścia słomą.

Noce zaś tak samo były ciężkie do zniesienia, hurkotliwe, zadeszczone, a tak ciemnicami przejęte, że się już nieraz widziało, jakoby na wieki pogasły wszelkie światłości; nawet z wieczora mało w której chałupie zapalali ogień; chodzili spać o zmierzchu, tak się czas przykrzył, tyle jeno, co tam, gdzie zbierały się prądki, jaśniały szybki i brzęczały z cicha prześpiwywane Gorzkie Żale i drugie pieśni żałosne o Męce Pańskiej, a wtórował im wiatr, deszcze i szum drzewin, tłukących się o płoty.

To i nie dziwota, że Lipce jakby przepadły w tych roztopach, boć ledwie ano mógł rozeznąć chałupy od pól przemiękłych i zadeszczonego świata, ledwie je dojrzał w tych mgliskach burych, przywarte do ziemi, obmokłe, poczerńiałe i do cna zbiedzone, a co już pola, sady, drogi i niebo, to jedną topielą siną się widziały, że nie wiada było zgoła, kaj jej początek, a kędy koniec.

Ziąb przy tym był przykry i do żywego przejmujący, to i mało kiedy dojrzał kogo na drogach, deszcz jeno trzepał, wiatry przemiały, drzewiny się trzęsły i smutek wiał światem całym, pustka była naokół i cichość w całej wsi jakby wymarłej, tyle jeno było żywych, głosów, co tam jakieś bydłatko zaryczało przy pustym żłobie, to kury zapiwały od czasu do czasu albo gęsiory, odsadzone od gęsi siedzących na jajach, rozkrzykiwały po podwórcach.

A że dni były coraz dłuższe, to i barzej się mierziło ludziom, boć nikto roboty żadnej nie miał, paru robiło na tartaku, paru zwoziło z lasu drzewo dla młynarza, a reszta wałęsała się po chałupach, wysiadynała w sąsiedztwach, bych jakoś ten dzień się przewlókł – a jaki taki, co starowniejszy, brał się narządzać pługi, to brony lub inszy sprzęt gospodarski sposobił na zwiesnę, do roli przydatny, jeno niesporo to szło i ciężko, bo wszystkim zarówno dokuczały pluchy i frasunki przejmowały serca; oziminy bowiem srodze cierpiały od tych wycinków, że już miejscami na niższych polach widziały się do cna wymarłe, to niejednemu kończyła się pasza i głód zaglądał do obór, gdzie znów ziemniaki pokazały się przemrożone, owdzie choroby zagnieździły się w chałupie, a do wielu przednowek się dobierał.

Nie w jednej bo już chałupie jeno raz w dzień warzyli jadło, a sól za jedyną okrasę mieli – to i coraz częściej ciągnęli do młynarza brać ten jaki korczyk na krwawy odrobek, bo zdierus był srogi, a nikto gotowego grosza nie miał ni co wywieźć do miasteczka, drudzy zasie to i do Żyda do karczmy szli skamlać, bych ino na bórg dał tę szczyptę soli, jaką kwartę kaszy albo i ten chleba bochenek!

Juści, koszula nie rządzi, kiej brzuch błądzi.

A narodu potrzebującego było tyła, zarobków zaś żadnych i u niko-go, gospodarze sami nie mieli co robić, dziedzic jak się był zawziął, że żadnemu Lipczakowi grosza zarobić w lesie nie da, tak i nie ustąpił mimo próśb, choć całą gromadą do niego chodzili, to juści, że i bieda u komorników i co biedniejszych gospodarzy robiła się taka, że dobrze stojał niejeden i Bogu dziękował, jeśli miał choć ziemniaki ze solą i te gorzkie łyżę za przyprawę.

To juści, że z tych różnych różności rodziły się we wsi ciągle białania, swary a kłótnie, a bijatyki, boć naród cierpiał, chodził strapiony, niepewny jutra, struty niepokojem, że jeno szukał okazji, bych na drugich wyrzucić z nawiązką to, co go na wewnątrz jadło – toć i bez to aż się chałupy trzęsły od plotek, kłyźnień a przemówień.

A kieby na tę przykładkę diabelską zwały się choroby różne na wieś, jak to zresztą zwyczajnie bywa przed zwiesną, w niezdrowy czas, kieby wapory smrodliwe biją z tającej ziemi, to i najpierwej spadła ospica kieby ten jastrząb na gąsięta i dusiła dzieciątka, biorąc kajś niekaj i starsze, że nawet dwoje wójtowych, najmłodszych, nie odratowały sprowadzone doctory i powieźli je na cmentarz, potem zaś febry i gorączki, to insze choróbska zwały się na starszych, iż co drugi dom ktosik kwękał, na księżą oborę patrzył i zmiłowania Pańskiego wyglądał – aż Dominikowa nie mogła nastarczyć lekować, a że przy tym i krowy zaczynały się cielić, i niektóra kobieta też zległa, to rwetes we wsi stawał się coraz większy i zamieszanie jeszcze narastało.

Bez takie ano sprawy naród burzył się w sobie i coraz niecierpliwiej wyglądał zwiesny, boć wszystkim się widziało, że niech jeno śniegi spłyną, ziemia odtaje i przeschnie, słońce przygrzeje, bych można wyjść z pługiem; na role, to i biedy a frasunki się skończą.

Ale wszystkim się widziało, że wiosna wolniej nadchodzi latoś niżli po drugie roki, bo wciąż lało i ziemia wolniej puszczała, i wody leniwiej spływały, a co gorsza, że ano krowy jeszcze się nie leniły i włos mocno siedział, co znaczyło, że zima potrzyma dłużej.

Więc niech jeno nastala jaka godzina suchsza i słońce zaświeciło, roilo się zaraz przed chałupami, ludzie z zadartymi głowami tęskliwie przepatrywali niebo wymiarkowując, zali to nie na dłuższą odmianę idzie, staruchy zaś wyłazili pod ściany nagrzewać struchlałe kości, a co było dzieci, wszystkie biegały z wrzaskiem po drogach, kieby te żrebaki wypuszczone na pierwszą trawę.

I co w taki czas było radości, wesela, śmiechów!

Świat cały zajmował się płomieniami od słońca, gorzały światłością wody wszelkie, rowy były, kieby je kto roztopionym słońcem napelnił po brzegi, drogi zaś widziały się jakby z topionego złota uczynione, lody na stawie przemyte deszczami pobłyskiwały jako ta misa cynowa czarniawo, drzewa nawet skrzyły się od rosy nieobeschłej, a pola, pobrużdżone strugami, leżały jeszcze oniemiałe, czarne, martwe, a już jakby dychające ciepłem i wezbrane wiosną, i pełne skrzeń i bełkotliwych głosów wód, a tu i ówdzie nie stopione śniegi jarzyły się ostrą

białością, kiej te płótna rozciągnięte do blichu; niebo zmodrzało, odśloniły się dale przymglone, zdziebko jakby osnute pajęczynami, że oko szło na wskrós i leciało hen, na pola nieobjęte, na czarne linie wsi, na otoki borów, we świat ten cały dyszący radością, a powietrzem szły takie lube, wiośniane tchnienia, że w sercach człowieczych wstawał radosny krzyk, dusze się rwały, we świat ponosiło, że kuźden by leciał w to słońce jako te ptaki, co nadciągały gdziesik od wschodu i pławiły się w czystym powietrzu; każdy rad wystawał przed domem i rad rozprawiał nawet z nieprzyjacioły.

Milknęły wtedy kłótnie, przygasały spory, dobrość przejmowała serca i wesołe półkrzyki leciały po wsi, przepełniały domy radością i drżały świegotliwymi głosami w powietrzu ciepłym.

Wywierano na rozcież chałupy, odbijali okna, by wpuścić do izb nieco powietrza, kobiety wyłaziły na przyzby z kądzielami, nawet dzieciątka wynoszono w kołyskach na słońce, a z otwartych obór rozlegały się raz po raz tęskliwe poryki bydłatek, konie rżały rwiąc się z uźdżenic na świat, gęsi zaś uciekały z jaj i przekrzykiwały się z gęsiorami po sadach, koguty piały po płotach, a psy kiej oszalałe czekały po drogach ganiając wraz z dziećmi po błocie.

Naród zaś postawał w opłotkach i mrużąc od blasków oczy spozierał radośnie na wieś taplającą się w słońcu, że jeno szyby grały ogniami, kobiety rozprawiały po sąsiedzku przez sady, że głosy szły na całą wieś, powiedali sobie, że ktosik ano już słyszał skowronka, że i pliszki widzieli na topolowej drodze; to znowu któryś dojrzał na niebie, wysoko pod chmurami, sznur dzikich gęsi, że wnet pół wsi wybiegło na drogę patrzeć, a inszy potem rozповідаł, jako i boćki już spadły na łągach za młynem. Nie dawano temu wiary, boć dopiero marzec dobiegał do połowy! A któryś, bodaj Kłębowy chłopak, przyniósł pierwszą przylaszczkę i latał z nią po chałupach, że oglądali ów blady kwiatuszek z podziwem głębokim, bych tę świętość największą, i dziwowali się wielce.

Tak ano to ciepło zwodne czyniło, że się już ludziom widziało, jako zwiesna się zaczyna, jako wnet z pługami ruszą na pola, więc z trwożą tym większą spoglądano na chmurzące się z nagła niebo, a ze smutkiem głębokim, gdy słońce się skryło i zimny wiatr powiał, brzaski pogasły, świat ściemniał i drobny deszcz począł mżyć!... A z wieczora mokry śnieg tak jął walić, że może w jakie dwa pacierze przybielił znowu wieś całą i pola..:

Wszystko powróciło do dawnego tak prędko, że w nowych dniach deszczów, wycinków i błotnej taplaniny niejednemu się widziało, jako tamte słoneczne godziny były jeno snem rychło przespanym. W takich to ano sprawach, radościach, smutkach a tęsknicach przechodził czas narodowi, to juści, nie dziwota, że Antkowe sprawy, Borynowe pożyacie czy tam jakie insze historie abo śmiercie czyje i co drugiego jako te kamienie padały na dno pamięci, boć kaźden miał dosyć swojego, że ledwie uradził.

A dnie przechodziły niepowstrzymanie, narastały kiej te wody płynące z morza wielgachnego, że ani im początku, ni końca wymiarkować, szły i szły, iż ledwie człowiek ozwar oczy, ledwie się obejrzał, ledwie coś niecoś wyrozumiał, a już nowy zmrok, już noc, już nowe świtanie i dzień nowy, i turbacje nowe, i tak ano w kółko, bych się jeno woli boskiej stało zadość!

Któregoś dnia, bodaj w samo półpoście, czas się zrobił jeszcze gorszy niżli kiej indziej, bo chociaż jeno mżył drobny deszcz, ale ludzie czuli się tak źle, jak nigdy do tela, łazili po wsi kiej spętani pogładając żałośnie na świat zatkany chmurzyskami tak gęsto, że darły się ano napęczniałymi brzuszyskami o drzewa. Smutno było, mokro, zimno i tak mroczno na świecie, że płakać się ano chciało z tęskności niezmożonej, nikto się już dzisiaj nie kłócił i nie przemawiał, kaźdemu zarównno wszystko było, bo kaźden jeno cichego kąta patrzył, by lec i o niczym nie baczyć.

Dzień był posepny jak to patzenie chorego, co ledwie oczy ozewrze i coś niecoś rozpozna, i znowu pada w mrok chorobny, bowiem ledwie przedzwonili południe, zmrocząło nagle, podniósł się głuchy wiatr i bił wraz z deszczem w poczerniałe chałupy.

Na drogach było pusto i cicho od ludzi, tylko wiatr z szumem przemiał po błocie, to deszcz pluskał, jak kieby kto tym ziarnem ważnym ciepła na drzewiny roztrzęsione i poczerniałe ściany, to znowu staw barował się ano z pękającymi lodami, bo raz po raz trask się rozlegał i grochot, i wody z krzykiem wychlustywały na wybrzeża.

W taki to dzień, jakoś na samym odwieczrze, gruchnęła po wsi nowina, że dziedzic rąbie chłopski las.

Nikt temu zrazu wiary nie dawał, bo skoro do tela nie rąbał, to jakże, teraz by, w połowie marca, kiej ziemia odmarza i drzewa soki ciągnąć zaczynają, ciął będzie?

Szła juści w boru robota, ale kaźden wiedział, iż przy obróbce drzewa.

Jaki ta dziedzic był, to był, ale za głupiego nikto go nie miał.

A jeno głupi w marcu spuszczały budulec.

I nawet nie wiada, kto taką nowinę rozgłosił, ale mimo to zakotłowało we wsi, że ino drzwi trzaskały i błoto się otwierało pod trepami, tak biegali z tą wieścią po chałupach, przystawali z nią po drogach, schodzili się do karczmy medytować i Żyda przepytwać, ale zółtek jucha zapierał się i przysięgał, że nic nie wie, to już i gdzieniegdzie krzyki powstawały i to złe słowo padało, i lament babi się rozlegał, wzburzenie zaś rosło niepomierne, niepokój, a złość i trwoga zarazem opanowywała naród cały.

Dopiero stary Kłęb zarządził, bych sprawdzić tę nowinę, i nie bacząc na pluchę pchnął konno swoich chłopaków do lasu na zwiady.

Długo ich widać nie było z powrotem, nie było chałupy, żeby z niej ktosik nie wypatrywał pod las na dróżki, któredy pojechali, ale już i mrok dobry zapadł, a oni nie wrócili jeszcze, na wieś zaś całą padła cichość wzburzona i przez moc przytłumiana i groźna wielce, złością bowiem, kiej te dymy gryzące, osnuwały duszę, bo chociaż jeszcze nikt wiary pełnej nie dawał, ale wszyscy byli pewni potwierdzenia tej wieści złowróźbnej, więc jaki taki jeno kłął, drzwiami trzaskał i szedł na drogę wyglądać, czy nie wracają...

Kozłowa zaś podjudzała naród, co ino mogła, biegała ano z pyśkiem kaj jeno chcieli dać ucha, przytwierdzała zaklinając się na wszystkie świętości, jako na własne oczy sprawdziła, że już z dobre pół włóki chłopskiego boru wycięli, powołując się na Jagustynkę, z którą się była sielnie stowarzyszyła w ostatnich czasach. Juści, że stara przytakiwała wszystkiemu, rada będąc wielce mętowi, a nazbierawszy przy tym nowinków różnych po chałupach poszła z nimi do Borynów.

Właśnie byli tam co ino zaświecili lampkę w izbie czeladnej, Józka z Witkiem obierali ziemniaki, a Jaguś krzątała się kiele wieczorowych obrządków, stary zaś przyszedł nieco później, Jagustynka jęła mu wszystko opowiadać pilnie, a z dobrą przykładką.

Nie ozwał się na to, a jeno do Jagny rzekł:

– Weź łopatę i bieżyj pomóc Pietrkowi, trza wodę spuścić ze sadu, bo może wleźć do kopców. Ruszajże się prędzej, kiej mówię! – krzyknął.

Jagna cosik zamamrotała na sprzeciw, ale tak na nią srogo gębę wywarł, że w dyrdy pobiegła, on zaś sam również poszedł w podwórze nagląć, że raz po raz rozlegał się jego gniewny głos w stajni, to w oborze, to przy kopcach, że aż w chałupie było słyhać.

– Cięgiem to taki sprzeciwy? – spytała stara zbierając się do znie-
cenia ognia.

– A cięgiem – odparła Józka, trwożnie nasłuchując.

Jakoż i tak było, bo ano od dnia pogodzenia się z żoną, na co tak
rychło się zgodził, aż się temu dziwowano, przemienił się do niepoznania.
Zawždy był kwardy i niełacno ustępliwy, ale teraz to już się zgoła
na kamień przemienił. Jagnę do domu przyjął, niczego jej nie wymawiał,
ale miał ją teraz zgoła za dziewczkę, i tak ją też uważał i honorował.
Nie pomogły jej przymilania się ni uroda, ni nawet złość, ni te rzekome
dąsy i gniewy, którymi to kobiety chłopów wojują. Całkiem na to nie
zważał, jakby mu obcą była, a nie żoną ślubną, że nawet już nie baczył,
co ona wyrabia, choć dobrze pewnikiem wiedział o jej schodzeniach
się z Antkiem. Nie pilnował jej nawet i jakby całkiem nie stał o nią.
Jakoś w parę dni po zgodzie pojechał do miasta i aż drugiego dnia po-
wrócił; powiadali sobie we wsi na ucho, że u rejenta jakieś zapisy robił,
a jensi jeszcze przebąkiwali z cicha, że pewnie zapis Jagusi odebrał.
Juści, że nikto prawdy nie wiedział, kromie Hanki, która w takich ła-
skach u ojca teraz była, że ze wszystkim się przed nią zwierzał i radził,
ale ona i tej pary z gęby nie puściła przed nikim, co dnia zaglądała do
starego, a dzieci to już prawie nie wychodziły z chałupy, że nieraz i
sypiały razem z dziadkiem, tak je bowiem miłował.

Boryna zaś jakby pozdrowiał od tej pory, chodził po dawnemu pro-
sto i hardo na świat poglądał, jeno się tak ozeźlił w sobie, że o bele co
gniewem buchał i ciężki był la wszystkich, prosto nie do wytrzymania,
bo na czym swoją rękę położył, to juści, że do ziemi przygiąć się mu-
siało i tak być, jako chciał, a nie, to fora ze dwora.

Juści, krzywdy nie czynił nikomu, ale też i dobrości społecznie nie
posiewał, nie, dobrze to czuły sąsiady. Rządy wziął w swoje ręce i nie
popuszczał ni na pacierz, komory pilnie strzegł, a kieszeni jeszcze bar-
rzej, sam ano wszystko wydawał i srogo stróżował, bych dobra nie
marnowali, la wszystkich w domu był twardy, ale już szczególniej dla
Jagusi, boć nigdy tego użyczliwego słowa jej nie dał, a tak napędzał do
roboty kiej tego zwalkonionego konia i w niczym nie folgował, że i nie
było dnia bez swarów, a często gęsto i rzemień bywał w robocie albo i
co twardziesze, bo i w Jagnę wlaźł jakiś zły i ciskał ją na sprzeciw.

Ulegać bowiem ulegała, niewolił ją, to i cóż było począć, męzowy
chleb, męzowa wola, ale na słowo przykre miała swoich dziesięć, na
krzyk zaś kaźden podnosiła taki wrzask, takie piekło wyprawiała, że na
całą wieś się roznosiło. Piekło też wrzało w chałupie cięgiem, jakby

sobie oboje w nim upodobali, zmagając się we złości całą mocą do tela, kto kogo przeprze, a żadne ustąpić pierwsze nie chciało.

Próżno Dominikowa chciała łagodzić i zgodę sprząc między nimi, nie poredziła przemóc zawziętości ni żalów, ni krzywd, jakie im w sercach narastały. Borynowe miłowanie przeszło jako ta łośńska zwiesna, o której nikt nie pamięta, a ostała się jeno żywa pamięć przeniewierstwa jej i krwawiący wstyd, i luta, nieprześlągana złość – w Jagnie się też dusza znacznie przemieniła, źle jej było, ciężko i tak przykro, że i nie wypowiedzieć: win swoich jeszcze nie miarkowała, a kary czuła boleśniej niżli drugie kobiety, że to i serce miała barzej czujące, i chowana była pieściwiej, i już w sobie była zgoła delikatniejsza od inszych.

Męczyła się też, mój Jezus, męczyła!

Juści, że robiła staremu wszystko na złość, nie ustępowała bez musu, broniła się, jak mogła, ale to jarzmo i tak coraz ciężej i boleśniej. przyginało jej kark, a poratunku nie było znikąd: ileż to razy chciała wrócić do matki – stara się nie godziła, pograżając jeszcze, że przez moc odeśle ją mężowi na postronku... To i cóż miała począć ze sobą? co? Kiej nie poredziła żyć jak drugie kobiety, co to i parobków se nie żałują, i uciechy żadnej, i rade znoszą domowe piekło, co dnia się bijają z chłopami i co dnia razem spać chodzą pogodzeni. Nie, nie poredziła tego, mierziło się jej życie coraz barzej i jakaś nieopowiedziana tęskność rozrastała się w duszy, wiedziała to za czym?

Za zło płaciła złem, prawda, ale w sobie była zestrachana ciągiem, pokrzywdzona wielce i tak rozżalona, że nieraz przepłakała całe długie noce, aż poduszka była mokra, a nieraz te dnie swarów, kłótni tak się jej przykrzyły, iż była gotową uciekać choćby w cały świat!

Ale gdzie to pójdzie, dokąd?

Dookoła stał świat otwarty, ale tak straszny, tak nieprzenikniony, tak obcy i głuchy, że zamierała z bojaźni jako ten ptaszek, kiej go chłopaki przychwycą i pod garnczek wsadzą.

To i nie dziwota, że z tego wszystkiego garnęła się do Antka, choć go miłowała jakby jeno ze strachu i rozpaczy, bo wtedy, po onej nocy strasznej, po ucieczce do matki cosik pękło w niej i pomarło, że się już nie wrywała do niego całą duszą jak przódzi, nie biegała na każde zawołanie z bijącym sercem a radością, a jeno szła jakby z musu niewolenia, a i bez to, że w chałupie źle było i nudno, a i bez to, że na złość staremu, a i bez to, iż się jej widziało, że wróci to dawne, wielkie miłowanie – ale na dnie głębokim serca krzewił się zjadliwy kiej trutka żal do niego, iż to wszystko, co ją spotyka, te smutki, zawody, to całe

ciężkie życie, to przez niego; i ten jeszcze boleśniejszy, cichszy i nigdy nie wypowiedany żal, że on nie jest tym, jakiego w sobie umiłowała – dziki, szarpiący żal zawodu i rozczarowania. Przeciech się jej widział raniej jakimś inszym, takim, którego do nieba unosił miłowaniem, zniewał dobrością i był ponad wszystko na świecie najmilejszy, a tak różny od drugich, że zgoła do nikogo niepodobien we wszystkim – a teraz widział się jej takim samym jak i drugie chłopcy, gorszym nawet, bo się go barzej bojała niżli Boryny, bo ją straszył ponurością swoją i cierpieniem, a przerażał zawziętością. Bojała się go, wydawał się jej dzikim i strasznym kiej ten zbój z lasów; jakże, sam ksiądz wypomniał go w kościele, wieś cała odstąpiła, ludzie palcami wytykali jako tego najgorszego; biła od niego jakaś zgroza śmiertelnego grzechu, że nieraz słuchając jego głosu, zamierała z przerażenia, bo widziało się jej, że zły jest w nim i całe piekło dookoła; robiło się jej wtedy tak straszno w duszy, jak wtedy, gdy dobrodziej naród napomina i mękami straszy!

Ani jej nawet na myśl przyszło, że i ona winowata tych grzechów jego, gdzie zaś, jeśli czasem rozmyślała, to jeno o jego odmienności, nie poredziła tak jasno kalkulować, ale czuła ją tylko mocno, że bezwolnie traciła coraz barzej serce do niego i sztywniała mu nieraz w ramionach, jakby piorunem z nagłą rażona, pozwalała się brać, bo jakże opierać się takiemu smokowi?... a przy tym młoda przeciech była, o krwie gorącej, mocna, a on dziw nie zduszał w uściskach, to mimo wszystko, co myślała, oddawała mu się również potężnie tym rzutem ziemi spragnionej wiecznie ciepłych dżdżów i słońca, jeno że już ni razu dusza jej nie padała mu do nóg z onej uciechy niepowściągliwej, ni razu nie omraczało jej czucie takiego szczęścia, co to aż do proga śmierci z lubością wiezie, ni razu nie zapamiętała się już do cna, nie; myślała wtedy o domu, o robotach i o tym, bych staremu co nowego na złość zrobić, a czasem, aby jak najprędzej ją puścił i poszedł sobie.

Właśnie teraz snuło się jej to wszystko po głowie, spuszczała wody od kopców na podwórze, robiła od niechcienia, z przykazu jeno, spoglądając pilnie za głosem starego i doszukując się go w podwórzu, Pietrek robił zawzięcie, że ino warczała gruda i błoto wyrzucane, a ona zaś chyba tyła, by jeno słyszeć było, że robi, a skoro stary poszedł do domu, naciągnęła zapaskę na głowę i ostrożnie przebrała się za przełaz, pod Płoszkową stodołę.

Już tam Antek był.

– Dycę czekam na cię z godzinę – szepnął z wymówką.

– Mogłeś nie czekać, kiej ci było gdzie indziej potrza burknęła niechętnie rozglądając się dokoła, noc bowiem była dość widna, deszcz ustał, ino zimny, suchy wiatr pociągał od lasów i z szumem bił w sady.

Przygarnął ją do siebie mocno i zaczął całować po twarzy.

– Gorzałka jedzie od ciebie kiej z kufy! – szepnęła odchylając się z obrzydzeniem:

– Bom pił, śmierdzi ci już moja gęba.

– Hale, o gorzałcem myślała jeno! – powiedziała miękciej i ciszej.

– Bylech i wczoraj, czemuś to nie wyszła?

– Ziąb był taki, a i roboty przeciech mam niemało.

– Prawda, a i starego też musisz pieścić i pierzyną przyokrywać! – syknął.

– A przeciech, bo to nie mój chłop! – rzuciła twardo i niecierpliwie.

– Jagna, nie drażnij!

– Kiej ci się nie podoba – nie przychodź, płakała po tobie nie będę.

– Przykrzy ci się już wychodzić do mnie, przykrzy...

– Jakże, bo ino na mnie ciągiem huru-buru kiej na tego Łyska...

– Baczysz mi to, Jaguś, dyć mam swojego tylachna, że i nie dziwo-ta, jak się człowiekowi wypśnie to jakie słowo twarde, nie przez złość przeciech, nie – szeptał pokornie i objąwszy ją tulił do siebie serdecznie, ale sztywna była, zadąsana i jeśli oddała całunki, to jakby z musu, i jeśli odrzekła to jakie słowo, to ino tak, by coś mówić, a ciągiem się rozglądała chcąc już wracać.

Czuł ci to dobrze, czuł, to jakby mu pokrzyw nakładli za pazuchę, tak go zapiekło, aż szepnął z wyrzutem bojaźliwym:

– Przódzi nie bywało ci tak pilno...

– Bojam się, wszyscy w chałupie mogą mnie szukać...

– Juści, przódzi to choćby na całą noc się nie bojałaś, przemieniłaś się do cna...

– Nie pleć, co się ta miałam przemienić?...

Przymilkli obejmując się mocno, czasem cisnęli się do się goręcej, sprzągani nagłym pożądaniem, szukając ust. swoich chciwie, porwani wspólną falą przypominków, poczuciem win czynionych względem siebie, żalem nad sobą, litością, głębokim pragnieniem utopienia się w sobie – ale nie poredzili, bo dusze odbiegały od siebie daleko, nie znajdowali słów pieszczonych i kojących, bo w sercach wrzały gorzkie urazy, tak żywe, iż bezwolnie rozplątały się im ramiona, chłodli do siebie i stali kiej te zimne słupy, że jeno serca biły im kołatliwie, a na

wargach płątały się słowa czułości i pocieszenia. jakie chcieli sobie powiedzieć i nie poredzili.

– Miłujesz to mnie, Jaguś? – szepnął cicho.

– A bo raz ci to powiadałam? a bo nie wychodzę do cię, kiej jeno chcesz... – odparła unikliwie przysuwając się doń biodrem, bo żal jakiś ścisnął jej duszę i napęlił oczy łzami, że zachciało się jej płakać przed nim a przepraszać, że go już miłować nie poradzi, ale on to wnet pomiarkował, bo ten głos padł mu lodem na serce, aż się zatrząsł cały z bólu, i złość, pełna wyrzutów i żalów niewstrzymanych, zalała mu serce.

– Cyganisz jak ten pies; wszyscy mnie odstępili, to i tobie pilno za drugimi. Miłujesz mnie, juści, jak tego psa złego, któren ugryźć może i przed którym ognąć się trudno, juści! Przejrzałem cię na wylot, znam ja cię dobrze i wiem, bych mnie powiesić chcieli, pierwsza byś troków nie żałowała, bych ubić kamieniami, pierwsza byś rzuciła za mną! – gadał prędko.

– Jantoś! – jęknęła przerażona.

– Cichoj, póki swoje powiedam? – krzyknął groźnie podnosząc pięście. – Prawdę powiedam! A kiej do tego przyszło, to mi już wszystko zarówno, wszystko!

– Trza mi lecieć, wołają mnie ano! – jąkała chcąc uciekać, zestrasona wielce, ale ją przychwycił za rękę, że ni drgnąć nie mogła, i chrypliwym, złym, pełnym nienawiści głosem gadał:

– A to ci jeszcze powiem, bo swoją głupią głową nie miarkujesz, że jeślim na takie psy zeszedł, to i bez ciebie, bez to, zem cię miłował, rozumiesz, bez to! Za cóż to mnie ksiądz wypomniał i wygnał z kościoła kiej zbója, za ciebie! Za cóż to wieś cała mnie odstąpiła kiej parszywego, za ciebie! Wycierzpiałem wszycko, przeniosłem, nawet i na to nie pomstowałem, że ci stary mojego rodzzonego grontu zapisał tylachna... A tobie się już mierzi że mną, wywijasz się kiej ten piskorz, cyganisz, uciekasz, bojasz się mnie i patrzysz na mnie jak wszystkie, kiej na tego mordownika i najgorszego! Innego ci już potrza, innego! rada byś, bych parobki za tobą ganiały kiej te psy na zwiesnę, ty!... – krzyczał zapamiętałe i te wszystkie krzywdy, złości, jakimi się karmił od dawna, jakimi jeno żył, zwał na jej głowę, ją winił o wszystko, ją przeklinał za to, co przecierpiał, aż w końcu brakło mu już głosu i taka go złość porwała, że rzucił się do niej z pięściami, ale opamiętał się w ostatniej chwili, pchnął ją tylko na ścianę i spiesznie poszedł.

– Jezus mój, Jantoś! – krzyknęła z mocą zrozumiałwszy z nagła, co się stało, ale nie nawrócił, rzuciła się za nim z rozpaczą, zabiegła drogę i czepiła mu się szyi, to ją oderwał od siebie kiej pijawkę, rzucił na ziemię i bez jednego słowa poleciał, a ona padła z płaczem okropnym, jakby się świat cały nad nią zawałał.

Dopiero w dobre parę pacierzy przyszła nieco do siebie, nie mogąc jeszcze wyrozumieć wszystkiego, to jeno czuła okropnie, że stała się jej krzywda, stała się jej taka straszna niesprawiedliwość; iż serce rozpękało z bólu, dusiła się w sobie i chciało się jej krzyczeć ze wszystkich sił, na cały ten świat – jako niewinowata, niewinowata!

Wołała za nim, choć już i kroki jego ucichły, wołała w całą tę noc – na próżno.

Głęboka, ciężka skrucha i ten żal serdeczny, i ten strach głuchy, gnębiący, okropny, że może on już nie powróci, i tu miłowanie dawne, z nagła zmartwychwstałe, zwały się na nią ciężkim, twardym brzemieniem nieutulonych smutków, że już i na nic nie bacząc, ryczała w głos idąc do chałupy...

Na ganku zetknęła się z Kłębiakiem, któren jeno wsadził głowę do izby i krzyknął:

– Chłopski las rąbią! – i dalej poleciał.

Migiem ta wieść rozlała się po wsi, buchnęła kiej pożar ogarniając wszystkie serca strapieniem a gniewem srogim, że już drzwi się nie zamykały, tak biegali po chałupach z nowiną.

Juści, rzecz była wielka dla wszystkich i tak groźna, że cała wieś przycichła z nagła, jak kieby piorun uderzył, chodzili lękliwie, na palcach, gadali szeptem ważąc każde słowo, rozglądając się trwożnie i nasłuchując czająco, nikt nie krzyczał, nikt nie lamentował i nikt pomstą nie trząchał, bo każdy czuł w tej minucie, że to nie przelewki, a sprawa taka, na którą babie piski nie poredzą, a ino mądre pomyślenie i to społeczne postanowienie.

Wieczór był już późny, ale śpik wszystkich odleciał, nie jedni kolażki odbieżeli, zapominali o obrządkach wieczornych, zapominali zgoła o sobie, a jeno się snuli po drogach, wystawali w opłotkach, to nad stawem, i szepty ciche, trwożne, przytajone drgały w mroku kiej ten brzęk pszczelny.

Czas też był cichszy, deszcz przestał, pojaśniało nawet zdziebko, po niebie leciały chmurzyska stadami, a dołem nisko przeciągał mroźny wiater, że ziemia jęła się ścinać w grudę i obmoknięte, czarne drze-

wa przybladły szroniejące, głosy zaś, choć przyduszone, szły wyraźniej.

Naraz się rozniosło, że poniektórzy gospodarze się zebrali i walą do wójta. Jakoż przeszedł Winciorek z kulawym Grzelą; przeszedł Caban Michał z Frankiem Bylicą, stryjecznym Hanczynego ojca; przeszedł Socha; przeszedł Walek z krzywą gębą, Wachnik Józek, Sikora Kazimierz, a nawet stary Płoszka – jeno Boryny nikto nie dojrzał, ale mówili, że i on poszedł.

Wójta doma nie było, bo zaraz po południu pojechał do kancelarii, to już wszystkie razem, całą kupą poszli do Kłęba, cisnęło się za nimi sporo ludzi, to bab, to dzieci, ale przywarli drzwi, nikogo już nie puszczając do środka, Kłębiak zaś Wojtek miał przykazane nagładanie po drogach i przy karczmie, czy się gdzie strażnik nie pokaże.

Przed domem zaś, w opłotkach, a nawet na drodze zbierało się coraz więcej narodu, każdy był ciekaw, co tam starszyzna uradzi, a radzili długo, jeno że nikto nie wiedział co i jak, bo ino przez okna widać było ich siwe głowy, w półkołu pochylone do komina, na którym się palił ogień, a z boku stał Kłąb, cosik im prawił, pochylał się nisko i raz w raz bił pięścią w stół.

Niecierpliwość zaś rosła w czekających z minuty na minutę, aż w końcu Kobus, to Kozłowa, to i parobki niektóre zaczęli szemrać i głośno powstawać na radzących, że nic nie uradzą dobrego la narodu, bo im jeno o samych siebie chodzi, jako gotowi się jeszcze z dworem pogodzić, a resztę na zgubę podać!...

Kobus się już był tak rozsierdził wraz z komornikami i drugą biedotą, że już otwarcie namawiał, by nie zważając na radzących, o sobie pomyśleć, swoje uradzić, cosik postanowić; a rychło, póki czas, póki tamte ich nie sprzedadzą...

Jawił się na to Mateusz i zaczął nawoływać do karczmy, by tam swobodnie poradzić, a nie jak te pieski pod cudzym płotem naszczekiwać...

Trafiło to do serca narodowi, bo całą hurmą ruszyli do karczmy.

Żyd już światła gasił, ale musiał otworzyć i z trwogą patrzył na walącą się ciżbę, wchodzili w milczeniu, spokojnie, zajmując wszystkie ławy, stoły i kąty, nikto bowiem nie pił, a jeno kupili się gęsto poredzając z cicha i wyczekując, kto i z czym pierwszy wystąpi...

Nie brakowało skorych do pierwszeństwa, jeno że się jeszcze kaźden wagował wystąpić i na drugich oglądał, aż dopiero Antek się wyrwał, na środek skoczył i ostro, z miejsca zaczął pomstować na dwór...

Ale choć wszystkim trafił prosto do serca, mało kto przytwierdzał, boczo się nań, patrzono zyzem, niechętnie, odwracano się nawet plecami, że to jeszcze zbyt żywo pamiętano księżę wypominki, a i te jego grzeszne sprawki, nie zważał na to, a że go wnet poniesła zapamiętałość i jakby dziki bitkowy szął ogarniał, to z całej mocy krzyczał na końcu:

– Nie dajta się, chłopcy, nie ustępujta, nie darujta krzywdy! Dzisiaj wama wzięli las, a jak się bronić nie będziecie, to jutro gotowi wyciągnąć pazury po ziemię waszą, po chałupy, po dobytek! Któż im wzbrowni, kto się im sprzeciwi?...

Poruszył się nagle naród, pomruk głuchy poszedł po izbie, tłum się zakołysał gwałtownie, rozbłysły dziko oczy, sto pięści naraz wyrwało się nad głowy, i sto piersi ryknęło wraz, kieby piorunami.

– Nie damy! Nie damy! – huczeli, aż się karczma zatrzęsła od mocy.

Na to i czekali przodownicy, bo wnet Mateusz, Kobus, to Kozłowa, to potem i drugie rzucili się we środek i nuż krzyczeć, nuż pomstować a judzić... że wnet karczmę zalał wrzask, groźby, przekleństwa, tupania, bicie pięściami w stoły i hukliwa, sroga wrzawa zagniewanego narodu.

Każdy wołał swoje, każdy się srożył, każdego co innego radził, że ciskali się zapamiętałe, kiej te pieski w sieniach przywarte, których nie ma kto na świat wypuścić i poszczuć na nieprzyjacioły... To się i tumult srogi uczynił, krzyki i sprzeciwy, bo się naród ozeźlił i krzywdą swoją ostargał na wnętrzu, a na jedno zgodzić się nie mógł, bo nie było takiego, który by swoją mocą wszystkich przeparał i do pomsty powiódł...

Kupami się zwierali, a w każdej był jakowyś pyskacz, który wrzeszczał najgłośniej i pomstował, zaś wskroś gąszczu uwijali się przodownicy rzucając, gdzie trzeba było, to słowo ostre, że już w końcu jeden drugiego nie słyszał, bo wszyscy ano wraz krzyczeli.,

– Pół lasu położyli, a takie dęby, że w pięciu chłopca nie obejmie.

– Kłębiak widział, Kłębiak!

– Wytną i resztę, wytną, nie będą waju prosili o przyzwolenstwo! – skrzeczała Kozłowa przeciskając się ku szynkwasowi.

– Zawdy naród krzywdzili, jak ino mogli.

– Kiej takie głupie barany jezdešta, to niech waju zapędzają, kaj chcą...

– Nie dać się, nie dać! Gromadą iść, rozgonić, las odebrać!

– Zakatrupić krzywdzicieli!

– Zakatrupić! – wrzasnęli naraz i znowuj pięście się podniosły groźnie, krzyk buchnął ogromny i tłum cały zawrzał nienawiścią a pomstą, a gdy przycichło, Mateusz krzychał przy szynkwasiu do swoich:

– Ciasno jest wszystkim kiej w tej sieci, bo dwory wszędzie, ze wszystkich stron, kiej te ściany ściskają wieś i duszę, chcesz krowę popaść za wsią – w dworskie wnet utkniesz; konia wypuścisz – dworskie za miedzą; kamieniem ciepnać nie można, bo w dworskie padnie!... a zaraz zajmą, zaraz sądy, zaraz sztrafy!

– Prawda! prawda! Łąka dobra dwa pokosy-daje – dworska juści; najlepsze pole – dworskie, las – dworskie – wszystko – przytakiwali.

– A ty, narodzie, na piaskach siedź, łajnem się ogrzewaj i zmiłowania Pańskiego czekaj!

– Odebrać lasy, odebrać ziemię! Nie dać swojego!

Długo tak krzycheli ciepając się w różne strony, pomstując i pogrążając srogo, a że radzili głośno i z gorącością niemłą, to niejednemu trza się było napić gorzałki dla pokrzepienia, drugie zaś piwo la ochłody pili, a trzecim się przypominały nie dojedzone kolacje, że krzykali na Żyda o chleb i śledzie.

Ale gdy sobie podjedli a podpili, przestygli mocno z zawziętości i zaczęli się z wolna rozchodzić nic nie postanowiwszy.

Mateusz zaś wraz z Kobusem i Antkiem, który już cały czas na boku się trzymał i cosik swojego kalkulował, poszli do Kłęba i zastawczy jeszcze gospodarzy, wspólnie z nimi uradzili coś na jutro i cicho rozeszli się po chałupach.

Noc też już było późna, światła pogaśły w izbach, cichość padła na wieś, że jeno kiejś niekiej pies zaszczekał albo wiatr zaszumiał, że przemarzłe drzewiny tłukły się w mrokach o siebie kiej nieprzyjacioły, a potem długo i trwoźnie szemrały. Przymrozek wziął galanty, płoty pobielały od szronu, ale jakoś zaraz z północkska gwiazdy się skryły, pociemniało i zrobiło się na świecie posepnie, straszno jakoś...

Cały naród leżał we śpiku, ale sen był ciężki i gorączkowy, bo raz w raz zrywał się cichy płacz dzieciątek, to ktosik budził się cały w potach i takim strachu dziwnym, że pacierzem duszę krzepić musiał; gdzie znowu huki jakieś spać nie dawały, że zrywali się wyglądać, czy nie złodzieje; niejednen zaś krzychał przez sen, powiedając potem, że zmora go dusiła; to gdziesik psy zawyły tak żałośnie, aż serca truchlały z trwogi, przerażających przeczuć i obaw.

Noc się wlekła długo i ciężko, oprzędzając dusze trwogą, niepoko-
jem i strasznymi snami, pełnymi mar i widzeń gorączkowych.

A skoro się jeno uczynił świt, że chyla tyła rozedniało i jaki taki
oczy ozwarł i ciężką, senną jeszcze głowę podnosił, Antek pobiegł na
dzwonnicę i zaczął bić w dzwon kieby na pożar...

Próżno mu bronili Jambroży wespół z organistą, skłali ich, chciał
nawet bić i swoje robił z całej mocy.

Dzwon zaś bił wolno, bezustannie a tak ponuro, aż strach padł na
serca, że ludzie strwożeni, wylękli wybiegali na pół ubrani pytać, co się
stało i ostawiali już przed chałupami jakby w skamienieniu, tak zasłu-
chani, bo dzwon wciąż bił i huczał ponurym, wielkim głosem w świto-
wych brzaskach, aż ziemia dygotała, aż wystraszone ptactwo uciekało
ku borom, a naród przetrwożony żegnał się i skrzącał w sobie, boć już
i Mateusz, Kobus a drugi biegali po wsi łomocząc kijami w płoty i
krzycząc:

– Na las! Na las! Wychodź, kto żyw! Pod karczmę! Na las!...

To i na łeb i szyję przyodziewali się, że niejeden jeszcze w drodze
się dopinał, a pacierz kończył i w dyrdy biegał pod karczmę, gdzie już
stojali Kłab z niektórymi gospodarzami.

Zaroily się wnet drogi, opłotki, obejścia, zawrzały naraz wszystkie
chałupy, dzieci podniosły niemały wrzask, kobiety krzykały przez sady,
rwetes powstał taki, bieranina, jak gdyby pożar wybuchnął we wsi.

– Na las! Kto ino ma z czym, kosę, to z kosą, cepy, kłonicę, siekie-
ry, a brać!

– Na las! – krzykiem tym trzęsło się powietrze i huczała wieś cała.

Dzień się już zrobił duży, a cichy był, jasny, omglony jeszcze i
mroźny, drzewa stały w osędzieliznie kiej w pajęczynach, drogi
chrupały pod nogami słabą grudzią, wody się ścięły, że pełno było za-
marzłych kałuży kiej tego szkła potrzaskanego, w nozdrzach wierciło
ostre, rzeźwe powietrze, a tak słuchliwe, że całym światem szły te
krzyki a wrzawa.

Ale przycichało z wolna, bo zawziętość przejmowała serca i jakaś
sroga, pewna siebie, nieustępliwa moc zakamieniła dusze i oblekała je
w taką surową powagę, iż milkli bezwiednie zatapiając się w sobie.

Tłum wciąż się zwiększał, zajęli już cały plac przed karczmą aż do
drogi, stojąc gęsto, ramię przy ramieniu, a jeszcze przybywali spóźnie-
ni.

Witano się w milczeniu, każdy stawał, gdzie popadło, obzierał się
naokół i czekał cierpliwie na starszyznę, która poszła po Borynę.

Pierwszy był ano we wsi, to jemu się należało naród poprowadzić, bez niego żaden gospodarz by się nie ruszył.

Stojali więc cierzpliwie a cicho, kiej ten bór zbity w gęstwę i zasłuchany w głosy, jakie z niego idą, i w te bełkoty strug, co gdziesik między korzeniami płyną... czasem jeno to jakie słowo przeleciało, czasem czyjaś pięść wychyłała w górę, to jakieś oczy rozgorzały bystrzej, to baranice zakolebały się mocniej, to czyjaś twarz poczerwieniała barzej i znowu nieruchomieli, że widzieli się kiej te snopy, ustawione wpodle siebie gęsto.

Kowal przyleciał, przeciskał wskroś gęstwy i zaczął naród odwozować, straszyć, że za to, co zamyślają, cała wieś pójdzie w kajdany i zmarnieje, a za nim młynarz powtarzał to samo, ale nikt nie zważał na nich ni słuchał – wiedziano bowiem dobrze, że obaj dworowi się wysługują i swój mają interes w przeszkadzaniu.

I Rocho przyszedł, i ze łzami przekładał podobnie – nie pomogło.

Aż w końcu i ksiądz przyleciał i jał swoje prawić – nie usłuchali, stali nieporuszeni, nikt czapki nawet nie zdjął, nikt go w rękę nie pocałował, a ktosik nawet głośno, krzyknął:

– Płacą mu, to prawi!

– Kazaniem krzywdy nie zapłaci – ktosik dorzucił urągliwie.

A tak patrzyli ponuro i zawzięcie, że ksiądz się rozplakał, nie przestając na wszystkie świętości zaklinać, by się opamiętali a do domów rozeszli, ale nie skończył, bo przyszedł Boryna, i cały naród do niego się odwrócił.

Maciej błądy był kiej ściana i surowy, że aż mróz szedł od niego, ale oczy jarzyły mu się kiej wilkowi, szedł wyprostowany, chmurny a pewny siebie, znajomków pozdrawiał skinieniem i oczami po ludziach wodził, rozstapiali się przed nim czyniąc wolne przejście, a on wstąpił na belki leżące pod karczmą, lecz nim przemówił, zaczęli w tłumie krzyżeć:

– Prowadźcie, Macieju! Prowadźcie!

– Na las! Na las! – darły się drugie.

Dopiero kiej przycichło, pochylił się, wyciągnął ręce i jał wielkim głosem wołać:

– Narodzie chrześcijański, Polaki sprawiedliwe, gospodarze a komorniki! Krzywda się nam wszystkim stała, krzywda równa, jakiej ni ścierpieć, ni podarować! Dwór las nasz tnie, dwór nikomu z naszych roboty nie dawał, dwór ciągiem na nas nastaje i do zaguby wiedzie!... Bo i nie spamiętać mi tych krzywd, tych fantowań, tych szkód, a utra-

pień, jakie cały naród ponosi! Podawalim do sądu – co mu kto zrobi! Jeździłim ze skargą – na darmo. Ale miarka się przebrała, tnie nasz bór! Pozwolim to, na to, co?

– Nie, nie! nie dać! Rozpędzić, zakatrupić, nie dać!– krzyczeli, a twarze szare, chmurne, zasepione rozbłysły wnet kiejby piorunami, sto pięści zamigotało w powietrzu i sto gardzieli zaryczało, a gniew zatrzęsł sercami.

– Nasze prawo, a nikt go nam nie przyznaje. Nasz bór, a tnie go! To i cóż my, sieroty, poczniemy, kiej nikt na, wiecie o nas nie stoi, a wszystkie ukrzywdzają, cóż?... Narodzie kochany, ludzie chrześcijańskie, Polaki, to mówię wama, że rady już inszej nie ma, jeno sami musimy swojego dobra bronić, gromadą całą iść i boru rąbać nie pozwolić! Wszystkie chodźmy, kto jeno żyw, kto jeno kulasami rucha, całą wsią, wszystkie jak jeden! Nie bójta się niczego, ludzie, nie bójta, nasze prawo, to i nasza woła i sprawiedliwość nasza, a całej wsi karać nie ukarzą. Za mną, ludzie, zbierać się duchem, za mną! Na las! – ryknął mocno.

– Na las! – odwrzasnęli wraz wszyscy, rum się uczynił, tłum się zakołysał, rozpekł i z krzykiem kaźden w dyrdy leciał do domu sposobić się, że powstała gorączkowa spieszna krzątania, przybierania się, zaprzęgi, wyciągania sań, rżenie koni, wrzaski dzieci, klątwy, to kobiece lamenty, że ino się wieś trzęsła od przygotowań, a może w jakie dwa pacierze już narychtowani ciągnęli na topolową, gdzie czekał Boryna w saniach wraz z Płoszką, Kłębem i co pierwszymi.

Ustawiali się w rzędy, jak komu popadło, chłopcy, parobki, kobiety, dzieci nawet co starsze ruszyły; kto był saniami, kto konno, kto wozem, a reszta, wieś prawie cała na piechty się wybrała i zwarła się w gęstwą kieby w ten zagon długi, szumiący zbożem, przerośnięty czerwienią kobiecych przyodziewków, nad którym ino się trzęsły koły niezgorsze, to widły zardzewiałe, to cepy, a tu i owdzie kiej błyskawica zamigotała kosa, że jakby na rolę ciągnął naród, jeno że nie było śmiechów, żartów i wesela. Stali w cichości, omroczeni, surowi, gotowi na wszystko, a gdy już nastał czas, Boryna wstał w saniach, ogarnął naród oczami i krzyknął żegnając się:

– W imię Ojca i Syna, i Ducha świętego! Amen, w drogę!

– Amen! Amen! – przywtórzyli, a że zaświegotała właśnie sygnaturka, snadź ksiądz ze mszą wychodził, żegnano się, zdejmowano czapki, bito się w piersi, a jaki taki – westchnął żałośnie i ruszali sfornie, mocno i w milczeniu, i całą prawie wsią, jeno kowal przywarł

gdziesik w opłotkach, przebrał się do chałupy, skoczył na konia i popędził bocznymi drogami ku dworowi, Antek zaś któregoś był od samego zjawienia się ojca skrył się w karczmie, skoro ruszyli, wziął od Żyda fuzję, schował ją pod kozuch i pognał do borów na przełaj przez pola... nie oglądając się nawet za gromadą...

A naród ruszył żwawo za Boryną, jadącym na przedzie.

Tuż za nim ciągnęły Płoszki, ilu ich było z trzech chałup, ze Stachem na przedzie, naród był nieurodny, ale pyskaty szumny i wielce w siebie dufający.

A za nimi Sochy, których wiódł sołtys.

A trzecie były Wachniki, chłopcy drobne, suche, ale zajadłe kiej osy.

A czwarte szły Gołębie Mateusz im przewodził, niewiele ich, było, jeno że starczyli za pół wsi, bo same zabijaki nieustępliwe i rozrosłe kiej dęby.

A piąte Sikory, krępe niby pnie, żyłaste i mrukliwe.

A potem Kłębiaki i młódź druga, wyrosła, bujna, swarliwa i na bitki wszelkie łakoma, którą prowadził Grzela, wójtów brat.

A w końcu Bylice szły, Kobusy, Pryczki, Gulbasy, Paczesie, Balcerki i kto by je tam wszystkie spamiętał!...

Szli mocno, aż się ziemia trzęsła, posepni, kwardzi a groźni kiej ta chmura gradowa, co to jeno połyskuje, nabrzmiewa piorunami, głuchnie, a leda chwila spadnie i świat cały roztratuje.

A za nimi niesły się płacze, wrzaski i lamenty pozostałych.

.....

Świat był jeszcze zmartwiały od nocnego chłodu, pełen sennej głuszy i spowity w lute i szkliste mgły.

Cichość zalegała bory, ziąb przeciągał ostry i słaby brzask zórz oczerniał czuby i sypał się gdzieś na śniegi blade.

Jeno na Wilczych Dołach grzmiały huki walących się raz po raz drzew, bicie siekier i przeszywający, zgrzytliwy pisk pił.

Walili bór!...

Więcej niżli czterdzieści chłopów pracowało od samego świtania; kieby to stado dzięciołów spadło na bór, przypięło się do drzew i kuło tak zawzięcie i zajadłe, że drzewa padały jedno po drugim, poręba rosła, pocięte olbrzymy leżały pokotem niby łan stratowany, a jeno kajś niekaj niby te osty kwardy sterczały smukłe nasienniki pochylając się ciężko jako matki żałośnie płaczące nad pobitymi, kajś niekaj szeleści-

ły smutno krze nie docięte, to jakaś drzewina – mizerota, której topór nie chył, dygotała trwoźnie – a wszędy, na płachtach śniegów podeptanych, niby na tych całunach ostatnich, leżały pobite drzewa, kupy gałęzi, wierzchoły martwe i kłoce potężne, obdartym i poćwiertowanym trupom podobne, zaś strugi żółtych trocin rozsączały się w śniegach kieby ta żalosna krew lasu.

A wokół nad porębą, niby nad grobem otwartym, stał las zbitą, wyniosłą i nieprzeniknioną ciżbą, jako te przyjacioły, krewniaki a znajomkowie, co gęstwą stanęli pochyloną i w trwoźnym milczeniu, z tłumionym krzykiem rozpaczy nasłuchują padających w śmierć i patrzą zdrewniali na nieubłaganą kośbę.

Bo rębacze szli naprzód nieustannie, rozwiedli się w szeroką ławę i z wolna, w milczeniu wpierali się w bór, zda się niezmożony, którego posępna, wyniosłą ścianą pni zwartych zastępował im drogę, a tak przysłaniał ogromem, że ginęli zgoła w cieniu konarów, jeno topory błyskały w mrokach i były niestrudzenie, jeno świst pił nie ustawał ani na chwilę, a co trochę drzewo się jakieś chwiało i z nagłą, kiej ten ptak zdradnie pochwycony we wnyki, odrywało się od swoich, biło gałęziami i z jękiem śmiertelnym padało na ziemię – a za nim drugie, trzecie, dziesiąte...

Padaly sosny ogromne, już od starości ozieleniałe, padaly jedle, kieby w zgrzebne kapoty przyodziane, padaly świerki rozłożyste, padaly i dęby bure, brodami siwych mchów obrosłe kiej te starce, których pioruny nie zmogły i setki lat nie skruszyły, a topory na śmierć powiedły, a inszych zasie tyle podlejszych drzew, któż to wypowie, ile a jakich padało!

Las marł z jękiem, drzewa padały ciężko jako te chłopcy w boju ściśnięte a parte jedne przez drugie, nieustępliwe, krzepkie, jeno że bite mocą niezmożoną, iż ni „Jezus!” krzyknąć nie krzykną i wraz całą ławą się chyla, i w lutą śmierć padają.

Jęk jeno rozbrzmiewał po lesie, ziemia drgała ciągiem od zwalonych drzew, siekiery waliły bez przestanku, zgrzyt pił nie ustawał, a świst gałęzi, niby ten wzdych ostatni, przedzierał powietrze.

I tak szły godziny za godzinami, a coraz nowe pokosy drzew zalegały porębę i robota nie ustawała.

Sroki krzyczały wieszając się po nasiennikach, to czasem stado wron przeciągało z krakaniem nad tym polem śmierci, to zwierz jaki wysuwał się z gęstwiny, stawał na skraju i długo wodził szklistymi

oczami po skołtunionych dymach ognisk, po drzewach padających, a dojrzawszy ludzi z bekiem uciekał.

A chłopci rąbali zawzięcie wżerając się w bór kiej te wilki, gdy stada dopadną, a ono się zbije w kupę i zdrętwiacie śmiertelnie, pobekujące, czeka, póki ostatnia owieczka nie padnie pod kłami.

Dopiero po śniadaniu, gdy słońce podniosło się do tela, że osędzielizna jęła skapywać, a złote pająki światła pełzały wskroś boru, dosłyszał ktosik daleką wrzawę.

– Ludzie jakies idą całą gromadą – rzekł któryś przyłożywszy ucho do drzewa.

Jakoż i gwar był coraz bliższy i wyraźniejszy, że wnet rozległy się pojedyncze okrzyki i głuchy tupot wielu nóg, a nie wyszło i Zdrowaś, kiedy na dróżce biegnącej od wsi zamajaczyły sanie, które wnet wypadły na porębę, stał w nich Boryna, a za nim konno, wozami i piechty wysypywał się gęsty tłum kobiet, chłopów i wyrostków, a wszystko to podniesłszy srogi krzyk jęło gnać ku rębaczom.

Boryna wyskoczył ze sani i pogał przodem; za nim zaś, gdzie kto ino wziął miejsce, lecieli drudzy, kto był z kijem, kto znów groźnie potrzachał widłami, któren cepy dzierzył mocno w garści, inszy kosą migotał, a inszy jeszcze z prostą gałęzią, a jak kobiety, to prosto z pazurami i wrzaskiem, a wszystkie runęły na przerażonych rębaczów.

– Nie rąbać! Wara od boru! Nasz las, nie pozwalamy! – wrzeszczeli razem, że i nikto nie wyrozumiał, czego chcieli, dopiero Boryna przystanął przy struchlałych i ryknął, że na cały las się rozległo:

– Ludzie z Modlicy! ludzie z Rzeppek i skąd to jeszcze jesteśta, słuchajcie!

Przycichło zdziebko, a on znowu wołał: – Zabierzta, co wasze, i idźta z Bogiem, rąbać wzbraniamy, a któren by nie usłuchał, z całym narodem miał będzie sprawę...

Nie opierali się, boć srogie twarze, kije, widły, cepy i tyła narodu rozgniewanego, gotowego do bitki, strachem przejmowało, to zaczęli się zmawiać, skrzykiwać, topory za pas zakładać, piły zbierać i kupić się do się z pomrukiem gniewnym, a zwłaszcza Rzepczaki, że to szlachta była i od wieków w kłótniach sąsiedzkich z Lipczakami, to wyklinali w głos, trzaskali toporami, odgrazali się, ale chcąc nie chcąc ustępowali przed siłą, a naród zaś krzykał groźnie, następował na nich i wypierał w bór.

Insi zaś rozbiegli się po porębie gasić ogniska i rozwalać poukładane sążnie, a baby, z Kozłową na przedzie, dojrzawszy budy zbite z de-

sek na kraju poręby pognały tam i nuż je rozdzierać a rozwłóczyć po lesie, by i śladu nie zostało.

Boryna zaś, skoro rębacze ustąpili tak łącno, skrzykiwał gospodarzy i namawiał, bych całą gromadą do dwora teraz iść i zapowiedzieć dziedzicowi, aby się nie ważył lasu ruszyć, póki sądy nie oddadzą, co jest chłopskiego. Ale nim się zmówili, nim wymiarkowali, co zrobić, aby było jak najlepiej, baby podniosły krzyk i zaczęły bezładnie uciekać od bud, bo kilkanaście koni wypadłych z lasu jechało im na karkach...

Dwór uprzedzony przybywał rębaczom na pomoc.

Na czele parobków jechał rządcą, wpadli na porębę ostro i zaraz z miejsca dopadłszy kobiet zaczęli je prac batami, a rządcą, chłop kiej tur, bił pierwszy i krzyczał:

– Złodzieje, wszarze! Batami ich! W postronki, do kryminału!

– Kupą, kupą, do mnie, nie dawać się! – wrzeszczał Boryna, bo naród już się rozlatywał zestrachany, ale na ten głos powstrzymywali się w miejscu i nie bacząc na baty, prażące niejednych już po łbach, w dyrdy, osłaniając rękami głowy, biegli do starego.

– Kijami psubratów! Cepami w konie! – krzyczał rozsrożony stary i porwawszy jakiś kół pierwszy rzucił się na dworskich; a prał, gdzie popadło; za nim zaś, kiej ten bór wichurą gniewu przejęty, zwały się chłopcy ramię w ramię, cepy przy cepach, widły przy widłach i z krzykiem ogromnym runęli na dworskich prażąc, czym kto ino mógł dosięgnąć, aż zadudniało, jakby kto groch na podłodze kijem wyluskiwał.

Podniosły się wrzaski nieludzkie, przekleństwa, kwiki przetrącających koni, jęki rannych, głuche a gęste razy kołów, szamotania chrapliwe i dzikie pokrzyki pobojuwiska.

Dworscy bronili się tego, wymyślali i bili niezgorzej od chłopów, ale zaczęli się w końcu mieszać i cofać, bo konie smagane cepami stawały dęba i z kwikiem nawracały ponosząc, aż rządcą, widząc, co się dzieje, spał swojego ułanka i skoczył w całą kupę narodu, ku Boryrnie, ale ino tyła go było widać, bo naraz zawarczały cepy i kilkadziesiąt bijaków spadło na niego, a kilkadziesiąt rąk chwyciło go ze wszystkich stron i wyrwało z konia, że kiej ten kierz, ryjem podważony, wyleciał w powietrze i padł w śnieg, pod nogi, iż ledwie go Boryna ochronił i zawlókł nieprzytomnego w przepieczne miejsce.

Skłębiło się wtedy wszystko z nagłą, jak kiedy wichur uderzy niespodzianie w kopy, zamąci, że jeno jeden kłęb nierozeznany się uczyni, tacza po polu i przewala po zagonach; krzyk się podniósł straszny i taki

zamęt, taki wir, że już nic nie było widno, kromie splątanych kup tarzających się po śniegach, kromie pięści walących z wściekłością, a czasem jakiś wydzierał się z kupy i uciekał kiej oszalały, ale nawracał wnet i z nowym krzykiem, z nową wściekłością rzucał się do bitki.

Prali się w pojedynkę i kupami, wodzili za orzydła, to za łby, gnietli kolanami, ozdierali do żywego mięsa. a przeprzeć się jeszcze nie mogli, bo dworscy pozeskakiwali z koni, nie ustępując ani na krok, ile że przybywała im ciągła pomoc, bo rębacze przeszli na ich stronę i tego wspierali; pierwsze Rzepczaki hurmą a milczkiem kiej te złe psy rzucili się pomagać, a wiódł wszystkich borowy, którego w ostatniej chwili się zjawił, że zaś chłop był jak byk, moczarski głośny na okolicę, a przy tym zadzierzasty i swoje sprawy z Lipcami mający, to pierwszy się rzucał w pojedynkę na całe kupy, rozbijał łby kolbą fuzji, rozpędzał i tak prał, że niech Bóg bron!

Poszedł nań Stacho Płoszka, by go wstrzymać, bo już naród zaczął przed nim uciekać, to go uchwycił za orzydle, okręcił nad sobą i rzucił na ziem kiej ten snopek wymłócony, aż Stacho padł nieprzytomny. Skoczył doń któryś z Wachników i trzasnął go cepami gdzieś w ramię, ale dostał na odlew pięścią między oczy, że jeno ozwał ramiona i z tym słowem „Jezus!” rymnął na ziemie.

W końcu już i Mateusz nie wytrzymał i rzucił się do niego, ale choć chłop był w mocy jednemu Antkowi równy, nie wytrzymał i pacierza, borowy go zmógł, sprął; w śniegu utyłł i do ucieczki przyniewolił, a sam ruszył ku Borynie, którego w kupie całej wodził się za łby z Rzepczakami, ale nim się doń dobrał, opadły go z wrzaskiem baby, przechwyciły pazurami, wpięły mu się w kudły, splątały i przygiąwszy do ziemi wodziły się z nim – jako te kundle, kiej psa owczarskiego opadną, kłami za skórę ujmą i ciepają się że nim to w tę, to w ową stronę.

Ale już pod ten czas i naród brał górę, zwarli się i pomieszali kiej te liście, każdy swojego ułapił, dusił i taczał się z nim po śniegu, a baby dopadały z boków i darły za kudły.

Wrzask było ano już taki, zamęt, kotłowanina, że swój swojego ledwie rozpoznał, ale w końcu przeparli dworskich, paru już z nich leżało pokrwawionych, a insze zaś zmordowane, osłabłe, chyłkiem uciekały w las, tylko rębacze bronili się ostatkami sił, a nawet gdzieś prosili o miłosierdzie, ale że naród był rozgorzał kiej ta żagiew na wietrze, to próśb nie słuchał i na nic nie baczył, jeno prał z całą wściekłością.

Porzucali kije, cepy, widły, a zwarli się na moc, chłop z chłopem, pięść na pięść, siła na siłę, gnietli się tak ano, dusili, ozdierali, kulali po ziemi, że już przymilkły wrzaski, a tylko ciężkie charczenia, klątwy a szamotania słychać było.

Taki się sądny dzień zrobił, że i wypowiedzieć nie sposób!

Ludzie poszaleli prawie, zawziętość nimi rzucała i gniew ponosił, a zwłaszcza Kobus z Kozłową widzieli się całkiem powściekani, że aż strach było na nich patrzeć, tak byli okrwawieni, pobici, a mimo to rzucający się na całe kupy.

Tak się ano przepierali jeszcze, a z coraz większym krzykiem Lipczaków, że już się zaczynały gonitwy uciekających i bicie w dziesięciu jednego, gdy borowy opędził się wreszcie babom, ale srodze poturbowany i przeto jeszcze wścieklejszy zaczął skrzykiwać swoich, a dojrawszy Borynę skoczył na niego, chycili się w pół, opletli barami kiej niedźwiedzie i nuż się przepierać a zataczać, a bić o drzewa, bo się już byli wywiedli w bór.

Na to właśnie nadleciał Antek, spóźnił się wielce, więc przystanął na skraju boru, by złapać nieco powietrza i wnet dojrzał, co się z ojcem dzieje.

Zatoczył dookoła jastrzębimi ślepiami, nikto na nich nie baczył, wszystkie ano były w takiej bitce, w takim pomieszaniu, że ni jednej twarzy nie rozeznał, więc cofnął się, chyłkiem przedostał się do Boryny i przystanął o parę kroków za drzewem.

Borowy przemagał, ciężko mu szło, bo już był srodze zmordowany, a i stary trzymał się krzepko, padli właśnie na ziemię, tarzając się kiej dwa psy i tłukąc o ziemię, ale coraz częściej stary był na spodzie, czapa mu zleciała, że jeno ten siwy łeb podskakiwał po korzeniach.

Antek raz się jeszcze obejrzał, wyciągnął flintę spod kożucha, przykucnął i przeżegnawszy się bezwiednie, zmierzył do ojcowej głowy... nim jednak spuścił kurek, porwali się obaj na nogi, Antek też się podniósł i fuzję przyłożył do oka – nie strzelił jednak, strach nagły, okropny ścisnął mu tak serce, że ledwie mógł dychać, ręce mu latały kiej w febrze, zadygotał cały, w oczach pociemniało i tak się zakreśliło w głowie, że stał długą chwilę, nie wiedząc zgoła, co się z nim dzieje, naraz rozległ się krótki, przerażający krzyk:

– Ratujta, ludzie!... Ratujta!...

Borowy właśnie w ten mig trzasnął Borynę kolbą przez łeb, aż krew chlusnęła, stary jeno zakrzyczał, podniósł ręce do góry i padł kiej kloc na ziemię...

Antek oprzytomniał, rzucił fuzję i skoczył do ojca; stary jeno charczał, krew zalewała mu twarz, głowę miał prawie na pół rozłupaną, żyw był jeszcze, ale już oczy zachodziły mu mgłą i kopał nogami.

– Ociec! Mój Jezus! Ociec! – wrzasnął strasznym głosem, porwał go na ręce, przytulił do piersi i zaczął wniebogłosey krzyżeć:

– Ociec! Zabili go! Zabili! – wył kiej ta suka, gdy jej dzieci potopią.

Aż kilkoro ludzi co najbliższych posłyszało i przybiegło na ratunek; złożyli pobitego na gałęziach i jęli śniegiem obwalać mu głowę i ratować, jak ino poredzili. Antek zaś przysiadł na ziemi, targał się za włosy i krzychał nieprzytomnie:

– Zabili go! Zabili!

Aż myśleli, iż mu się z nagła w głowie popsulo.

Naraz ucichł, przypomniał sobie z nagła wszystko i rzucił się do borowego. z krzykiem przerażającym i z takim szaleństwem w oczach, że borowy się zląkł i zaczął uciekać, ale czując, że go tamten dogania, odwrócił się raptem i strzelił mu prawie prosto w piersi, nie trafił go jednak jakimś cudem, tyle jeno, że twarz osmalił, a Antek zwałił się na niego jak piorun.

Próżno się bronił, próżno wymykał, próżno przywiedziony rozpaczą i strachem śmiertelnym o zmiłowanie prosił – Antek porwał go w pazury kiej ten wilk wściekły, zdusił za gardziel; aż grdyka zachręściła, uniósł do góry i tłukł nim o drzewa potąd, póki ostatniej pary nie puścił.

A potem jakby się zapamiętał, że już nie wiedział, co robił; rzucił się w bitkę, a tam, kędy się zjawił, serca truchlały, ludzie uciekali ze strachem, bo straszny był, umazany ojcową krwią i swoją, bez czapki, z pozlepianym włosom, siny kiej trup, okropny jakiś a tak nadludzko mocny, że prawie sam jeden zmordował i pobił tę resztę dających opór, aż musieli go w końcu uspokajać i odrywać, boby zabijał na śmierć...

Bitka się skończyła i Lipczaki, choć zmordowani, pokaleczeni, okrwawieni, napełniali las radosną wrzawą.

Kobiety opatrywały co ciężej rannych i przenosiły na sanie, a było ich niemało, Kłębiak jeden miał złamaną rękę, Jędrzych Pacześ przetrącony kulas, że stąpić nie mógł i darł się wniebogłosey, kiej go przenosili, Kobus zaś był tak pobity, że się ruchać nie mógł, Mateusz żywą krew oddawał i na krzyż narzekał, a insi też ucierpieli nie gorzej, że prawie nie było ani jednego, który by cało wyszedł, ale że górę wzięli,

to i na ból nie bacząc pokrzykali wesoło a rozgłośnie – i zabierali się do powrotu.

Borynę złożyli w saniach i wieźli wolno bojąc się, by w drodze nie zamarł, nieprzytomny był, a spod szmat wciąż wydobywała się krew zalewając mu oczy i twarz całą, blady był jak płótno i zupełnie podobny do trupa.

Antek szedł przy saniach, wpatrzony przerażonym wzrokiem w ojca, podtrzymywał mu głowę na wybojach i raz wraz bełkotał cicho, prosząco, żałośnie:

– Ociec! Loboga, ociec!...

Ludzie szli beżładnie, kupami, jak komu lepiej było, a lasem, bo środkiem drogi szły sanie z poranionymi, jaki taki jęczał i postękiwał, a reszta śmiała się głośno, pokrzykując wesoło i szumnie. Zaczęli opowiadać sobie różności, a przechwalać się z przewagi i przekpiwać z pokonanych, gdzieniegdzie już i śpiewy zaczęły się rozlewać, ktoś znów krzykał na cały bór, aż się rozlegało, a wszyscy byli pijani triumfem, że niejednen zataczał się na drzewa i potykał o lada jaki korzeń...

Mało kto czuł pobicie i zmęczenie, bo wszystkie serca rozpierała nieopowiedziana radość zwycięstwa, wszyscy pełni byli wesela i takiej mocy, że niechby się kto sprzeciwił, na proch by starli, na cały świat by się porwali.

Szli mocno, głośno, hałaśliwie, tocząc jarzącymi oczami po tym borze zdobytym, któren chwiał się nad głowami, szumiał sennie i sypał na nich rosisty opad osędzielizny, kieby tymi łzami pokrapiał.

Naraz Boryna otworzył oczy i długo patrzył w Antka, jakby sobie nie wierząc, aż głęboka, cicha radość rozświeciła mu twarz, poruszył ustami parę razy i z największym wysiłkiem szepnął:

– Tyżeś to, synu?... Tyżeś?...

I omdlał znowu.